

GUILLAUME
MUSSO

APARTAMENT
W PARYŻU



Koniec drogi może tak naprawdę okazać się jej początkiem...

Madeline w wynajętej pracowni ukrytej w pełnym zieleni zaułku Paryża szukała samotności. Niestety, w wyniku nieporozumienia w to samo miejsce trafił dramatopisarz Gaspard. Los skazuje tych dwoje wrażliwych samotników na dzielenie jednej przestrzeni życiowej - pracowni należącej przez lata do słynnego artysty, Seana Lorenza, którego ostatnie dzieła zniknęły w tajemniczych okolicznościach...

Madeline i Gaspard, zafascynowani geniuszem i zaintrygowani tragicznym losem poprzedniego lokatora, postanawiają połączyć siły, aby odzyskać te niezwykle obrazy. Zanim jednak odkryją sekret malarza, będą musieli zmierzyć się z własnymi demonami, a prowadzone przez nich śledztwo na zawsze odmieni ich życie.

GUILLAUME
MUSSO

APARTAMENT
W PARYŻU

Z francuskiego przełożyła
JOANNA PRĄDZYŃSKA



Wydanie elektroniczne

GUILLAUME MUSSO

Autor piętnastu bestsellerów, od siedmiu lat nieprzerwanie utrzymujący się na pierwszym miejscu listy najpopularniejszych francuskich pisarzy. Debiutował w 2001 r. thrillerem *Skidamarink*, doskonale przyjętym przez krytykę. Druga powieść, *Potem...*, zainspirowana wypadkiem samochodowym, z którego cudem uszedł z życiem, rozpoczęła jego spektakularną międzynarodową karierę. Łączny nakład jego powieści – przełożonych na prawie 40 języków – przekroczył 25 milionów egzemplarzy. Kluczem do sukcesu Musso jest łączenie wątków miłosnych, kryminalnych i – czasami – fantastycznych, w doskonałym i niemożliwym do naśladowania stylu.

guillaumemusso.com

Tego autora

POTEM...
URATUJ MNIE
BĘDZIESZ TAM?
PONIEWAŻ CIĘ KOCHAM
WRÓCĘ PO CIEBIE
KIM BYŁBYM BEZ CIEBIE?
PAPIEROWA DZIEWCZYNA
TELEFON OD ANIOŁA
7 LAT PÓŹNIEJ...
JUTRO
CENTRAL PARK
TA CHWILA
DZIEWCZYNA Z BROOKLYNU
APARTAMENT W PARYŻU

Tytuł oryginału:
UN APPARTEMENT A PARIS

Copyright © XO Éditions 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2018

Redakcja: Anna Jaroszuk

Zdjęcie na okładce: Ekaterina Pokrovsky/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-404-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

*Dla Ingrid,
dla Nathana*

*W końcu, w samym środku zimy,
uświadomiłem sobie, że we mnie
wciąż panuje lato.*

Albert Camus

Chłopczyk

Londyn, sobota przed południem.

Jeszcze tego nie wiesz, ale za niecałe trzy minuty spotka cię coś najgorszego w życiu, czego się nie spodziewasz, a co zaboli tak jak dotknięcie rozgrzanym żelazem.

Na razie spacerujesz sobie spokojnie po korytarzach galerii handlowej wyglądającej jak starożytne atrium. Po dziesięciu dniach deszczu niebo znów stało się piękne, ciemnoniebieskie. Igrające w szklanym dachu promienie słońca wprowadzają cię w dobry nastrój. Aby uczcić początek wiosny, kupiłaś sobie nawet tę czerwoną sukienkę w białe grochy, którą zauważyłaś dwa tygodnie temu. Czujesz się lekko, prawie swawolnie. Zapowiada się przyjemny dzień: najpierw lunch w restauracji w towarzystwie najlepszej przyjaciółki, Jul', potem obie pójdziecie zrobić sobie manicure, pewnie jeszcze jakaś wystawa w Chelsea, a wieczorem koncert PJ Harvey w Brixton.

Spokojne, przyjemne życie.

Ale nagle widzisz...

*

Małego chłopczyka, ubranego w dżinsowe ogrodniczki i granatową budrysówkę. Dwa latka, może trochę więcej. Wielkie, jasne, roześmiane oczy za kolorowymi okularami. Delikatne rysy, pucołowata buzia, krótkie loczki błyszczące jak łan zboża w letnim słońcu. Już od dłuższej chwili przyglądasz mu się z daleka, ale im bliżej do niego podchodzisz, tym bardziej fascynuje cię jego twarz. Niewinna, radosna, nieskalana strachem ani cierpieniem. Wszystko

jeszcze przed nim, całe życie, nieograniczone możliwości, radość, szczęście.

On też na ciebie patrzy. Na szczerej buzi pojawia się porozumiewawczy uśmiech. Z dumą pokazuje ci metalowy samolocik, który grubymi paluszkami ściska nad głową.

– Wrrrumm, wrrumm... – warczy, naśladowując warkot silnika.

Uśmiechasz się do niego i ogarnia cię osobliwe uczucie. Powoli zaraża cię dziwnym smutkiem trucizna niezidentyfikowanej emocji.

Dziecko rozkłada ręce i zaczyna dreptać wokół kamiennej fontanny, rozpryskującej wodną mgłę pod kopułą galerii. Przez sekundę masz wrażenie, że chłopiec biegnie w twoją stronę i zaraz wskoczy ci na rękę, ale...

– Tata! Tata! Zobacz, jestem samolotem!

Podnosisz wzrok i napotykasz spojrzenie mężczyzny, który łapie dziecko w biegu. Przenika cię zimno i serce przestaje ci bić.

Znasz tego mężczyznę. Pięć lat temu przeżyliście romans, który trwał nieco ponad rok. To dla niego przeprowadziłaś się z Paryża na Manhattan i zmieniłaś pracę. Przez pół roku staraliście się nawet o dziecko, ale nic z tego nie wyszło. A potem mężczyzna, który był już ojcem jedynaka, wrócił do swojej byłej żony. Zrobiłaś wszystko, co możliwe, by został przy tobie, to jednak nie wystarczyło. Był to dla ciebie bardzo bolesny okres, a kiedy wydawało ci się, że już się uwolniłaś, nagle go ujrzałaś i serce ci pękło.

Teraz rozumiesz, dlaczego byłaś tak dziwnie poruszona. Ten chłopczyk mógł być waszym dzieckiem, więcej, powinien nim być!

Mężczyzna poznaje cię od razu. Nie ucieka spojrzeniem. W jego oczach pojawia się smutek. Widać, że jest tak samo zaskoczony jak ty, że czuje się źle, a nawet, że jest mu trochę wstyd. Oczekujesz, że podejdzie i odezwie się do ciebie, ale on reaguje niczym spłoszona

zwierzyna. Obronnym gestem obejmuje chłopca i odwraca się w przeciwną stronę.

– Chodź, Joseph, idziemy!

Ojciec i syn oddalają się, a ty nie wierzysz własnym uszom. Takie imię wybraliście dla waszego dziecka! W oczach stają ci łzy. Obrabował cię, okradł! Opada cię fala nagłego zmęczenia. Przez długą chwilę stoisz oszołomiona, skamieniała, nie możesz nawet przełknąć śliny.

*

Ledwo udaje ci się dojść do wyjścia. W uszach ci szumi, idziesz sztywno jak kukła, ręce i nogi masz ciężkie jak z ołowiu. Ostatkiem sił zatrzymujesz taksówkę przy Saint James's Park, ale przez całą drogę drżysz pod natłokiem złych myśli, które starasz się odpędzić. Nie rozumiesz, co ci jest.

W mieszkaniu idziesz prosto do łazienki, by napuścić wody do wanny. Nie zapalasz światła w sypialni. Wciąż ubrana padasz na łóżko i leżysz bez ruchu. W głowie przesuwają ci się obrazy chłopca z metalowym samolocikiem i rozpacz, która cię ogarnęła, gdy zobaczyłaś ukochanego, przekształca się w uczucie okropnej pustki. Oczywiście płaczesz, ale myślisz, że to łzy ulgi, że ten atak sam minie. Tymczasem cierpienie narasta, puchnie i zalewa cię jak tsunami, porywa cię ze sobą, rozbija wszystkie tamy, uwalniając lata urazy i zawiedzionych nadziei. Zabliźnione, jak sądziłaś, rany otwierają się.

Wkrótce lodowate macki hydry-paniki oplatają twoje członki. Nie! Zrywasz się z łóżka. Serce łomocze ci w piersi. Kilka lat temu przeżyłaś już coś podobnego i wówczas skończyło się to źle. Ale mimo że odganasz to wspomnienie, nie udaje ci się zatrzymać

nieubłaganego. Nie umiesz powstrzymać dreszczy, wleczesz się do łazienki.

Apteczka. Lekarstwa. Do wanny, z której wylewa się woda, wchodzisz częściowo ubrana. Woda jest zbyt gorąca, a może zbyt zimna, nie wiesz, masz dosyć. Twoją pierś zgniata ogromne imadło. W brzuchu czujesz otchłań. Przed oczami czarno, rozpaczliwie.

Nie rozumiesz nawet, co się z tobą dzieje. Przez ostatnie lata pogubiłaś się, to prawda, od dawna jednak wiesz, jak kruche może być życie. Nie spodziewałaś się, że akurat dziś grunt usunie ci się spod stóp i że tak szybko upadniesz. Nie zdawałaś sobie sprawy, że pogrążasz się w bagnie. Ten smutek, ta trucizna, ta beznadzieja... To uczucie ciągłej samotności, które, nagle rozbudzone, pchnęło cię w nicość.

*

Buteleczki z lekarstwami unoszą się na powierzchni wody jak żaglówki w bezwietrzny dzień. Otwierasz je i połykasz tabletki garściami. Ale to nie wystarcza. Musisz wykonać zadanie do końca, więc wyjmujesz żyletkę z maszynki do golenia leżącej na brzegu wanny i przesuwasz nią w poprzek jednego i drugiego nadgarstka.

Zawsze w życiu zaciekle o wszystko walczyłaś, ale dziś już nie masz siły. Wróg nie chce cię puścić wolno, a zna cię lepiej niż ty sama. Przykładając ostrze do żył, z ironią wspominasz przesadną radość, jaką odczułaś dzisiaj rano, obserwując słońce z okien mieszkania.

Potem nadchodzi ten dziwny, uspokajający moment, kiedy czujesz, że klamka zapadła i że rozpoczęła się podróż bez powrotu. Jak zahipnotyzowana patrzysz na strumyczki krwi, które na powierzchni wody układają się w piękne arabeski. Wiesz, że odchodzisz, i myślisz, że przynajmniej zniknie ból, a w tej chwili to bezcenne.

Gdy diabeł ciągnie cię za sobą w ogień piekielny, znów powraca obraz chłopczyka. Widzisz go na plaży, patrzy na morze. W Grecji albo na południu Włoch... Jesteś tuż obok. Tak blisko, że czujesz jego zapach – pachnie piaskiem i kłosami zboża, tak przyjemnie jak lekki wiatr w letni wieczór.

Kiedy chłopiec unosi głowę i spogląda na ciebie, wzrusza cię jego śliczna buzia, zadarty nosek i przerwa między górnymi jedynekami, która sprawia, że ma tak czarujący uśmiech. Dziecko rozkłada rączki i zaczyna biegać wokół ciebie.

– Mama, patrz, jestem samolotem!

W ŚRODKU ZIMY

Wtorek, 20 grudnia

1

Syndrom Paryża

Paryż to zawsze dobry pomysł!

Audrey Hepburn

1

Lotnisko Roissy-Charles de Gaulle, hala przylotów.

W pewnym sensie piekło na ziemi.

Przed stanowiskami kontroli paszportowej kłębiły się setki podróżnych, zbitych w długiej kolejce wijącej się jak otyły wąż boa. Gaspard Coutances patrzył na rząd kabin z pleksiglasu znajdujących się dwadzieścia metrów przed nim. Stanowisk kontroli było tam mnóstwo, ale tłum pasażerów obsługiwało tylko dwóch policjantów. Gaspard westchnął. Za każdym razem, gdy tu lądował, zastanawiał się, jak zarządzający lotniskiem mogą tak lekceważyć fatalną opinię, którą ta nieudolna organizacja wyrabia Francji w oczach świata.

Przełknął ślinę. Na dodatek było potwornie gorąco. W ciężkim, wilgotnym powietrzu unosiła się okropna woń potu. Gaspard stał między nastolatkiem wyglądającym jak członek gangu motocyklowego i grupą Azjatów. Atmosfera była napięta – pasażerowie o twarzach zombi po dziesięcio- czy piętnastogodzinnym

locie, wpadając do zupełnie innej strefy czasowej, odkrywali z irytacją, że to jeszcze nie koniec ich drogi krzyżowej.

Męka Gasparda zaczęła się zaraz po wylądowaniu samolotu: mimo że z Seattle przylecieli punktualnie, tuż przed dziewiątą rano, ponad dwadzieścia minut trwało instalowanie rękawa, żeby można było opuścić pokład. Po wyjściu zaś czekały go: długi labirynt obskurnych korytarzy, prawie niemożliwe do odszyfrowania wskazówki na tablicach informacyjnych, potykanie się o nieczynne schody ruchome, przepełniony autobus, wreszcie ta ponura sala z rzędem kabin dla funkcjonariuszy sprawdzających paszporty. Witajcie we Francji!

Z ciężką torbą na ramieniu i zlany potem, Gaspard miał wrażenie, że od wyjścia z samolotu przeszedł już co najmniej trzy kilometry. Przygnębiony zastanawiał się, co w ogóle tu robi. Dlaczego rok w rok skazywał się na miesiąc samotnego pobytu w Paryżu, żeby napisać nową sztukę? Zaśmiał się nerwowo. Prosta odpowiedź brzmiała niczym slogan: technika tworzenia w środowisku nieprzyjaznym. Co roku o tej samej porze jego agentka Karen wynajmowała mu dom lub mieszkanie, gdzie mógł pracować w spokoju. Gaspard tak nienawidził Paryża, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia, że bez żalu siedział zamknięty przez całe dni i noce. W rezultacie sztuka pisała się sama, no... prawie sama. W każdym razie pod koniec stycznia była zawsze gotowa.

Kolejka posuwała się rozpaczliwie powoli. Czekanie w niej zakrawało na bohaterstwo. Podekscytowane dzieciaki wrzeszczały wniebogłosy, ścigając się między barierkami, jakaś starsza para podtrzymywała się nawzajem, żeby nie upaść, a niemowlę zwymiotowało na szyję matki zawartość wyssanej przed chwilą butelki.

– Cholerne Boże Narodzenie! – jęknął Gaspard, wdychając cuchnące powietrze.

Widząc niezadowolenie na twarzach towarzyszy niedoli, przypomniał sobie artykuł, który przeczytał w jakimś piśmie, zatytułowany *Syndrom Paryża*. Co roku wielu japońskich i chińskich turystów trafia do szpitala i często kończy się to ich przyspieszonym powrotem do domu, z powodu problemów psychicznych, które dopadają osoby po raz pierwszy odwiedzające stolicę Francji. Ledwo wysiadali z samolotu, pojawiały się dziwne objawy – bredzili, załamywali się nerwowo, mieli halucynacje, urojenia... Z czasem psychiatrzy znaleźli wyjaśnienie tych niepokojących symptomów. Zaburzenia miał wywoływać rozdźwięk między fantastyczną wizją Miasta Świateł a tym, czym Paryż był naprawdę. Turyści myśleli, że odkryją cudowny świat Amelii, ten z filmów i reklam, a lądowali w mieście trudnym i wrogim. Paryż z wyobraźni – miasto romantycznych kafejek, bukinistów znad Sekwany, Montmartre’u i Saint-Germain-des-Prés – rozbijał się z hukiem o rzeczywistość: brudne ulice, kieszonkowców, brak bezpieczeństwa, zanieczyszczone powietrze, brzydotę wielkich osiedli, odrapane wagony metra i stare autobusy.

Aby zacząć myśleć o czymś innym, Gaspard wyjął z kieszeni kilka złożonych na czworo kartek. Był to opis i zdjęcia złotej klatki, którą agentka wynajęła mu w szóstej dzielnicy. Chodziło o dawną pracownię malarza Seana Lorenza. Kuszące ujęcia przedstawiały przestrzeń otwartą, jasną, odpowiednią do odpoczynku, doskonałą na maraton pisarski, który go czekał. Zwykle nie ufał fotografiom, ale Karen oglądała to miejsce i zapewniła go, że mu się spodoba.

– A nawet więcej! – dodała tajemniczo.

Oby już się tam znaleźć!

Czekał jeszcze ponad kwadrans, zanim funkcjonariusz kontroli granicznej łaskawie rzucił okiem na jego paszport. Nieprzystępny, obojętny, nie powiedział ani „Dzień dobry”, ani „Dziękuję” i

dokumenty również zwrócił mu w milczeniu, mimo że Gaspard życzył mu grzecznie „Miłego dnia!”.

Kolejna zagadkowa informacja na tablicach. Gaspard ruszył w złym kierunku i musiał zawrócić. Kaskada schodów ruchomych. Mnóstwo automatycznych drzwi, otwierających się zawsze o sekundę za późno. Na ruchomym chodniku przyspieszył. Na szczęście nie był tak głupi, żeby nadać swoją torbę jako bagaż, niewiele więc już dzieliło go od opuszczenia tego piekła. Jeszcze tylko przepchać się przez tłum, z niewiadomych przyczyn blokujący wyjście z hali przylotów. Wreszcie przebił się przez masę ludzką, potrącając całującą się parę i przeskakując przez podróżnych śpiących na podłodze. Widoczne w pewnej odległości drzwi z napisem „Wyjście – Taksówki” oznaczały koniec tej drogi przez mękę. Kilka ostatnich metrów i będzie wolny! Wsiądzie do samochodu, założy słuchawki i ucieknie w świat muzyki – Brad Mehldau na fortepianie i Larry Grenadier na basie. Po południu siądzie do pisania i...

Ulewa ostudziła jego zapał. Strugi deszczu uderzyły o asfalt. Smutne, ołowiane niebo co jakiś czas przecinały błyskawice. Żadnej taksówki na horyzoncie. Zamiast nich autokary policyjne i zdeorientowani pasażerowie.

– Co się dzieje? – spytał tragarza, który ze stoickim spokojem palił papierosa.

– Co, nie wie pan? Strajk!

2

W tej samej chwili na Gare du Nord Madeline Greene wysiadała z londyńskiego eurostaru, który dojechał na miejsce o dziewiątej czterdzieści siedem.

Pierwsze jej kroki na francuskiej ziemi były niepewne, czuła się tu zdecydowanie obco. Nogi miała ciężkie, krok chwiejny. Do zmęczenia dochodziły zawroty głowy, uporczywe mdłości i piekąca zgaga. Lekarz uprzedzał ją o skutkach ubocznych stymulacji hormonalnej, ale nie wyobrażała sobie, że Boże Narodzenie spędzi w takich mękach.

Walizka, którą ciągnęła, ważyła chyba tonę. Stukot kółek toczących się po betonowej nawierzchni huczał jej pod czaszką i rozsadzał głowę, wzmagając migrenę, z którą rano się obudziła.

Zatrzymała się na chwilę, żeby podsunąć suwak skórzanej kurtki podbitej kozuszką. Była spocona jak mysz, drżała jednak z zimna. Z trudem oddychała i przez moment obawiała się, że zemdleje, ale przy końcu peronu odzyskała część sił, jakby gorączkowa atmosfera dworca pobudziła jej organizm do działania.

Mimo złej sławy Gare du Nord zawsze ją fascynował. To, co inni brali za bałagan i brak bezpieczeństwa, dla niej było skoncentrowaną i zaraźliwą werwą. Raczej jarmark cudów, ul pełen życia, a nie slumsy. Tysiące ludzi biegało we wszystkich kierunkach, tysiące ludzkich losów krzyżowało się, rozsnuwając olbrzymią pajęczą sieć. Ciągły oszałamiający przypływ gigantycznych fal, które trzeba było umieć pokonywać, aby nie utonąć.

Dworzec przypominał jej scenę w teatrze, po której wszyscy – turyści, mieszkańcy przedmieść, biznesmeni, chuligani, policjanci, uliczni sprzedawcy, handlarze narkotyków czy pracownicy kafejek i okolicznych sklepów – poruszali się niczym tłumy aktorów. Obserwując ludzkie mrowie pod wielkim szklanym dachem, Madeline pomyślała o jednej z tych śnieżnych kul, które babcia przywoziła jej zawsze z podróży. Dworzec był taką ogromną kulą, brzęczącą jak ul, pękającą pod naporem tłumów, tyle że bez sztucznych płatków śniegu.

Na dziedzińcu uderzył ją silny podmuch wiatru. Pogoda była tu jeszcze gorsza niż w Londynie: z brudnego nieba lały się strugi deszczu i panowała pełna duchoty wilgoć. Tak jak uprzedzał Takumi, dziesiątki taksówek blokowały dojazd do dworca. Ani autobusy, ani samochody osobowe nie zabierały pasażerów, zostawiając wszystkich na pastwę losu. Grupa dziennikarzy z telewizji filmowała wciąż ten sam skecz odgrywany przed kamerą przez przekrzykujących się strajkujących i podróżnych – gazety i kanały informacyjne uwielbiały takie sceny.

Madeline przyspieszyła kroku, żeby wyminąć hałaśliwe zbiegowisko. Dlaczego nie wzięłam parasolki? – jęknęła w duchu, przechodząc przez ulicę w kierunku boulevard de Magenta. Ponieważ szła skrajem chodnika, ochlapał ją pierwszy z samochodów, który wjechał w kałużę. Przemoczona i wściekła ruszyła w dół rue Saint-Vincent-de-Paul, w stronę kościoła parafialnego. Tam za kierownicą furgonetki zaparkowanej w drugim rzędzie czekał na nią zawsze punktualny Takumi. Jego pstrokate auto ozdobione było wesołym napisem, który kontrastował z panującą dokoła szarością: „Cudowny ogród – Kwiaty – 3 bis rue Delambre – 75014 Paryż”. Madeline zamachała ręką na przywitanie i szybko wsiadła do samochodu.

– Ciao, Madeline, witaj w Paryżu! – Kwiaciarz uśmiechnął się, podając jej ręcznik.

– Cześć, stary! Strasznie się cieszę, że cię widzę!

Wycierając włosy, przyglądała się młodemu Azjacie. Takumi miał krótką fryzurę, sztruksową marynarkę i jedwabną chustkę na szyi. Na czubek okrągłej głowy wsadził flanelowy kaszkiet w kratkę w taki sposób, że widać było małe, odstające uszy, co upodabniało go do myszki. Nosił rzadkie wąsy, bardziej podobne do zarostu dorastającego chłopca niż do tych, które zdobiły twarz Thomasa Magnuma. W ogóle się nie postarzał od chwili, gdy Madeline opuściła

Paryż, zostawiając mu śliczną kwiaciarnię, gdzie zatrudniła go kilka lat wcześniej.

– Super, że po mnie wyjechałeś! Dzięki! – powiedziała, zapinając pas.

– Nie ma za co, nie dałabyś rady dojechać dziś sama z powodu tych cholernych strajków!

Takumi wrzucił pierwszy bieg i skręcił w rue d'Abbeville.

– Jak widzisz, nic się tu nie zmieniło od twojego wyjazdu... – Wskazał na grupę manifestantów. – Z każdym dniem jest coraz gorzej!

Wycieraczki starego renault z trudem odgarniały strumienie deszczu zalewające przednią szybę.

Mimo kolejnego ataku mdłości Madeline zmusiła się do kontynuowania rozmowy.

– Więc jak tam ci idzie? Nie bierzesz urlopu na Boże Narodzenie?

– Biorę, ale pod koniec przyszłego tygodnia, nie wcześniej. Pojedziemy na święta do rodziny Marjolaine. Jej rodzice mają gorzelnię w Calvadosie w Normandii.

– Jeśli wciąż masz tak słabą głowę, to zapowiada się nieźle!

Twarz Takumiego stała się purpurowa. Przeczulony jak dawniej ten Takumi! Uśmiechnęła się pod nosem, obserwując przez okno rozmywający się miejski pejzaż. Furgonetka dotarła na boulevard Haussmann, a pół kilometra dalej skręciła w rue Tronchet. Mimo ulewy, mimo strajku Madeline była zadowolona, że tu przyjechała.

Lubiła mieszkać na Manhattanie, ale nie umiała korzystać z tej magicznej energii tak wychwalanej przez niektórych jej przyjaciół. Prawdę mówiąc, Nowy Jork ją wykończył. Jej ukochanym miastem zawsze był Paryż, tu przyjeżdżała lizać rany. W Paryżu mieszkała przez cztery lata. Niekoniecznie te najpiękniejsze, ale przynajmniej te najważniejsze, podczas których starała się zorganizować od nowa swoje życie, odzyskać wiarę w siebie, odrodzić się.

Do 2009 roku pracowała w Anglii, w wydziale kryminalnym policji w Manchesterze. Tam jako głównej inspektor przypadło jej makabryczne śledztwo – sprawa Alice Dixon – które zniszczyło ją psychicznie i zmusiło do opuszczenia służby. Straciła wówczas wszystko: pracę, szacunek kolegów, pewność siebie. W Paryżu zaczęła sprzedawać kwiaty: wynajęła mały sklepik w dzielnicy Montparnasse, z dala od spraw kryminalnych, morderstw, zaginionych dzieci. To spokojniejsze życie załamało się, gdy przypadkowe spotkanie podsunęło jej zaskakujący trop pozwalający pociągnąć dalej śledztwo, które zrujnowało jej karierę. W końcu sprawa Alice Dixton zakończyła się szczęśliwie w Nowym Jorku. Okoliczności, w których Madeline odniosła ten sukces, pozwoliły jej wstąpić do służb administracji WITSEC-u, federalnego programu ochrony świadków. Zostawiła wówczas swoją małą kwiaciarnię Takumiemu i poleciała do Nowego Jorku. Rok później policja nowojorska zaproponowała jej stanowisko konsultantki w wydziale spraw niewyjaśnionych. Madeline miała za zadanie rzucić świeżym okiem na niektóre z umorzonych śledstw. Praca, która byłaby ekscytująca w serialu telewizyjnym lub w kryminale Harlana Cobena, w rzeczywistości okazała się arcynudną papierkową robotą. W ciągu czterech lat ani razu nie oddelegowano Madeline w teren, nie udało jej się też oficjalnie wznowić żadnej ze spraw. Wydział, w którym pracowała, nie miał funduszków i zderzał się z biurokracją tak wielką, że przy niej biurokracja francuska była niczym. Każda prośba o analizę DNA wymagała wypełnienia sterty formularzy, a żeby uzyskać zgodę na przesłuchanie dawnego świadka czy w ogóle dotarcie do pewnych dokumentów, trzeba było przedstawić szaloną liczbę zezwoleń. W rezultacie FBI, które strzegło najbardziej interesujących spraw kryminalnych, i tak wszystkie jej inicjatywy odrzucało.

Bez żalu więc porzuciła tę pracę i wróciła do Anglii. Miała nawet do siebie pretensje, że tak się zasiedziała w Stanach. Od czasu bowiem, kiedy Jonathan Lempereur, człowiek, którego pokochała i dla którego przeniosła się na Manhattan, wrócił do żony, nic już tak naprawdę nie trzymało jej w tym kraju.

– Wiosną będziemy mieli z Marjolaine dziecko – zwierzył się jej nagle Takumi.

Ta rewelacja wyrwała ją z zamyślenia.

– Och, to wspaniale! – wykrzyknęła, starając się, żeby te słowa zabrzmiały radośnie.

Ale jakoś jej nie wyszło. Takumi szybko zmienił temat.

– Dlaczego właściwie przyjechałaś do Paryża? – zapytał.

– Takie tam różne sprawy... – odparła wymijająco.

– Jeśli chciałabyś spędzić z nami święta, serdecznie zapraszam!

– To bardzo miłe z twojej strony, ale raczej nie. Nie miej mi tego za złe, po prostu potrzebuję побыć sama.

– Jak chcesz.

Znów zapadła cisza, tym razem ciężka. Madeline nie próbowała jej przerwać. Wyglądała przez okno, szukając znajomych miejsc, starając przypomnieć sobie okres, kiedy życie w Paryżu było jej codziennością. Place de la Madeleine skierował jej myśli ku zorganizowanej w pinakotece wystawie, poświęconej Dufy’emu. Rue Royale skojarzyła się z bistro, gdzie podawano fenomenalną cielęcinę w sobie śmietanowym. Z kolei na moście Aleksandra III pomyślała o swoim wypadku motocyklowym, do którego doszło tam pewnego deszczowego dnia...

– Masz jakieś plany zawodowe? – spytał Takumi.

– Oczywiście – skłamała.

– Widziałaś się ostatnio z Jonathanem?

Nie twój zasrany interes! – zirytowała się w myślach.

– Koniec przesłuchania? Przypominam ci, że to ja jestem policjantką!

– No właśnie już nią nie jesteś, jeśli dobrze wszystko zrozumiałem...

Madeline westchnęła. Takumi naprawdę zaczynał działać jej na nerwy.

– Dobra, będę szczerą! – oświadczyła. – Ani jednego pytania więcej! Byłeś u mnie praktykantem, odsprzedalam ci swój biznes, zgoda, ale to nie znaczy, że możesz wsadzać nos w nie swoje sprawy!

Gdy przejeżdżali przez esplanade des Invalides, Takumi spoglądał na Madeline spod oka. Nic się nie zmieniła. Zawsze była szczerą aż do bólu, zawsze w tej samej skórzanej kurtce... i te jasne włosy obcięte równo nad karkiem, trochę oldskulowo...

Podenerwowana Madeline opuściła szybę i zapaliła papierosa.

– Co, wciąż jeszcze palisz? – oburzył się Takumi. – To bardzo nierozsądne!

– Zamknij się! – rozkazała, prowokacyjnie dmuchając mu dymem prosto w twarz.

– Nie! Nie w moim samochodzie! Nie chcę, żeby tu potem śmierdziało szlugami!

Madeline, korzystając z faktu, że furgonetka zatrzymała się na czerwonym świetle, chwyciła walizkę i otworzyła drzwi samochodu.

– Co ty wyrabiasz?! – wrzasnął Takumi.

– Jestem już za stara, żeby wysłuchiwać tanich morałów. Dojdę do domu pieszo.

– Nie, zaczekaj...

Ale trzasnęła drzwiami i odeszła szybkim krokiem po chodniku rue de Grenelle.

Wciąż lało.

– Strajk? Co za strajk?! – warknął Gaspard.

Tragarz wzruszył ramionami i machnął ręką.

– No wie pan, jak zwykle...

Gaspard osłonił czoło dłonią, żeby chronić twarz przed strugami lejącego deszczu. Oczywiście nie miał parasola.

– I co, nie ma taksówek?

– Nie ma. Może pan spróbować RER B, ale kursuje co trzeci pociąg.

Świetny pomysł, lepiej umrzeć!

– A autobus?

– Nie wiem... – Tragarz skrzywił się, wypalając końcówkę papierosa.

Wściekły Gaspard wrócił do terminalu. W kiosku z gazetami przejrzał „Le Parisien”. Główny artykuł nosił wymowny tytuł: *Wielka blokada*. Taksówkarze, kolejarze, pracownicy metra, kontrolerzy ruchu lotniczego, stewardesy i stewardzi, kierowcy ciężarówek, dokerzy, listonosze i śmieciarze – wszyscy zagrozili rządowi, że sparaliżują kraj, jeśli wzbudzające tyle kontrowersji ustawy nie zostaną wycofane. W artykule dodano, że można się spodziewać następnych strajków i że jeśli rafinerie zostaną zablokowane, niewykluczone, że w całym kraju za kilka dni zabraknie benzyny. Jakby tych nieszczęść było mało, najpierw na początku miesiąca wyjątkowo długo utrzymywał się duszący smog, teraz zaś Sekwana, osiągnąwszy najwyższy w historii poziom, wylała w okolicach Paryża, co bardzo skomplikowało ruch samochodowy.

Gaspard zamknął oczy. Wciąż to samo, za każdym razem, gdy tylko wracam do tego cholernego kraju... Koszmar trwał, ale irytacja Gasparda powoli ustępowała miejsca obojętności.

Co tu zrobić? Gdyby miał komórkę, zadzwoniłby do Karen. Nigdy jednak nie chciał kupić telefonu. Tak jak nie miał komputera, tabletu, adresu mailowego i nie zaglądał do internetu.

Trochę naiwnie rozejrzał się po lotnisku w poszukiwaniu budki telefonicznej. Wyglądało na to, że wszystkie zniknęły.

Autobus był jego ostatnią nadzieją. Wszedł i bezskutecznie zaczął szukać jakichś informacji. Dobry kwadrans zajęło mu zrozumienie subtelnych różnic między trasami obsługiwanymi przez autokary Air France. Następnie, rozzłoszczony, przyglądał się dwóm odjeżdżającym busom, tak zatłoczonym, że nie dał rady do nich wsiąść.

Kolejne pół godziny czekania w rzędistym deszczu. W końcu udało mu się dostać do środka jednego z autokarów. Oczywiście nie miał co marzyć o miejscu siedzącym, ale przynajmniej jechał w dobrym kierunku: była to linia z przystankiem przy Gare Montparnasse.

Ściśnięci jak sardynki i ociekający wodą pasażerowie szybko pogodzili się ze swoim losem. Gaspard, przyciskając do piersi torbę podróżną, przypomniał sobie, że Dostojewski definiował człowieka jako istotę, która przywyknie do wszystkiego. Do tego, że depta się jej po stopach, że się ją potrąca i szarpie, że kicha się jej prosto w twarz, że musi stać między spoconymi nieznajomymi w duchocie i dzielić z innymi pasażerami metalowe poręcze pełne złośliwych mikrobów...

Gaspard znów miał ochotę jak najszybciej wyjechać z Francji, ale powstrzymał się, pocieszając się, że czeka go tylko miesiąc tej męki. Jeśli skończy sztukę w terminie, już za niecałe pięć tygodni znajdzie się w Grecji, na wyspie Sifnos, gdzie trzyma żaglówkę. Spędzi tam przełom zimy i wiosny. Cóż to za cudowna perspektywa! Cztery miesiące żeglowania po Cykladach, cztery miesiące romantycznego obcowania z żywiołami, niezapomniane wrażenia, wspaniałe kolory: oślepiająca biel ścian pociągniętych wapnem, odbijających promienie słoneczne, kobaltowy błękit nieba i głęboki turkus Morza Egejskiego.

W Grecji Gaspard żył w panteistycznej symbiozie z pejzażem, roślinnością i unoszącymi się wszędzie zapachami. Upojony morskim powietrzem, spacerował po chaszczach i zaroślach, przechadzał się wzdłuż murów z wykruszonego kamienia i delektował się wonią tymianku, szaławii, oliwy oraz grillowanej ośmiornicy. Szczęście to trwało do połowy czerwca, bo gdy ze statków zaczęli wysypywać się turyści, uciekał do Ameryki, do swojej chaty w Montanie.

Tam żył z kolei w zupełnie inny sposób: jak traper otoczony nieujarzmioną dziką przyrodą. Dni spędzał na łowieniu pstrągów, włóczeniu się po brzozowych zagajnikach i wokół jezior, maszerowaniu wzdłuż rzek i strumieni. Było to życie samotne, ale bogate we wrażenia, z dala od brudnych miast i ich anemicznych mieszkańców.

Autokar włókł się metr za metrem autostradą A3. Przez zaparowane szyby Gaspard dostrzegał niekiedy fragmenty drogowskazów prowadzących do miejscowości na północno-wschodnich przedmieściach Paryża: Aulnay-sous-Bois, Drancy, Livry-Gargan, Bobigny, Bondy...

Bardzo potrzebował tych samotnych pobytów na łonie natury. Musiał się oczyścić, zmyć z siebie truciznę cywilizacji. Od dawna prowadził wojnę z nerwowym chaosem świata dążącego do samozagłady. Świata, który pękał w szwach i którego Gaspard już nie rozumiał. Jak prawdziwy mizantrop czuł silniejszą więź z niedźwiedziami, ptakami drapieżnymi i węzami niż z tak zwanym bliźnim. Był przy tym dumny, że potrafił się odciąć od znienawidzonego społeczeństwa, że udawało mu się spędzać większość czasu poza nim i poza jego prawami. Od dwudziestu pięciu lat nie włączył telewizora, nie wiedział nic o internecie i jeździł dodge'em z końca lat siedemdziesiątych.

Jego pustelnicze życie cechował ascetyzm, ale nie radykalny. Gdy miał powód, odstępował od przyjętych zasad. Od czasu do czasu opuszczał ulubione góry lub grecką kryjówkę i wsiadał do samolotu, by dotrzeć do Juan-les-Pins na koncert Keitha Jarretta, do Rotterdamu na wystawę Bruegla lub do Werony na *Toscę* wystawianą w słynnym amfiteatrze. No i jeszcze trzeba do tego dodać miesiąc pisania w Paryżu. Sztuka dojrzewała w jego myślach przez cały rok, a potem siadał przy biurku i spędzał przy nim szesnaście godzin dziennie. Za każdym razem wydawało mu się, że już nie ma pomysłów, że brak mu inspiracji czy ochoty, tajemniczy proces sam się jednak rozpoczynał. Słowa, sceny, dialogi i odpowiedzi wypływały z jego głowy jak ze źródła i układały się na kolejnych stronach w sensowną całość. Pióro zapisywało myśli w sposób zwięzły i pozbawiony patosu.

Sztuki Gasparda przetłumaczono na prawie dwadzieścia języków i grane były na całym świecie. Tylko w poprzednim roku w Europie i Stanach wystawiono około piętnastu spektakli. Jedną z jego ostatnich sztuk, *Ghost Town*, grana na deskach Schaubühne, kultowego berlińskiego teatru, została nominowana do Nagrody Tony. Twórczość Gasparda podobała się głównie prasie opiniotwórczej, która trochę go przeceniała.

On sam nigdy nie oglądał przedstawień na podstawie swoich sztuk oraz nie udzielał wywiadów. Z początku Karen niepokoiła się tą decyzją o niepokazywaniu się w mediach, ale po pewnym czasie umiała już to wykorzystać i stworzyła „tajemnicę Gasparda Coutances’a”. Koniec końców, im mniej się angażował publicznie, tym bardziej media wychwalały go pod niebiosa. Porównywano go do Kundery, Pintera, Schopenhauera czy Kierkegaarda. Gaspardowi wcale to nie schlebiało, ponieważ był przekonany, że jego sukces jest wynikiem nieporozumienia.

Minąwszy Bagnolet, autokar utknął na obwodnicy, po czym zjechał quai de Bercy do Gare de Lyon. Tam miał bardzo długi postój – wysiadała ponad połowa pasażerów – następnie zaś ruszył w kierunku zachodnim.

Sztuki teatralne Gasparda ukazywały absurdalną i tragiczną stronę życia, w tym samotność jako nieodłączny element ludzkiej egzystencji. Przebijała przez nie niechęć autora do szaleństwa współczesnych czasów, nie było tam śladu złudzeń, optymizmu, dobroci, nie kończyły się happy endem. Chociaż pełne desperacji i okrucieństwa, były jednak przesycone humorem. Oczywiście nie w stylu *Koko* Giraulta, *Klatki szaleńców* Molinara czy *Au théâtre ce soir*, ale były to przedstawienia żywe i dynamiczne. Karen mówiła, że wywołują w widzu poczucie swobody, a w krytyku wrażenie, że jest inteligentny. Może to wyjaśniało uwielbienie publiczności i fakt, że najpopularniejsi aktorzy bili się, by móc wypowiadać na scenie sarkastyczne teksty autorstwa Gasparda.

Przejechali na drugi brzeg Sekwany. Boulevard Arago. Smutne i skromne dekoracje bożonarodzeniowe przypomniały Gaspardowi, jak nie znosił tego okresu w roku i tego, czym to święto się stało: wulgarnego biznesu. Potem utknęli w korku na place Denfert-Rochereau, tuż przed wejściem do katakumb. Wokół pomnika Lwa z Belfortu zebrała się grupka manifestantów, którzy wymachiwali flagami w barwach trzech związków zawodowych: CGT, FO i FSU¹. Kierowca opuścił szybę w oknie, żeby zamienić parę słów z policjantem, który regulował ruch. Nadstawiając ucha, Gaspard zrozumiał, że avenue du Maine jest zablokowana, podobnie jak wszystkie drogi dojazdowe do wieży Montparnasse.

Drzwi autokaru otworzyły się z sykiem charakterystycznym dla mechanizmu pneumatycznego.

– Koniec trasy, wszyscy wysiadają! – ogłosił rozbawiony kierowca, a przecież zostawiał ich na pastwę losu.

Na zewnątrz burza rozpełtała się na dobre.

4

Z powodu strajku i blokady zakładów utylizacyjnych Paryż zasypany był śmieciami. Przed restauracjami, bramami i sklepami leżały góry wypchanych plastikowych worków. Zdarzało się, że zniechęceni, zniesmaczeni i rozzłoszczeni turyści robili sobie ironiczne selfie przed przepelnionymi kontenerami.

Madeline w strumieniach deszczu szła rue de Grenelle, ciągnąc za sobą walizkę, która z każdym stumetrowym odcinkiem stawała się o kilogram cięższa. Madeline postanowiła, że się nie da. Aby dodać sobie odwagi, zaczęła obmyślać plan na najbliższe dni. Spacer po Wyspie św. Ludwika, musical w Châtelet, sztuka w Théâtre Édouard VII, wystawa Hergégo w Grand Palais, potem kino: *Manchester by the Sea* i kilka wieczorów w restauracji, samotnie... Bardzo potrzebny był jej taki pobyt. Przyjechała tu, aby odpocząć i pozbierać się psychicznie. Paryż miał dla niej magiczną moc.

Starła się nie myśleć o operacji, która czekała ją za kilka dni. Gdy minęła rue de Bourgogne, nagle przestało padać, a kiedy doszła do rue du Cherche-Midi, nieśmiało wychynęły zza chmur pierwsze promienie słońca. Madeline uśmiechnęła się. Zaczęła szukać na smartfonie maila od firmy, od której dostała ofertę wynajmu domu.

„Mieszkanie w Paryżu” – te słowa wpisała w wyszukiwarce internetowej miesiąc wcześniej, gdy zdecydowała się na przyjazd tutaj. Po kilkudziesięciu kliknięciach i półgodzinnym błędzeniu po sieci znalazła stronę agencji nieruchomości wyspecjalizowanej w

wynajmowaniu nietypowych domów i mieszkań. Dom był dla niej o wiele za drogi, ale tak jej się spodobał, że nie chciała już mieszkać nigdzie indziej. Obawiając się, że ktoś jej zwinie go sprzed nosa, natychmiast wyjęła kartę kredytową i potwierdziła rezerwację.

W wiadomości dotyczącej szczegółów wynajmu znajdował się dokładny adres oraz pełno kodów umożliwiających dostanie się do środka. Według wskazówek, dom stał przy allée Jeanne-Hébuterne. Była to ślepa uliczka odgradzona żelazną bramą, naprzeciwko restauracji Chez Dumonet. Madeline rozpoznała bramę po łuszczącej się farbie i ze wzrokiem wbitym w ekran komórki wystukała na domofonie cztery cyfry, które pozwoliły ją otworzyć.

Gdy brama się zamknęła, Madeline znalazła się w sanktuarium z innej epoki. Najpierw zauważyła wspaniałe rośliny – kapryfolium, bambusy, jaśmin i magnolie, krzaki pomarańczy meksykańskiej, pierisu japońskiego i budlei Dawida, które wprowadzały nastrój wiejskiej sielanki. Obcesowość miasta gdzieś zniknęła. W głębi zamkniętego podwórka odkryła grupę czterech jednopiętrowych domków, otoczonych warzywnikami, porośniętych bluszczem i passiflorą.

Jej dom stał jako ostatni w zaułku, zupełnie inny od pozostałych. Sześcian ze zbrojonego betonu, ozdobionego szachownicą z czerwonych i czarnych cegieł. Madeline wstukała kolejny kod, żeby otworzyć wielkie stalowe drzwi, nad którymi widniał napis z kutego żelaza: „Cursum Perficio”².

Kiedy tylko weszła do holu, wydarzyło się coś dziwnego: nagle poczuła się oczarowana, prawie tak, jakby się zakochała. Zachwyt, który trafił w samo serce. Skąd to uczucie, że jest u siebie? To wrażenie nieokreślonej harmonii? Czy to zasługa aranżacji wnętrza? Czy może miodowego światła wpadającego przez okna? Zestawienia z chaosem panującym na zewnątrz?

Madeline zawsze była wrażliwa na wygląd miejsc, w których się znajdowała. Bardzo długo jej praca polegała między innymi na rozszyfrowywaniu ich tajemnic, z tym że były to przeważnie miejsca zbrodni...

Postawiła walizkę w kącie i powoli przeszła się po wszystkich pokojach. Cursum Perficio było trzypoziomową pracownią malarską z częścią mieszkalną – całość z lat dwudziestych – doskonale odnowioną, otaczającą obrośnięte roślinnością patio.

Na parterze znajdowała się kuchnia, skąd można było przejść do jadalni i wielkiego pustego salonu. Schodkami z jasnego drewna schodziło się trochę niżej, do pomieszczenia na poziomie ogrodu, podzielonego na dwie sypialnie, których okna wychodziły na fontannę pokrytą pnączami. Pierwsze piętro było całkowicie zajęte przez ogromne atelier, jeszcze jedną sypialnię i łazienkę.

Madeline była zachwycona. Dłuższą chwilę stała w pracowni, pozostając pod wrażeniem wielkich, ponadczterometrowych okien wyciętych w dachu, przez które widać było niebo i wierzchołki drzew. W opisie agencyjnym przeczytała, że dom należał kiedyś do malarza Seana Lorenza. Rzeczywiście pracownia wyglądała tak, jakby artysta przed momentem z niej wyszedł – podłoga błyszczała od jaskrawych plam, wszędzie stały sztalugi i blejtramy w różnych rozmiarach, w szafkach zostawiono czyste płótna. Na stole obok słoików z farbami leżały pędzle i pędzelki oraz farby w aerozolu.

Trudno jej było opuścić atelier. Zanurzenie się w osobistym świecie malarza oszołomiło ją i wywołało dziwny niepokój. Wróciła do salonu i otworzyła szklane drzwi prowadzące na taras. Odurzył ją zniewalający zapach kwiatów rosnących na patio. Z uśmiechem zaczęła przyglądać się dwóm rudzikom, które wykreślały piruety przed karmnikiem przymocowanym do muru. Poczowała się jak na wsi,

Paryż przestał istnieć. Oto, co zrobi: weźmie kąpiel, a potem usadowi się na tarasie z filiżanką herbaty i dobrą książką.

W tym domu znów się uśmiechała. Miała rację, kierując się przeczuciem i przyjeżdżając tutaj. W Paryżu naprawdę wszystko może się zdarzyć.

5

Trzymając nad głową marynarkę, Gaspard przeskakiwał z chodnika na chodnik i przeklinał ulewę. Pasek od torby wbijał mu się w ramię. Z Denfert-Rochereau biegł bez przerwy aż do stacji metra Edgar Quinet. Na rue Delambre wreszcie znalazł się na znajomym terenie. Dwa lata wcześniej Karen wynajęła mu wielkie mieszkanie na rogu square Delambre. Dobrze pamiętał tę ulicę: mała szkoła, hotel Lenox, Jardin Extraordinaire z wystawą pełną kwiatów i restauracje, gdzie czasem jadał – Sushi Gozen i Bistrot du Dôme.

Gdy dotarł do boulevard du Montparnasse, deszcz ustał. Gaspard włożył marynarkę i przetaił szkła okularów. Dzikie, niezrozumiałe dźwięki wypełniały ulicę. Petardy, megafony, gwizdki, syreny alarmowe i hasła wrogie rządowi. Szeroka arteria pełna była manifestantów. Zwarty pochód czekał, żeby ruszyć rue de Rennes. Gaspard rozpoznał żółte fluorescencyjne kamizelki i czerwone bezrękawniki związkowców CGT, skupionych wokół wielkiego balonu i głośnika, przez który zagrzewano tłum gotowy do marszu protestacyjnego.

Gaspard wstrzymał oddech i wskoczył między ludzi trzymających flagi i transparenty. Oby jak najszybciej znaleźć się na boulevard Raspail! Poczul ulgę, gdy dotarł w spokojniejsze miejsce. Oparł się o latarnię, żeby odsapnąć. Cały spocony, wyciągnął z kieszeni

instrukcję, którą przysłała mu Karen, i jeszcze raz odczytał adres oraz wskazówki, jak dostać się do domu. Ruszył w drogę, kiedy nieśmiałe promienie słońca zaczęły odbijać się od mokrego chodnika.

Na rogu rue du Cherche-Midi poprawiła mu humor wystawa sklepu z winami Le Rouge et le Noir. Upewniwszy się, że w środku nie ma klientów, wszedł. Wiedział dokładnie, co chce kupić, skrócił więc do minimum rozmowę z właścicielem i dziesięć minut później maszerował już ze skrzynką pełną grand cru: Gevrey-Chambertin, Chambolle-Musigny, Saint-Estèphe, Margaux, Saint-Julien...

Alkohol...

Dostrzegłszy swoje odbicie w szybach mijanych wystaw, pomyślał o tej strasznej scenie z początku filmu *Zostawić Las Vegas*, kiedy bohater grany przez Nicolasa Cage'a wchodzi do sklepu monopolowego i wrzuca do wózka mnóstwo butelek alkoholu. To był początek jego samobójczego zejścia do piekieł...

Z pewnością Gasparda to jeszcze nie dotyczyło, ale alkohol był nieodłączną częścią jego dnia. Przeważnie pił sam, czasem jednak zdarzało mu się brać udział w pamiętnych pijackich ucztach w knajpach takich jak Columbia Falls, Whitefish czy Sifnos. Chlał wtedy na umór z prostytutkami, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu Bruegla, Schopenhauera, Milana Kundery czy Harolda Pintera.

Był to najskuteczniejszy środek na zaleczenie ran i spowodowanie, żeby życie stało się mniej tragiczne. Alkohol jako współnik pomagał wykrzesać nieco bez troski z bezbarwnej egzystencji. Raz przyjaciel, raz wróg, okazał się tarczą trzymającą emocje na odległość, zbroją chroniącą przed stresem, najlepszym lekarstwem na bezsenność. Hemingway mówił, że człowiek inteligentny musi się nieraz upić, żeby wytrzymać z głupcami. Otóż to. Alkohol nie rozwiązywał oczywiście problemów, ale służył jako doraźny środek pozwalający

znieść obecność nieprzebranych pokładów miernoty, która, według Gasparda, skaziła ludzkość.

Gaspard wiedział, że alkohol może w końcu zwyciężyć. Nawet potrafił to sobie wyobrazić: nadejdzie dzień, kiedy życie wyda mu się tak nieznośne, że nie będzie umiał stawić mu czoła na trzeźwo. Przez sekundę miał przed oczami scenę, jak jego zwłoki giną w przepaściach wypełnionych alkoholem. Szybko przegonił ten koszmar i wówczas spostrzegł, że dotarł do granatowej bramy.

Trzymając skrzynkę z winem pod pachą, wystukał cztery cyfry kodu, które strzegły wejścia do allée Jeanne-Hébuterne. Gdy tylko znalazł się w zaułku, poczuł, jak ogarnia go spokój. Przez dłuższą chwilę z niedowierzaniem patrzył na zadrzewiony pasaż. Miał wrażenie, że przeniósł się gdzieś na prowincję, w przeszłość, do jakiegoś innego, równoległego świata. Czas płynął tu wolniej – dwa koty leniwie wygrzewały się w słońcu, ptaki ćwierkały na gałęziach czereśni. Chaos ulicy wydawał się bardzo odległy i trudno było uwierzyć, że wszystko to dzieje się zaledwie kilkaset metrów od tej okropnej wieży Montparnasse.

Zrobił parę kroków po ścieżce z nieregularnych kostek brukowych. Nieopodal, trochę w ukryciu za krzewami, stały rzędem kamienne, tynkowane domki. Złotobrązowe fasady, widoczne za zardzewiałymi bramami, pozarastane były bluszczem i dzikim winem. Na samym końcu zaułka wznosiła się śmiała konstrukcja geometryczna. Równoległocian ze zbrojonego betonu, przecięty z jednej strony opalizującym pasem okien, z frontem w szachownicę z czarnych i czerwonych cegieł. Nad wejściem wisiał napis „Cursum Perficio”. Tak nazywał się ostatni dom Marilyn Monroe. Przy drzwiach znów kod. Gaspard przeczytał instrukcję Karen i stalowe drzwi uchyliły się z lekkim kliknięciem.

Ciekawy wnętrza, szybko minął hol i wszedł do salonu. Pokój nie wyglądał tak jak na zdjęciach – wyglądał znacznie lepiej. Dom został zmyślnie zaprojektowany wokół prostokątnego patio łączącego się z tarasem w kształcie litery L.

– Cholera! – zaklął cicho Gaspard zaskoczony elegancją wystroju.

Napięcie ostatnich godzin zniknęło. Znalazł się w innym wymiarze, wnętrze było przytulne i dodawało otuchy. Funkcjonalne, przyjazne, szlachetnie proste. Przez chwilę zastanawiał się nad źródłem tych krzepiących wrażeń, ale nie znał się zupełnie ani na architekturze, ani na harmonii odpowiednio dobranych proporcji – jego specjalnością były słowa.

Zwykle podchodził do wystroju wnętrza obojętnie. Wrażenie na nim robiły raczej pejzaże: ośnieżone szczyty odbijające się w tafli górskiego jeziora, błękitnawa biel lodowców czy upajający ogrom sosnowych lasów. Nie wierzył w te głupstwa typu feng shui i we wpływ umeblowania na przepływ energii w pomieszczeniu. Tutaj jednak musiał przyznać, że poczuł jakieś pozytywne fale, i miał pewność, że będzie mu się tu dobrze mieszkało i pracowało.

Uchylił wielkie szklane okno, wyszedł na taras i oparłszy się o balustradę, korzystał w pełni ze śpiewu ptaków i zniewalającej sielskiej atmosfery. Zerwał się wiatr, ale było ciepło i słońce ogrzewało mu twarz. Po raz pierwszy od dawna Gaspard się uśmiechnął. Aby uczcić przyjazd w to piękne miejsce, postanowił otworzyć butelkę Gevrey-Chambertin i nalać sobie kieliszek, który następnie uniesie powoli do ust i...

Jakiś hałas wyrwał go ze stanu euforii. Najwyraźniej ktoś tu był. Może sprzątaczką? Albo stróż? Gaspard wrócił do środka, żeby sprawdzić.

Wtedy zauważył obcą kobietę, która patrzyła na niego. Była naga, okrywał ją tylko ręcznik, który zasłaniał piersi i spadał na uda.

– Kim pani jest i co pani robi u mnie w domu? – spytał.
Kobieta spojrzała na niego wściekle.
– O to samo chciałam zapytać! – rzuciła.

2

Teoria dwudziestu jeden gramów

*Częściowo pociąga nas w artystach ich odmiennność,
nieakceptowanie konformizmu, ten palec wskazujący wymierzony w
twarz społeczeństwa.*

Jesse Kellerman

1

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo rozumiem, co mi pani zarzuca, panno Greene.

Bernard Benedick z czapą srebrzystobiałych włosów i wypiętym torsem sprawiał wrażenie, jakby strzegł wielkiego jednobarwnego płótna wywieszonego w głębi jego galerii przy rue du Faubourg Saint-Honoré. Ponieważ ostatnio trochę schudł, wręcz pływał w koszuli z kołnierzykiem à la Mao i kurtce leśnika w kolorze absyntowej zieleni. Wielkie okulary corbusierki zakrywały mu połowę twarzy, ale podkreślały okrągłe oczy i żywe, skrzące się spojrzenie.

– Ogłoszenie zamieszczone na stronie agencji nieruchomości było oszustwem – powtórzyła głośniejszym głosem Madeline. – Nigdzie nie napisano, że to ma być wynajem dla dwóch osób!

– Dom Seana Lorenza nie został wystawiony na wynajem dla dwóch osób! – zaprotestował właściciel galerii.

– Proszę zobaczyć!

Zdesperowana Madeline wręczyła mu dwie kartki: własny kontrakt i identyczny podpisany przez Gasparda Coutances'a, który pokazał jej tę umowę godzinę wcześniej, zaraz po tym, jak nadzieją się na niego, wychodząc z kąpeli.

Marszand rzucił okiem na obie kartki, najwyraźniej niczego nie rozumiejąc.

– Faktycznie, wygląda mi to na pomyłkę! – przyznał w końcu, obracając w dłoniach okulary. – To na pewno jakiś błąd komputera, ale tak naprawdę to ja się na tym nie za bardzo znam. To Nadia, jedna z naszych stażystek, zamieściła ogłoszenie na stronie agencji. Mógłbym spróbować porozumieć się z nią, ale dziś rano poleciała do Chicago na święta i...

– Ja już złożyłam reklamację, to jednak nie rozwiązuje mojego problemu – przerwała mu Madeline. – Mężczyzna, który obecnie przebywa w moim domu, przyjechał ze Stanów i nie ma najmniejszego zamiaru się wyprowadzić.

Właściciel galerii się zasępił.

– Nie powinienem nigdy wystawiać tego domu na wynajem! Nawet z za grobu cholerny Lorenz wciąż zatruwa mi życie! – zezłościł się. – Wie pani co? – Westchnął po chwili zirytowany. – Zwrócę pani pieniądze.

– Nie chcę żadnych pieniędzy. Chcę, zgodnie z umową, zamieszkać tam sama.

Madeline zaakcentowała ostatnie słowa, trzymając się irracjonalnego przekonania, że musi mieszkać w tym domu.

– W takim razie zwrócę pieniądze panu Coutances'owi. Chce pani, żebym do niego zadzwonił?

– Nie uwierzy pan, ale on nie ma telefonu.

– Zatem proszę mu przekazać moją propozycję.

– Widziałam go tylko przez pięć minut, nie wygląda mi jednak na ustępliwego.

– Pani nie inaczej! – odpalił Benedick, podając jej swoją wizytówkę.
– Proszę zadzwonić, gdy się państwo rozmówią. A dodatkowo, jeśli zechce pani w tym czasie obejrzeć galerię, napiszę do niego krótki list z przeprosinami i propozycją odszkodowania.

Madeline wsunęła wizytówkę do kieszeni dzinsów i odwróciła się, za nic nie dziękując. Szczerze wątpiła, żeby liścik od marszanda zrobił jakiegokolwiek wrażenie na tym beczelnym i upartym gburze.

Ponieważ w galerii w porze lunchu było właściwie pusto, Madeline zaczęła spokojnie przyglądać się obrazom. Specjalnością Benedicka były sztuka współczesna i street art. W pierwszej sali wisiały same wielkie płótna, wszystkie zatytułowane *Bez tytułu*. Były to jednobarwne powierzchnie, pokryte na płasko smutnymi kolorami, poszarpane gdzieś nożem do cięcia papieru i podziurawione gwoździami. W drugim pomieszczeniu natomiast wystawiono obrazy o jaskrawych, pełnych życia kolorach. Było to coś pomiędzy graffiti i kaligrafią azjatycką. Madeline oglądała je z zainteresowaniem, ale bez specjalnych emocji.

Ten rodzaj malarstwa nie pociągał jej. Prawdę mówiąc, sztuka współczesna do niej nie przemawiała. Tak jak wszyscy, czytała artykuły w prasie i oglądała reportaże o osiągnięciach gwiazd malarstwa – widziała diamentową czaszkę Damiena Hirsta i jego zwierzęta zastygłe w formalinie, a także homary Jeffa Koonsa w Wersalu, które wywoływały gorące spory wśród krytyków, znała też prowokacyjną twórczość Banksy’ego i wiele razy przechodziła obok gigantycznej nadmuchiwanej choinki przypominającej korek analny, ustawionej na place Vendôme przez Paula McCarthy’ego i tam wkrótce zniszczonej... Jak dotąd jednak Madeline nie znalazła klucza, który pozwoliłby jej wejść do tego świata. Sceptycznie nastawiona,

zajrzała do ostatniej sali, w której wisiały rozmaite dzieła. To już wielkie „niewiadomoco” – pomyślała, trochę wbrew sobie przystając przed serią nadmuchiwanych rzeźb w kształcie fallusów o ostrych kolorach, potem zaś przed postaciami z mangi w wersji porno, odlanymi z różowej żywicy. Były tam jeszcze dwa ogromne szkielety wygięte w pozycjach Kamasutry, monumentalne rzeźby z klocków Lego i posąg Chimery z białego marmuru, składający się z popiersia Kate Moss nasadzonego na korpus lwa. Dalej, w głębi pomieszczenia, pokazywano kolekcję broni – strzelb, garłaczy i rusznic zrobionych z materiałów z odzysku: z puszek po sardynkach, zepsutych żarówek, przyborów kuchennych z metalu lub drewna, połączonych drutami, skoczem i sznurkiem.

– Podoba się to pani?

Madeline aż podskoczyła. Oglądając dzieła w zamyśleniu, nie usłyszała kroków zbliżającego się Bernarda Benedicka.

– Nie znam się na tym, ale niespecjalnie mnie to rusza.

– A co panią rusza? – spytał rozbawiony właściciel galerii, wręczając jej kopertę, którą również wcisnęła do kieszeni spodni.

– Matisse, Brâncuși, Nicolas de Staël, Giacometti...

– Chętnie się z panią zgodzę, że to jest inny poziom geniuszu. – Uśmiechnął się, wskazując na las kolorowych fallusów w stanie erekcji. – Będzie się pani śmiała, ale to teraz najlepiej się sprzedaje!

Madeline sceptycznie wykrzywiła usta.

– Czy ma pan tutaj jakieś dzieła Seana Lorenza?

Do tej chwili jowialny Benedick nagle spowaźniał i jakby zubożniał.

– Niestety, nie. Lorenz malował mało. Jego obrazy bardzo trudno znaleźć i dziś są warte fortunę.

– Kiedy dokładnie zmarł?

– Rok temu. Miał zaledwie czterdzieści dziewięć lat.

– To całkiem młodo.

– Sean zawsze dużo chorował – wyjaśnił Benedick. – Od dłuższego czasu miał poważne problemy z sercem i przeszedł kilka operacji wszczepienia bajpasów.

– Czy współpracował wyłącznie z pańską galerią?

Benedick zrobił smutną minę.

– To w mojej galerii wystawiał po raz pierwszy, ale przede wszystkim byłem jego przyjacielem, nawet jeśli często się kłóciliśmy.

– A jakie jest jego malarstwo?

– Niepodobne do niczego, co znamy! – wykrzyknął Benedick. – Lorenz to Lorenz!

– Ale poza tym? – nie ustępowała Madeline.

– Sean był malarzem, którego trudno zaklasyfikować! – Benedick ożywił się jeszcze bardziej. – Nie należał do żadnej szkoły, nie naśladował nikogo. Jeśli porównać jego twórczość z filmem, to raczej miał coś w sobie ze Stanleya Kubricka: umiał tworzyć dzieła w bardzo różnych rejestrach.

Madeline potrząsnęła głową. Powinna już dawno stąd wyjść, wyjaśnić sprawę ze swoim niechcianym współlokatorem. Coś ją jednak powstrzymywało. Dom tajemniczego malarza zrobił na niej takie wrażenie, że chciała się dowiedzieć czegoś więcej o nim samym.

– To do pana dziś należy ten dom?

– Powiedzmy, że staram się go uchronić przed wierzycielami Seana. Jestem jego spadkobiercą i wykonawcą testamentu.

– Przed wierzycielami? Przecież mówił pan, że jego dzieła są horrendalnie drogie.

– Tak, ale miał za sobą bardzo kosztowny rozwód. I przez wiele lat niczego nowego nie namalował.

– Dlaczego?

– Z powodu choroby i problemów osobistych.

– Jakich problemów?
– Pani z policji? – zirytował się Benedick.
– No właśnie... – Madeline się uśmiechnęła.
– To znaczy? – zdziwił się Benedick.
– Przez wiele lat pracowałam w policji – wyjaśniła. – W wydziale kryminalnym w Manchesterze, a potem w Nowym Jorku.

– Nad czym pani pracowała?

Wzruszyła ramionami.

– Morderstwa, porwania...

Benedick zmrużył oczy, jakby nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl. Spojrzał na zegarek, po czym wskazał palcem włoską restaurację po drugiej stronie ulicy, widoczną przez szybę galerii. Czarna witryna i pozłacane lambrekiny – lokal wyglądał jak statek piracki.

– Lubi pani saltimbocę? – zapytał. – Za godzinę mam umówione spotkanie, ale jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś więcej o Seanie, zapraszam na lunch!

2

Lekki wietrzyk wprawiał w drzenie gałęzie starej lipy rosnącej pośrodku wewnętrznego dziedzińca. Gaspard Coutances siedział przy stoliku na tarasie i rozkoszował się kieliszkiem wina. Gevrey-Chambertin okazało się wspaniałe: równe i intensywne w smaku, a jednocześnie delikatne, lekko pachnące wiśnią i czarną porzeczką. Przyjemność degustacji zakłócana była jednak przez niepewność co do dalszego ciągu wynajmu domu. Cholera! – zaklął w myślach. Nie ma mowy, żeby ta dziewczyna mnie stąd wyrzuciła! Tutaj właśnie zamierzał napisać swoją sztukę. Nie chodziło już o zasadę, ale o

konieczność. Po raz pierwszy zakochał się w jakimś domu; nie mogą mu go odebrać, zwłaszcza że miał prawo tu być. Ale ta Madeline Greene wyglądała na upartą... Wciskała mu swoją komórkę, żeby zadzwonił do agentki. Karen, mimo że właściwie to nie była jej wina, zaczęła bardzo go przeproszać i po dziesięciu minutach ponownie się z nim skontaktowała, aby poinformować go, że zarezerwowała mu apartament w Bristolu, przynajmniej dopóki sprawa się nie wyjaśni. Gaspard odrzucił jednak tę propozycję i postawił ultimatum: ten dom, żaden inny. Albo Karen znajdzie wyjście z sytuacji, albo się definitywnie pożegnają. Przeważnie tego typu groźby zagrzewały agentkę do walki, ale tym razem obawiał się, że to nie wystarczy.

Kolejny łyk burgunda. Świergot ptaków, łagodne powietrze... zimowe słońce, które rozgrzewa serce. Gaspard aż się uśmiechnął na myśl o komizmie sytuacji: kobieta i mężczyzna z powodu pomyłki komputera wynajmują ten sam dom na Boże Narodzenie! Wyglądało to na niezły początek sztuki teatralnej. Nie takiej intelektualnej, cynicznej, jakie były jego specjalnością, ale naprawdę wesołej. Coś w stylu spektakli modnych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, pisanych przez Barilleta i Grédy'ego – tych, które tak lubił jego ojciec i dzięki którym Théâtre Antoine czy Bouffes-Parisiens osiągnęły szczyt popularności.

Jego ojciec...

Tak było zawsze. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Paryża, wspomnienia z dzieciństwa, żar, który uważał za wygasły, znów zamieniał się w płomienie. Aby uniknąć oparzeń, Gaspard szybko odepchnął tę myśl, zanim nastąpiła katastrofa. Z czasem nauczył się trzymać te refleksje na dystans. Chodziło o przetrwanie.

Dolał sobie wina i z kieliszkiem w dłoni wrócił do salonu. Najpierw zainteresowała go kolekcja longplayów: setki płyt jazzowych, starannie ułożonych na jasnych dębowych półkach. Włączył

gramofon i puścił płytę Paula Bleya, o którym nigdy nie słyszał. Na chwilę dał się ponieść krystalicznym dźwiękom fortepianu, przyglądając się jednocześnie oprawionym w ramki zdjęciom wiszącym na ścianie.

Nie były to żadne rysunki ani malarstwo, tylko zwykłe czarno-białe fotografie rodzinne. Mężczyzna, kobieta, mały chłopiec. Mężczyzną był Sean Lorenz – Gaspard poznał go, bo widział jego zdjęcie, zrobione przez angielską fotografkę, Jane Bown, w nekrologu zamieszczonym w „Le Monde” w grudniu poprzedniego roku. Teraz miał przed sobą wielkoformatowy oryginał: wysoki, postawny mężczyzna, wychudła, pociągła twarz, zagadkowe spojrzenie, ni to niespokojne, ni zdecydowane. Żona Lorenza występowała jedynie na dwóch fotografiach. W obydwu przypadkach pozowała tak jak Stephanie Seymour czy Christy Turlington na okładkach pism sprzed dwudziestu pięciu lat. Była to typowa piękność lat dziewięćdziesiątych: smukła, zmysłowa, promienna. Szczupła, ale nie chuda. O olśniewającej urodzie, ale nie wyniosła. Najwięcej jednak zgromadzono tam zdjęć Lorenza z synem. Malarz był może człowiekiem surowym, lecz kiedy stał obok syna – blondaska o uroczej buzi i wesołym spojrzeniu – zmieniał się nie do poznania, jakby radość życia bijąca od chłopca udzielała się i ojcu. Dwa ostatnie zdjęcia z tej rodzinnej wystawy, raczej pogodne, przedstawiały Lorenza malującego w towarzystwie pięcio- i sześciolatków, między którymi można było rozpoznać jego synka. Musiało to być w jakiejś szkole albo podczas kursu malarstwa przeznaczonego dla najmłodszych.

W bibliotece, pomiędzy eleganckimi tomami z prestiżowej serii Pléiade i limitowanymi edycjami Taschena czy Assouline’a, Gaspard znalazł monografię poświęconą twórczości Lorenza. Była to cegła prawie pięciusetstronicowa, luksusowo oprawiona, z pewnością

ważąca ponad trzy kilogramy. Gaspard odstawił kieliszek na niski stolik i usiadł na kanapie z zamiarem przejrzenia książki. Prawdę mówiąc, w ogóle nie znał dzieł Lorenza. Jeśli chodzi o malarstwo, zdecydowanie najbardziej cenił sobie szkołę flamandzką i złoty wiek Niderlandów: van Eycka, Boscha, Rubensa, Vermeera, Rembrandta... Przekartkował przedmowę, napisaną przez jakiegoś Bernarda Benedicka, który obiecywał dokładną analizę pracy Lorenza i dostęp do nieopublikowanych jeszcze archiwów. Od razu spodobał się Gaspardowi luźny i bezpośredni styl autora, opisującego przełomowe momenty w życiu artysty.

Sean Lorenz urodził się w połowie lat sześćdziesiątych w Nowym Jorku. Był synem opiekunki do dzieci, Eleny Lorenz, i lekarza z Upper West Side, który nigdy go nie uznał. Dzieciństwo i okres dorastania spędził z matką w Polo Grounds Towers, budynkach socjalnych na północ od Harlemu. Jego matka, mimo że klepali biedę, wypruwała sobie żyły, żeby posłać syna do prywatnej szkoły protestanckiej. Ale młody Sean okazał się niegodny tego poświęcenia: kilkakrotnie relegowany, zaczął zadawać się z miejscową chuliganerią. Jako zbuntowany nastolatek, między jedną a drugą drobną kradzieżą, zajął się malowaniem czy też raczej tagowaniem murów i ścian metra na Manhattanie z grupą grafficiarzy, którzy nazwali się Pirotechnikami.

Gaspard spojrział na zdjęcia z tamtych czasów przedrukowane w książce. Widać na nich było Seana w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat – wyglądał bardzo młodo, ale twarz miał już dojrzałą – ubranego w czarny za duży płaszcz, T-shirt zabazgrany farbą, czapkę z daszkiem i schodzone converse'y. Na większości zdjęć, uzbrojony w spraye, był w towarzystwie swoich „wspólników” – wątłego Latynosa o delikatnych rysach twarzy i grubej dziewczyny, trochę chłopczycy, zawsze z indiańską opaską na głowie. Byli to słynni Pirotechnicy, którzy wściekłymi napisami pokrywali wagony, ogrodzenia i

zdeprawowane mury. Niezbyt wyraźne i zamazane zdjęcia robiono w magazynach, na opuszczonych terenach pofabrycznych, w tunelach metra. Przypomniały one Gaspardowi o dzikim i brudnym Nowym Jorku, pełnym przemocy, ale w sumie inspirującym, takim, jaki pamiętał z czasów studenckich.

3

– Lata osiemdziesiąte to była wielka epoka graffiti w Nowym Jorku! – wyjaśnił Bernard Benedick, owijając makaron wokół widelca. – Smarkacze tacy jak Sean przywłaszczyli sobie miasto, obsmarowując farbami wszystko, co im wpadło w oko: metalowe żaluzje sklepowe, skrzynki na listy, kubły na śmieci i oczywiście wagony metra.

Madeline siedziała naprzeciwko marszanda i uważnie go słuchała, skubiąc sałatkę z kałamarnicy.

Benedick odłożył sztucce, wyjął z kieszeni wielkiego smartfona i zajął się szukaniem albumu ze zdjęciami poświęconego Lorenzowi.

– Proszę spojrzeć – powiedział, podsuwając telefon Madeline.

Zaczęła przeglądać zdjęcia uporządkowane według dat.

– Lorz siedemdziesiąt cztery, co to oznacza? – spytała, pokazując okrągły symbol, który widać było na wielu pracach Lorenza.

– To pseudonim Seana. Grafficiarze często łączą swoje nazwisko z numerem ulicy, przy której mieszkają.

– A te dwie inne osoby koło niego to kto?

– Kumple z jego dzielnicy, włączył się wtedy z nimi. Nazwali się Pirotechnikami. Ten mały Latynos podpisywał swoje graffiti jako NightShift, ale dość szybko zniknął. Z kolei dziewczyna podobna do buldożera to co innego. To bardzo zdolna, znana artystka, LadyBird. Jedna z nielicznych kobiet w świecie graffiti.

Przed oczami Madeline przesuwały się dziesiątki zdjęć zebranych przez Benedicka. Nowy Jork lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przypominał jej trochę miasto, które знаła – miasto dżunglę, wrogie, harde, opanowane przez gangi, pełne ludzi zniszczonych przez crack. Przeciwwagą dla tej egzystencjalnej nędzy były kolorowe graffiti wybuchające niczym fajerwerki. Większość prac Lorenza z tamtego okresu to wielkie, kolorowe litery, okrągłe jak balony z helem, zderzające się i płaczące w czystym *wildstyle*. Madeline pomyślała o murach na swoim osiedlu w Manchesterze, gdzie dorastała. Ten labirynt liter, chaotycznie połączone strzały i wykrzykniki wywoływały w niej sprzeczne emocje. Nienawidziła anarchii i przekraczania przyjętych granic, musiała jednak przyznać, że żywe obrazy pomagały zwalczać smutek i szarość betonowego osiedla.

– A więc – ciągnął Benedick – na samym początku lat dziewięćdziesiątych Sean Lorenz jest niegroźnym chuliganem, który łązi wszędzie ze swoją bandą i otumania się heroiną. Poza tym jest to grafficiarz raczej zdolny, mający duże umiejętności techniczne i robiący rzeczy interesujące...

– Ale nic wyjątkowego... – odgadła Madeline.

– Wszystko zmieni się latem dziewięćdziesiątego drugiego roku.

– Co takiego się wówczas stało?

– Tego lata na Grand Central Station Sean Lorenz poznaje przez przypadek młodą, osiemnastoletnią Francuzkę i zakochuje się w niej od razu. Dziewczyna nazywa się Pénélope Kurkowski. Jej matka jest Korsykanką, ojciec Polakiem. Pénélope pracuje w Nowym Jorku jako opiekunka do dzieci, ale jednocześnie biega po castingach, ponieważ chce zostać modelką.

Benedick przerwał i nalał sobie do szklanki wody gazowanej.

– Żeby zwrócić na siebie uwagę Pénélope, Sean zaczyna obmalowywać całe nowojorskie metro. Przez dwa miesiące stworzy niezliczoną liczbę obrazów portretujących jego dulcyneę.

Benedick wziął smartfona z rąk Madeline, żeby poszukać następnych zdjęć, cały czas jednak wyjaśniał:

– Lorenz nie był oczywiście pierwszym grafficiarzem, który wyznał miłość kobiecie za pomocą swoich prac. Cornbread i JonOne zrobili to już przed nim. Ale jego miłosne graffiti były specyficzne.

Znalazł to, czego szukał. Położył telefon na stole i popchnął w kierunku Madeline.

Zbliżyła twarz do ekranu i zamarła. Obrazy były zmysłową, namiętną odą do kobiecej urody. Pierwsze nadzwyczaj delikatne, prawie romantyczne, ale każdy następny coraz bardziej bezwstydnym. Pénélope została ukazana jako kobieta-liana, zwielokrotniona, tu powietrzna, tam podwodna, rozwijała się, można powiedzieć, z wagonu na wagon. Jej twarz, obsypana liśćmi, różami i liliami, kąpała się w szalonych puklach, które pływały, falowały, plątały się w eleganckich, ale i groźnych arabeskach.

4

Z książką rozłożoną na kolanach Gaspard Coutances nie mógł oderwać wzroku od zdjęć wagonów metra pomalowanych przez Seana Lorenza w lipcu i sierpniu 1992 roku. Te malowidła były zachwycające. Nigdy nie widział czegoś takiego. A może? Kobieta-kwiat Picassa, niektóre plakaty Alfonsa Muchy, te jednak były w wersji underground i nieprzyzwoicie erotyczne. Kim była ta dziewczyna, której ciało promieniało jak pokryte złotą łuską? Żoną Lorenza, oczywiście, wyczytał to z podpisu. Ta Pénélope, którą

zauważył już wcześniej, na czarno-białych zdjęciach rodzinnych. Postać dwuznaczna, raz przyjazna, raz groźna. O nieskończenie długich nogach, alabastrowej skórze i włosach koloru rdzy.

Gaspard, zafascynowany, przewracał strony albumu, odkrywając kolejne malowidła, coraz bardziej niepokojące swoim erotyzmem. Na paru włosy Pénélope przypominały gniazdo wijących się węży, ześlizgujących się na ramiona, na piersi, klejących się do bioder, pieszczących ją w najbardziej intymnych miejscach. Jej twarz w psychodelicznej aureoli lub obsypaną złotym deszczem wykrzywił paroksyzm rozkoszy. Ciało przemieniało się w dwa ciała, które wyginały się, wykręcały, całowały...

5

– Tym malarskim wybuchem Lorenz łamie wszelkie kody – tłumaczył dalej Benedick. – Wyzwała się ze sztywnych reguł graffiti, przechodzi w inny wymiar, kontynuuje tradycje takich malarzy jak Klimt czy Modigliani.

Madeline, oczarowana, jeszcze raz zaczęła oglądać jedne po drugich połyskujące obrazy pozostawione na ścianach wagonów metra.

– Te wszystkie dzieła przypadły?

Na twarz Benedicka wypłynął melancholijny uśmiech człowieka poddającego się biernie losowi.

– Tak, istniały tylko przez jedno lato. Cały sens street artu to jego efemeryczność. Piękno tej niezwykłej sztuki bierze się również stąd.

– Kto zrobił te zdjęcia?

– Słynna LadyBird. To ona dokumentowała działania Pirotechników.

– Czy dla Lorenza cała ta zabawa nie była zbyt niebezpieczna?

– Na początku lat dziewięćdziesiątych Nowy Jork rzeczywiście wszedł w okres „zero tolerancji” – zgodził się Benedick. – Siły porządkowe miały do dyspozycji cały odstraszający arsenał prawny, a zarząd transportu miejskiego wypowiedział wojnę wszystkim grafficiarzom. Sądy wydawały surowe wyroki. Ale to, że Sean narażał się na takie ryzyko, świadczyło tylko o sile jego uczucia do Pénélope.

– Jak to konkretnie wyglądało?

– Sean był sprytny. Opowiadał mi, że wkładał uniform, w którym mógł wślizgnąć się między strażników metra i dotrzeć do zajezdni, gdzie stały wagony.

Madeline wciąż się wpatrywała w ekran smartfona. Myślała o tej kobiecie, Pénélope. Co mogła poczuć, kiedy zobaczyła swój pełen życia portret spoglądający bezwstydnie z każdego zakątka Manhattanu? Była dumna, załamana, upokorzona?

– Czy Lorenz osiągnął swój cel? – spytała.

– Chce pani wiedzieć, czy Pénélope wylądowała w końcu w jego łóżku?

– Inaczej bym to ujęła, ale... tak.

Benedick gestem zamówił dwie kawy.

– Na początku Pénélope w ogóle nie zwracała na Seana uwagi – powiedział. – Ale trudno przez dłuższy czas ignorować faceta, który składa podobny hołd. Po kilku dniach uległa jego urokowi. Tamtego lata byli w sobie szaleńczo zakochani. A później, w październiku, Pénélope wróciła do Francji.

– Czyli był to zwykły romans wakacyjny?

Pokręcił głową.

– Myli się pani. Sean bardzo się zaangażował. Do tego stopnia, że w grudniu tego samego roku dołączył do Pénélope i we dwoje zamieszkali w Paryżu w małym dwupokojowym mieszkaniu przy rue

des Martyrs. Tam Sean w dalszym ciągu malował. Już nie na wagonach metra, ale na murach i płotach niezamieszkanymi kwartałów w okolicach place de Stalingrad i Seine-Saint-Denis.

Madeline spojrzała na zdjęcia przedstawiające graffiti z tego okresu. Tak jak poprzednie, i te eksplodowały jaskrawymi barwami. Było w nich życie przypominające murale z Ameryki Południowej.

– To właśnie wtedy, w dziewięćdziesiątym trzecim, po raz pierwszy spotkałem Seana – zwierzył się Benedick, patrząc gdzieś przed siebie.

– Malował w niedużej pracowni w Hôpital Éphémère.

– Hôpital Éphémère?

– Taki squat w osiemnastej dzielnicy, tam gdzie dawniej mieścił się szpital Bretonneau. Na początku lat dziewięćdziesiątych mogli tam pracować artyści. Malarze, rzeźbiarze, ale również grupy rockowe i w ogóle muzycy.

Twarz Benedicka rozjaśniła się na to wspomnienie.

– Nie jestem artystą, nie mam żadnych szczególnych uzdolnień, mam jednak wycucie. Czuję ludzi. Kiedy poznałem Seana, od razu wiedziałem, że jest wart sto razy więcej niż reszta grafficiarzy. Zapropnowałem mu wystawę u mnie w galerii. I powiedziałem mu coś, czego wówczas bardzo potrzebował.

– To znaczy?

– Poradziłem mu, żeby zostawił te graffiti i farby w sprayu i zaczął malować bezpośrednio na płótnie, olejami. Chwaliłem, że ma genialne wycucie formy, koloru, kompozycji, ruchu... Że ma możliwości, że może stać się drugim Pollockiem lub Kooningiem.

Gdy Benedick mówił o swoim protegowanym, drżał mu głos, a oczy wilgotniały. Madeline pomyślała o jednej ze swoich dawnych koleżanek, która długie lata po zerwaniu z ukochanym, porzucona przez niego bez żadnych skrępułów, nie mogła o nim mówić, bo natychmiast zbierało jej się na płacz.

Madeline wypięła ristretto jednym haustem i zapytała:

– Czy Lorenzowi Francja spodobała się od razu?

– Sean był kimś wyjątkowym. Urodzony samotnik, różnił się od innych grafficiarzy. Nienawidził hip-hopu, bardzo dużo czytał, a słuchał tylko jazzu i muzyki minimalistycznej. Oczywiście brakowało mu Nowego Jorku, ale kochał Pénélope do szaleństwa. Ich związek zawsze był burzliwy, ona wciąż go jednak inspirowała. Między dziewięćdziesiątym trzecim a dwa tysiące dziesiątym Sean namalował dwadzieścia jeden portretów swojej żony. Ta seria to jego arcydzieło. *Dwadzieścia jeden Penelop* pozostanie w historii sztuki wzorem deklaracji miłości, jaką mężczyzna może obdarzyć kobietę.

– Dlaczego dwadzieścia jeden? – zdziwiła się Madeline.

– Chodziło o teorię dwudziestu jeden gramów, wie pani, że niby tyle waży dusza...

– Czy szybko odniósł sukces?

– Skąd! Przez dziesięć lat nie sprzedał ani jednego płótna! A przecież pracował od rana do wieczora. Często wyrzucał to, co namalował, jeśli nie był zadowolony. Próbowałem przekonać do niego publiczność i marszandów, wytłumaczyć, na czym polega jego sztuka... Z początku nie szło mi najlepiej, bo jego malarstwo nie przypominało niczego znanego. Zajęło mi to dziesięć lat, ale w końcu mój upór się opłacił. W dwa tysiące drugim, trzecim przy każdej wystawie wszystko było wyprzedane już podczas wernisażu. A w dwa tysiące siódmym...

W roku 2007 obraz Seana Lorenza z 1998 roku, zatytułowany *Alphabet City*, został sprzedany za dwadzieścia pięć tysięcy euro na

aukcji zorganizowanej przez Artcurial. Aukcja ta stała się we Francji punktem zwrotnym w popularyzacji street artu i zapoczątkowała jego oficjalne uznanie. Z dnia na dzień Sean Lorenz został gwiazdą domów aukcyjnych. Jego kolorowe, typowe dla lat dziewięćdziesiątych obrazy sprzedawano na pniu po rekordowych cenach.

Lorenz sięgnął wówczas po inne środki wyrazu. Adrenalinę i pośpiech graffiti zastąpiła praca nad płótnami znacznie lepiej przemyślanymi, malowanymi długo, przez kilka miesięcy, a nawet lat. Malarz był wobec siebie coraz bardziej wymagający. Kiedy nie podobał mu się gotowy obraz, natychmiast go palił. W ten sposób w latach 1999–2013 Lorenz namalował ponad dwa tysiące obrazów, z których prawie wszystkie zniszczył. Jedynie około czterdziestu obrazów przetrwało tę ostrą krytykę. Między innymi *Sep1em1er*, ogromne płótno upamiętniające tragedię World Trade Center, kupione za ponad siedem milionów dolarów przez pewnego kolekcjonera, który podarował je nowojorskiemu Muzeum 11 Września.

Gaspard oderwał wzrok od tekstu i przewrócił kilka stron, żeby obejrzeć reprodukcje obrazów z tego czasu. Lorenz umiał zmieniać style. Tagi i liternictwo zniknęły z jego malarstwa, pojawiły się za to całe bloki kolorów, jednobarwne pola z reliefami robionymi szpachlą albo nożem, sytuujące się gdzieś między abstrakcją a przedstawieniami figuratywnymi. Porzucił żywe kolory, idąc w kierunku pastelów i barw jesiennych: kolorów piasku, ochry, brązów, bladego różu – rezultat był więc znacznie subtelniejszy. Gaspardowi wyjątkowo przypadły do gustu obrazy namalowane w tym okresie. Barwy natury, minerałów, mieniące się perłowo, przypominały mu skały, ziemię, piasek, szkło czy ślady rdzawej krwi na całunie.

Obrazy Lorenza żyły. Były jak film, bardzo emocjonalne, chwytaly za serce, męciły w głowie, hipnotyzowały, wywoływały

przeciwstawne uczucia: nostalgię i radość, spokój i złość.

Jako ostatnie zamieszczono w albumie monochromatyczne obrazy z 2010 roku. Tu dla malarza najważniejsza stała się materia. Grube warstwy farby, relief, który odbijał światło. Ale wszystko równie wspaniałe.

Zamykając książkę, Gaspard zaczął się zastanawiać, jak to się stało, że do tej pory nie znał tego artysty.

7

– A jaki miał stosunek do pieniędzy? – zapytała Madeline.

Benedick zamoczył w kawie kostkę cukru, jakby to był alkohol.

– Sean uważał pieniądze za wskaźnik wolności – odparł, połykając cukier ze smakiem. – Pénélope natomiast zupełnie inaczej, jej nigdy nie było dość. Kiedy obrazy Seana osiągnęły najwyższe ceny, zaczęła wiercić mężowi dziurę w brzuchu, aż w końcu przekonała go, aby niektóre płótna przekazał Fabianowi Zakarianowi, właścicielowi pewnej nowojorskiej galerii. Potem doradziła mu, żeby bez swojego udziału sprzedał na aukcji dwadzieścia nowych obrazów. To przyniosło Seanowi miliony, ale zepsuło nasze stosunki.

– Jak to się dzieje, że nagle jakiś obraz jest wart kilka milionów dolarów? – chciała wiedzieć Madeline.

Benedick westchnął.

– To dobre pytanie, na które bardzo trudno odpowiedzieć, bo rynek sztuki nie rządzi się prawami logiki. Cena dzieła zależy od skomplikowanych strategii wielu ludzi: samych artystów i ich galerii, oczywiście, ale również od kolekcjonerów, krytyków, kuratorów...

– Wyobrażam sobie, że zdrada Seana musiała pana zboleć...

Benedick skrzywił się, podszedł jednak do zagadnienia filozoficznie.

– Takie jest życie. Artyści są jak dzieci, często niewdzięczni.

Zamilkł na chwilę.

– Środowisko galerii to ocean pełen rekinów, rozumie pani – dodał.

– Zwłaszcza gdy tak jak ja nie należy się od pokoleń do grupy wybrańców.

– Ale mimo wszystko utrzymywaliście z Seanem kontakt?

– Oczywiście! Zналиśmy się od tak dawna... Od dwudziestu lat kłóciliśmy się i godziliśmy. Nigdy nie przestaliśmy ze sobą rozmawiać, ani po tej historii z Zakarianem, ani po tragedii, którą przeżył.

– Jakiej tragedii?

Benedick odetchnął głośno.

– Sean i Pénélope zawsze chcieli mieć dziecko, ale długo się nie udawało. W ciągu dziesięciu lat Pénélope miała kilka poronień. Myślałem nawet, że już zrezygnowali, kiedy nagle zdarzył się cud: w październiku dwa tysiące jedenastego roku urodził im się syn, Julian. I wtedy zaczęły się kłopoty.

– Kłopoty?

– Po narodzinach dziecka Sean był najszczęśliwszym z ludzi. Wciąż powtarzał, że kontakt z synem ogromnie go wzbogaca. Że dzięki Julianowi patrzy na świat innymi oczami. Że odkrył na nowo pewne wartości, że wrócił do prostoty. Wie pani, te wszystkie głupoty, które wygadują niektórzy mężczyźni, gdy urodzi im się dziecko, a oni nie są już młodzikami.

Madeline milczała.

– Problem polegał na tym, że jego kariera artysty znalazła się w martwym punkcie – ciągnął Benedick. – Mówił, że wyładowały mu się baterie, że jest zmęczony hipokryzją panującą w świecie sztuki. Przez trzy lata zajmował się wyłącznie synem. Czy może pani to sobie

wyobrazić? Sean Lorenz podaje dzieciakowi butelkę, jeździ z wózkiem na spacery albo wygłupia się dla maluchów w przedszkolu. Ze sztuką miał do czynienia tylko wtedy, kiedy spacerował z małym Julianem po Paryżu i tu czy tam zrobił od niechcienia jakąś mozaikę, żeby rozbawić chłopca. To wszystko nie miało sensu!

– Jeśli zabrakło mu natchnienia... – Madeline chciała zaprotestować.

– Natchnienia? Co za głupie gadanie! – zirytował się Benedick. – Przecież widziała pani zdjęcia jego prac! Sean był geniuszem. Geniusze nie potrzebują natchnienia, żeby pracować. Po prostu nie przestaje się malować, gdy jest się Seanem Lorenzem. Nie ma się do tego prawa!

– A jednak się ma! – zauważyła Madeline.

Rzucił jej groźne spojrzenie.

– Więc Lorenz nie wziął już pędzla do rąk aż do śmierci? – spytała mimo to.

Bernard Benedick pokręcił głową, zdjął grube okulary z nosa i przetarł oczy. Oddech miał przyspieszony, jakby przed chwilą wbiegł na czwarte piętro.

– Dwa lata temu, w grudniu dwa tysiące czternastego roku, Julian zginął w tragicznych okolicznościach. Po tym Sean nie tylko nie wrócił do pracy... Kompletnie się załamał.

– Jakie były te tragiczne okoliczności?

Benedick odwrócił wzrok, jakby szukał w oknie światła, po czym jego oczy stały się puste.

– Sean był zawsze pełen sprzeczności, silny i słaby zarazem – powiedział po chwili, nie odpowiadając na pytanie. – Po śmierci syna wpadł w sieci swoich starych demonów: narkotyki, alkohol, nadużywanie leków... Pomagałem mu, jak umiałem, ale myślę, że on nie chciał się ratować.

– A Pénélope?

– Ich małżeństwo już od dawna przechodziło poważny kryzys. Pénélope skorzystała z tej tragedii i zażądała rozwodu, po czym dość szybko ułożyła sobie życie na nowo. Sean zrobił też coś takiego, co w żadnym razie nie mogło uzdrowić ich stosunków.

Benedick przerwał, jakby chciał wymusić suspens. Madeline odniosła przykre wrażenie, że nią manipuluje, ale ciekawość zwyciężyła.

– Co takiego zrobił?

– W lutym dwa tysiące piętnastego udało mi się zrealizować projekt, nad którym pracowałem od dłuższego czasu: chciałem zorganizować Seanowi prestiżową wystawę skupioną wokół cyklu *Dwudziestu jeden Penelop*. Po raz pierwszy wszystkie portrety zebrane zostały w jednym miejscu. Znani kolekcjonerzy wypożyczyli nam swoje płótna. To było naprawdę wydarzenie bez precedensu. Tyle że w przeddzień otwarcia wystawy Sean w nocy włamał się do galerii i celowo zniszczył całą kolekcję za pomocą palnika acetylenowego.

Twarz Benedicka wykrzywiła się, jakby przeżywał tę scenę kolejny raz.

– Dlaczego się na to zdecydował?

– Rodzaj katharsis, tak myślę. Chciał symbolicznie zabić Pénélope, bo uważał, że jest winna śmierci Juliana. Ale cokolwiek nim kierowało, nigdy mu tego nie wybaczę. Nie miał prawa niszczyć tych obrazów! Po pierwsze, stanowiły już wtedy część światowego dorobku malarstwa. Po drugie, zrujnował mnie i moja galeria znalazła się nad przepaścią. Od dwóch lat ściga mnie kilka towarzystw ubezpieczeniowych i prowadzone jest śledztwo. Starłem się uchronić swoją reputację, ale w tym środowisku wszyscy wszystko o sobie wiedzą i moja wiarygodność została podważona...

– Nie do końca rozumiem – wtrąciła Madeline. – Kto był właścicielem tych *Dwudziestu jeden Penelop*?

– Większość płócien należała wciąż do Seana, Pénélope i do mnie. Trzy z nich były jednak własnością wielkich kolekcjonerów, Rosjanina, Chińczyka i Amerykanina. Aby powstrzymać ich od zgłoszenia sprawy, Sean obiecał całej trójce nowe obrazy; miało to być coś wyjątkowego, tak przynajmniej mówił. Ale oczywiście nie dotrzymywał kolejnych terminów.

– Nie mogło być inaczej, przecież przestał malować.

– Tak... Ja też już położyłem na tym krzyżyk, tym bardziej że w ostatnich miesiącach życia Sean nawet fizycznie nie był w stanie pracować.

Oczy Benedicka zaszły mgłą.

– Ostatni rok to była prawdziwa męka. Przeszedł dwie operacje na otwartym sercu i za każdym razem ledwo udało się go uratować. Rozmawiałem z nim przez telefon dzień przed jego śmiercią. Pojechał na kilka dni do Nowego Jorku na wizytę do pewnego kardiologa. Wtedy właśnie oznajmił mi, że znów zaczął malować i że skończył już trzy płótna. Powiedział, że obrazy są w Paryżu i że niedługo je zobaczę.

– Może kłamał.

– Sean Lorenz miał wszystkie wady świata, ale nigdy nie kłamał. Gdy umarł, szukałem tych obrazów wszędzie. W całym jego domu, na strychu, w piwnicy. Niczego jednak nie znalazłem.

– A nie jest pan wykonawcą jego testamentu i spadkobiercą?

– Tak, jestem, ale spadek po Seanie był żaden, Pénélope wyssała z niego wszystko. Został tylko dom przy rue du Cherche-Midi, który pani zna i którego hipoteka została poważnie obciążona, nic więcej.

– Zapisał coś panu osobiście?

Benedick się roześmiał.

– Można to tak nazwać – odparł, wyjmując z kieszeni niewielki przedmiot.

Było to reklamowe pudełko zapalek. Wręczył je Madeline.

– Le Grand Café? Co to jest?

– To taka restauracja na Montparnassie, gdzie Sean często zaglądał.

Madeline obróciła pudełeczko i z drugiej strony zobaczyła kilka słów zapisanych długopisem. Było to słynne zdanie z Apollinaire’a: „Najwyższy czas znów rozpalić gwiazdy”.

– Bez wątpienia to pismo Seana – zapewnił Benedick.

– Nie wie pan przypadkiem, do czego to aluzja?

– Niestety, nie. Myślałem z początku, że to jakaś tajna wiadomość, ale choć zastanawiałem się długo, nadal nic z tego nie rozumiem.

– Naprawdę zapisał panu to pudełko?

– To jedyna rzecz, którą Sean zostawił w swoim domu w sejfie.

Benedick położył na stoliku dwa banknoty, wstał, włożył marynarkę i obwiązał szyję szalikiem.

Madeline wciąż siedziała, wpatrzona w pudełko zapalek. Wydawało się, że myśli o historii opowiedzianej przez Benedicka. Minęła dłuższa chwila, zanim się podniosła.

– Dlaczego właściwie opowiedział mi pan o tym wszystkim? – spytała.

Zapiął guziki marynarki.

– Chcę oczywiście, żeby pomogła mi pani odnaleźć zaginione płótno – odpowiedział tak, jakby było to jasne od początku.

– Ale dlaczego właśnie ja?

– Jest pani policjantką, czyż nie? A poza tym już pani mówiłem: zawsze ufam swojemu instynktowi. Coś mi podpowiada, że jeśli te obrazy rzeczywiście istnieją, a jestem pewien, że tak, tylko pani może je odnaleźć.

3

Piękno strun

Gdyby można było wyrazić to słowami, nie byłoby powodu, żeby to malować.

Edward Hopper

1

Przy zjeździe z ronda Madeline przyspieszyła i skrzyżowanie z Longchamp przejechała już prawie na czerwonym świetle.

Po lunchu z Benedickiem wynajęła skuter w wypożyczalni przy avenue Franklin-Roosevelt. Nie ma mowy, żeby całe popołudnie traciła na kłótnie o pracownię z tym mrukliwym Amerykaninem. Zaparkowała niedaleko Champs Élysées i postanowiła zrobić sobie spacer między stoiskami targu bożonarodzeniowego. Jednak już po kwadransie chodzenia wzdłuż drewnianych stoisk, równo ustawionych po obu stronach „najpiękniejszej alei świata”, poczuła, że dopada ją chandra. Budki z frytkami, sprzedawcy gadżetów *made in China* czy wywołujące mdłości wonie kiełbasek i churros – wszystko to bardziej przypominało jarmarki na wsi niż białe święta Bożego Narodzenia, jakie pamiętała z bajek ze swojego dzieciństwa.

Przygnębiona zawróciła, najpierw w kierunku wielkiego domu towarowego przy merostwie Paryża, potem pod arkady i w stronę

parku na place des Vosges. Ale tu, podobnie jak na Champs Élysées, również nie znalazła tego, czego szukała – magii Bożego Narodzenia ze starych kolęd. Po raz pierwszy czuła się w Paryżu źle, nie na swoim miejscu.

Wróciła do vespy, zostawiając za sobą męczące, głośnie grupy turystów i ich kijki do selfie, którymi w każdej chwili mogli wydłubać komuś oko. Ruszyła przed siebie, bez określonego celu. Wciąż myślała o kolorowych, tańczących i wijących się arabeskach Lorenza. Zdała sobie sprawę, że tak naprawdę jedyne, czego chce, to kontynuować podróż w jego towarzystwie. Dać się ponieść falom światła, zagubić w niuansach kolorów, pozwolić się oślepić feerii barw... Bernard Benedick uprzedził ją, że w Paryżu tylko w jednym miejscu może trafić na obrazy Seana Lorenza. Spróbuję! – pomyślała Madeline i pojechała w kierunku Lasku Bulońskiego.

Ponieważ nie знаła okolicy, zaparkowała skuter na pierwszym wolnym miejscu, przed bramą z kutego żelaza prowadzącą do ogrodu aklimatyzacyjnego, i ruszyła pieszo wzdłuż avenue du Mahatma Gandhi. Słońce zdołało już pokonać szarzyznę dnia. Było przyjemnie. Gdzieś w wilgotnym powietrzu wisiał złoty pył. Wokół parku ani śladu związkowców czy wściekłych manifestantów. Wózki, niańki, krzyki dzieci, sprzedawcy pieczonych kasztanów... sielska atmosfera słonecznego popołudnia.

Nagle między ogołconymi z liści gałęziami dostrzegła ogromny szklany statek. Kryształiczne żagle fundacji Vuittona odcinały się od niebieskiego nieba. Każdy widział w tym budynku coś innego: jedni olbrzymią kryształową muszlę, inni dryfujący lodowiec, a jeszcze inni nowoczesny żaglowiec płynący pod perłową banderą.

Madeline kupiła bilet i weszła do środka. Wielki, jasny i przestronny hol otwierał się na zieleń znajdującą się na zewnątrz. W gigantycznym szklanym kokonie od razu poprawił się jej nastrój.

Przez chwilę spacerowała po atrium, rozkoszując się harmonią krzywizn i lekkością konstrukcji. Dziwne cienie rzucane przez szklany baldachim i wędrujące po podłodze ożywiały ją jak zastrzyk ciepłej słodyczy.

Wspięła się po schodach do mieniącego się labiryntu poprzetykanego źródłami światła, skąd przechodziło się do licznych galerii. Pokazywano w nich obiekty zarówno z wystawy czasowej, jak i stałej kolekcji. Na dwóch pierwszych poziomach można było podziwiać dzieła zebrane przez Szczukina: fantastyczne płótna Cézanne'a, Matisse'a, Gauguina, które rosyjski kolekcjoner, nie licząc się z opinią ówczesnych krytyków, odważnie gromadził przez ponad dwadzieścia lat.

Ostatnie piętro, podtrzymywane stalowymi sztabami i modrzewiowymi balami, ozdabiały dwa tarasy, z których roztaczał się piękny widok na La Défense, Lasek Buloński i wieżę Eiffla. Tam, w sali, gdzie wystawiono rzeźbę Giacomettiego, trzy abstrakcyjne obrazy Gerharda Richtera i dwa monochromatyczne Ellswortha Kelly'ego, znajdowały się dwa płótna Lorenza.

2

Wyciągnięty na fotelu z popękanej skóry, z nogami opartymi o podnózek i z zamkniętymi oczami Gaspard słuchał rozmowy z Seanem Lorenzem, nagranej na starej kasecie, którą znalazł pomiędzy winylami w bibliotece.

Był to długi wywiad przeprowadzony przez Jacques'a Chancela siedem lat wcześniej, podczas wystawy retrospektywnej twórczości Lorenza zorganizowanej w fundacji Maeghtów w Saint-Paul-de-Vence. Rozmowa okazała się pasjonująca, zwłaszcza że artysta – zazwyczaj

tajemniczy i małomówny – rzadko godził się na dyskusję o swoich obrazach. Odrzuciwszy prawie wszystkie komentarze dotyczące ewolucji jego prac, Lorenz uprzedził: „Moje malarstwo jest wynikiem danej chwili, nie niesie żadnego przesłania. Staram się uchwycić coś, co jednocześnie jest trwałe i nietrwałe”. W niektórych odpowiedziach dało się wyczuć zmęczenie, wątpliwości, wprost zaś mówił, że „być może jego kreatywność już się wyczerpała”.

Gaspard chłonał każde słowo wypowiedziane przez malarza. Nawet jeśli Lorenz niczego nie wyjaśniał, był przynajmniej szczery. Ton jego głosu, raz ciepły, wciągający, raz pełen niepokoju, odzwierciedlał dwoistość i dwuznaczność tej sztuki.

Nagle w spokój popołudnia wdarł się ciężki, agresywny dźwięk. Gaspard zerwał się z fotela i wyszedł na taras. Ta „muzyka” zalewająca całą uliczkę dochodziła najwyraźniej z któregoś z sąsiednich domów. Chropawemu, szorstkiemu i intensywnemu dźwiękowi towarzyszył wrzask, który najprawdopodobniej miał przypominać śpiew. Jak można słuchać podobnej kakofonii? – oburzył się w myślach Gaspard, czując niespodziewanie wielkie znużenie. Nie można nawet spokojnie posiedzieć we własnym domu. Ale ta wojna jest z góry przegrana. Świat jest pełen mend, natrętów i jędz wszelkiego rodzaju. To upierdliwcy, malkontenci i zrzędy tworzą prawo. Jest ich zbyt wielu, rozmnażają się zbyt szybko. Odnieśli totalne i ostateczne zwycięstwo.

Gaspard wypadł wściekły z domu i znalazłszy się w zaułku ślepej uliczki, od razu się zorientował, kto jest sprawcą. Hałas dobiegał od najbliższych sąsiadów: był to sielankowo wyglądający domek, uginający się pod pędami dzikiego wina. Gaspard pociągnął za sznur od zardzewiałego dzwonu umocowanego na kamiennym słupie. Ponieważ nikt nie zareagował, przeskoczył przez ogrodzenie i z

ogródka dostał się na schodki prowadzące do domu, po czym zastukał do drzwi.

Gdy się otworzyły, Gaspard stanął jak wryty. Spodziewał się przyszczatego nastolatka ze skrzykiem w ustach i w T-shircie z Iron Maiden. Tymczasem ujrzał młodą kobietę o delikatnych rysach, ubraną w skromną bluzkę z okrągłym kołnierzykiem, w tweedowych szortach i eleganckich oksfordkach z wiśniowej skóry.

– Czy pani zwariowała?! – wykrzyknął, pukając się palcem w czoło.

Speszona kobieta cofnęła się o krok i popatrzyła na niego bezradnie.

– Muzyka! – ryknął. – Myśli pani, że nikogo innego na ziemi nie ma?!

– A jest? – spytała.

Kiedy do Gasparda dotarło, że drwią sobie z niego, kobieta przycisnęła guzik na małym pilocie, który trzymała w dłoni.

Zapadła cisza. W końcu!

– Zrobiłam sobie przerwę w pracy. Myślałam, że wszyscy powyjeżdżali na święta, więc trochę przesadziłam... – dodała przeproszającym tonem.

– Przerwa na słuchanie hard rocka?

– To nie jest hard rock, tylko black metal.

– Co to za różnica?

– Hm... to całkiem proste, hard rock...

– Proszę pani! Nic mnie to nie obchodzi! – przerwał jej Gaspard i odwrócił się. – Jeśli tak się to pani podoba, proszę do woli niszczyć sobie bębny, ale niech kupi pani słuchawki, żeby nie torturować sąsiadów.

Młoda kobieta wybuchła śmiechem.

– Jest pan tak źle wychowany, że to aż śmieszne!

Gaspard popatrzył na nią. Przez sekundę czuł się niepewnie. Przyjrzał się jej dokładnie: grzeczny koczek, strój studentki z dobrego domu, ale do tego piercing w nosie i subtelny tatuaż, który zaczynał się tuż za uchem i znikał pod bluzką.

Cóż, wygląda na to, że ona ma rację...

– Faktycznie, może przesadziłem, jednak ta muzyka...

Kobieta znów się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę.

– Pauline Delatour – przedstawiła się.

– Gaspard Coutances.

– Mieszka pan w domu, który należał kiedyś do Seana Lorenza?

– Wynająłem go na miesiąc.

Gwałtowny podmuch wiatru trzasnął okiennicą. Pauline, z gołymi nogami, drżała z zimna.

– Drogi sąsiedzie, zaczynam marznąć, ale zrobi mi pan wielką przyjemność, wpadając do mnie na filiżankę kawy! – zaproponowała z uśmiechem, rozcierając sobie ramiona.

Gaspard skinął głową i wszedł za nią do domu.

3

Madeline stała i patrzyła na obydwa obrazy jak zaczarowana. Pierwszy, namalowany w 1997 roku, nosił tytuł *CityOnFire* i był ogromnym graffiti typowym dla streetartowej twórczości Lorenza: rozszalałe płomienie pożerały płótno w wybuchu gorących barw od żółci po głębokie czerwienie. Drugi obraz, osobisty, surowy – zatytułowany *Motherhood* – był zdecydowanie nowszy. Przedstawiał jasnoniebieską, prawie białą przestrzeń przeciętą krzywą wyobrażającą okrągłe łono kobiety w ciąży. Po prostu macierzyństwo. Podpis w ramce na ścianie wyjaśniał, że jest to ostatni znany obraz

Lorenza, namalowany krótko przed narodzinami jego syna. Inaczej niż na poprzednim obrazie, to nie kolory, lecz światło poruszało widza.

Pchana wewnętrzną potrzebą, Madeline zbliżyła się do płótna. Przyciągało ją do siebie to dziwne światło. Materia, tekstura, intensywność tysiąca niuansów wprowadzały ją w stan hipnozy. Płótno zdawało się żyć. W kilka sekund biel przechodziła w błękit, później w róż. Wzruszenie było silne, ale nieuchwytne. Malarstwo Lorenza tak uspokajało, jak niepokoiło.

Ta niepewność fascynowała Madeline. Jak to możliwe, żeby obraz wywoływał podobny efekt? Chciała odejść, wrosła jednak w ziemię. Niczym więzień z własnej woli nie była w stanie wyrwać się spod władzy ogarniającego ją światła. Wzruszenie... uspokajający zawrót głowy... jeszcze chwila pod wodą, w izolacji – przestrzeni bezpieczeństwa i nieoczekiwanych dreszczy.

Niektóre z nich były cudowne, inne – znacznie mniej.

4

Do domu Pauline Delatour wchodziło się przez kuchnię. Wnętrze było przytulne, urządzone w stylu wiejskiej chatki: stół z litego drewna, kamienna posadzka, zasłony w kratkę. Na półkach emaliowane płytki z dawnymi reklamami, zniszczony młynek do kawy, wielkie ceramiczne miski i stare miedziane rondle.

– Bardzo tu miło u pani, ale trochę dziwnie... Bardziej pasowałby Jean Ferrat niż ten black metal – zażartował.

Pauline uśmiechnęła się, wzięła z kuchenki kawiarzkę i nalala kawę do dwóch filiżanek.

– Prawdę mówiąc, nie jestem tu u siebie. To dom włoskiego biznesmena, kolekcjonera sztuki, który odziedziczył go po swojej rodzinie i którego poznałam przez Seana Lorenza. Nigdy tu nie przyjeżdża. Ponieważ nie chce go sprzedać, potrzebuje kogoś do pilnowania i utrzymywania go w czystości. To nie będzie trwało wiecznie, ale byłabym głupia, gdybym nie skorzystała z takiej okazji.

Gaspard podniósł filiżankę, którą podała mu Pauline.

– Czyli, jeśli dobrze zrozumiałem, znalazła się tu pani dzięki Seanowi Lorenzowi?

Pauline, oparta o ścianę, dmuchnęła delikatnie, studząc parującą kawę.

– Tak, to on przekonał tego Włocha, żeby mi zaufał.

– A jego jak pani poznała?

– Seana? Poznaliśmy się trzy czy cztery lata przed jego śmiercią. Na pierwszym i drugim roku studiów, żeby zarobić trochę forsy, pozowałam jako modelka w Akademii Sztuk Pięknych. Któregoś dnia zjawił się tam Sean, prowadził kurs mistrzowski. Wtedy się zaprzyjaźniliśmy.

Z ciekawości Gaspard przyjrzał się butelkom wina ustawionym w stojaku z kutego żelaza.

– Niech pani nie pije tych sików! – Skrzywił się z niesmakiem. – Następnym razem przyniosę butelkę prawdziwego wina.

– Doskonale. Potrzebuję paliwa, żeby skończyć doktorat.

Ponownie się uśmiechnęła, wskazując stół, na którym stał laptop i leżało mnóstwo książek.

– O czym pani pisze?

– Praktyka kinbaku w Japonii w okresie Edo: zastosowanie w wojskowości i życiu erotycznym – wyrecytowała.

– Kinbaku? Cóż to takiego?

Pauline odstawiła filiżankę do zlewu i tajemniczo zerknęła na swojego nowego sąsiada.

– Chodźmy, pokażę panu!

5

Przez szklaną ścianę widać było płonące czerwienią kasztanowce, świecące klony, ciemniejące świerki, gotowe w każdej chwili zmienić się w chińskie cienie.

Madeline przymglonym wzrokiem patrzyła, jak słońce powoli znika za krytym pawilonem muzycznym ustawionym na trawniku w ogrodzie aklimatyzacyjnym. Dochodziła piąta po południu. Po wizycie w muzeum usiadła przy stoliku we Francku, restauracji fundacji Vuittona, znajdującej się za ażurową przegrodą w atrium. Małymi łykami sączyła herbatę. Od kilku minut myślała tylko o jednym: A jeśli Bernard Benedick mówi prawdę? Jeżeli trzy ostatnie obrazy namalowane przez Seana Lorenza naprawdę zniknęły? Obrazy, których nikt nigdy nie widział. Przeszedł ją dreszcz. Nie miała ochoty być narzędziem w rękach właściciela galerii, ale jeśli rzeczywiście te obrazy istniały, chciała być osobą, która je odnajdzie.

Już czuła działanie adrenaliny. To był znak, że polowanie się zaczęło. To uczucie – niegdyś bardzo częste – nawet teraz, po długiej przerwie, sprawiło jej przyjemność. Z pewnością podobnie czuł się Lorenz, kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych malował swoje graffiti w metrze. Zagrożenie, strach przed złapaniem działały jak narkotyk, po który wciąż sięgał.

Włączyła smartfona i puściła w ruch wyszukiwarkę. Wikipedia pisała o Lorenzu klasycznie:

Sean Paul Lorenz, znany również na początku kariery jako **Lorz74**, autor graffiti i malarz, urodzony w Nowym Jorku 8 listopada 1966 roku, zmarł w tym samym mieście 23 grudnia 2015 roku. Przez ostatnie dwadzieścia lat życia mieszkał i pracował w Paryżu.

Notatka miała kilkadziesiąt linijek. Madeline zaciekało to syntetyczne opracowanie, ale nie dowiedziała się z niego niczego więcej niż to, co opowiedział jej Benedick. Dopiero pod koniec wpisu znalazła informację, której szukała.

Sprawa Juliana Lorenza

Zbrodnia

12 grudnia 2014 roku, gdy Lorenz przebywał w Nowym Jorku w związku z wystawą retrospektywną jego twórczości w Muzeum Sztuki Współczesnej, jego żona Pénélope i syn Julian zostali porwani na jednej z ulic Upper West Side. Parę godzin później malarz otrzymał żądanie okupu w wysokości kilku milionów dolarów i odcięty palec dziecka. Mimo przekazania kwoty tylko Pénélope została uwolniona – chłopczyka zamordowano na jej oczach.

Winny

Dość prędko ustalono tożsamość porywacza, ponieważ...

Salon Pauline Delatour, podtrzymywany na całej swej długości przez belkę z drewna oliwnego, nie miał w sobie nic z jadalni w wiejskim domku – był to raczej nowoczesny, surowo urządzonego loft. W dużym pomieszczeniu ściany obwieszono zdjęciami nagich kobiet oplecionych różnymi sznurami i ułożonych w nienaturalnych pozycjach. Skrępowane, zawieszane w powietrzu ciała poprzecinane były linami. Opasano je, ściśnięto i uwięziono między mnóstwem przedziwnych węzłów. Twarze wykrzywiały spazm rozkoszy lub cierpienia.

– Zasadniczo kinbaku to stara japońska sztuka wojenna – wyjaśniła Pauline uczonym tonem. – Sztuka związkiwania jeńców wysokiej rangi. Z czasem znalazła zastosowanie w wyrafinowanych praktykach erotycznych.

Gaspard spojrzał na zdjęcia, najpierw niechętnie. Relacja podporządkowania i dominacji zawsze wzbudzała w nim niepokój.

– Czy wie pan, co mówił wielki fotograf Araki? – spytała młoda kobieta. – „Sznur musi pieścić ciało kobiety”.

Powoli niechęć Gasparda zniknęła. Wbrew sobie zaczął nawet dostrzegać w tych zdjęciach zdumiewające piękno. Nie umiał powiedzieć dlaczego, ale fotografie nie były ani wulgarne, ani naznaczone przemocą.

– Kinbaku to bardzo wymagająca sztuka – ciągnęła Pauline. – Nie ma to nic wspólnego z BDSM. Prowadzę na ten temat wykłady w takiej sali w dwudziestej dzielnicy. Powinien pan wpaść któregoś dnia, pokażę panu, o co chodzi. To skuteczniejsze niż psychoanaliza, gdy trzeba dowiedzieć się czegoś o sobie.

– Czy Sean Lorenz... Czy jego też to kręciło?

Pauline uśmiechnęła się smutno.

– Sean mieszkał w dżungli, jaką był Nowy Jork lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Te niewinne gierki nie robiły na nim żadnego

wrażenia.

– Znała go pani dobrze?

– Już panu mówiłam, byliśmy przyjaciółmi. Powtarzał, że ma do mnie zaufanie. Przynajmniej na tyle, żebym od czasu do czasu zajmowała się jego synkiem.

Pauline przysiadła na stopniu wysokiej drewnianej drabiny opartej o ścianę.

– Nie za bardzo lubię dzieci – wyznała. – Ale mały Julian to było coś zupełnie innego, naprawdę wspaniały chłopiec. Wzruszający, żywy, bystry.

Gaspard zauważył, że jej twarz o mlecznej karnacji zbladła.

– Mówi pani o nim w czasie przeszłym?

– Bo został zamordowany. Nie wiedział pan?

Tym razem Gaspard prawie się zachwiał. Przyciągnął do siebie drewniany taboret i usiadł, pochylając się ku Pauline.

– Ten dzieciak, którego widać na wszystkich zdjęciach w domu... nie żyje?

Nie spuszczać oczu z Gasparda, Pauline starała się nie obgryzać paznokci pociągniętych byle jak ciemnoczerwonym lakierem.

– To ponura historia. Julian został porwany w Nowym Jorku i zasztyletowany na oczach swojej matki.

– Ale... przez kogo?!

Westchnęła.

– Przez dawną przyjaciółkę Seana, która siedziała w więzieniu. Jakaś malarka chilijskiego pochodzenia, znana pod pseudonimem LadyBird. Podobno chciała się zemścić.

– Zemścić za co?

– Szczerze mówiąc, nie wiem... Motywy tej zbrodni są niejasne...

Pauline wstała i ruszyła do kuchni. Gaspard poszedł za nią.

– To mało powiedziane, że Sean nigdy już nie był tym samym człowiekiem po śmierci syna. Nie tylko przestał malować, on dosłownie umierał z tęsknoty i smutku. Pomagałam mu, w czym mogłam: robiłam zakupy, zamawiałam jedzenie, a kiedy potrzebował lekarstw, dzwoniłam po Diane Raphaël.

– Kto to był? Lekarka?

– Psychiatra, od dawna się nim zajmowała.

– A jego żona?

Znów westchnęła.

– Pénélope uciekła z tonącego okrętu, gdy tylko nadarzyła się okazja, ale to inna historia.

Gaspard ugryzł się w język. Nie chciał być nachalny i nie zamierzał zadawać pytań, które cisnęły mu się na usta. Od razu spostrzegł, że relacja Pauline jest pełna nieścisłości, sam jednak zbyt nie cierpiał ciekawskich intruzów, żeby teraz zachowywać się jak oni. Mimo to pozwolił sobie na jedno, bardziej ogólne pytanie:

– A więc Lorenz nie namalował już nic aż do śmierci?

– Nic, o ile wiem. Przede wszystkim miał poważne kłopoty zdrowotne. A poza tym malowanie przestało go chyba interesować. Zresztą, nic go nie interesowało. Nawet podczas warsztatów malarskich, które jeszcze parę razy prowadził w szkole Juliana, nie brał pędzla do ręki.

Zaległa cisza. Po chwili Pauline dodała, jakby sobie przypominając:

– Ale przed jego śmiercią zdarzyło się coś dziwnego... – Wskazała ruchem głowy okno, przez które widać było dom malarza. – Przez kilka nocy z rzędu aż do rana grała u niego muzyka.

– I co z tego?

– O to chodzi, że Sean słuchał muzyki tylko wtedy, gdy malował. Zdziwiło mnie nawet nie to, że nagle znów chwycił za pędzel, lecz to,

że zrobił to w nocy. Sean uwielbiał światło. Nigdy nie widziałam, żeby malował w nocy. Zawsze w pełnym świetle dnia...

– Czego słuchał?

Na twarzy Pauline pojawił się uśmiech.

– Myślę, że spodobałoby się panu. W każdym razie nie black metalu. *Piąta symfonia Beethovena...* i jeszcze inne rzeczy, których nie znałam. Puszczal je w kółko.

Wyjęła komórkę z kieszeni i pomachała nią przed oczami Gasparda.

– Ponieważ jestem ciekawska, zidentyfikowałam te kawałki dzięki aplikacji Shazam.

Gaspard nie miał pojęcia, co znaczy to słowo, ale nie dał nic po sobie poznać.

Pauline odnalazła tytuły wyszukiwanych utworów.

– *Katalog ptaków* Oliviera Messiaena i *Druga symfonia* Gustava Mahlera.

– Skąd pani wie, że naprawdę malował? Może tylko słuchał muzyki.

– Zadałam sobie to samo pytanie. Wyszłam w środku nocy, podeszłam alejką pod dom Seana i wspięłam się po schodach przeciwpożarowych na wysokość okien jego pracowni. Tak, wiem, trochę stalking, ale po prostu byłam ciekawa. Jeśli malował jakiś nowy obraz, chciałam jako pierwsza go zobaczyć.

Gaspard wyobraził sobie akrobacje Pauline tamtej nocy i uśmiechnął się dyskretnie. Malarstwo Lorenza niesamowicie działało na ludzi.

– Gdy byłam już na samej górze, przykleiłam nos do szyby. Choć w atelier nie paliło się żadne światło, Sean stał przed sztalugą.

– Malował po ciemku?

– Zabrzmi to głupio, ale miałam wrażenie, że płótno emituje własne światło. Żywy, przenikający wszystko promień padał mu na twarz.

– Co to było?

– To trwało moment, drabina zaskrzypiała i Sean się odwrócił. Przestraszyłam się i zaraz uciekłam. Wróciłam do siebie, czułam się trochę nieswojo.

Gaspard przyjrzał się tej dziwnej dziewczynie, prowokatorce, intelektualistce, bystrej i undergroundowej. Taka dziewczyna musiała się podobać większości mężczyzn. I na pewno również Lorenzowi. Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Sean Lorenz nigdy nie zatrudnił pani jako modelki?

– Zrobił coś lepszego! – odparła Pauline z błyszczącymi oczami.

Rozpięła bluzkę i oczom Gasparda ukazał się tatuaż, niecały, wspaniały jednak. Skóra młodej kobiety wyglądała jak płótno malarskie, promieniała kolorami. Różnobarwne kwietne arabeski pokrywały jej ciało od szyi aż po uda.

– Często mówi się, że obrazy Lorenza żyją, ale to przesada. Jedyнным żywym dziełem Lorenza jestem ja.

4

Dwoje nieznajomych w jednym domu

Jestem prawdziwym optymistą, jeśli o nic nie chodzi.

Francis Bacon

1

Zapadła już noc, kiedy Madeline pchnęła drzwi domu. Starła się w miarę możliwości uniknąć konfrontacji z Gaspardem Coutances'em, choć spotkanie było nieuniknione. W głębi duszy miała nadzieję, że dramaturg w końcu sam zrezygnuje z mieszkania w atelier, ale gdy wieszała płaszcz na wieszaku, zauważyła jego chudą, gamoniowatą sylwetkę w kuchni.

Przechodząc przez salon, żeby do niego dołączyć, przystanąła przy ścianie ze zdjęciami w prostych ramkach z jasnego drewna. Teraz, gdy wiedziała, że mały Julian nie żyje, fotografie, które tak ją rozczuliły, kiedy weszła tu po raz pierwszy, wydały jej się ponure, podobne do zdjęć nagrobnych. Tego wieczoru cały dom był jakiś zimny, przytłaczający, ogarnięty mgłą smutku. Uznawszy, że czar prysł, Madeline szybko podjęła decyzję.

Kiedy weszła do kuchni, Coutances mruknął coś na przywitanie. W zniszczonych dżinsach, we flanelowej koszuli w kratę, z dwutygodniowym zarostem i w schodzonych timberlandach wyglądał

jak dzikus, co zupełnie nie pasowało do jego wizerunku dramaturga modnego i ambitnego. Stał przy blacie, zdecydowanymi ruchami kroił cebulę i słuchał muzyki kameralnej płynącej ze starego przenośnego radia. Przed nim, obok wielkiej papierowej torby, leżały różne produkty, które najwyraźniej kupił po południu: oliwa, przegrzebki, kostki bulionu drobiowego, mała trufla...

– Co pan szykuje?

– Robię kritharaki z truflą. To drobny grecki makaron, który przyrządza się jak risotto. Zje pani ze mną?

– Nie, dziękuję.

– Założę się, że jest pani wegetarianką. Komosa ryżowa, algi, kielki wszelkiego rodzaju...

– Nic z tego – przerwała mu sucho. – Co do domu, chciałam pana poinformować, że się wyprowadzam. Zamieszkam gdzieś indziej. Właściciel zaproponował mi odszkodowanie i przyjmę je.

Gaspard popatrzył na nią zaskoczony.

– Mądra decyzja.

– Proszę jednak dać mi dwa dni na zorganizowanie przeprowadzki. Będę spała na piętrze, kuchnię się podzielimy, a reszta domu jest już do pana dyspozycji.

– To mi odpowiada – podsumował Gaspard, zsuwając ostrzem noża pokrojoną cebulę na patelnię. – Dlaczego zmieniła pani zdanie?

Madeline zawahała się, po czym odpowiedziała szczerze:

– Nie mam na tyle odwagi, żeby spędzić cztery tygodnie w domu, w którym mieszka duch zmarłego dziecka.

– Mówi pani o małym Julianie?

Skinęła głową. W ciągu następnego kwadransa, w ożywionej rozmowie, opowiedzieli sobie nawzajem wszystko, czego dowiedzieli się o życiu i fascynującej twórczości Seana Lorenza, a także o jego ostatnich – zaginionych – obrazach.

Madeline odmówiła jednak kieliszka wina. Otworzyła lodówkę, wyjęła z niej plastikową torebkę, którą schowała tam kilka godzin wcześniej, i wymawiając się zmęczeniem, poszła na górę, żeby się położyć.

2

Drewniane schody prowadziły do prywatnych apartamentów Lorenza bezpośrednio z oszklonego atelier. Najpiękniejsze pomieszczenie w całym domu zakończone było sypialnią skromnych rozmiarów, ale wygodną i z oddzielną łazienką. Madeline ułożyła kilka swoich rzeczy, znalazła czystą pościel w szafie i posłała łóżko. Potem umyła ręce i usiadła przy małym biurku z bielonego drewna, stojącym przy oknie. Ściągnęła sweter i bluzkę. Z plastikowej torebki wyjęła fiolkę i strzykawkę w hermetycznym papierowym opakowaniu. Rozdarła je, nasadziła igłę, zdjęła z niej zabezpieczenie i wkłuła się w fiolkę, wprawnie manipulując tłoczkiem, żeby usunąć bąbelki powietrza. Następnie wacikiem nasączonym alkoholem przetręła brzuch w miejscu, gdzie zamierzała wbić strzykawkę. Chociaż ogrzewanie było włączone, trzęsa się z zimna. Bolały ją kości, miała gęsią skórę. Wzięła głęboki wdech i chwyciła palcami fałd skóry, wkłuwając igłę w warstwę tłuszczu, w odpowiedniej odległości od mięśni i żeber. Starła się nie drżeć, gdy naciskała tłoczek, żeby zrobić zastrzyk. Ależ to piekło, prawdziwa tortura! Cholera! Kiedy była policjantką, wielokrotnie znajdowała się w bardzo niebezpiecznych sytuacjach: z lufą odbezpieczonego pistoletu przy skroni, kulami śmigającymi centymetr od szyi czy wreszcie twarzą w twarz z najgroźniejszymi przestępcami Manchesteru. I za każdym

razem umiała zapanować nad strachem, a tu trzęsa się z powodu cienkiej igły!

Zamknęła oczy. Kolejny oddech. Przycisnąć wacik w miejscu ukłucia. Wyciągnąć igłę. Przytrzymać wacik, żeby zahamować krwawienie.

Wyciągnęła się na łóżku, ciągle drząc. Tak jak rano na dworcu, miała wrażenie, że umiera. Mdłości, skurcze żołądka, trudności z oddychaniem, ból rozrywający głowę. Ponieważ dreszcze nie przechodziły, okryła się kołdrą aż po szyję. Przymknęła oczy. Znów ujrzała małego Juliana, krew, miasto w ogniu. Potem jakby film się cofnął i nadpłynął spokojniejszy obraz macierzyństwa. Powoli zaczynała czuć się lepiej. Ciało się rozluźniło. Nie mogła jednak zasnąć. Wstała i obmyła twarz zimną wodą. Poczwała nawet głód. Smakowita woń truflki dochodziła aż tutaj.

Schowała więc dumę do kieszeni i zeszła na dół do salonu.

– Jak tam, Coutances, czy wciąż jest aktualne pańskie zaproszenie na kolację? Przekona się pan, czy jestem wegetarianką...

3

Wbrew wszystkiemu posiłek mijał w wesołej, miłej atmosferze. Dwa lata wcześniej Madeline widziała na Broadwayu sztukę Gasparda *Ghost Town*, która przez dwa miesiące była grana w Barrymore Theatre, z Jeffem Danielsiem i Rachel Weisz w rolach głównych. Spektakl nie zrobił na niej wielkiego wrażenia – dialogi wprawdzie były błyskotliwe, ale cyniczna wizja świata przedstawiona przez autora wprowadziła ją w zły nastrój.

Na szczęście Coutances okazał się całkowicie inny, niż można było sądzić z jego ironiczno-sarkastycznych odzywek. Prawdę mówiąc, dla

Madeline był to zupełny kosmita: dżentelmen, odludek, pesymista, a jednak miło się jadło kolację w jego towarzystwie. Oczywiście rozmawiali głównie o Seanie Lorenzu. Oboje ogarnął entuzjazm neofitów i dzielili się zdobytymi po południu informacjami. Zjedli do końca kritharaki i nawet skończyli butelkę Saint-Julien.

Po kolacji przeszli do salonu. Spomiędzy płyt Lorenza Coutances wybrał stary longplay Oscara Petersona, po czym rozpałił w kominku i wyciągnął butelkę dwudziestoletniego burbona Pappy van Winkle. Madeline zsunęła buty, wyciągnęła nogi na kanapie, zarzuciła na ramiona pled i wyjęła z kieszeni skręta, który zawierał nie tylko tytoń. Rozleniwieni trawką i alkoholem odpoczywali w swobodnej atmosferze. Rozmowa zeszła na tematy bardziej osobiste.

– Czy ma pan dzieci?

– Broń Boże! Nie zamierzam! – padła szybka odpowiedź.

– Dlaczego?

– Nie zamierzam nikogo narażać na życie w tych dramatycznych warunkach, na jakie my jesteśmy skazani.

Madeline zaciągnęła się skrętem.

– Nie przesadza pan?

– Nie sędzę.

– Pewne rzeczy są nie do przyjęcia, ale...

– Co?! Pewne rzeczy są nie do przyjęcia?! Niech pani spojrzysz prawdzie w oczy! Ziemia nieuchronnie zmierza ku katastrofie, przyszłość będzie jeszcze gorsza, jeszcze bardziej brutalna, dusząca, stresująca. Trzeba być egoistą, żeby kogokolwiek na to narażać.

Madeline chciała zaprotestować, ale Gaspard nie dopuścił jej do głosu. Przez kwadrans, z szaleństwem w oku, dysząc alkoholem, roztaczał przed nią skrajnie pesymistyczną wizję przyszłości, opisując społeczeństwo apokaliptyczne, niewolników technologii i nadmiernej konsumpcji czy wreszcie ludzi bezmyślnych. Miało to być

społeczeństwo drapieżników metodycznie wyniszczających przyrodę i pędzących ku nicości drogą bez powrotu.

Czekała spokojnie, aż Gaspard skończy, zanim się odezwała:

– W gruncie rzeczy nienawidzi pan całej ludzkości, nie tylko tych głupców.

Nie zaprzeczył.

– Zna pani to zdanie Szekspira? „Nawet zwierz dziki zna odruch litości”³? Człowiek jednak litości nie zna. Człowiek jest najgorszym z drapieżników. Człowiek to robactwo, które pod płaszczykiem cywilizacji czerpie przyjemność z dominacji i upokarzania innych. To megaloman-samobójca, który nienawidzi innych, ponieważ nienawidzi siebie.

– A pan jest oczywiście inny?

– Przeciwnie, może mnie pani zaliczyć do tej samej grupy, jeśli tylko sprawi to pani przyjemność! – odparł, wypijając ostatni łyk burbona.

Madeline zgasiła niedopałek na talerzyku, który zastępował popielniczkę.

– Skoro pan tak myśli, musi pan być bardzo nieszczęśliwy.

Gaspard machnął ręką, a jego towarzyszka wstała i podeszła do lodówki, żeby wyjąć wodę mineralną.

– Jestem po prostu realistą. Wyniki wszystkich badań naukowych są jeszcze bardziej pesymistyczne niż to, co mówię. Ekosystemy nieodwracalnie zanikają. Minęliśmy już punkt, z którego można było jeszcze wrócić, więc...

– Dlaczego od razu nie strzeli pan sobie w łeb? – spytała Madeline prowokująco.

– To nie o to chodzi... – Pokręcił głową. – Zapytała pani, dlaczego nie chcę mieć dzieci. Powiedziałem, że nie chcę być świadkiem, jak dorastają w chaosie i szaleństwie. – Wymierzył w nią oskarżycielsko

palec drżący od alkoholu i złości. – Nigdy nie każę żadnemu dziecku żyć na tym okrutnym świecie. Jeśli uważa pani inaczej, droga wolna, ale proszę nie szukać u mnie poparcia.

– Mam w nosie pańskie poparcie! – Madeline z powrotem opadła na kanapę. – Dlaczego jednak nie walczy pan o to, żeby coś zmienić? Niech pan broni tego, na czym panu naprawdę zależy... Trzeba wstąpić do jakiejś organizacji, zacząć działać w...

Gaspard wykrzywił się z niesmakiem.

– Wspólna walka? Dziękuję, postoję. Pogardzam partiami politycznymi, związkami zawodowymi i grupami nacisku. Tak jak Brassens uważam, że więcej niż cztery osoby razem to banda idiotów. A poza tym tę walkę już przegrano, choć ludzie są zbyt tchórzliwi, żeby to przyznać.

– Wie pan, czego panu brakuje? Prawdziwej sprawy, której mógłby pan bronić. A rodzicielstwo zmusza właśnie do walki. Do walki o przyszłość. Ta walka zawsze trwała i będzie się toczyć do końca świata!

Popatrzył na nią dziwnie.

– A pani? Ma pani dzieci?

– Może kiedyś.

– Dla własnej przyjemności, czyż nie? – Roześmiał się kpiąco. – Żeby poczuć się „spełnioną”, „zrealizowaną”, „usatysfakcjonowaną”? Żeby nie różnić się od koleżanek? Żeby uciec od wywołujących poczucie winy pretensji mamy i taty?

Madeline zalała wściekłość i w okamgnieniu poderwała się, żeby chlusnąć Coutances’owi lodowatą wodą w twarz. Zawahała się jednak i w końcu rzuciła w niego plastikową butelką.

– Jest pan naprawdę kompletnym idiotą! – wrzasnęła i wbiegła na schody.

Pokonała je, przeskakując po dwa stopnie, wpadła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Gaspard został sam. Westchnął głęboko. Nie pierwszy raz pod wpływem alkoholu plótł głupstwa, ale pierwszy raz natychmiast tego pożałował.

Urażony jak dziecko, nalał sobie szklankę whisky, pogasił światła i stęknąwszy, wyciągnął się przygnębiony na fotelu.

Oszołomiony alkoholem, zaczął przypominać sobie całą kłótnię. Własne argumenty... Argumenty Madeline... Może pod koniec rozmowy rzeczywiście był niedelikatny, nie można było jednak odmówić mu szczerości. Żałował, że tak brutalnie ją zaatakował, ale nie tego, co powiedział. Myśląc o tym wszystkim, zdał sobie sprawę, że ludzie, którzy pragnęli mieć dzieci, czuli się na siłach, by je bronić – zupełnie inaczej niż on.

Gaspard nie miał na to siły.

I to go przerażało.

SZALONY MALARZ

Środa, 21 grudnia

5

Los chwyta za gardło

Życie nie robi prezentów.

Jacques Brel

1

W głowie mu huczało. Serce łomotało jak oszalałe w kolejnych skurczach. Spał niespokojnie, obudził się nagle.

Z półsnu wyrwało go trzaśnięcie drzwi. Minęła dłuższa chwila, zanim ocknął się na dobre. Z początku nie za bardzo wiedział, gdzie jest, ale szybko uświadomił sobie swoje smutne położenie: zasnął zwinięty w kulkę w zniszczonym, lecz kultowym fotelu projektu Eamesów, należącym do Seana Lorenza. Był zlany potem, twarz miał opartą o niewielką poręcz. T-shirt przykleił mu się do siedzenia. Z trudem wstał, przecierając oczy i masując sobie szyję oraz boki. Miał gigantycznego kaca: ból głowy, smak cementu w ustach, mdłości, bóle w stawach. Sytuacja, po której za każdym razem przysięgał sobie, że już nigdy nie tknie alkoholu. Wiedział jednak, że to nierealna wizja i że w południe należy sobie pełny kieliszek.

Rzucił okiem na zegarek: ósma rano. Wyjrzał przez wielkie okno: niebo blade, ale nie padało. Domyślił się, że Madeline już wyszła, i zrobiło mu się wstyd, że widziała go w takim stanie. Dowłókł się do

łazienki i piętnaście minut stał pod prysznicem, wypijając ponad pół litra letniej wody bezpośrednio z kranu. Następnie chwycił ręcznik, obwiązał się nim w pasie i wyszedł z łazienki, trzymając się za skronie.

Ból głowy stawał się coraz silniejszy, wręcz pękała mu czaszka. Musiał natychmiast połknąć coś przeciwbólowego. Przeszukał swoją torbę podróżną, ale nie znalazł nic, co z bliska czy nawet z daleka przypominałoby lekarstwo. Po chwili wahania wszedł na piętro, które zajmowała Madeline, wypatrzył jej kosmetyczkę i wygrzebał z niej to, czego szukał. Co za szczęście, że przynajmniej ona była zorganizowana.

Po dwóch tabletkach ibuprofenu był już w swojej sypialni. Włożył ubranie z wczoraj i ruszył do kuchni zrobić kawę. Kawiarka stała na zwykłym miejscu, kawy jednak nie znalazł, choć sprawdził we wszystkich szafkach. Zrezygnowany, zagrzał sobie filiżankę rosółu z kury i wypił go na tarasie. Świeże, chłodne powietrze orzeźwiło go, ale szybko wycofał się w ciepło salonu. Zaczął przerzucać płyty, szukając tych, o których wspomniała mu Pauline poprzedniego dnia; tych, których w kółko słuchał Sean Lorenz na kilka dni przed śmiercią.

Pierwszy longplay był obowiązkową płytą w każdym klasycznym zbiorze: *V symfonia* Beethovena w wykonaniu orkiestry pod batutą Carlosa Kleibera. Na tylnej stronie okładki jakiś muzykolog podkreślał, że kompozytora przez całe życie nękała potrzeba „schwywania losu za gardło”. Rzeczywiście *V symfonia* w całości poświęcona jest konfrontacji człowieka z przeznaczeniem. „To przeznaczenie puka do drzwi” – mówił Beethoven o pierwszych czterech dźwiękach otwierających symfonię.

Drugie nagranie z kolekcji kojarzyło się od razu w przyjemny sposób z latami osiemdziesiątymi: był to zestaw wydany przez Deutsche Grammophon – dwie płyty zawierające *II symfonię* Gustava

Mahlera, wykonaną przez orkiestrę pod batutą Leonarda Bernsteina. W roli gwiazd występowały Barbara Hendricks i Christa Ludwig. Symfonia ta, zatytułowana *Zmartwychwstanie*, nie była dobrze znana Gaspardowi. Z broszury dołączonej do nagrania dowiedział się, że to w pewnym sensie dzieło religijne, ponieważ na krótko przed jego skomponowaniem Mahler przyjął chrzest w Kościele katolickim. Utwór poruszał tematy życia wiecznego i zmartwychwstania. Broszurka kończyła się słowami Leonarda Bernsteina: „Muzyka Mahlera uświadamia nam naszą własną niepewność dotyczącą życia i śmierci. To muzyka bardzo prawdziwa, niosąca przerażające treści...”.

Przerażające treści...

Gaspard podrapał się w głowę. Dlaczego Lorenz, wielki amator jazzu i muzyki minimalistycznej, pod koniec życia zaczął się fascynować tymi dwiema wielkimi symfoniami?

Resztkę letniego bulionu Gaspard wylał do zlewu i z piórem i kołonotatnikiem usiadł przy stole w salonie. Chciał się zastanowić nad tematem nowej sztuki. Nie mógł się jednak skoncentrować. Miał za sobą dziwną noc: prawie jak w narkotycznym śnie unosił się w powietrzu wśród psychodelicznych pejzaży wytatuowanych na ciele ładnej sąsiadki, związanym linami. Nie była to wizja pełna przemocy, ale burząca spokój.

Przez dwadzieścia minut siedział przekonany, że zaraz zacznie pracować, lecz złudzenie szybko minęło. Nie był w stanie pozbyć się wrażenia, że Lorenz z wielkiej fotografii obserwuje go, przywołuje, osądza.

Ponieważ nie mógł tego dłużej wytrzymać, wstał. Po raz kolejny podszedł do ściany ze zdjęciami. Po chwili zrozumiał, że to nie fotografia malarza mu przeszkadza, ale zdjęcia jego synka.

Przecież ten chłopiec nie żyje... Lecz na starych zdjęciach jest pełen radości... Cholera!

To ta Madeline Greene zaraziła go swoimi obawami!

Opadł na kanapę, wzdychając. Bursztynowe refleksy światła odbijającego się w butelce whisky, stojącej na niskim stoliku naprzeciwko, puszczały do niego oko, oparł się jednak pokusie. Przez kilka minut wpatrywał się w zdjęcie, na którym widać było małego Juliana siedzącego okrakiem na drewnianym koniu staromodnej karuzeli. Po drugiej stronie stał Sean Lorenz, czule spoglądający na synka. Gaspard zaczął grzebać w kieszeni dżinsów i wyjął portfel. W jednej z kieszonek znalazł starą spłowiałą fotografię, której nie oglądał od lat: on jako trzyletni chłopczyk, obok ojciec, pozują przed karuzelą Garniera w ogrodzie Luksemburskim. Zdjęcie zostało zrobione w 1977 roku. Prawie czterdzieści lat dzieliło obie fotografie. To nie była ta sama epoka, ale ta sama karuzela, to samo światło błyszczało w oczach dzieci i taka sama duma była widoczna w spojrzeniach ojców.

2

Madeline zaparkowała skuter na rogu boulevard du Montparnasse i rue de Sèvres. Nie było jeszcze dziewiątej, lecz w powietrzu wisiała już gęsta wilgoć. Zdejmując rękawiczki i szal, zauważyła, że cała jest spocona.

I pomyśleć, że to zima...

Tego ranka coś jednak bardziej ją rozdrażniło niż ocieplenie klimatu: dzielnica, w której się znalazła, zmieniła się nie do poznania. Podczas manifestacji poprzedniego dnia prawie wszystko zostało zdewastowane: przystanki autobusowe, wystawy sklepowe oraz tablice sygnalizacyjne. Chodniki i jezdnia pokryte były szklanymi odłamkami, bruk i asfalt zerwano. Był to widok surrealistyczny,

pejzaż niemal wojenny – czegoś takiego nie spodziewała się w Paryżu! I wszędzie pełne wściekłości graffiti: „Wszyscy nienawidzą policji”; „Myślę, więc niszczę”; „Gdy wszystko się spali, wszystko jest możliwe”; „Zabij kapitał”; „Zwycięstwo przez chaos”; „Sramy na wasze prawo”.

Zachowanie przechodniów zupełnie zbiło ją z tropu. Niektórzy tak jak ona byli zaskoczeni, inni obojętni, jeszcze inni uśmiechali się kpiąco, zatrzymywali i robili sobie selfie. Nawet ściana frontowa Państwowego Instytutu Młodzieży Niewidomej była pomazana hasłami pełnymi nienawiści. Madeline chciało się płakać, gdy patrzyła na ten obraz zniszczenia. Coś złego działo się w tym kraju, coś, czego nie pojmowała.

Kiedy dotarła do centrum medycznego, gdzie miała umówione spotkanie, odkryła, że tam również powybijano szyby. Robotnik odsuwał właśnie drewnianą paletę, którą uderzano we front budynku, żeby go zniszczyć. Gdy zawahała się, czy nie zawrócić, pracujący mężczyzna, najwyraźniej zauważywszy jej niezdecydowanie, pokazał zrobiony naprędce napis, informujący, że mimo wszystko placówka jest czynna.

Weszła więc do holu i podała w recepcji swoje nazwisko. Ponieważ była za wcześnie, nie musiała nawet wchodzić do poczekalni. Raz-dwa pobrano jej krew: igła, probówka wypełniająca się szybko czerwonym płynem, opatrunek w zgięciu ręki. Potem poproszono ją, żeby windą wjechała na drugie piętro, gdzie zajmowano się radiologią i diagnostyką obrazową.

Gdy robiono jej ultrasonografię, przypomniała sobie ożywioną dyskusję z poprzedniego wieczoru. Gdyby nawet Gaspard miał rację, to i tak gardziłaby jego nihilizmem. Przecież zawsze znajdą się ludzie, którzy się nie poddadzą, którzy będą zwalczać przemoc społeczną, a na pewno nie będą czekać z założonymi rękami na nadciągające katastrofy. Jej dziecko będzie częścią tej grupy.

No, może to za dużo powiedziane, bo nie jest jeszcze w ciąży.

Ale cztery miesiące temu, podczas wakacji w Hiszpanii, odwiedziła w Madrycie klinikę leczenia niepłodności. Wkrótce stuknie jej czterdziestka, a tu na horyzoncie żadnego kandydata do założenia rodziny... Jeśli chodzi o zdrowie, ze wszystkich problemów wyszła obronną ręką – mogło być gorzej – było jednak oczywiste, że się starzeje. A zwłaszcza że wypaliła się uczuciowo.

Jeśli rzeczywiście chciała mieć dziecko, zostało jej tylko jedno wyjście. Wypełniła formularz, spotkała się z lekarzem i wykonała wszystkie badania potrzebne do in vitro. W praktyce oznaczało to zapłodnienie spermą anonimowego dawcy. Nie o tym dokładnie marzyła, ale zdecydowała się na to rozwiązanie z entuzjazmem, na jaki było ją stać. Cierpliwie przeszła całą drogę przez mękę: najpierw uciążliwy proces robienia sobie w brzuch każdego wieczoru zastrzyków z dawką hormonów pobudzających jajniki; następnie co drugi dzień badania krwi i USG w celu sprawdzenia liczby i wielkości komórek jajowych. Wyniki za każdym razem musiała sama przekazywać telefonicznie klinice w Hiszpanii.

Było to bardzo wyczerpujące. Brzuch jej puchł, w piersiach czuła napięcie, nogi ważyły tonę, a poza tym bez przerwy miała bóle głowy i była poirytowana.

W pomieszczeniu panował mrok. Gdy lekarz poruszał sondą USG, zamknęła oczy. Podjęła jedyną słuszną decyzję! Będzie miała dziecko, kotwicę trzymającą ją przy życiu. Zbyt długo z powodu swojego zawodu obracała się wśród zmarłych, którzy ciągnęli ją za sobą w nicość. Potem zakochała się bez pamięci. Ale miłość, do jakiej zdolni są mężczyźni, jest niepewna, kapryśna. Aby podnieść się na duchu, przypomniwała sobie słowa, jakimi pożegnała ją osoba, która znaczyła dla niej wiele. Był to Danny Doyle, jej pierwsza licealna miłość. Danny w życiu dorosłym został jednym z bossów mafii manchesterskiej,

wybrał więc drogę zupełnie inną niż ona. Spotkali się ponownie, gdy pracowała już w policji, a on, choć z daleka, wciąż nad nią czuwał.

Wiem, że żyjesz w ciągłym strachu. Wiem, że Twoje noce są niespokojne, że odwiedzają Cię duchy, zmarli i inne demony. Jesteś nieugięta, ale ciemna strona Twojej natury daje o sobie znać, prowadząc Cię do samounicestwienia. Zresztą byłaś już taka, gdy Cię poznałem, w liceum. Lata tylko to pogłębiły. Mijasz się z życiem, Maddie. Musisz wyrwać się z tej spirali, zanim wpadniesz w otchłań, z której nie wrócisz. Nie chcę, żeby Cię to spotkało. Nie chcę, żebyś szła drogą, która mnie zgubiła, powoli prowadząca ku ciemności, przemocy, cierpieniu i śmierci...

Życie nie daje drugiej szansy. Raz stracone okazje przepadają na zawsze. Życie nie robi prezentów. Życie jest jak miażdżący walec – to despota sprawujący władzę za pomocą jednej tylko broni: czasu. Czas w końcu zawsze wygrywa. Czas to największy morderca w historii. Żaden gliniarz nigdy nie wsadzi go za kratki.

3

Gaspard wstał z kanapy. Na blacie kuchennym zawibrowała komórka, widocznie zapomniana przez Madeline. Nigdy nie chciał mieć podobnego urządzenia, spojrzał więc nieufnie na telefon, ale w końcu odebrał. To była Madeline. Otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, przez nieuwagę dotknął jednak ekranu w złym miejscu i rozłączył się.

Zaklął i włożył komórkę do kieszeni.

Westchnął. Ból głowy zelżał, ale myśli wciąż miał poplątane. Nie ma co się dłużej wahać: trzeba wypić kawę, i to dużą.

Wziął jedną z butelek grand cru, które kupił poprzedniego wieczoru, i ruszył do przemiłej sąsiadki.

Tym razem Pauline Delatour otworzyła drzwi już po pierwszym dzwonku. Tak jakby była wiosna, znów miała na sobie lekki strój: szorty ze skróconych dżinsów i wojskową koszulę khaki narzuconą na podkoszulek.

– Pinot noir za podwójne espresso? – zaproponował, machając butelką.

Pauline uśmiechnęła się i gestem zaprosiła go do środka.

4

Po wykonaniu wszystkich analiz Madeline ukryła się w przytulnym wnętrzu włoskiej restauracji Caravella, znajdującej się przy rue du Faubourg-Saint-Honoré, którą pokazał jej Bernard Benedick. Badanie krwi musiała zrobić na czczo, więc od kilkunastu godzin nie miała nic w ustach i zaczynało jej się kręcić w głowie. Zamówiła kawę z mlekiem oraz biscotti i chciała już dzwonić do kliniki, kiedy zauważyła, że telefon zostawiła w domu przy rue du Cherche-Midi.

– Jeszcze tego brakowało! – jęknęła, uderzając dłonią w stół.

– Coś się stało? – zaniepokoił się kelner podający jej właśnie śniadanie.

Był to Gregory, młody szef knajpy, którego przedstawił jej poprzedniego dnia Benedick.

– Zapomniałam komórki, a muszę pilnie gdzieś zadzwonić... – poskarżyła się.

– Proszę skorzystać z mojej! – zaproponował młody człowiek, wyciągając z kieszeni etui w barwach klubu A.C. Milan.

– Och, dziękuję bardzo!

Wystukała numer do Madrytu i poprosiła do telefonu Louise. Zaprzyjaźniła się z tą pielęgniarką – dziewczyna pracowała w administracji kliniki, a jej brat był policjantem. Madeline знаła na pamięć godziny jej pracy, a w razie problemów dzwoniła do niej na komórkę. Nie chciała, żeby połowa kliniki Castille była na bieżąco informowana o rozmiarze jej jajników. Louisa zapisywała wyniki i przekazywała je lekarzowi, a ten oceniał reakcję organizmu i ewentualnie zmieniał dawkę hormonów w zastrzyku. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z istniejącą kiedyś instytucją lekarza rodzinnego. Był to obszar wpływów trendu „zdrowie 2.0”, zglobalizowanego, przypominającego system Ubera, trochę niskobudżetowego i może trochę żalnego. Ale jeśli taka była cena za urodzenie dziecka, Madeline była gotowa ją zapłacić.

Następnie wybrała swój własny numer. Na szczęście Coutances odebrał.

– Gdzie pan jest? – zapytała. – Czy może mi pan dostarczyć moją komórkę?

Gaspard wymamrotał coś bełkotliwie, po czym połączenie zostało zerwane. Rozumiejąc, że nie ma co dalej próbować, wysłała SMS-a:

Czy może mi pan podrzucić mój telefon? Jeśli to panu odpowiada, spotkajmy się o dwunastej w Le Grand Café przy rue Delambre.
Wielkie dzięki. Maddie.

Ponieważ kawa zdążyła wystygnąć, Madeline zamówiła następną i tę wypiła jednym haustem. Bardzo źle spała tej nocy. Wciąż śniła o płótnach Lorenza, które najwyraźniej rzuciły na nią urok. Unosiła się w przestrzeniach o jaskrawych barwach, błędziła po przesyconej erotyzmem dżungli z lianami wijącymi się jak węże, stawała nad

przepaściami, gdzie kręciło jej się w głowie, i spacerowała po różnych miastach w palącym wietrze. Kiedy się obudziła, nie umiała powiedzieć, czy to był koszmar, czy piękny sen. Ale powoli zaczęła rozumieć, że klucz do twórczości Seana Lorenza znajdował się właśnie w tej dwuznaczności.

Nagle zauważyła, że po drugiej stronie ulicy Bernard Benedick podnosi metalową roletę w oknie swojej galerii. Zastukała w szybę, żeby zwrócić na siebie uwagę, i tak jak się spodziewała, po chwili marszand znalazł się przy niej.

– Byłem pewien, że znów panią zobaczę! – wykrzyknął, siadając naprzeciw. – Trudno oprzeć się malarstwu Seana Lorenza, prawda?

– Nie powiedział mi pan, że jego syn został zamordowany... – odparła z wyrzutem w głosie.

– Tak, racja... – wyszeptał. – Nienawidzę o tym mówić. Julian był moim synem chrzestnym. Ten dramat wszystkich nas zniszczył.

– Co się dokładnie stało?

– Wszystko szczegółowo opisano w gazetach... – odpowiedział cicho.

– Właśnie. Ale gazety rzadko piszą całą prawdę.

Benedick skinął głową.

– Żeby to zrozumieć, trzeba sięgnąć pamięcią daleko w przeszłość...

– zaczął. – Bardzo, bardzo daleko...

Podniósł rękę i zamówił kawę, jakby tym gestem chciał sobie dodać odwagi.

– Opowiadałem już pani, że zaraz po tym, jak poznałem Seana, wykorzystałem wszystkie swoje wpływy, żeby wypromować jego sztukę, żeby świat się nim zainteresował. Sean był bardzo ambitny, chciał poznawać jak najwięcej ludzi. Skontaktowałem go z różnymi wpływowymi osobami w Londynie, Berlinie, w Hongkongu... ale było jedno miejsce, do którego nigdy nie chciał pojechać. To był Nowy Jork.

– Nie rozumiem.

– Za każdym razem, kiedy proponowałem mu spotkanie z kolekcjonerami na Manhattanie, zmieniał temat – wyjaśnił Benedick.

– Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale od dziewięćdziesiątego drugiego aż do tego straszego roku dwa tysiące czternastego Sean Lorenz nigdy nie odwiedził miasta, w którym się urodził.

– Czy mieszkał tam jeszcze ktoś z jego rodziny?

– Sean miał już tylko matkę, ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych sprowadził ją do Paryża. Była wówczas bardzo chora i zmarła niedługo potem.

Benedick zamoczył w kawie ciastko.

– Po jakimś czasie, ponieważ wciąż nalegałem, zaczął trochę „puszczać farbę”.

– Czy to dotyczyło okoliczności jego wyjazdu z Ameryki? – spytała Madeline.

Potwierdził ruchem głowy.

– Jesienią dziewięćdziesiątego drugiego, po „lecie miłości” z Pénélope, Sean znalazł się w Nowym Jorku zupełnie sam. Był bardzo przygnębiony i jedynym jego celem było dołączyć do ukochanej w Paryżu. Ale nie miał ani grosza. Żeby zarobić na bilet samolotowy, wpłatał się w drobne oszustwa, w które zamieszana była również LadyBird.

– To ta jedyna kobieta w grupie Pirotechników... – przypomniała sobie Madeline.

– Naprawdę nazywała się Beatriz Muñoz. Była córką imigrantów z Chile, którzy harowali w fabrykach w północnym Bronxie. Dziwna z niej była kobieta, zamknięta w sobie, dzika, o zachowaniach prawie autystycznych i budowie zapaśnika. Nie ulegało wątpliwości, że zakochała się w Seanie i że rzuciłaby się dla niego z okna, gdyby ją o to poprosił.

– Myśli pan, że on to wykorzystał?

– Prawdę mówiąc, to nie wiem. Sean był geniuszem, więc także arogantem, facetem trudnym w życiu codziennym, na pewno jednak nie podłym. Był impulsywny, łatwo wpadał w złość, miewał obsesje, ale nigdy nie widziałem, żeby z pogardą odnosił się do słabszych. Wydaje mi się, że długo nie odrzucił Beatriz po prostu dlatego, że nie chciał zrobić jej przykrości.

– Ale Pénélope wszystko to zburzyła.

– Bez wątpienia! Kiedy Beatriz dowiedziała się, że Sean zamierza wyjechać do Paryża, z pewnością się załamała. Mimo to pomogła mu zdobyć forszę, okradając sklepy.

W Madeline odezwała się policjantka.

– To nazywa pan drobnymi oszustwami? Napady z bronią w ręku?!

– Och, proszę przestać! Jedyłą bronią, jakiej używali, były pistolety na wodę i gumowe maski Maria i Luigiego!

– Z bronią czy bez napad pozostaje napadem, a z doświadczenia wiem, że takie coś rzadko kończy się dobrze! – nie ustępowała Madeline.

– No tak, powiedzieć, że ta historia nie skończyła się dobrze, to eufemizm – zgodził się Benedick. – Któregoś wieczoru w Chinatown właściciel sklepu spożywczego nie chciał dać się okraść. Wyjął spluwę, którą trzymał pod ladą, i wystrzelił. Seanowi udało się uciec z kasą, ale Beatriz dostała kulę w plecy i upadła na ziemię.

Madeline wpiła palce w oparcie krzesła. Benedick ciągnął zrezygnowanym tonem:

– Gdy policja ją złapała, mieli już grubą teczkę dowodów przeciwko niej.

– Nagrania z kamer z poprzednich napadów... – odgadła Madeline.

– Tak. To był czwarty sklep obrabowany w tym miesiącu. Ich maski wąsatych hydraulików były rozpoznawalne na każdej taśmie. To ich

zdradziło, zamiast ochronić. Niestety, Beatriz Muñoz była już wiele razy zatrzymywana i spisywana z powodu tagowania. Dla policji i prokuratora to był strzał w dziesiątkę, rzucili się na sprawę z entuzjazmem. Tak wygląda cały wymiar sprawiedliwości w Stanach: silny wobec słabych, słaby wobec silnych.

– Nigdy nie wydała Seana?

– Nigdy. Została skazana na osiem lat więzienia i jeszcze cztery dodatkowe za próbę ucieczki i niekontrolowaną agresję w stosunku do innych więźniarek.

– Sean nie zgłosił się na policję?

Benedick roześmiał się nerwowo.

– Następnego dnia po aresztowaniu Beatriz siedział już w samolocie do Paryża. Leciał do Pénélope! Rozumował prosto: nic nie był winien Beatriz, ponieważ nigdy o nic jej nie poprosił. Pomagała mu z własnej inicjatywy.

– Tak więc zerwał kompletnie ze wszystkimi swoimi znajomymi z młodości?

– Zgadza się.

– I myśli pan, że to z tego powodu nie chciał wrócić do Nowego Jorku?

– To chyba oczywiste, prawda? Czuł, że w tym mieście nie będzie bezpieczny. I miał rację. Kiedy w dwa tysiące czwartym roku Beatriz Muñoz wyszła z więzienia, była osobą schorowaną i załamana psychicznie. Pracowała tu i tam, próbowała malowania, ale nikogo już nie знаła w środowisku, żadnej galerii, nie liczyła się na rynku sztuki. Zdradzę pani, że nic nie mówiąc Seanowi, kupiłem parę jej obrazów za pośrednictwem ośrodka pomocy społecznej w Harlemie. Jeśli ma pani ochotę, mogę je pokazać. Jej malarstwo po tym, jak wypuszczono ją z więzienia, było przerażające, bezduszne, dołujące.

– Czy wiedziała, co się działo z Seanem?

Benedick wzruszył ramionami.

– A jak pani sądzi? Dziś wystarczy wejść do internetu, żeby poznać prawie całe jego życie. Do Beatriz docierała oficjalna wersja mediów: malarz odnoszący ogromne sukcesy, milioner, żonaty z modelką, ojciec uroczego chłopczyka. Zwariowała z wściekłości.

– I co?

– W roku dwa tysiące trzynastym Muzeum Sztuki Współczesnej skontaktowało się z Seanem. W dwa tysiące czternastym chcieli zorganizować pierwszą wielką wystawę retrospektywną jego prac. Mimo że Sean nie miał najmniejszej ochoty wracać do Nowego Jorku, takiej propozycji nie mógł odrzucić. W grudniu dwa tysiące czternastego roku poleciał więc do Nowego Jorku z żoną i dzieckiem na otwarcie poświęconej mu wystawy i żeby udzielić kilku wywiadów. Planował zostać tam tylko tydzień, ale to wystarczyło, żeby stało się nieszczęście.

5

Pauline Delatour sama w sobie była spektaklem, tak bardzo starała się naładować erotyzmem każdy swój gest: zalotnie zatykała za ucho nieposłuszny kosmyk, zakładała nogę na nogę, szybko zlizywała językiem kroplę kawy, która zgromadziła się w kąciku ust. Nie miało to w sobie nic z wulgarnych prowokacji, było raczej naturalnym zachowaniem młodej, ładnej dziewczyny zadowolonej z życia. Gaspard nie musiał się zmuszać, żeby odpowiadać na jej zaloty, ale po dwóch filiżankach kawy skierował rozmowę na temat, który naprawdę go interesował, czyli na Seana Lorenza. Trudniej jeszcze było mu powstrzymać ciekawość, gdy dowiedział się, że Pauline była

opiekunką Juliana podczas pobytu Lorenza w Nowym Jorku zimą 2014 roku.

– Przeżyłam ten dramat bezpośrednio i choć minęły już dwa lata, wciąż śni mi się to po nocach... – oświadczyła. – Zajmowałam się Julianem prawie cały dzień. Sean był zajęty od rana do wieczora przygotowaniem wystawy. Pénélope niczego sobie nie żałowała: zakupy, manicure, sauna...

– Gdzie się zatrzymali?

– Wynajęli apartament w takim eleganckim hotelu Bridge Club w TriBeCe.

Otworzyła kuchenne okno i przysiadła na parapecie, zapalając papierosa.

– Tego dnia, gdy to wszystko się wydarzyło, Pénélope chciała pójść na zakupy do sklepu Dean and DeLuca, a potem miała zaplanowany lunch w ABC Kitchen, restauracji przy Union Square. Zamierzała zabrać ze sobą synka, żeby kupić mu trochę ubrań, ale w ostatniej chwili poprosiła mnie, żebym się nim zajęła.

Pauline zaciągnęła się papierosem. W kilka sekund jej wesołość ustąpiła zdenerwowaniu, którego nawet nie starała się ukryć.

– To był mój wolny dzień. Ponieważ miałam inne plany, nie zgodziłam się. Pénélope odparła, że nic nie szkodzi, weźmie go ze sobą. Ale prawda była taka, że nie poszła ani do Greenwich Village, ani na Union Square. Miała spotkanie ze swoim kochankiem na drugim końcu miasta, w północnej części Upper West Side, w hotelu przy Amsterdam Avenue.

– Kto był jej kochankiem?

– Philippe Careya, deweloper z Nicei, który kręcił się między Lazurowym Wybrzeżem a Miami. Trochę prostak... To był pierwszy chłopak Pénélope, jeszcze z czasów liceum.

– Co robił w Nowym Jorku?

– Pénélope namówiła go, żeby przyjechał. Uważała, że Sean ją zaniedbuje.

– Sean wiedział, że ona go zdradza?

Pauline westchnęła.

– Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Stosunki między nimi wyglądały jak w tej *Piosence dawnych kochanków*... Miłość, która żeby rozkwitnąć, potrzebuje konfliktów i cierpienia. Nigdy nie zrozumiałam, co ich właściwie łączyło. Kto w tym związku był facetem, kto rządził, kto był czyim więźniem...

– Dziecko tego nie naprawiło?

– Dziecko rzadko naprawia trudne związki... – Pauline wzruszyła ramionami.

– A on ją zdradzał?

– Nie wiem.

– A z panią? – sprecyzował swoje pytanie Gaspard.

– Facet, który zdradza żonę z opiekunką do dziecka, to raczej scenariusz kiepskiego pornosu! – odpowiedziała pogardliwi.

Zapadła cisza. Po chwili Pauline niespodziewanie przyznała:

– Nie, żebym nie próbowała... Ale jednak nie.

Gaspard wstał i poprosił gospodynię o pozwolenie, nalał sobie kolejną filiżankę kawy.

– Więc co się stało w Nowym Jorku tego dnia?

– Pod wieczór, widząc, że Pénélope nie wróciła i nie dała znaku życia, Sean zaczął się niepokoić, ale nie od razu zawiadomił policję. Pénélope była poza zasięgiem, ponieważ, jak się okazało, zostawiła komórkę w hotelu. Czas mijał, a my coraz bardziej się denerwowaliśmy. O jedenastej w nocy Sean zdecydował się powiadomić hotelową ochronę, a ona natychmiast zadzwoniła na policję. Nowojorscy gliniarze od samego początku traktowali sprawę poważnie: zaginęło przecież także dziecko, a Sean był osobą znaną.

Przez całą noc policja rozsyłała rysopisy zaginionych do wszystkich patroli i zaczęto sprawdzać nagrania z kamer umieszczonych wszędzie tam, gdzie Pénélope teoretycznie mogła się znaleźć. Oczywiście efekt był żaden.

Pauline zdusiła niedopałek na spodeczku od filiżanki po kawie. Była bardzo blada.

– O siódmej rano kurier dostarczył do hotelu kartonowe pudełko, w którym znaleźliśmy mały palec dziecka i żądanie okupu poplamione krwią. To było okropne. Do akcji wkroczyło FBI. Rozszerzyli zasięg poszukiwań, dali ogłoszenie o porwaniu dziecka, sięgnęli po wszystkie narzędzia policji kryminalnej... W końcu trafili na kamerę monitoringu, która nagrała porwanie Pénélope i jej syna na Amsterdam Avenue.

Pauline przetarła oczy i głęboko odetchnęła.

– Widziałam to nagranie. To był prawdziwy horror. Jakiś ogromny, silny potwór wpychał Pénélope i Juliana do starej furgonetki.

– Jaki potwór?

– Garbaty bandzior, szeroki w barach, z silnymi rękami...

Gaspard popatrzył na nią sceptycznie.

– Odciski palców znalezione na przesyłce figurowały w rejestrze policji – ciągnęła Pauline. – Należały do Beatriz Muñoz, przestępczyni, znanej również jako LadyBird, która w młodości spotykała się z Seanem.

Na dźwięk tego imienia Gaspard przypomniał sobie zdjęcia, które widział poprzedniego dnia w książce o Seanie: fotografie przedstawiające młodych Pirotechników podczas malowania wagonów metra w początkach lat dziewięćdziesiątych. Był tam Sean w zbyt obszernej kurtce, NightShift – arogancki Latynos z odstającymi uszami – i LadyBird, wbrew swojemu pseudonimowi wielka i ciężka, w opasce w stylu Geronimo na kruczoczarnych włosach.

– Gdy tylko do akcji wkroczyło FBI, wszystko poszło szybko. Przed południem zlokalizowano squat, gdzie Beatriz Muñoz zawlokła swoje ofiary: hangar dawnej fabryki w Queensie. Ale kiedy FBI tam dotarło, było już za późno: Julian nie żył.

6

– A ta dziwna suma okupu? – spytała Madeline.

– Ma pani na myśli cztery miliony dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów? – Bernard Benedick zmrużył oczy.

– Tak.

– To cena cierpienia: liczba dni, które Beatriz Muñoz spędziła w więzieniu, pomnożona przez tysiąc. Jedenaście lat i dziewięć miesięcy piekła: cztery tysiące dwieście dziewięćdziesiąt dni. Przedstawiona w taki sposób suma wydaje się śmieszna.

– Wyobrażam sobie, że Lorenz próbował zebrać pieniądze.

– Oczywiście, ale Beatriz Muñoz nie chciała pieniędzy.

– Więc o co jej chodziło, o zemstę?

– Tak, to była ta „dzika zemsta”, o której mówi Francis Bacon. Pragnęła złamać Seanowi życie, skazać na takie straszne cierpienie, jakie stało się jej udziałem.

– Ale jednak oszczędziła żonę Lorenza?

– No, niewiele brakowało... FBI znalazło Pénélope przywiązaną drutem kolczastym do krzesła. Blizny po tych ranach zostały jej do dzisiaj. Ale najstraszniejsze było to, że Beatriz zasztyletowała Juliana na jej oczach.

Madeline skamieniała. Przypomniała sobie słowa swojego przyjaciela Danny'ego: „...droga, która prowadzi ku ciemności,

cierpieniu i śmierci”. Znow znalazła się na tej drodze, przed którą Danny ją ostrzegał.

– Czy Beatriz Muñoz jest w więzieniu?

– Nie, udało jej się uciec z kryjówki tuż przed akcją policji. Rzuciła się pod pociąg na stacji Harlem–125th Street, tam gdzie kiedyś z Seanem malowali wagony.

Benedick fatalista westchnął smutno.

Madeline zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu tabletki na ból brzucha.

– Od wczoraj męczy mnie jedna kwestia... – odezwała się, połknąwszy lekarstwo. – Sean Lorenz umarł w Nowym Jorku, prawda?

– Tak, dostał zawału serca na środku ulicy.

– Co tam robił? Po co wracał do miasta, z którego miał tak ponure wspomnienia?

– Właśnie, pojechał tam na spotkanie ze swoim kardiologiem. Tak mi powiedział przez telefon, a mam powody sądzić, że mówił prawdę.

– Jakie?

Benedick otworzył walizeczkę z luksusowej skóry, leżącą na krześle obok niego.

– Ponieważ wiedziałem, że znow się spotkamy, wziąłem to ze sobą... – odparł, wręczając Madeline jasnobrązowy notes.

Przyjrzała się notesowi uważnie. Był to mały kalendarzyk Smythson z zadrukowanej skóry.

– Kiedy Sean umarł, byłem w Paryżu. Od razu poleciałem do Nowego Jorku, żeby zająć się transportem ciała. Z hotelu, w którym się zatrzymał, zabrałem wszystkie jego rzeczy osobiste. Była to mała walizeczka, do której spakował trochę ubrań, i ten właśnie notes.

Madeline przekartkowała zeszyt. Jedno było pewne: w ostatnim roku swojego życia Sean Lorenz zapisywał w nim wyłącznie terminy

wizyt u różnych lekarzy. Na dzień, w którym umarł, dwudziestego trzeciego grudnia 2015 roku, wpisał: „10.00 dr Stockhausen”.

– Co mu właściwie było?

– Przeszedł kilka zawałów serca. W ciągu ostatniego roku miał parę razy wstawiane stenty i bajpasy. Pamięta pani tę piosenkę Léo Ferrégo: *Jeśli serce już nie bije, nie ma sensu dalej szukać...*

– Czy mogę zatrzymać ten notes?

Benedick zawahał się, ale po chwili kiwnął głową.

– Czy naprawdę wierzy pan w istnienie tych trzech ostatnich płócien?

– Nie mam wątpliwości, że one istnieją! – odpowiedział, wbijając wzrok w Madeline. – Tak samo jak jestem pewien, że pani je odnajdzie.

Wolała zachować ostrożność.

– Aby to było możliwe, musi mi pan wskazać, gdzie mam szukać. Z kim mogłabym się skontaktować...

Benedick się zastanowił.

– Niech się pani umówi z Diane Raphaël. To świetna lekarka, psychiatra, bardzo sympatyczna, poza tym jest jedną z niewielu osób, które Sean szanował. Poznała go kilka miesięcy po jego przyjeździe do Francji, w czasach, gdy rozwijał się projekt społeczny Hôpital Éphémère. Diane zajmowała się wówczas pogotowiem dla narkomanów. Interesowały ją nowe formy sztuki i była pierwszą klientką Seana, kupiła od niego dwa obrazy. Uważał ją za swojego anioła stróża.

Madeline przypomniała sobie, że Gaspard mówił jej o tej kobiecie poprzedniego wieczoru.

– Kogo jeszcze by mi pan polecił?

– Może Jeana-Michela Fayola... właściciela sklepiku z farbami przy Sekwanie. Sean podczas malowania często prosił go o radę.

– A Pénélope Lorenz... Czy ona wciąż mieszka w Paryżu?

Benedick pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

– Może mi pan podać jej adres?

Wyjął z kieszeni pióro i wydarł kartkę z kalendarzyka.

– Napiszę pani jej wszystkie dane, na nic się to jednak nie przyda.

Poznanie Pénélope było wielkim szczęściem Seana, ale i jego wielkim nieszczęściem. Ona była iskrą, która rozpałała w nim płomień geniuszu, tylko po to, żeby później spowodować pożar, który zniszczył jego życie.

Benedick wręczył Madeline złożoną na czworo karteczkę, a potem, patrząc w dal, powiedział na głos, jakby do siebie:

– Bo w gruncie rzeczy, czy jest coś smutniejszego niż widok pokrewnej duszy przemieniającej się w duszę potępioną?

6

Suma destrukcji

Do tej pory obraz był sumą konstrukcji. Mój obraz jest sumą destrukcji.

Pablo Picasso

1

Boulevard Saint-Germain skąpany był w bladych promieniach słońca. Bezlistne platany, kamienice z piaskowca, zaśnieżone kawiarnie i luksusowe butik.

Madeline wyprzedziła samochód elektryczny i włączyła kierunkowskaz, skręcając w rue Saint-Guillaume. Przejechała dwadzieścia metrów i zaparkowała skuter prostopadle do krawężnika między poobijanym smartem a błyszczącą, czyściutką terenówką. Adres, który podał jej Benedick, wskazywał na jeden z pięknych domów przy tej ulicy, z niedawno odnowioną, rzeźbioną fasadą. Stała przed monumentalną bramą z lakierowanego drewna i wcisnęła guzik domofonu.

– Słucham? – odezwał się czyjś głos.

– Pani Lorenz?

Milczenie. Madeline postanowiła zaszachować żonę Seana policyjną wizytówką.

– Dzień dobry, jestem z policji. Badam sprawę zaginięcia ostatnich obrazów namalowanych przez pani męża. Czy mogłaby pani poświęcić mi kilka minut na...

– Odpierdol się, ty kurewska dziennikarko!

Madeline cofnęła się o krok, zaskoczona przekleństwem. Nie było sensu naciskać. Jeśli takie było nastawienie Pénélope Lorenz, i tak nic by nie uzyskała.

Wróciła do vespy z innym już pomysłem w głowie. Rue de l'Université, rue du Bac, boulevard Raspail, Montparnasse. Przy rue d'Odessa, między naleśnikarnią a sex shopem, Madeline znalazła kafejkę internetową, której szukała. Otwierając drzwi, obiecała sobie nie wyjść z tego miejsca, dopóki nie osiągnie celu.

2

Gaspard zjawił się w restauracji przed czasem. Le Grand Café, znajdujące się obok straganów dużego sklepu rybnego, było eleganckim lokalem ze staromodnym, ale przytulnym wystrojem: ściany wyłożone boazerią, krzesła Baumanna z giętego drewna, stoliki jak w bistro, wielkie lustro, a na podłodze szachownica z czarno-białych kafelków. Dekorację dopełniał ciepły akcent z południa: sztuczne dzikie wino zwisające z sufitu niczym w altanie.

Było wpół do pierwszej i w trzech czwartych pusta sala zaczynała się wypełniać. Gaspard poprosił o stolik dla dwóch osób. Położył na nim komórkę, która ciążyła mu w kieszeni, zawiesił marynarkę na poręczu krzesła i podszedł do baru, gdzie zamówił kieliszek białego wina Quincy i spytał, czy może zadzwonić. Zdziwiony kelner popatrzył na niego podejrzliwie i wskazał na telefon zostawiony przez Gasparda na stoliku.

– Nie działa? – zapytał.

Gaspard nawet się nie odwrócił.

– Nie umiem się nim posługiwać. Czy mogę więc zadzwonić?

Kelner kiwnął głową i podał mu staromodną słuchawkę. Gaspard włożył okulary, żeby odcyfrować numer zapisany przez Pauline.

Miał szczęście: Diane Raphaël odpowiedziała już po trzecim sygnale, przepaszając z góry za złą jakość połączenia. Nie było jej w Paryżu, jechała właśnie TGV do Marsylii, gdzie miała odwiedzić swojego pacjenta w szpitalu Sainte-Marguerite. Gaspard przedstawił się, mówiąc, że dzwoni z polecenia Pauline Delatour. Lekarka, która dużo czasu spędzała w Nowym Jorku, odparła, że widziała jedną z jego najbardziej ponurych sztuk, *Asylum* – ostrą krytykę różnych pochodnych psychoanalizy. Ta sztuka nie zyskała mu przyjaciół w środowisku psychoanalityków, ale Diane nie była mściwa i zapewniła go, że „dawno się tak nie ubawiła”.

Gaspard nie umiał kłamać, odkrył więc od razu karty. Wyjaśnił, że wynajmuje dom Seana Lorenza i że pomaga przyjaciółce policjantce, która wbiła sobie do głowy, że odnajdzie trzy zaginione płótna malarza.

– Jeśli te płótna w ogóle istnieją!

– Pauline mówiła mi, że troskliwie opiekowała się pani Seanem w ostatnim roku jego życia.

– Chce pan powiedzieć: w ciągu ostatnich dwudziestu lat? Przez ponad dwadzieścia lat byłem jego przyjaciółką i psychoterapeutą!

– Myślałem, że te dwie funkcje się wykluczają.

– Nie lubię stereotypów. Pomagałam mu, jak mogłam, ale może rzeczywiście nad geniuszami ciąży jakieś fatum...

– Co pani przez to rozumie?

– Mam na myśli dawne pojęcie twórczej destrukcji. Aby stworzyć dzieło życia, Sean być może musiał zniszczyć siebie i swoje otoczenie.

Mimo złej jakości połączenia Gaspard był pod wrażeniem melodyjnego, głębokiego i brzmiącego przyjaźnie głosu Diane Raphaël.

– Pauline powiedziała mi jeszcze, że po śmierci syna Lorenz załamał się zupełnie i...

– To żadna tajemnica – przerwała mu. – Po śmierci Juliana Sean tak naprawdę już nie żył. Stracił ostatni punkt zaczepienia i nie robił nic, żeby to zmienić. Poza tym był schorowany. Niedługo przed śmiercią przeszedł dwie ciężkie operacje. Kilkakrotnie go reanimowano i za każdym razem znajdował się na progu śmierci. Ale traktował to cierpienie jako pokutę.

– Malarstwo nie przynosiło mu ulgi?

– Nic nie jest w stanie zrekompensować ojcu straty dziecka.

Gaspard przymknął oczy i wypił ostatni łyk białego wina, dając ruchem ręki znak kelnerowi, że prosi o następny kieliszek.

– Nie wszyscy rodzice, którzy tracą dziecko, popełniają samobójstwo – zauważył.

– Ma pan rację, każdy reaguje inaczej – zgodziła się Diane. – Nie będę omawiała teraz historii choroby Seana, powiem tylko, że reagował na wszystko z przesadą. Był cyklotymikiem, co odbijało się na jego pracy.

– Choroba dwubiegunowa?

– Na pewno tak jak wielu artystów charakteryzowały go gwałtowne zmiany nastroju. W okresie euforii wykazywał niezwykle entuzjizm życiowy, który zniknął podczas napadów złego humoru.

Gaspard rozpiął guzik kołnierzyka. Dlaczego w środku grudnia było tu tak gorąco?

– Czy Lorenz był narkomanem?

Diane po raz pierwszy straciła cierpliwość.

– Zadaje pan bardzo dużo pytań, panie Coutances – rzuciła zirytowana.

– Tak, przepraszam.

Usłyszał w słuchawce głos konduktora zawiadamiającego, że wkrótce pociąg wjedzie na Gare de Saint-Charles.

– Sean chciał się znieczulić, zapomnieć – kontynuowała. – Bardzo cierpiał po stracie ukochanego syna, nie miał siły się ratować ani słuchać głosu rozsądku. Wszystko było dobre: środki nasenne, tabletki uspokajające i tak dalej. Przepisywałam mu je, bo i tak jakoś by je zdobył. W ten sposób przynajmniej miałam kontrolę nad tym, co brał.

Połączenie stawało się coraz gorsze, Gaspard jednak zaryzykował ostatnie pytanie.

– Wierzy pani w te ukryte gdzieś obrazy?

Niestety, odpowiedź Diane zagłuszył hałas na dworcu.

Gaspard rozłączył się i dopił wino. Kiedy się odwrócił, zobaczył Madeline wchodzącą do restauracji.

3

– Jakiś aperitif? – zaproponował kelner, opierając o krzesło obok ich stolika wielką czarną tablicę, na której wypisane były dania dnia.

Madeline zamówiła butelkę wody gazowanej, a Gaspard trzeci kieliszek wina, po czym z uśmiechem podsunął towarzyszce komórkę, której zapomniała, wychodząc z domu.

– Och! Dziękuję bardzo! – powiedziała Madeline.

Pomyślał, że to dobry moment na przeprosiny.

– Bardzo mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru, zdenerwowałem się...

– Nieważne, proszę o tym zapomnieć.

– Nie miałem pojęcia, że stara się pani zająć w ciążę.

Madeline spurpurowiała.

– Co panu przyszło do głowy?!

– Tak wywnioskowałem, bo... – wymamrotał, uświadamiając sobie niezręczność sytuacji. – Dostała pani dziś rano SMS-a z jakiejś kliniki w Madrycie, potwierdzającego otrzymanie wyników...

– Czy to, kurwa, pański interes?! Czy myśli pan, że mam ochotę rozmawiać o tym przy stoliku w restauracji?!

– Bardzo panią przepraszam, przeczytałem ten tekst mimowolnie.

– Mimowolnie?! – wykrzyknęła w złości.

Nie zamienili już ani jednego słowa, nie patrzyli też na siebie aż do chwili, gdy kelner przyniósł im napoje, a szef knajpy podszedł, by przyjąć zamówienie. Madeline postanowiła wykorzystać jego obecność i pokazała mu pudełko zapalek z reklamą restauracji otrzymane od Benedicka.

– Czy to prawda, że Sean Lorenz był państwa regularnym gościem? – spytała.

– To mało powiedziane, Sean Lorenz był przyjacielem domu! – odpowiedział właściciel restauracji z dumą.

Był to niski, gadatliwy mężczyzna z wygoloną czaszką, ubrany w za duży garnitur i biały krawat w wielkie, czarne grochy. Wyrazista mimika powodowała, że na upartego można go było porównać do Louisa de Funèsa.

– Przez długie lata pan Lorenz prawie codziennie jadł u nas obiad... Oczywiście wszystko zmieniło się po śmierci jego syna. – Oczywiście właściciela restauracji zaszły mgłą. – Któregoś wieczoru, kiedy zamykałem już lokal, zauważyłem go na ławce, ledwo siedział, tak był pijany. Odprowadziłem go do domu, na rue du Cherche-Midi. Było mi go bardzo żal... – Mężczyzna zamilkł, ale po chwili cmoknął i chcąc przegonić smutny nastrój, dodał: – Przez ostatnie dwa czy trzy miesiące pan Lorenz jakby czuł się lepiej. Kilka razy nas odwiedził i...

– Myśli pan, że wrócił do malowania? – przerwał mu Gaspard.

– Na pewno! Znów wciąż coś tam kreślił w szkicowniku, nawet podczas jedzenia! To było oczywiste.

– Może wie pan, nad czym pracował?

De Funès uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Bardzo mnie to ciekawiło, dlatego gdy przynosiłem do stolika dania, zawsze starałem się zerknąć mu przez ramię. Rysował labirynty.

– Labirynty?

– Tak, takie labirynty Kafki, bez wejścia i bez wyjścia. Gmatwanina linii, od której kręciło się w głowie.

Madeline i Gaspard popatrzyli na siebie z powątpiewaniem, ale ich rozmówca miał jeszcze asa w rękawie.

– Parę dni przed śmiercią pan Lorenz zrobił nam fantastyczny prezent: ułożył mozaikę tu, w naszej restauracji.

– Tu? – zdziwił się Gaspard.

– Tak jest! – potwierdził restaurator dumnie. – W głębi drugiej sali. To jedna z niewielu mozaik Seana Lorenza, a w każdym razie największa, jaką kiedykolwiek wykonał. Odwiedzają nas amatorzy sztuki z całego świata, żeby ją zobaczyć czy sfotografować. Zwłaszcza Azjaci.

Mężczyzna nie dał się długo prosić i zaraz zaprowadził ich do drugiej sali, gdzie ścianę w głębi zdobiła różnokolorowa mozaika.

– Pan Lorenz chciał przygotować ilustrację do książki Roalda Dahla *Krokodyl Olbrzymi*. To była ulubiona bajka jego syna. Musiał mu ją opowiadać co wieczór do snu. Piękny wyraz pamięci, prawda?

Mozaika zbudowana była z setek błyszczących kwadracików, które przypominały nieco wielkie piksele gier wideo z lat osiemdziesiątych. Mrużąc oczy, Madeline rozpoznała bohaterów bajki swojego dzieciństwa: krokodyla, małpę, słonia i zebra, brykających po sawannie.

Była to fantastyczna i wesoła bajka, nawet jeśli pozornie wyglądała na banalną opowiastkę. Madeline, poprosiwszy o pozwolenie, sfotografowała mozaikę, a potem oboje z Gaspardem wrócili do stolika.

4

– Widzę, że ta mała Pauline wpadła panu w oko!

Tak jak poprzedniego wieczoru wymieniali się zdobytymi informacjami.

– Jest miła i bezproblemowa.

– Czy to aluzja do mnie?

Gaspard odwrócił głowę, uciekając przed spojrzeniem Madeline.

– Lepiej zmieńmy temat, jeśli to pani nie przeszkadza.

Madeline zaproponowała podział pracy.

– Może dziś po południu ja pójde spotkać się z Jeanem-Michelem Fayolem, właścicielem sklepu z farbami, w którym zaopatrywał się Sean. A pan w tym czasie mógłby odwiedzić Pénélope Lorenz.

Gaspard podrapał się w brodę, sceptycznie patrząc w dal.

– Dlaczego mam się narażać na nieprzyjemności i porażkę? Powiedziała pani przed chwilą, że sama pocałowała pani klamkę.

– Wobec pana zachowa się inaczej.

– Skąd ta pewność?

– Po pierwsze, dlatego, że jest pan mężczyzną. A po drugie, mam świetny pomysł...

Uśmiechając się od ucha do ucha, Madeline wyjaśniła mu, jak, jej zdaniem, należy podejść żonę Seana.

W kafejce internetowej, którą znalazła, utworzyła konto mailowe na nazwisko Gasparda i od razu wysłała z tego adresu prośbę do

Pénélope o wypożyczenie *Naked*, jednego z obrazów Lorenza będących w jej posiadaniu.

– Nic nie rozumiem... – warknął Gaspard. – Po co mi ten obraz? To nie ma sensu.

Madeline odsunęła swój talerz i rozłożyła na stole kserokopię artykułu z „Daily Telegraph”, gdzie na przyszłą wiosnę zapowiadano w Londynie trzydzieści przedstawień *Przysięgi Hipokratesa*, sztuki teatralnej autorstwa Gasparda Coutances’a.

– Wypożyczy pan ten obraz jako dekorację na premierę pańskiej sztuki.

– Absurdalne!

Nie zareagowała.

– W mailu zaproponowałam dwadzieścia tysięcy euro. Benedick powiedział mi, że Pénélope potrzebuje gotówki i że chciała sprzedać ten obraz na aukcji. Jeśli nadarzy się okazja rozślawienia go przed sprzedażą, może pan być pewny, że jej nie przegapi.

Gaspard zmarszczył brwi. Był wściekły.

– Podszyła się pani pode mnie!

– Niech się pan nie denerwuje, to dla dobra sprawy!

– Zasady tak, ale dla innych, co? Nie cierpię ludzi takich jak pani.

– Takich jak ja? To znaczy?

– Wiem, co mówię.

– Ja nie bardzo.

Wciąż zirytowany, wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, wdowa po Lorenzu nigdy nie uwierzy w takie bzdury!

– Myli się pan! – odparła Madeline triumfująco. – Proszę sobie wyobrazić, że już mi odpowiedziała i czeka na pana w umówionym miejscu za pół godziny, aby wszystko omówić.

Gaspard otworzył usta, żeby zaprotestować, ale tylko westchnął zrezygnowany. Madeline szybko dodała:

– Po rozmowie z Fayolem idę na spotkanie z dawną przyjaciółką, która przyjechała na krótko do Paryża. Jak skończy pan z Pénélope, proszę przyjść do Sémaphore, omówimy sprawę.

– A co to takiego ten Sémaphore?

– Taki mały lokal na rogu rue Jacob i rue de Seine.

Było tak ciepło, że w restauracji rozsunięto wielkie szklane drzwi. Ponieważ Madeline chciała zapalić, z kawą przenieśli się na taras. Madeline zamyślona zwijała w ciszy papierosa, Gaspard też milczał, smakując ostry armaniak, którym poczęstował go właściciel knajpy. Nie śmieli tego przyznać na głos, ale wyglądało na to, że stali się parą detektywów!

Fascynująca twórczość Lorenza wciągnęła ich oboje, znaleźli się pod jej przemożnym wpływem. Wszystko, co dotyczyło tego artysty – sens jego malarstwa czy tajemnice życia prywatnego – otoczone było w ich myślach przedziwną aurą irracjonalnej nadziei, że gdy wreszcie odkryją jego sekrety, staną się one ich własnością. Nie przyznawali się do tego, oboje jednak wierzyli nierozsądnie, że tajemnice malarza pozwolą im dotrzeć do jakiejś głęboko ukrytej prawdy – szukając obrazów Lorenza, szukali bowiem również siebie.

Ci, których spala...

Sztuka jest jak pożar, powstaje z tego, co spala.

Jean-Luc Godard

1

Starą kamienicę, w której mieszkała Pénélope Lorenz, charakteryzowały ponadczasowość i surowa elegancja pięknych domów w dzielnicy skupionej wokół kościoła Saint-Thomas-d'Aquin: jasna, skromna fasada z kamienia, błyszczący marmur schodów, gigantyczne wysokie sufity, trzeszczący parkiet ułożony w jodełkę.

Wnętrze mieszkania kontrastowało z ascetycznym budynkiem. Wystrój był wręcz wulgarny. Jakby jakiś niedokształcony miłośnik Philippe'a Starcka nadzorował urządzenie pomieszczeń, dzierżąc w dłoni listę wszystkich najbardziej niegustownych detali. Tapicerowane jaskraworóżowe fotele zarzucone poduszkami ze sztucznego futra, obok wielki stół z pleksiglasu, ogromny barokowy żyrandol, a do tego mnóstwo bibelotów i fantazyjnych lamp.

Mężczyzna, który otworzył drzwi Gaspardowi, spojrzał na niego nieufnie i z ociąganiem oznajmił, że nazywa się Philippe Careya. Gaspard pamiętał, że Pauline wspomniała o nim jako o pierwszym chłopaku Pénélope. A więc wciąż z nim była. Deweloper z Nicei okazał

się niskim grubasem, choć Gaspard wyobrażał go sobie zupełnie inaczej. Łysy, z brodą, worami z niewyspania pod oczami i w za dużej koszuli, pod którą widać było siwiejące włosy na piersi. Z szyi zwisał mu złoty łańcuch z zębem rekina. Trudno było zrozumieć, czym mógł oczarować młodą, piękną dziewczynę u szczytu powodzenia. Może był wtedy inny? Może miał jakieś ukryte zalety? Albo, co wydawało się najpewniejsze, pociąg między dwojgiem ludzi jak zwykle niewiele miał wspólnego z rozsądkiem.

Philippe Careya zaprowadził go do małego saloniku, którego okna wychodziły na wewnętrzne podwórko, po czym odwrócił się i zajął ogłoszeniami o nieruchomościach wyświetlonymi na ekranie złotego MacBooka. Gaspard czekał mniej więcej dziesięć minut na gospodynię. Kiedy dawna modelka weszła do pokoju, ledwo udało mu się ukryć zaskoczenie.

Pénélope Lorenz zmieniła się nie do poznania. Oszepecona przez operacje plastyczne, była przeraźliwą karykaturą swojego poprzedniego wcielenia. Jej nieruchoma, gładka jak wosk twarz zdawała się topnieć. Zniekształcone usta wyglądały jak napęczniały pęcherz tuż przed pęknięciem. Spuchnięte powieki i stanowczo za wysoko podniesione policzki zmniejszyły jej oczy. Nabrzmiała, zniszczona twarz kontrastowała z chudą jak szkielet sylwetką; tylko piersi przypominały nadmuchane balony.

– Dzień dobry, panie Coutances. Dziękuję, że zechciał mnie pan odwiedzić... – przywitała go zdyszana, mówiąc lekko przez nos, po czym usiadła obok.

Ponieważ świadoma była swojego wyglądu i wrażenia, jakie robiła na ludziach, spoglądała wokoło jak ścigane zwierzę.

Jak do tego doszło? Skąd ta metamorfoza? Gaspard pamiętał jej zdjęcia, gdy jako wzięta modelka pozowała na okładkach pism. Dumna, szczupła, wysportowana, pełna radości. Po co tyle liftingu, po

co te zastrzyki z botoksu? Jaki chirurg odważył się tak zmienić jej twarz, niszcząc piękne dawniej rysy? Gaspard zaczął szukać śladów utraconej urody i jeden z nich znalazł w oczach, skupił się więc na jasnozielonych tęczęwkach ze złotawobrazowymi refleksami. Dostrzegł w nich wciąż żarzący się popiół, którego płomień musiał rozpalić serce Seana latem 1992 roku.

Przywitał się z nią, ale w ostatniej chwili zrezygnował z planu, jaki obmyślili z Madeline. Trudno, nie umiał kłamać. Ze względów moralnych, przede wszystkim jednak dlatego, że wiedział, jak złym jest aktorem i że niczego nie zdoła ukryć. Postanowił nie kręcić.

– Będę z panią szczerzy, pani Lorenz, nie przyszedłem tutaj z powodu, który pani zna. Nazywam się oczywiście Gaspard Coutances i faktycznie napisałem sztukę, która wiosną zostanie wystawiona w Londynie, ale cała ta historia z wypożyczeniem obrazu to tylko podstęp mojej koleżanki, pragnącej się z panią spotkać.

– Jakiej koleżanki?

– Tej, której nie wpuściła pani dzisiaj rano.

Atmosfera nagle stężała. Gaspard poczuł, że Pénélope za moment zawoła Careyę. Uspokajającym gestem dłoni starał się ją powstrzymać.

– Niech mi pani poświęci trzy minuty, a wyjaśnię, o co chodzi. Potem, jeśli nie będzie pani chciała kontynuować rozmowy, pójdę sobie i nigdy nie będę już pani niepokoił.

Pénélope siedziała nieruchomo. Zachęcony tym Gaspard zaczął mówić:

– Szukamy trzech obrazów namalowanych przez Seana Lorenza na krótko przed śmiercią. To...

Przerwała mu.

– Sean nie malował od lat i nie dotknął pędzla przed śmiercią.

– Mamy powody, by sądzić, że te płótna istnieją.

Pénélope wzruszyła ramionami.

– Jeśli tak, zostały namalowane już po naszym rozwodzie, co oznacza, że nie mam do nich żadnych praw. W jaki sposób może to mnie dotyczyć?

Gaspard zrozumiał, że z rozgoryczoną Pénélope trudno mu będzie nawiązać kontakt. Zaryzykował więc improwizację.

– Przyszedłem do pani z pewną propozycją.

– Jaką?

– Jeśli odpowie pani na moje pytania i jeśli dzięki temu znajdziemy te obrazy, jeden będzie dla pani.

– Ach, no tak, niech pan spieprza z takimi propozycjami! Jeżeli myśli pan, że obrazy Seana nie dość mi zaszkodziły...

Strach ustąpił złości. Pénélope wstała z kanapy i podeszła do małej lodówki wbudowanej między książki, tak jak minibarki w pokojach hotelowych. Wyjęła z niej dwie buteleczki wódki i od razu jedną z nich opróżniła. Gaspardowi przypomniało się zdanie z Bukowskiego: „Znajdź to, co kochasz, i pozwól, żeby cię to zniszczyło”. Trucizna Pénélope nazywała się Grey Goose. Gospodyni przelała zawartość drugiej flaszeczki do kryształowej szklanki, którą postawiła na okrągłym stoliku ze szkła i kutego żelaza, w zasięgu ręki.

– Jeśli chce pan wiedzieć, to Sean Lorenz beze mnie by nie istniał! To dzięki mnie zaczął tworzyć, dzięki mnie rozbłysł jego talent. Zanim mnie poznał, był beznadziejnym grafficiarzem z Harlemu, który całe dnie nic nie robił, szwendał się i palił skręty. Do tego przez ponad dziesięć lat, przez te wszystkie lata, kiedy nie sprzedał ani jednego obrazu, to ja zarabiałam na życie. Dzięki mojej urodzie, moim zdjęciom, moim reklamom, moim okładkom luksusowych pism stał się w końcu uznanym malarzem!

Gaspard słuchał tego monologu i myślał o Glorii Swanson grającej byłą gwiazdę kina niemego w filmie *Bulwar Zachodzącego Słońca*.

Pénélope z takim samym uwielbieniem mówiła o swojej przeszłości, tak samo naiwnie się usprawiedliwiała.

– Przez całe lata to ja byłam iskrą, która rozpalala w nim ogień. Kryptonite Girl, tak mnie nazywał, bo był przekonany, że niczego nie namaluje, jeśli mnie nie będzie obok.

– Nie mylił się... – przyznał Gaspard. – Pani portrety, które wyszły spod jego pędzla, są wspaniałe.

– Ma pan na myśli *Dwadzieścia jeden Penelop*, tak? To prawda, na początku nawet mi to schlebiało, ale potem te portrety zaczęły mi ciążyć.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, jak odbierali je ludzie. To było źródło większości naszych nieszczęść. Widziałam dobrze, jak ludzie na mnie patrzą, a przede wszystkim wydawało mi się, że słyszę ich myśli. Uważali, że jestem piękna, ale nie tak fascynująca jak kobieta z portretów. Wie pan, jaki jest sekret obrazów Seana Lorenza?

– Nie, proszę powiedzieć.

2

– Praca z Seanem Lorenzem była bardzo inspirująca, po mistrzowsku używał kolorów!

Nie wiedzieć czemu, gdy Bernard Benedick wspomniał jej o Jeanie-Michelu Fayolu, Madeline wyobraziła sobie starszego pana w szarym fartuchu, z siwymi włosami, od dawna na emeryturze. Tymczasem mężczyzna, który przywitał ją w sklepie przy quai Voltaire, był młodszym od niej Murzynem, zbudowanym jak rugbysta, z dredami i srebrnymi pierścionkami na każdym palcu – diabelską menażerią: był tam wąż, pajak, meksykańska czaszka i głowa kozła. Nosił znoszone

trampki, wąskie dzinsy i puchową kamizelkę, spod której wystawał obcisły T-shirt. Okazał się człowiekiem ujmującym i prostolinijnym. Poczęstował ją kawą i herbatnikami, które postawił na grubej dębowej ladzie upstrzonej kolorowymi plamami. Sklep miał kamienne ściany oraz niskie sufity i przypominał średniowieczny kram, tym bardziej że mury od podłogi po sufit zabudowane były półkami pełnymi różnokolorowych buteleczek.

Fayol fascynował się farbami i rozgadał się na ten temat, nie pytając nawet, kim właściwie jest Madeline.

– Znam wielu artystów – oznajmił. – Większość z nich to egoiści i megalomani, uważający się za wcielenie Picassa czy Basquiata tylko dlatego, że nabazgrali coś na płótnie, a chciwi właściciele galerii i niewymagająca publika oklaskują te wypociny.

Wziął sobie jedno ciastko z metalowego pudełka.

– Sean, choć odnosił sukcesy, nie był taki. Był skromny i mimo że malarstwo całkowicie go pochłaniało, interesował się ludźmi.

Odgryzł kawałek herbatnika i zaczął go przeżuwać, z przyjemnością przedłużając czas wspomnień.

– Kiedy na przykład się dowiedział, że mimo ciężkiej pracy ledwo byłem w stanie opłacać pobyt mojej matki w domu opieki, wręczył mi czek i nigdy nie poprosił o zwrot tych pieniędzy.

– Wygląda na to, że był bardziej pana przyjacielem niż klientem – zauważyła Madeline.

Fayol popatrzył na nią, jakby oświadczyła, że Ziemia jest płaska.

– Prawdziwi artyści nie mają przyjaciół! – zaznaczył. – Również dlatego są artystami. Oczywiście pomagałem Seanowi, wyszukując farby, których potrzebował. Oddawałem mu też inne przysługi. To ja oprawiałem jego obrazy. Bardzo był wymagający pod tym względem, akceptował tylko amerykańskie ramy z bardzo rzadkiego jasnego orzecha. Można go znaleźć wyłącznie w Iranie.

– Dlaczego powiedział pan, że był mistrzem w dziedzinie koloru?

– Bo był! I to od dawna! W młodości malował graffiti na murach i wagonach tymi swoimi sprayami, to fakt, ale na początku lat dwutysięcznych przeszedł głęboką przemianę. Chciał nauczyć się czegoś nowego i stał się prawdziwym specjalistą od pigmentów. A przede wszystkim był purystą. Trzeba było zobaczyć tego byłego grafficiarza, jak odmawia stosowania kolorów syntetycznych!

– A jaka jest różnica między farbami syntetycznymi a pigmentami naturalnymi? – odważyła się spytać Madeline.

Fayol znów spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Taka jak pomiędzy „pieprzyć się” i „kochać”, jak między dźwiękiem z empetrójki a płytą winylową, między winem kalifornijskim a burgundem... Łapie pani?

– Czy to znaczy, że naturalne pigmenty są prawdziwsze?

– Pigmenty naturalne dają kolory głębsze, intensywniejsze, a poza tym są wyjątkowe, ponieważ mają za sobą tysiąc lat tradycji.

Zerwał się z krzesła i poszedł w kierunku zaplecza.

– Te pigmenty to jedne z najrzadszych i najcenniejszych na świecie...

Z pasją wskazał półkę, gdzie stały szklane flakoniki z kolorowymi proszkami.

Maleńkie przezroczyste fiolki w różnych rozmiarach i kształtach tworzyły imponującą paletę kolorów od jasnych i pastelowych po bardzo ciemne.

Madeline nie zauważyła wielkiej różnicy między nimi a innymi szklanymi pojemniczkami, ale starała się tego nie pokazać po sobie. Jean-Michel Fayol złapał jeden z flakoników i zamachał nim przed jej nosem.

– Oto na przykład lapis-lazuli, znany również jako ultramaryna: mityczny błękit używany przez Fra Angelica, Leonarda da Vinci i

Michała Anioła. Powstaje ze skały importowanej z Afganistanu, był nawet tak rzadki, że w okresie renesansu jego cena przewyższała cenę złota.

Madeline pamiętała z książki *Dziewczyna z perłą*, że Vermeer posłużył się tym barwnikiem, żeby namalować turban bohaterki swojego słynnego obrazu.

Fayol odstawił flakonik na miejsce i chwycił następny: był w nim liliowy intensywnie błyszczący proszek.

– Purpura tyryjska, kolor płaszczy cesarzy rzymskich. Proszę sobie wyobrazić, że aby wyprodukować jeden gram tego barwnika, trzeba było wydobyć wydzielinę z dziesięciu tysięcy ślimaków morskich, murexów. Może sobie pani policzyć, ile ich zginęło...

Ogarnęło go prawdziwe uniesienie.

– To jest żółcień indyjska, otrzymywana przez destylację moczu krów karmionych liśćmi mango. Oczywiście dziś produkcja tego barwnika jest zakazana.

Przesunął dłonią po dredach i wziął do ręki kolejny barwnik, cynobrowy.

– Krew smoka, znana od czasów antycznych. Legenda głosi, że kolor powstał ze zmieszania krwi smoka i słonia po straszliwej bitwie, w której zginęły te stworzenia...

Fayol mógł tak opowiadać bez końca. Ponieważ barwniki były jego pasją, nie zamierzał przerywać wykładu, mając przed sobą nową uczennicę.

– A to jest chyba mój ulubiony! – oświadczył, sięgając po fiolkę z proszkiem o barwie między kolorem koniaku a ochrą. – W każdym razie to pigment najciekawszy!

Madeline pochyliła się i odczytała napis na etykietce:

– *Mummy brown?*

– Tak, brąz mumiiowy. Ten pigment otrzymywano, przerabiając na proszek wyschnięte truchła wydobywane z egipskich grobowców. Barwnik był w żywicy używanej do balsamowania zwłok. Lepiej nie myśleć, ile zbezczeszczono mumii, żeby wyprodukować ten cholerny kolor! Zresztą...

Musiała mu przerwać, musiała mu zadać pytanie, z którym tu przyszła:

– Podczas waszych ostatnich spotkań... jakiego koloru konkretnie poszukiwał Sean?

3

– Za każdym razem, jak Sean malował mój portret, zabierał mi coś, czego nigdy nie zwracał... – oznajmiła Pénélope, wypijając kolejny łyk wódki.

Gaspard siedział naprzeciw niej i słuchał w milczeniu.

– Zabierał moją urodę i wkładał ją w obraz. Zna pan tę powieść *Portret Doriana Graya*?

– Tak, portret starzał się, a model pozostawał młody.

– A więc z Seanem było odwrotnie! Jego malarstwo było wampiryczne. Żywiło się mną, moim życiem, urodą. Zabijało mnie, żeby istnieć.

Pénélope kontynuowała ze złością, Gaspard przestał jednak jej słuchać. Przypomniał sobie słynne zdanie Serge'a Gainsbourga: „Brzydota tym przewyższa piękno, że nie przemija”. I znów zaczęło dręczyć go pytanie, w jaki sposób ta niegdyś piękna kobieta doprowadziła się do takiego stanu. Madeline powiedziała mu, że Sean poznał Pénélope na Manhattanie w 1992 roku i że miała wówczas zaledwie osiemnaście lat. Szybko policzył w myślach – to znaczy, że

jego rozmówczyni miała obecnie czterdzieści dwa lata. Tyle samo co on. Na rue du Cherche-Midi było mało zdjęć Pénélope, ale jedno Gaspard zapamiętał dobrze – z okresu, kiedy urodził się Julian. Na tej fotografii Pénélope wyglądała wspaniale. Zniszczenia po operacjach plastycznych musiały więc być niedawne.

– Po kilku latach Sean zrozumiał w końcu, że jego geniusz nie zależy wyłącznie od mojej skromnej osoby. Wtedy oczywiście przestraszyłam się, że go utracę, tym bardziej że moja kariera powoli się kończyła. Chciałam zwalczyć chandrę alkoholem i narkotykami: skręty, kokaina, heroina, prochy... W ten sposób zmuszałam Seana, żeby się mną zajmował. Dziesiątki razy odwoził mnie na odwyk. Musi pan wiedzieć, że miał ogromną wadę, właściwie słabość... to był bardzo porządny facet.

– Nie rozumiem... Dlaczego miałyby to być słabość?

– Słabość, zdecydowanie, ale to już inny temat. Krótko mówiąc, nigdy nie miał odwagi mnie zostawić. Twierdził, że ma wobec mnie dług do spłacenia. Był trochę nienormalny... Lub postępował według własnej logiki.

Wzrok Gasparda zsunął się z twarzy Pénélope na bliznę w kształcie gwiazdy, szpecącą prawą stronę jej szyi. Po chwili zauważył, że ma podobną ranę, prawie symetryczną, pod lewym uchem. I jeszcze trzecią tuż nad piersiami. W sekundę pojął, że te blizny nie są bliznami po operacjach, ale że zostawił je drut kolczasty, którym obwiązano Pénélope podczas porwania. Szybko doszedł do wniosku, że to po śmierci syna wpadła w błędne koło zabiegów chirurgicznych. Pewnie wszystko zaczęło się od leczenia ran po tym strasznym wydarzeniu, a potem weszło w nawyk, być może jako rodzaj pokuty. Nie tylko Sean odbywał drogę krzyżową. Jego żona towarzyszyła mu w tej autodestrukcji. Chciała cierpieć z powodu tego, czym zgrzeszyła, czyli urody.

– Narodziny synka nie zbliżyły was do siebie?

– To dziecko było prawdziwym cudem. Obietnicą nowego życia. Na początku bardzo w to wierzyłam, ale to była iluzja.

– Dlaczego?

– Nic innego dla Seana już się nie liczyło, odrzucił malarstwo, odrzucił mnie... Jedynie Julian był ważny.

Na wspomnienie syna Pénélope jakby zapadła w letarg. Gaspard postanowił odciągnąć ją od tych myśli.

– Jeśli pani pozwoli, ostatnie pytanie...

– Proszę już iść!

– Tylko...

– Spadaj pan! – wrzasnęła, zbudzona nagle ze snu.

– Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z mężem?

Pénélope głośno odetchnęła. Znow jej oczy zasnuła mgła, a ona sama odpłynęła w przeszłość.

– Ostatni raz... Ostatni raz rozmawiałam z nim w dzień jego śmierci. Dosłownie kilka minut wcześniej. Był w Nowym Jorku. Zadzwoił do mnie z budki telefonicznej na Upper East Side. Gadał coś zupełnie bez sensu. Ponieważ jest różnica czasu, zbudził mnie w środku nocy.

– Dlaczego dzwonił do pani?

– Nie pamiętam... – Pénélope rozplakała się.

– Proszę sobie przypomnieć! Co mówił?

– Och, niech mnie pan zostawi w spokoju! – wykrzyknęła i ponownie odpłynęła w przeszłość.

Nieruchoma, załamana, siedziała na swojej białej kanapie, jakby nie widząc i nie słysząc, co się wokół niej dzieje. Patrzyła gdzieś w bok, wydawało się, że jest w szoku.

Gaspard zorientował się, że trochę przesadził, i ogarnął go wstyd. Co tu robił, torturując biedną kobietę, z którą nie miał nic wspólnego?

O co mu w ogóle chodziło?

Dyskretnie wyszedł z mieszkania.

W windzie pomyślał, że Godard miał rację: sztuka jest jak pożar, powstaje z tego, co spaliła. Ponura historia rodziny Lorenzów była pełna trupów, duchów, zombi. Istnienia zniszczone w sile wieku, spalone, zwęglone w ogniu pasji i twórczości.

Sztuka jest jak pożar, powstaje z tych, których spaliła.

4

Jean-Michel Fayol dość szybko wszystko sobie przypomniał.

– Po bardzo długiej nieobecności Sean znów zaczął często mnie odwiedzać. To było jakiś rok temu, może trochę więcej niż rok. W listopadzie i grudniu dwa tysiące piętnastego roku. Polował.

– Na co polował? – spytała Madeline nieco już zagubiona.

– Na kolory oczywiście!

– Więc, według pana, znowu malował?

– Bez dwóch zdań – prychnął Fayol. – I dużo dałbym za to, żeby poznać jego pomysły!

– Czemu to pana tak interesuje?

– Przede wszystkim dlatego, że miał prawdziwą obsesję na punkcie bieli.

– Białego koloru?

Fayol przytaknął i odezwał się rozmarzonym tonem:

– Tak, biel, kolor widm i duchów. Kolor pierwotnego światła i kolor olśnienia. Kolor czystego śniegu, niewinności, dziewictwa. Kolor pełny, symbolizujący zarówno życie, jak i śmierć.

– Jakiej bieli szukał?

– No właśnie... Na początku widać było, że sam nie wie, wybierał raz to, a raz coś zupełnie innego... Raz chciał farbę matową, raz błyszczącą, raz teksturę gładką, raz chropowatą. Któregoś dnia poprosił mnie o wyszukanie czegoś podobnego do kredy, a potem chciał, żeby farba błyszczała metalicznie... Byłem zagubiony.

– Był naćpany czy myślał trzeźwo?

Fayol zmarszczył brwi.

– Zachowywał się raczej w sposób egzaltowany. Jakby coś go poruszyło...

Wrócili do lady. Kilka kropel deszczu uderzyło o szyby okienne.

– Sean cały czas mówił mi o białych mineralnych pigmentach, ale one bardzo szybko wietrzeją i gdy tylko wymiesza się je z jakimś spoiwem, stają się przezroczyste. Nie umiałem mu pomóc, było mi przykro z tego powodu. W końcu zaproponowałem mu gofun shirayuki.

– Biel japońską? – zaryzykowała Madeline.

– Tak, to jest biały, połyskliwy pigment koloru perłowego, produkowany ze skorup ostryg. Sean zaczął nim malować, ale po jakimś czasie wrócił, tłumacząc, że to nie jest dokładnie to, czego szukał. I że to nie jest barwnik, za pomocą którego uda mu się przedstawić to, o czym myślał. Zaskoczyło mnie, że tak powiedział.

– Dlaczego?

– Artyści tacy jak Sean nic nie przedstawiają, oni tworzą. Nie odmalowują niczego, oni po prostu malują, żeby użyć określenia Soulages'a. Miałem jednak wrażenie, że Seanowi siedzi w głowie coś konkretnego, coś, co nie istnieje w świecie rzeczywistym.

– Nie zdradził panu, co maluje?

Fayol rozłożył bezradnie ręce.

– Znalazł pan w końcu właściwy kolor? – spytała Madeline.

– Oczywiście! – odpowiedział z uśmiechem. – Wynalazłem specjalnie dla niego pigment na bazie wyciągu z nietypowego alabastru, który występuje tylko w jednym miejscu...

– Gdzie mianowicie?

Fayol, dumny jak Artaban, popatrzył na nią tajemniczo.

– White Sands, coś to pani mówi?

Madeline skupiła się i nagle ujrzała białe, błyszczące i srebrzyste wydmy ciągnące się po horyzont. Jeden z najpiękniejszych parków narodowych w Ameryce.

– Pustynia w Nowym Meksyku?

Kiwnął głową.

– Tam gdzie znajduje się baza wojskowa, w której armia testuje broń i sprzęt najnowszej generacji. Są tam kamieniołomy, z których wydobywało się bardzo rzadki rodzaj alabastru. To zwietrzała skała, można z niej uzyskać dość trwały pigment o kolorze białoszarym z różowymi refleksami.

– Jeśli ten kamień można znaleźć tylko na terenie bazy wojskowej, to jak się pan tam dostał?

– To jest moja słodka tajemnica.

– Ma pan próbkę tego barwnika?

Fayol odwrócił się w stronę półek i zdjął flakon z dmuchanego szkła. Madeline spojrzała na zawartość pojemnika z entuzjazmem, który jednak od razu opadł: pigment wyglądał jak zwykła kreda.

– Żeby móc tym malować, trzeba zmieszać ten proszek z olejem?

– Z olejem albo z jakimkolwiek innym spoiwem.

Madeline, zakłopotana, wzięła swój kask, który leżał na ladzie, i podziękowała za pomoc.

Fayol podszedł do drzwi, żeby je otworzyć i ją wypuścić, ale nagle zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał.

– Sean prosił mnie również, żebym mu wyszukał fosforyzujące pigmenty najwyższej jakości. Trochę mnie to zdziwiło, ponieważ są to bardziej gadzety niż materiały do poważnej pracy.

– A co to jest dokładnie? Pigmenty magazynujące światło?

– Tak, oddają je potem, błyszcząc w ciemności. Dawniej w przemyśle wykorzystywano rad do produkcji tych barwników, stosowanych na przykład do malowania tablic na pokładach samolotów.

– Zatem radioaktywność!

Fayol skinął głową.

– Później używano do tego celu siarczku cynku, ale siarczek cynku jest nietrwały i szybko traci swoje właściwości.

– A dziś?

– Dziś wykorzystuje się kryształy glinianu strontu, nieradioaktywne, nietoksyczne.

– Tego szukał Lorenz...

– Tak, odrzucił jednak wszystkie moje propozycje. Ponieważ nie rozumiałem, o co mu chodzi, skontaktowałem go ze szwajcarską firmą, która produkuje świecącą pastę używaną w specjalistycznym zegarmistrzostwie, w zegarkach do nurkowania. Firma od razu mi odpowiedziała, ale nie wiem, czy Sean się w końcu z nimi dogadał, czy nie.

Madeline na wszelki wypadek zapisała nazwę szwajcarskiej firmy i jeszcze raz podziękowała Fayolowi.

Kiedy wyszła na quai Voltaire, była już prawie noc. Deszcz rozpadał się na dobre, gęste chmury jak czarny dym spowiły Luwr i Sekwanę występującą z brzegów. Zawirował tuman kurzu unoszący się spod kopyt hordy wrogich jeźdźców.

Madeline wsiadła na skuter i ruszyła w kierunku mostu Royal, bo przyjaciółka, z którą się umówiła, czekała na nią przy Saint-Germain.

Nagle uderzenie pioruna spowodowało, że aż podskoczyła. Niebo przecięły błyskawice, a pomiędzy nimi Madeline jakby ujrzała kanciastą twarz Seana Lorenza. Twarz znękaną, niemal chrystusową, od której biło alabastrowe światło.

Gaspard

Saint-Germain-des-Prés

Ołowiane niebo. Budynki zamazane, grafitowe. Kamienne sylwetki platanów. Wrażenie stąpania w pustce. Czuję, jakby pochłaniał mnie i unicestwiał ruch panujący na ulicy, zanieczyszczone powietrze, głuchy hałas.

Nie mogę przestać myśleć o Pénélope Lorenz. O jej zniszczonej twarzy, ochrypłym głosie, przebrzmiałym wdzięku... Wszystko to kojarzy mi się z moim własnym zniechęceniem, znużeniem... Z moim własnym upadkiem.

Muszę jak najszybciej odetchnąć świeżym powietrzem, ujrzeć czyste niebo, poczuć zbawienny powiew chłodnego wiatru i promienie słońca na mojej greckiej wyspie, rześkość na zaśnieżonych szczytach Montany. Nic z tego nie mam w zasięgu ręki, wpadam więc do pierwszego bistro po drodze – to duża kawiarnia na rogu Saint-Germain i rue des Saints-Pères.

Lokal utrzymany jest w nieco starodawnym stylu, który tak podoba się obcokrajowcom, ale który od dawna nie istnieje: kanapy z moleskinu, neony, stoły z formiki, popielniczki z opalexu z reklamą Ricarda i tak popularna w latach sześćdziesiątych szafa grająca Scopitone Cameca. Na oszklonym tarasie turyści i studenci z okolicznych uczelni kończą kanapki z szynką lub croque-monsieur. Przeciskam się do baru. Szybko zamawiam dwa drinki old fashioned, wypijam je jednym haustem, po czym natychmiast wychodzę.

Już alkohol wypity podczas lunchu trochę mnie otępił, a wiem, że whisky przedłuży ten stan. No to siup! W następnej restauracji, tym razem szykownej, wlewam w siebie dwie kolejne szklanki. I wracam na Saint-Germain.

Pada. Wszystko widzę jakby rozmazane. Kolory zniknęły. Pozostały tylko szare kształty, rozmywające się na szklach moich zalanych deszczem okularów. Dowlekam się jakoś do rue Bonaparte. Każdy krok to poważny wysiłek, czuję się jak słoń w cyrku zmuszany do zachowania równowagi na naciągniętym sznurze. Zwykłe odgłosy miasta huczą mi boleśnie w uszach.

Palpitacje, dreszcze, gwałtowna potrzeba wysikania się. Ledwo oddycham. Zataczam się, trzęsę, duszę. Deszcz wlewa mi się za kołnierz, miesza z wilgocią potu. Wszystko mnie swędzi, piersi, plecy, ręce, chyba zdrapię z siebie całą skórę. Nie próbuję zrozumieć, co mi się stało. Wiem, dlaczego jestem załamany, nieszczęśliwy. Wiem, że żyją we mnie duchy, których sen zimowy jest bardzo krótki. Wiem też, że nagła ochota na alkohol nigdy jeszcze nie dopadła mnie tak brutalnie.

Na rue de l'Abbaye zauważam jakiś lokal, więc jeśli to bistro, mogę znowu wypić. Fasada z fajansowych kafli, zasłony w czerwonej kratkę. Przemoczony do suchej nitki, wtaczam się do wnętrza. Restauracja właśnie się zamyka, kelnerzy sprzątaję salę i przygotowują stoliki na wieczorny serwis. Woda ścieka ze mnie strugami, pytam, czy mogę dostać kieliszek czegoś mocniejszego, ale kelnerzy spoglądają na mnie podejrzliwie i odmawiają. Puszczam im wiąchę i macham przed nosem banknotami, jakby wszystko można było kupić za pieniądze. Biorą mnie za tego, kim w tej chwili jestem, i wyrzucają na ulicę.

Deszcz leje ze zdwojoną siłą. Widzę, że rue de Furstenberg jest coraz bliżej. Kolejna paryska pocztówka. Placyk z gigantycznymi paulowniami i latarnią ozdobioną pięcioma okrągłymi kloszami.

Znam to miejsce, oczywiście, ale nie było mnie tu od wieków. Pod wpływem alkoholu krajobraz się wykrzywia, rozpływa, ja zaś czuję się, jakbym puchł i rozdwajał się. Przerażliwy dźwięk rozdziera mi uszy. Łapię się za głowę. Cisza. Potem nagle słyszę głos.

– Tato?

Odwracam się.

Ktoś mnie woła?

– Boję się, tato!

Och, to nie mnie ktoś woła. To ja wołam ojca. Mam sześć lat. Siedzę na placu z tatą. Oczywiście, że znam ten plac. To trochę nasz dom. Ojciec jest ubrany tak samo jak na zdjęciu, które nigdy nie opuszcza mojego portfela: ma na sobie jasne spodnie, białą koszulę, roboczą marynarkę z bawełny i lakierowane buty. Ja w kieszonce kurtki mam maleńki samochodzik Majorette i długopis z czterema kolorami. Na plecach dźwigam tornister Tann's oznaczony moim nazwiskiem, wypisanym ręcznie na kartoniku wsuniętym pod plastikową osłonkę.

Jestem uczniem pierwszej klasy szkoły podstawowej przy rue Saint-Benoît. Ojciec przychodzi po mnie co drugi dzień. Dziś jest środa po południu. Wychodzimy z kina przy rue Christine, gdzie obejrzeliliśmy film *Król i ptak*. Jest mi smutno, ale nie z powodu filmu. Po dłuższej chwili nie mogę już wytrzymać i wybucham płaczem. Ojciec wyciąga z kieszeni jedną ze swoich płóciennych chustek do nosa, które zawsze nosi przy sobie. Wyciera mi oczy, nos, zapewnia, że wszystko będzie dobrze. Że znajdzie jakieś rozwiązanie. Choć zawsze dotrzymuje słowa, czuję, że tym razem sytuacja jest bardziej skomplikowana.

Uderzenie strugi deszczu przywraca mi względną przytomność umysłu. Szklka okularów są kompletnie zalane. Już nic nie widzę, a bębenki w uszach wprost mi pękają. Nie chcę o tym myśleć. Co mi przyszło do głowy, żeby tu wrócić? Jak mogłem się tak zagapić?

Roztrzepanie? Zmęczenie? Podświadoma potrzeba konfrontacji? Ale z kim?

Z samym sobą, idioto!

– Tato, boję się! – powtarzam na głos.

– Nie bój się, kochany, nie rozstaniemy się na długo, obiecuję ci.

Już wtedy właściwie nie wierzyłem w tę obietnicę. A przyszłość pokazała, że miałem rację.

Teraz płaczę jak bóbr. Tymi samymi łzami co w dzieciństwie.

Zataczam się. Chciałbym gdzieś przysiąc, ale ławki, które tu kiedyś stały, usunięto. Takie czasy, nikt nie przejmuje się zmęczonymi, nie ma schronienia dla skrzywdzonych przez los. Zamykam oczy z poczuciem, że już nigdy ich nie otworzę. Przez chwilę wydaje mi się, że tracę przytomność, wciąż jednak stoję nieruchomo w strugach deszczu. Czas znika.

Jak długo zaciskam powieki? Pięć minut, dziesięć, pół godziny? Kiedy przytomnieję, nie pada, jestem przemarznięty na kość. Wycieram okulary i przez moment myślę nawet, że atak minął i że woda płynąca z nieba oczyściła mnie. Pragnę zapomnieć o całym zdarzeniu i ruszam rue Jacob w kierunku rue de Seine.

Nagle nieruchomieję. W witrynie jakiejś galerii z rzeźbami zauważam swoje odbicie. Staję w miejscu. To jasne, że nie wolno mi dłużej tak żyć. Nie chodzi nawet o to, że nie mam dokąd pójść, ale o to, że jedyne miejsce, w którym chciałbym się teraz znaleźć, jest gdzieś poza światem.

W szybie widzę otępiałego idiotę. To nie do wytrzymania. Czuję, że to musi się natychmiast skończyć.

Zaciskam pięści i eksploduję. W ataku szaleństwa uderzam w szybę wystawy. Prawy prosty, sierpowy, hak... Daję z siebie wszystko. Wystraszeni przechodnie uciekają na drugą stronę ulicy. Prawy prosty, sierpowy, hak... Witryna idzie w drobny mak. Pięści mam we

krwi. Serce mi łomocze, ledwo trzymam się na nogach. Uderzam bez przerwy, aż tracę równowagę i upadam na chodnik.

Nade mną pojawia się twarz okolona jasnymi włosami. Madeline.

8

Kłamstwo i prawda

Sztuka to kłamstwo, dzięki któremu poznajemy prawdę.

Pablo Picasso

1

– Jest mi pan winien wyjaśnienie!

– Nic nie jestem pani winien!

Była noc. Madeline i Gaspard stali na dziedzińcu szpitala Pompidou i czekali na zamówioną taksówkę. Dwie ciemne drżące sylwetki odcinające się na tle szklanego statku przycumowanego do brzegów Sekwany. Gaspard miał ponurą minę i obolałą głowę. Jedną rękę miał opatrzoną i obandażowaną, drugą dodatkowo usztywnioną.

– Proszę pamiętać, że dzięki mnie właściciel galerii nie zadzwonił po policję! – powiedziała Madeline zirytowana.

– To raczej dzięki tej astronomicznej sumie, na którą wypisałem mu czek... – zaprotestował Gaspard.

– Do diabła, co panu przyszło do głowy, żeby rzucić się z pięściami na tę wystawę?! Co ona panu zrobiła?

Gaspard nawet się nie uśmiechnął.

Kierowca taksówki, białego mercedesa, włączył kierunkowskaz i samochód zatrzymał się tuż przed nimi. Widząc, że jeden z pasażerów

jest ranny, kierowca wysiadł, żeby pomóc im zająć miejsca.

Mercedes ruszył quai de Grenelle i przeciął piętnastą dzielnicę, skręciwszy w rue de la Convention. Gdy stanęli na czerwonym świetle, Gaspard wreszcie się odezwał. Z nosem przyklejonym do szyby zaskoczył Madeline wyznaniem:

– Wie pani, że urodziłem się trzy ulice stąd? W klinice Sainte-Félicité, w siedemdziesiątym czwartym roku...

– Zawsze mi się wydawało, że jest pan Amerykaninem! – odparła Madeline zdziwiona.

– Moja matka była Amerykanką – wyjaśnił, kiedy samochód ruszył.
– Ukończyła Yale i dostała pracę w wielkiej nowojorskiej kancelarii adwokackiej, która dopiero co otworzyła filię w Paryżu, Coleman and Wexler.

– A pana ojciec?

– Mój ojciec, Jacques Coutances, pochodził z północy Francji, z Calvadosu. Po skończeniu technikum murarskiego przyjechał do Paryża, gdzie pracował jako kierownik budowy w zakładach robót publicznych.

– Dziwna para...

– To eufemizm. Mój ojciec i moja matka nie mieli ze sobą absolutnie nic wspólnego. Szczerze mówiąc, nie rozumiem nawet, jak zostałem poczęty. Matka pewnie odczuwała dreszcz emocji, flirtując z „przedstawicielem ludu”. Ich związek trwał bardzo krótko, kilka dni latem siedemdziesiątego trzeciego roku.

– Czyli matka pana wychowała...

– Gdy tylko się urodziłem, starała się odsunąć mojego ojca, zaproponowała mu nawet pieniądze, żeby zrzekł się praw rodzicielskich, ale on nie dał się przekupić. Później wymyślała najróżniejsze spiski i kłamstwa, żeby skrócić czas, kiedy miał prawo

mnie widywać. Zostały z tego dwie godziny tygodniowo w sobotnie popołudnie.

– To podłe z jej strony.

– Tak, można tak to określić. Na szczęście miałem wspaniałą nianię, Algierkę. Nazywała się Dżamila. Bardzo poruszyło ją cierpienie mojego ojca.

Taksówka zahamowała gwałtownie i kierowca zaczął wygrażać dwójce najwyraźniej zagubionych turystów na miejskich rowerach, którzy jechali środkiem jezdni.

– Ponieważ matka była rzadkim gościem w domu, Dżamila pozwalała ojcu potajemnie spotykać się ze mną wieczorem po szkole i w środę po południu. To był nasz czas. Chodziliśmy do parku grać w piłkę i do kina. Pomagał mi nawet odrabiać lekcje w kawiarniach albo siadaliśmy na jednej z ławek na place de Furstenberg.

– Jak to możliwe, że pańska matka się nie zorientowała?

– Ojciec i Dżamila byli bardzo ostrożni. Ja byłem mały, ale zachowywałem sekret aż do chwili, gdy...

Głos Gasparda powoli cichł. Samochód posłusznie zwolnił, kiedy na horyzoncie pojawił się policjant kierujący ruchem. Przed komisariatem piętnastej dzielnicy stało w dwóch rzędach kilka radiowozów gotowych do akcji, z włączonymi silnikami i migającymi kogutami.

– To była niedziela po moich szóstych urodzinach – ciągnął Gaspard prawie szeptem. – Matka, która zawsze była przeciwna takim pomysłom, nagle zgodziła się pójść ze mną do kina Grand Rex na *Gwiezdne wojny. Imperium kontratakuje*, o co prosiłem trzy tygodnie wcześniej. „Już to widziałem z tatą!”, wypsnęło mi się. Od razu się wycofałem, ale się stało. W trzy sekundy podpisałem wyrok śmierci na ojca.

– Jak to wyrok śmierci?

– Matka przeprowadziła własne dochodzenie, napadła na Dżamilę, która musiała jej powiedzieć prawdę. Po tym dostała szau, wyrzuciła nianię z pracy, a ojca pozwała do sądu i oskarżyła o porwanie dziecka. Dostał zakaz zbliżania się do mnie i w ogóle jakiegokolwiek kontaktu ze mną. Oczywiście nie mógł pogodzić się z tą niesprawiedliwością i naiwnie postanowił odwiedzić sędziego w domu, żeby jej wszystko wytłumaczyć...

– Zły pomysł... – szepnęła Madeline.

– Ojciec niesłusznie miał zaufanie do wymiaru sprawiedliwości. Ale sędzia tylko mu zaszkodziła. Zamiast go wysłuchać, zadzwoniła na komisariat, mówiąc, że mój ojciec jej grozi i że nie czuje się bezpiecznie. Aresztowano go. Jeszcze tej samej nocy powiesił się w celi.

Madeline patrzyła na Gasparda przerażona. Nie oczekiwał jednak współczucia i kontynuował opowieść:

– Rzecz jasna, nic mi o tym nie powiedziano. Dowiedziałem się o wszystkim znacznie później. Miałem wtedy trzynaście lat, byłem w Bostonie, w internacie. Od tego czasu nie odezwałem się do matki ani słowem.

Po tych zwierzeniach Gaspard nagle poczuł wielki spokój, prawie ulgę. Podzielenie się częścią swojej historii bardzo mu pomogło. Otwarcie się przed ledwie poznaną osobą było łatwiejsze, wiedział, że nikt nie będzie go osądzał.

– To nie o tę szybę chodziło, prawda?

Uśmiechnął się smutno.

– Nie, oczywiście, to siebie chciałem ukarać.

Dojeżdżali do rogu boulevard du Montparnasse i rue du Cherche-Midi. Gaspard zauważył kielich Higieji, elektryzujący noc jaskrawozielonym neonem. Poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się

przed apteką. Chciał wykupić środki przeciwbólowe, które przepisano mu w szpitalu.

Madeline wysiadła razem z nim. Gdy stanęli w kolejce, zastanawiała się, co powiedzieć, żeby poprawić mu nastrój, i w końcu zażartowała:

– Wielka szkoda, że jest pan ranny, nie będzie pan mógł gotować.

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

– A ja jestem głodna jak wilk. Chętnie zjadłabym którąś z pańskich wyśmienitych potraw.

– Jeśli ma pani ochotę, zapraszam do restauracji. Muszę się jakoś pani odwdzięczyć.

– Zgoda.

– Gdzie pójdziemy?

– Może wróćmy do Le Grand Café?

2

Znów udała im się kolacja. Niespodziewanie było bardzo miło. Właściciel lokalu, zadowolony, że widzi ich po raz kolejny tego samego dnia, pozwolił im wybrać stolik w głębi restauracji, naprzeciw mozaiki Seana Lorenza.

Gaspard odzyskał rumieńce. Opowiedział o swojej nieprzyjemnej wizycie u Pénélope Lorenz i szaleństwie, które nagle go ogarnęło, gdy od niej wyszedł. Madeline zdała zaś relację z pasjonującego spotkania z Jeanem-Michelem Fayolem, mówiąc między innymi o poszukiwaniach, jakie zlecił mu Lorenz potrzebujący specjalnych pigmentów do zrealizowania swojej wizji. Sean chciał namalować „coś, co nie istnieje w świecie rzeczywistym”. Te słowa właściciela sklepu z farbami wryły jej się w pamięć i zaostrzyły ciekawość. Co

chciał przedstawić Sean na swoich ostatnich płótnach? Coś, co zobaczył na własne oczy? A może senną marę? Wytwór wyobraźni?

Właściciel restauracji wkroczył na salę jak Louis de Funès w scenie z filmu *Sławna restauracja*.

– Ciasto francuskie przekładane farszem z gołębiego mięsa! – zapowiedział niczym filmowy Septime, stawiając przed nimi dwa parujące talerze.

Ponieważ Gaspard miał obandażowane obie dłonie, Madeline usiadła obok, żeby mu pokroić mięso. Pozwolił sobie pomóc. Madeline pomyślała, że Coutances ma jedną wielką zaletę, a mianowicie nie stara się cały czas odgrywać twardziela. Co było do przewidzenia, większość posiłku minęła im na analizowaniu mozaiki Lorenza. Na stoliku, obok szklanki z wodą, Madeline położyła pudełko z zapalnikami ozdobione cytatem z Apollinaire’a – ostatnią rzecz, jaką Lorenz zostawił Benedickowi, i również ostatni prztyczek, jaki wymierzył w nos przyjaciela: „Najwyższy czas znów rozpalić gwiazdy”. Co to miało znaczyć? Może odpowiedzi należy szukać w mozaice? Postanowili wziąć to za dobrą monetę, ale im dłużej wpatrywali się w nią, tym mniej była dla nich czytelna. Madeline mozaika kojarzyła się z niektórymi pejzażami dżungli z obrazów Rousseau, zwanego Celnikiem. Gaspard natomiast bardzo dobrze pamiętał książkę Roalda Dahla z ilustracjami Quentina Blake’a, którą Dżamila czytała mu, gdy był dzieckiem. Bajkę *Krokodyl Olbrzymi* Madeline zresztą też dość dobrze знаła. Ulegając nostalgicznej atmosferze, zaczęli przypominać sobie imiona bohaterów: małpy Hop-Skoczki, ptaka Roly’ego-Poly’ego, hipopotama Humpy’ego-Rumpy’ego... Pamiętali wszystkie!

– A słoń?

– To łatwe: Trąbacz! – odpowiedział Gaspard. – A zebra?

– Zebra... nie wiem.

– Po prostu Zebra?

– Nie wiem, nie mogę sobie przypomnieć zebry w tej bajce.

Po wymienieniu kilku zdań Madeline sięgnęła po komórkę, żeby poszukać w internecie, jak nazywała się zebra, której imienia nie pamiętali. Gdy uderzała palcami w ekran, Gaspard nagle wstał i rzucił autorytatywnie:

– Proszę nie szukać. W *Krokodylu Olbrzymim* nie ma zebry.

Madeline także wstała. Poczowała dreszcz emocji. W takim razie dlaczego Lorenz, który znał tę historyjkę doskonale, ponieważ każdego wieczoru czytał ją synkowi na dobranoc, umieścił tu zebkę? Na tym etapie nie mogli jeszcze wykrzyknąć: „Eureka!”, ale przynajmniej natrafili na interesujący ślad. Przesunęli bliżej stolik i dwa krzesła. Musieli lepiej przyjrzeć się zebrze, która zresztą ze wszystkich zwierząt najmniej się malarzowi udała. Stała nieruchomo, bez żadnego wdzięku, skosem do widza. Białe i czarne dwucentymetrowe kwadraciki. Gaspard policzył je i zaczął się zastanawiać nad różnymi możliwościami szyfrowania: alfabet Morse’a, nuty, szyfr czekoladka, którego nauczył się w harcerstwie...

– Ach, niech pan przestanie! – zniecierpliwiła się Madeline. – To nie jest *Kod da Vinci*.

Zirytowana, wyszła na ulicę zapalić papierosa. Gaspard dołączył do niej i stali teraz oboje pod markizą osłaniającą restaurację. Deszcz padał coraz mocniej, bezlitośnie tnąc powietrze, a do tego rozhulał się wiatr.

Gaspard zasłonił Madeline, żeby mogła przypalić papierosa.

– Czy udało się spotkanie z przyjaciółką? Mam nadzieję, że go nie przerwałem.

– Proszę sobie wyobrazić, że właśnie się spotkałyśmy, kiedy zobaczyłam pana atakującego witrynę.

Opuścił głowę zawstydzony.

– Powinna pani z nią spędzić wieczór.

– Jul’ znalazła się w Paryżu na chwilę, czekała na samolot do Marrakeszu, żeby Boże Narodzenie spędzić ze swoim chłopakiem. Niektórzy to mają szczęście...

– Naprawdę bardzo mi przykro.

Madeline nie chciała, żeby czuł się przygnębiony.

– Niech się pan nie martwi, spotkam się z nią następnym razem. Jul’ jest moją najdawniejszą przyjaciółką, a właściwie jedyną. Już dwa razy uratowała mi życie.

Zaciągnęła się głęboko papierosem, unikając wzroku Gasparda. Zapadło milczenie. Po chwili jednak zdecydowała się mówić dalej.

– Ostatnio osiem miesięcy temu. Przydarzyło mi się coś podobnego do tego co panu dziś.

Gaspard otworzył szeroko oczy, patrząc na Madeline i nic nie rozumiejąc.

– Była sobota rano... Spacerowałam po galerii handlowej w Londynie, gdy zauważyłam nagle roześmianego chłopczyka. Małego aniołka, słodkiego blondynka w kolorowych, okrągłych okularach. Uśmiechnął się do mnie, wydawało mi się, że skądś go znam. Właściwie to byłam pewna, dziwne, prawda?

– Hm...

– Kiedy rzucił się w ramiona swojemu tacie, wszystko zrozumiałam. To był syn mężczyzny, z którym związałam się kilka lat wcześniej. Ten człowiek mnie zostawił, wrócił do żony i potem mieli drugie dziecko.

– Cham?

– Nie, zupełnie nie, bardzo przyzwoity facet. To właśnie było najgorsze. Łączył nas poważny związek, w który bardzo wierzyłam. Nazywał się Jonathan Lempereur. Może słyszał pan to nazwisko. To jeden z najsłynniejszych francuskich szefów kuchni.

Gaspard odburknął coś, co trudno było jakkolwiek zaklasyfikować.

– Nie wiem, dlaczego mnie zostawił. Pewnie coś ze mną nie tak. Nie mam pojęcia co. Krótko mówiąc, tamtego ranka byłem zrozpaczona i kompletnie się załamałam. Zanim dotarłam do domu, byłem już na skraju przepaści, ale zamiast zaatakować szybę, po wejściu do mieszkania zanurzyłam się w wannie pełnej wody i podciąłam sobie żyły. Tak więc przy mnie jest pan tylko drobnym graczem!

– I to ta przyjaciółka panią znalazła?

Madeline skinęła głową i zaciągnęła się ostatni raz.

– Tego dnia byłem z nią umówiona. Kiedy zorientowała się, że mnie nie ma i nie odpowiadam na telefony, tknęło ją złe przeczucie i postanowiła do mnie przyjechać. Gdyby dozorczyńni nie miała zapasowych kluczy, pewnie już bym nie żyła. Niewiele brakowało, a... Tydzień spędziłam w szpitalu, potem dwa miesiące w jednym z tych sympatycznych zakładów, które nazywają się szpitalami psychiatrycznymi. Miałam za zadanie „rozjaśnić sobie myśli”, zacząć od nowa normalne życie, wyznaczyć sobie priorytety... A resztę pan zna.

Gaspard chciał jeszcze o coś zapytać, ale Madeline nie dopuściła go do głosu.

– No, czekam na deser! Zauważyłam, że mają szarlotkę, wygląda „zabójczo”, jak to się tutaj mówi.

3

Gaspard wrócił do hałaśliwego, lecz przytulnego wnętrza Le Grand Café. Madeline rzuciła niedopałek na ulicę i rozgniotła go czubkiem buta. Poczwała, jak w kieszeni wibruje jej komórka. Ponieważ już od dwóch godzin nie sprawdzała wiadomości, rzuciła okiem na ekran. Był to SMS z hiszpańskiej kliniki.

Dobry wieczór Madeline,
wyniki badania komórek jajowych są świetne! To najlepszy moment, żeby przyjechała pani do kliniki. Czekamy na panią jutro w Madrycie, miłego wieczoru, Sofia.

Pielęgniarka dołączyła zeskanowaną receptę na zakup antybiotyku i hormonu stymulującego uwolnienie komórek jajowych.

Minęła dłuższa chwila, zanim Madeline uświadomiła sobie, co to naprawdę oznacza.

Weszła za Gaspardem do knajpy i po sekundzie wahania podzieliła się z nim tą informacją.

– Bardzo się cieszę!

– Przepraszam, ale muszę kupić bilety na samolot – powiedziała, wyjmując kartę kredytową i łącząc się na smartfonie ze stroną Air France.

– Oczywiście!

Skrzywił się, ruszywszy prawą dłonią. Ból wrócił i dokuczały mu wszystkie rany. Wyjął z kieszeni lek przeciwbólowy i połknął od razu trzy tabletki. Na wszelki wypadek zerknął na sposób dawkowania.

– O cholera! – wykrzyknął podniecony.

Madeline podniosła wzrok znad komórki i spojrzała na to, co tak poruszyło Gasparda: był to dwuwymiarowy, kwadratowy kod wydrukowany na pudełku z lekarstwem.

Teraz i ona zrozumiała.

– Ta zebra to jest kod QR!

Natychmiast rozłączyła się i uruchomiła ściąganie darmowej aplikacji do skanowania kodów kreskowych.

– Co to jest właściwie kod QR? – spytał Gaspard, niemający zielonego pojęcia o nowych technologiach.

– Tak jak się pan domyśla, jest to obrazek złożony z białych i czarnych kwadracików, które po zeskanowaniu podają różne informacje, w tym dane geograficzne, albo przekierowują na odpowiednie strony internetowe.

Gaspard pokręcił głową. A więc Lorenz wpadł na pomysł stworzenia kodu QR i wpisania go w mozaikę za pomocą zebry. Niegłupie.

– Wiem, że pan żyje w swoim własnym świecie... – rzuciła żartobliwie Madeline. – Ale ten system jest obecnie bardzo popularny. Takie kody można znaleźć wszędzie: na opakowaniach, w muzeach, na biletach...

Pobieranie pliku zakończyło się. Madeline otworzyła aplikację i wstała od stolika, żeby przybliżyć się do mozaiki. Za pomocą aparatu fotograficznego w telefonie zeskanowała zebkę. Na ekranie wyświetliło się natychmiast następujące zdanie:

We are all in the gutter but some of us are looking at the stars

„Wszyscy leżymy w błocie, ale niektórzy spośród nas spoglądają ku gwiazdom”⁴. Słynne zdanie Oscara Wilde’a... No cóż! Poczuli się zawiedzeni. Spodziewali się czegoś konkretnego, adresu GPS, wideo...

– Niespecjalnie nam to pomogło – odezwał się zrzędlawie Gaspard.

Madeline milczała. To zdanie musi mieć jakiś głębszy sens. Najwyraźniej było skierowane do Bernarda Benedicka jako dalszy ciąg cytatu z Apollinaire’a „Najwyższy czas znów rozpalić gwiazdy”. Rzuciło się w oczy, że oba cytaty w sposób oczywisty odnoszą się do gwiazd.

– Gwiazda może być symbolem wszystkiego... – Gaspard machnął ręką. – Pełno ich w większości religii, w naukach ezoterycznych. Mogą

oznaczać porządek kosmiczny, światło niebieskie, punkt, którego trzeba się trzymać, żeby się nie zgubić...

Madeline kiwnęła głową. Postanowiła zadzwonić do Benedicka. Mimo późnej pory odebrał telefon już po drugim sygnale. Madeline, nie zagłębiając się w szczegóły, spytała tylko, czy słowo „gwiazdy” mogło mieć dla Seana jakiś szczególny sens.

– O ile wiem, nie! Dlaczego pani pyta? Znalazła pani coś?

– Czy Lorenz malował gwiazdy?

– Nie wydaje mi się. W każdym razie na pewno nie przez dziesięć ostatnich lat. Gwiazda byłaby dla niego zbyt znaczącym symbolem.

– Dzięki!

Szybko rozłączyła się, żeby uniknąć dalszych pytań. Entuzjazm przygasł; siedzieli w milczeniu, rozmyślając. W końcu zawibrowała komórka. Benedick. Po chwili wahania Madeline odebrała i włączyła głośnik.

– Coś mi przyszło do głowy... – powiedział marszand. – To może nic nie znaczyć, ale syn Seana, Julian, chodził do szkoły, która nazywała się Szkoła Gwiazd, na Montparnassie.

Gaspard zamrugał, wyprostował się na krześle i patrząc wymownie na Madeline, zabandażowanymi dłońmi pokazał znak pauzy. Gdy skończyła rozmowę, od razu opowiedział jej o zdjęciach z domu Lorenza, na których widać było malarza otoczonego dziećmi, i o tym, co mówiła mu Pauline, że nawet po śmierci Juliana Sean wciąż prowadził warsztaty w szkole swojego synka.

Madeline znów sięgnęła po telefon. Nawigacja. Mapy Google. Szkoła Gwiazd była placówką prywatną, wykorzystującą nowe metody nauczania, przyjmowano tam dzieci już dwuipółletnie. Prekursorami tego trendu byli Montessori i Freinet. Szkoły tego typu od 2016 roku były we Francji coraz bardziej popularne.

Przyjrzała się mapie. Szkoła znajdowała się dość blisko. Było to logiczne – Lorenzowie szukali czegoś w sąsiedztwie.

– Idziemy! – rzuciła, chwytając kurtkę i zostawiając na stoliku trzy banknoty.

Gaspard zerwał się i pobiegł za Madeline do wyjścia, wpadając po drodze na Septime'a, który nadchodził z ich szarlotkami.

Sposób na zwyciężenie śmierci

Być może sztuka to skuteczny sposób na zwyciężenie śmierci.

Hans Hartung

1

Wciąż padało.

Rzęsista ulewa nieprzerwanie uderzała lepкими kroplami o bruk smętnego miasta. Madeline szybkim krokiem przemierzała ulice, a Gaspard za nią. Cała spięta, miała wrażenie, że wreszcie zbliżają się do celu. Szkoła Gwiazd mieściła się dwa kroki stamtąd. Skręcili w rue Huyghens, a potem w ulicę biegnącą wzdłuż cmentarza Montparnasse. Wokół było pusto, kilku kłoszardów chowało się pod byle jak skleconymi zadaszeniami. Ponieważ w mieście realizowano program walki z terroryzmem, przed szkołą ustawiono metalowe bariery uniemożliwiające samochodom parkowanie, ale nic więcej. Na teren szkoły wchodziło się przez furtkę w betonowym murze, wysokim prawie na trzy metry.

– Proszę mnie podsadzić! – zażądała Madeline.

– W jaki sposób? Jestem ranny! – Gaspard pokazał jej zabandażowane dłonie.

– No to niech się pan pochyli!

Przykucnął na chodniku.

Madeline postawiła jedną stopę na udzie Gasparda, a drugą na jego ramieniu, po czym odbiła się zwinnie, uczepiła górnej krawędzi muru, podciągnęła się i zeskoczyła po drugiej stronie.

– Wszystko okay? Nic się pani nie stało?

Nie odpowiedziała. Zaniepokojony Gaspard musiał czekać co najmniej pięć długich minut, zanim wreszcie furka otworzyła się ze zgrzytem.

– Szybko, szybko! – przywołała go szeptem Madeline.

– Boże jedyny, gdzie się pani podziewała?!

– Och, niech pan nie gdera! Nawet od środka nie można otworzyć furki, jeśli nie ma się klucza! Powinien pan być zadowolony, że tak szybko go znalazłam!

– Gdzie?

– W skrzynce z korkami obok koszy na śmieci.

Gaspard zamknął furkę najciszej, jak mógł, ale i tak wydało mu się, że zgrzyt żelaza rozbrzmiał jak kościelne dzwony. Szkoła pogrążona była w ciemnościach. Mimo to udało im się dostrzec małe brukowane podwórko, wokół którego wznosiły się różnego kształtu niewielkie budowle. Madeline włączyła latarkę w komórce. Gaspard stał tuż za nią. Obejrzelili każdy budynek. Do głównego, najstarszego – według tabliczek informacyjnych mieściły się tam administracja i centrum informatyczne – jak klocki przyczepione były poszczególne sale zbudowane z prefabrykatów, połączone metalowym rusztowaniem pomalowanym na jaskrawe kolory. Przeszli przez dziedziniec, minęli stołówkę i zewnętrznymi schodami wspięli się do sal na piętrze.

Madeline była w swoim żywiole. Skupiona, szybka, intuicyjnie podejmowała słuszne decyzje. Praca w terenie przez dziesięć lat wyćwiczyła w niej odruchy trudne do zapomnienia.

Wąskie zewnętrzne przejście prowadzące do klas zamknięte było drzwiami z PCW. Madeline bez wahania owinęła ramię dzinsową kurtką i uderzyła łokciem w najbliższą szybę. Jeśli w ogóle zamontowano gdzieś tu alarm, niewątpliwie był tani i bronił dostępu do budynków na dole, gdzie stały komputery i wszystkie inne sprzęty mogące zainteresować ewentualnych złodziei.

Zaskoczony Gaspard wpadł w panikę. Podskoczył i cofnął się o krok.

– Czy naprawdę myśli pani, że...

– Zamknij się, Coutances! – warknęła zniecierpliwiona i przez stłuczoną szybę sięgnęła ręką do drzwi od drugiej strony. Weszli do środka; Madeline komórką oświetlała drogę. Mimo że była to placówka nowoczesna, sale klasy czwartej i piątej wyglądały tradycyjnie, jak w zwykłej szkole: drewniane ławki, zafoliowana mapa Francji i malowidło historyczne z serii „nasi przodkowie Galowie”.

W głębi znajdowały się kolejne drzwi, prowadzące do następnego przejścia, z którego wchodziło się do sal klasy pierwszej, drugiej i trzeciej. Ostatnie – największe – pomieszczenie przeznaczone było dla dzieci w wieku przedszkolnym. Tu pewnie przychodził mały Julian.

Promień światła latarki, przecinający ciemność czarną jak atrament, padł na włącznik w ścianie. Madeline, niczym się nie przejmując, wcisnęła go.

– Jest pani kompletnie nieodpowiedzialna! – zirytował się Gaspard, przechodząc do klasy za Madeline, która wskazała mu palcem trzy obrazy wiszące na ścianach.

Na pierwszy rzut oka były to banalne rysunki dziecka. Pionowe kreski, czyli ludziki, obok zamki bez perspektywy i nieproporcjonalnie wielkie sylwetki książąt i księżniczek na tle jaskrawych dekoracji namazanych zbyt dużą ilością farby. Ale Madeline zauważyła amerykańskie ramy z drewna orzechowego, o których mówił jej Fayol.

Wymienili spojrzenia, rozumiejąc, że znaleźli to, po co tu przyszli. Madeline przypomniała sobie od razu o pentimenti, widocznych tylko w podczerwieni. Czytała gdzieś, że wiele obrazów van Gogha skrywało pod wierzchnią warstwą inne dzieła, wcześniej namalowane przez holenderskiego mistrza. Gaspard natomiast pomyślał o słynnym obrazie Courbeta zatytułowanym *Pochodzenie świata* – żeby nie szokować konserwatywnej publiczności mieszczańskiej, przez całe dziesięciolecia dzieło zakryte było drewnianym ruchomym kasetonem przedstawiającym banalny pejzaż zimowy.

Gaspard zajrzał do szuflady w biurku nauczycielskim i wyjął nóż do papieru. Z bijącym sercem naciął brzeg jednego z obrazów, odkrywając gruby jak woskowane płótno plastik. Rodzaj plandeki chroniącej inny obraz. Ten prawdziwy.

Madeline zrobiła to samo ostrzem nożyczek.

„Odpakowanie” ukrytych płócien zajęło im dobre dziesięć minut. Po wykonaniu zadania odeszli parę kroków od obrazów, usiedli na pulpicie ławki i przyglądali się w zamyśleniu temu, czego tak długo szukali.

Trzy ostatnie obrazy Seana Lorenza były jeszcze wspanialsze, jeszcze bardziej fascynujące i dziwne niż cokolwiek, co mogli sobie wyobrazić.

Pierwszy przedstawiał czarny labirynt na antracytowym tle. Przypominał dzieła Soulages'a. Choć użyto w nim bardzo głębokiej czerni, wyglądał, jakby zniknął pod naporem blasku wydobywającego się z jego głębi. Dzięki tajemniczej alchemii czarna powierzchnia zdawała się odbijać blade światło pomieszczenia, dodając srebrne połyski, które w sposób fascynujący przyciągały wzrok.

Na drugim obrazie czerń została zastąpiona spokojnymi barwami ołowianej bieli z różowo-szarymi refleksami, tym wyraźniejszymi, im bliżej się stało. Gra światła kreśliła drogę – błyszczący, jasny tunel przebijał się przez las białych cieni.

Trzeci obraz był najpiękniejszy, najbardziej niezwykły i niespodziewany. Płótno wydawało się praktycznie puste, mimo to odnosiło się wrażenie, że jest płynne, jakby zanurzone w rtęci. Ten obraz zbijał z tropu, biały monochrom pozwalający na różne interpretacje. Gaspard zobaczył w nim jaskrawe promienie zimowego słońca odbijające się od nieskończonych połaci śniegu. Nieskalana i odwieczna przyroda, wreszcie bez niszczących ją ludzi, bez granicy między niebem a ziemią.

Madeline dostrzegła z kolei wielką białą spiralę, przestrzeń wypełnioną światłem, od której kręciło się w głowie, która wciągała i wsysała widza, sięgając do ukrytych głębin jestestwa.

Dłuższą chwilę stali bez ruchu. Jak dwa zajęce oślepięte światłami samochodu. Światłami ruchomymi, hipnotyzującymi, sprawiającymi wrażenie, że za moment pochłoną wszystko.

Nagle w uliczkę koło szkoły wdarło się wycie syren policyjnych i przerwało ich trans.

Przestraszony Gaspard pobiegł zgasić światło i zamarł, starając się cokolwiek dojrzeć przez okno. Zobaczył radiowóz, który przejechał szybko obok szkoły i zniknął za rogiem boulevard Raspail.

– Fałszywy alarm! – uspokoił Madeline.

Stała nieruchomo. Wciąż patrzyła na trzeci obraz iskrzący się w mroku. Wiedzieli teraz, do czego Lorenz potrzebował fosforyzujących pigmentów, o których wspominał Fayol. W ciemnościach płótno wyglądało zupełnie inaczej. Biały monochrom składał się w istocie z setek starannie wykaligrafowanych, błyszczących i przecinających mrok literek. Madeline podeszła do obrazu, Gaspard zaś podążał za nią krok w krok. Litery tworzyły powtarzające się w nieskończoność zdanie.

JULIAN ŻYJE JULIAN ŻYJE JULIAN ŻYJE JULIAN ŻYJE JULIAN ŻYJE
JULIAN ŻYJE JULIAN ŻYJE...

WOŁANIE ŚWIATŁA

Czwartek, 22 grudnia

10

Poza światłem

Czerń to nie jest kolor.

Georges Clemenceau

1

Jestem w drodze. Będę za 10 minut.

Diane Raphaël

Madeline przeczytała SMS-a od psychiatry Lorenza, zbliżając się do dwóch okazałych wież bazyliki Sainte-Clotilde. O ósmej trzydzieści rano powietrze było ostrzejsze i bardziej suche niż poprzedniego dnia. Ponieważ jej skuter ciągle stał przy rue de Seine, przybiegła tu truchtem z rue du Cherche-Midi. Bieg okazał się zbawienny dla jej samopoczucia.

Zasnęła o trzeciej, a wstała o szóstej. Ostatnie godziny były wyczerpujące. Najpierw fizycznie, bo trzeba było dyskretnie przenieść obrazy ze szkoły do domu, a potem intelektualnie i emocjonalnie. Cały czas męczyło ich pytanie, na które nie znaleźli jeszcze odpowiedzi: dlaczego kilka dni przed śmiercią Sean Lorenz wciąż był przekonany, że jego syn żyje?

Madeline zatrzymała się i schylona, z dłońmi opartymi o kolana, powoli odzyskiwała oddech. Myślała o Gaspardzie. Od momentu, kiedy odkryli wiadomość wypisaną świecącymi literami, nie mógł usiedzieć w miejscu. On, który do tej pory nie miał pojęcia, jak działa internet, przez większą część nocy przeglądał strony najważniejszych amerykańskich środków masowego przekazu. To, co wyczytał, mogło wywołać konsternację: w artykułach z okresu zaraz po tragedii pisano, że w hangarze, gdzie była uwięziona Pénélope, nie znaleziono ciała Juliana.

Odtwarzając zbrodnicze działania Beatriz Muñoz, śledczy stwierdzili, że Chilijka wrzuciła zwłoki dziecka do Newtown Creek w południowej części Queensu. Policjanci odnaleźli na brzegu pluszowego misia poplamionego krwią chłopca. Kilku nurków przeszukało okoliczne wody, ale miejsce – jedno z najbardziej zanieczyszczonych w Nowym Jorku – było trudne do zbadania, a w tym punkcie prąd rzeki był zbyt silny, aby udało się natrafić na ciało małego dziecka.

Mimo to zeznań Pénélope Lorenz – utrzymującej, że syna zadźgano na jej oczach – nigdy nie podano w wątpliwość. Tak naprawdę Madeline nie miała dobrego powodu, żeby w nie wątpić. Z artykułów, które przeczytała, wynikało jasno, że Muñoz działała bez współnika. Śmierć dziecka była bezsprzeczna. Wszędzie znaleziono ślady jego krwi: w furgonetce, gdzie wepchnięto chłopca, w hangarze w Queensie, na brzegach Newtown Creek.

Madeline postanowiła zaczekać na lekarkę na ogrzewanym tarasie kawiarni, skąd rozciągał się widok na ogrody bazyliki. Godzinę wcześniej, prosząc o to spotkanie, wysłała SMS-em parę zdjęć obrazów Lorenza. Teraz usiadła przy grzejniku i zamówiła podwójne espresso. Jednocześnie zauważyła na ekranie telefonu, że przyszedł mail od Air France, przypominający o odprawie online przed lotem do Madrytu o

jedenastej trzydzieści z lotniska Charles de Gaulle. Przeszła w sieci całą procedurę, po czym wypić jedną małą kawę – zbyt małą – którą jej przyniesiono, i natychmiast zamówić drugą. Tę piła już wolniej, rozmyślając o nocnej wyprawie.

Inaczej niż Gasparda, ją najbardziej poruszyła nie informacja zaszyfrowana za pomocą fosforyzujących liter – co wydawało jej się dziecinne – ale wszystko poza tym. A zwłaszcza duchowa podróż Seana, którą przedstawił w tryptyku. Dobrze to знаła, bo sama kilka miesięcy wcześniej odbyła taką wyprawę.

Kiedy leżąc w wannie, podcięła sobie żyły, nie od razu straciła przytomność. Krew powoli zabarwiała gorącą wodę, a ona, odurzona parą, wędrowała z zamkniętymi oczami po zamglonym pejzażu. Była pewna, że Sean odbył podobną podróż i że ją właśnie chciał pokazać w swoich ostatnich obrazach.

A więc najpierw CZERŃ. Ten wyłącznik, który wciśnięty odcina was od świata, na krótko wrzucając w ocean trosk, w labirynt rozpacz, do ciemnego lochu, jakim stała się wasza egzystencja.

Potem przeprawa długim tunelem, kończącym się ciepłym, łagodnym i rozproszonym światłem. Cudowne uczucie unoszenia się w perłowej mgle, nad puchową ziemią niczyją, w bryzie letniej nocy, gdzie kierunek wskazują tysiące punktów lśniących jak wnętrza muszli.

Po pewnym czasie Madeline poczuła się dziwnie, jakby opuściwszy swoją ziemską powłokę, z góry obserwowała sanitariuszy starających się ją reanimować, zanim jeszcze przeniesiono ją do karetki. Gdy jechali do szpitala, przez chwilę towarzyszyła im Jul', również zawieszona w powietrzu.

Później znów zanurkowała w światło. Błyszcząca spirala połknęła ją, wrzucając we wzburzony mleczny strumień, w którym zobaczyła całe swoje życie. Pojawiły się sylwetki i twarze: ojca, jej siostry Sarah,

wuja Andrew. Chciała na moment zatrzymać się i porozmawiać z nimi, ale nie mogła sobie poradzić z silnym, unoszącym ją prądem.

Ten ciepły i czuły prąd, który ją otaczał, był silniejszy od wszystkiego. W uszach słyszała cichą muzykę niebiańskich chórów, zniechęcających ją do zawrócenia z drogi.

A przecież Madeline nie dotarła do końca tunelu. Już dotykała palcem ostatecznej granicy, którą można przekroczyć tylko w jedną stronę. Coś ją jednak przywołało z powrotem. Może przeczucie, że jej życie zasługuje na inny epilog?

Kiedy otworzyła oczy, znajdowała się w pokoju szpitalnym. Była obandażowana, pod kroplówkami, z rurką w gardle.

Dobrze wiedziała, że nie przeżyła nic oryginalnego – można przeczytać mnóstwo relacji o doświadczeniach innych ludzi z pogranicza życia i śmierci. Stały się modnym tematem wielu powieści i filmów. Oczywiście, te przejścia ją zmieniły. Nie to, żeby nagle uwierzyła w życie po śmierci, ale postanowiła w pełni korzystać z lat, które jej zostały. Uwolnić się od wszystkiego, co nie miało znaczenia, nadać swojej egzystencji nowy sens, a więc – urodzić dziecko.

Cały czas pamiętała to przeżycie tak, jakby wydarzyło się poprzedniego dnia. Żaden szczegół nie stracił na intensywności. Przeciwnie, jej zmysły nawet się wyostrzyły, a wspomnienia w formie obrazów – wysublimowały. Wewnętrzny spokój towarzyszący tej podróży, światło uparcie przyciągające do siebie... Właśnie to światło tak przekonująco oddał Lorenz. Ze wszystkimi niuansami, w pełni mocy. To cholerne światło, które – nie wiadomo dlaczego – lśniło jak złudne słońce radosnej miłości.

– Pani Madeline Greene?

Słowa te wyrwały ją z zamyślenia. Tuż obok, przy grzejniku, stała uśmiechnięta kobieta. Miała około czterdziestki, była ubrana w

motocyklową kurtkę z beżowej skóry, na jej nosie tkwiły miodowe okulary przeciwsłoneczne.

– Diane Raphaël – oznajmiła, wyciągając dłoń.

2

Tym razem Gaspard nie musiał długo czekać, żeby Pénélope zgodziła się go przyjąć. Pojawił się na rue Saint-Guillaume z samego rana, niosąc pod pachą ciężki obraz. Kiedy przedstawił się przez domofon, była żona Lorenza otworzyła mu, nie pytając o nic.

Gaspard wyszedł z windy zadyszany. Philippe'a Carei nie było w komitecie powitalnym; widocznie jeszcze nie wstał z łóżka. Drzwi były uchylone. Gaspard wszedł do holu, ciągnąc po parkiecie płótno w orzechowej ramie owinięte w koc.

Pénélope czekała na niego w pokoju gościnnym, siedząc na kanapie w zimnym świetle poranka. Ten naturalny blask, niebieskawy i chłodny, zepchnął w cień krzykliwą dekorację wnętrza i w półmroku wdowa po Lorenzu wyglądała znacznie lepiej niż w ostrych promieniach słońca.

– Słowo się rzekło... – powiedział, stawiając obraz, wciąż owinięty grubym wełnianym kocem, na kanapie z chropowatej skóry.

– Kawy? – spytała gospodyni, wskazując mu miejsce do siedzenia.

Kiedy się patrzyło na Pénélope, ubraną w szare sprane dzinsy i stary T-shirt Poivre Blanc, można było odnieść wrażenie, że czas zatrzymał się w latach dziewięćdziesiątych. Tym razem Gaspard odebrał ją jednak w sposób mniej dramatyczny. Plastikowa twarz wydała mu się żywsza niż podczas poprzedniej wizyty. Rybie usta nie wyglądały już tak, jakby za każdym razem, gdy ich właścicielka wypowiadała choć jedno słowo, miały pęknąć.

Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego... – pomyślał, biorąc do ręki włoską kawiarzkę stojącą na niskim stoliku.

– Więc znalazł pan to, czego szukał... – odezwała się Pénélope, pokazując palcem obraz.

Jej głos za to w ogóle się nie zmienił, nadal był głuchy, zgaszony, chrapliwy, jakby gardło miała wyłożone futrem.

– Tak, odnaleźliśmy obrazy i jeden z nich absolutnie powinna pani obejrzeć.

Pénélope westchnęła.

– Mam nadzieję, że to nie jest portret Juliana?

– Nie.

– Nie zniosłabym tego.

Gaspard podszedł do obrazu i bez zbędnych gestów zdjął z niego koc. Przed oczami Pénélope pojawiło się ostatnie dzieło jej byłego męża.

Obraz stał na kanapie w pobliżu dwóch wysokich okien i prezentował się w całej swojej okazałości. Gaspard miał wrażenie, że odkrywa go na nowo. Magiczne, fascynujące światło zdawało się zsuwać z płótna i tańczyć przed nim.

– Życie po śmierci poprzez własne dzieła to przywilej artystów – stwierdziła Pénélope.

Gaspard powoli zasłonił okna. Pokój pogrążył się w ciemnościach.

– Co pan robi?! – zaniepokoiła się Pénélope.

A potem spostrzegła świecące litery i przeczytała tajemniczą wiadomość:

JULIAN ŻYJE.

– Dość! Proszę odsłonić okna! – rozkazała.

Opanowała ją prawdziwa furia, jej twarz stała się purpurowa, wykrzywiła się, co uwydatniło za wysoko umieszczone brwi, zbyt mały nos i policzki kojarzące się z chomikiem.

– Dlaczego Sean był przekonany, że wasz syn żyje? – zapytał bez ceregieli Gaspard.

– Nie mam pojęcia! – krzyknęła Pénélope, zeskakując z kanapy i odwracając się plecami do obrazu.

Przez kilka minut się uspokajała, żeby móc normalnie rozmawiać.

– Kiedy wczoraj pytał mnie pan, co Sean powiedział do mnie przez telefon, dzwoniąc z Nowego Jorku parę chwil przed śmiercią, udałam, że nie pamiętam...

– Dlaczego?

– Bo nie chciałam tego mówić, ale...

– Ale co?

– Właśnie to mi powiedział! „Pénélope, nasz syn żyje!”.

– I jaka była pani reakcja?

– Opieprzyłam go i rozłączyłam się. Śmierć dziecka to nie temat do żartów!

– Nie starała się pani dowiedzieć, o co mu chodziło?

– O co mogło mu chodzić?! Na własne oczy widziałam, jak wbijano nóż w ciało mojego syna! Widziałam, jak został zmasakrowany przez samego diabła, rozumie pan?! Widziałam to, widziałam!

Gaspard, spojrzawszy na nią, zrozumiał, że mówi prawdę.

Pénélope jęknęła, ale nie chciała okazać słabości. Powstrzymała płacz i oświadczyła:

– Mój związek z Seanem nie miał przyszłości. On bez przerwy mi zarzucał, że Julian zginął z mojej winy.

– Czy to dlatego, że skłamała pani, mówiąc, gdzie jedzie w dniu, kiedy to się stało?

Pokiwała głową.

– Może gdyby policja rozpoczęła poszukiwania od tego właśnie miejsca, radiowozy przyjechałyby na czas i uratowano by Juliana. Tak w każdym razie myślał Sean, ale i mnie to dręczyło. Jeśli jednak

zastanowić się nad tym logicznie, to wszystko zaczęło się od Seana, to jego wina...

Do Gasparda dotarło, że Pénélope od dwóch lat rozgrywa w swojej głowie wciąż ten sam mecz.

– Gdyby nie namówił Muñoz na te złodziejskie wyprawy, ona nie zapalałaby potem żądzą zemsty!

– Czy akceptował tę wersję?

– Nie! Uważał, że zrobił to dla mnie, żeby zdobyć pieniądze i przyjechać do mnie do Paryża. Tak jak mówiłam, tylko ja byłam winna... Według niego wszystko wydarzyło się przeze mnie.

Teraz z kolei Gasparda opadł dziwny smutek. Wstał i zaczął się żegnać.

– Od razu poczułam, że jest pan uczciwym człowiekiem, panie Coutances!

– Czemu pani to mówi?

– Bo nie nosi pan maski... Ludzie dzielą się na dobrych i na resztę. Granica jest jasna. Pan jest dobrym człowiekiem, tak jak Sean... – dodała trochę od rzeczy.

Gaspard skorzystał z tej chwili słabości. Dłoń już położył na kłamce, ale nagle zawrócił od drzwi i podszedł do Pénélope.

– Zdaję sobie sprawę, że mówienie o tym jest dla pani bardzo bolesne, chciałbym jednak wiedzieć, co naprawdę stało się tego dnia.

Pénélope głośno wciągnęła powietrze.

– Napisano o tym mnóstwo artykułów.

– Wiem, ale chciałbym to usłyszeć z pani ust.

Gabinet Diane Raphaël był wielkim pomieszczeniem ciągnącym się przez całą długość budynku i miał okna po obu stronach. Z jednej strony widać było bazylikę Sainte-Clotilde, z drugiej kościół Saint-Sulpice, kopułę Panteonu i wzgórze Montmartre.

– Kiedy tu jestem, mam wrażenie, że siedzę w bocianim gnieździe na pirackim brygu. Sięgam wzrokiem tak daleko, że dostrzegam nadciągające burze, huragany i deszcze. To bardzo praktyczne dla psychiatrii.

Diane uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem, jakby dopiero teraz wymyśliła to porównanie. Madeline musiała przyznać, że znów się pomyliła, tak jak podczas wizyty u Fayola. Przyszła na spotkanie ze starą nauczycielką w okularach i z siwym koczkim, a tymczasem ujrzała drobną kobietę o figlarnym spojrzeniu, z krótkimi, nieposłusznymi kosmykami. W kurtce z beżowej skóry, wąskich dżinsach i adidasach Diane Raphaël najwyraźniej wciąż czuła się częścią studenckiej cyganerii.

Przy drzwiach błyszczała srebrna, twarda walizka na kółkach.

– Urlop? – spytała Madeline, spoglądając na bagaż.

– Jadę do Nowego Jorku – odparła Diane. – Spędzam tam połowę czasu.

Wskazała zdjęcia na ścianie. Były to zrobione z lotu ptaka fotografie szklanego budynku wzniesionego między lasem a oceanem.

– To jest centrum zdrowia dziecka imienia Lorenza – oznajmiła. – Założyłam je dzięki Seanowi. Znajduje się w Larchmont, na północ od Nowego Jorku, w hrabstwie Westchester.

– Lorenz sfinansował budowę tego ośrodka?

– Tak, bezpośrednio i pośrednio – sprecyzowała Diane. – Znaczna część funduszków pochodziła z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży dwóch wielkich płócien, które kupiłam od niego za bezcen w dziewięćdziesiątym trzecim roku, a które sprzedalam, gdy ceny jego

prac osiągały rekordowe ceny. Potem Sean dowiedział się o moim projekcie i dał mi trzy obrazy, pozwalając, abym wystawiła je na aukcji. Był bardzo dumny z tego, że jego malarstwo służy do realizacji konkretnych celów, w tym przypadku do objęcia opieką biednych dzieci.

Madeline zapamiętała tę informację. Diane usadowiła się za biurkiem.

– Więc znalazła pani trzy ostatnie płótna Seana... – zmieniła temat.
– Gratulacje! I dziękuję za zdjęcia. Obrazy wydają się wspaniałe! Kwintesencja sztuki Lorenza.

Mówiąc to, wskazała Madeline fotel Wassily stojący naprzeciwko. Cały pokój zresztą umeblowany był w stylu Bauhausu: siedziska z metalowych giętych rurek, fotel Cube, leżanka Barcelona, tapicerowana kozetka i niski polerowany stolik ze sklejk.

– Wie pani, co jest na tych obrazach? – spytała Madeline, siadając wygodnie w fotelu.

– Malarstwo Seana nic nie reprezentuje, ono...

– Wiem, wiem, ono prezentuje, już mi zaserwowano tę formułę. Ale poza tym?

Lekarka zachnęła się, głęboko dotknięta. Przez chwilę milczała urażona, potem jednak skapitulowała i odpowiedziała rozbawiona:

– Sean za pomocą obrazów starał się przekazać swoje dwa doświadczenia z pogranicza śmierci.

– A więc pani wiedziała o tym?

– O tych płótnach nie miałam pojęcia, ale wcale mnie to nie dziwi! Sean był moim pacjentem od dwudziestu lat. Mówiłam już panu Coutances'owi, że w dwa tysiące piętnastym roku Sean przeszedł dwa ciężkie zawały serca w odstępie kilku miesięcy. Za każdym razem zapadał w śpiączkę i trzeba go było reanimować. Drugi zawał wywołał jeszcze wstrząs septyczny...

– Sepsa?

– Tak, bardzo poważna infekcja bakteryjna, która o mało go nie zabiła. Stwierdzono już nawet śmierć kliniczną... Wyszedł z tego cudem.

– Zatem to po tych dwóch wypadkach zaczął malować to, co przeżył?

– Tak mi się wydaje. Te przeżycia bardzo go naznaczyły, przejście z ciemności do światła pozostawiło silne piętno. Sean interpretował to jako olśnienie, odrodzenie. Stąd pewnie chęć odnalezienia tej emocji w malarstwie.

– Czy jest to dla pani zaskoczeniem?

Diane wzruszyła ramionami.

– Pracowałam w szpitalu piętnaście lat. Pacjenci po reanimacji, którzy po wybudzeniu ze śpiączki twierdzą, że przeszli przez tunel światła, to banał. Doświadczenie śmierci to zjawisko znane od czasów starożytnych.

– Czy po tych operacjach zostały w organizmie Seana jakieś ślady?

– Naturalnie, miał problemy z pamięcią, był skrajnie wyczerpany, miał trudności z koordynacją ruchową... – Diane nagle przerwała. W jej oczach pojawił się błysk. – Nie powiedziała mi pani wszystkiego, prawda? – spytała.

Madeline milczała, chcąc skłonić lekarkę do dalszych zwierzeń.

– Tak bardzo pani zależało na spotkaniu ze mną... Z pewnością coś pani znalazła. Może jakiś inny obraz?

Madeline wyjęła komórkę i pokazała Diane zdjęcie ostatniego obrazu w ciemnościach, ze świecącym napisem: JULIAN ŻYJE.

– A więc to to...

– Nie jest pani zdziwiona.

Diane oparła się łokciami o biurko i złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Wie pani, czemu Sean był tak poruszony tymi dwoma podróżami do granicy śmierci? Po pierwsze, dlatego że w tym słynnym tunelu pełnym światła spotkał wszystkie ważne dla niego, zmarłe już osoby: matkę, kolegów z Harlemu, którzy w latach dziewięćdziesiątych przedawkowali narkotyki albo zginęli w wojnach gangów. Zobaczył nawet Beatriz Muñoz.

– To klasyczne w przypadku doświadczenia śmierci – zauważyła Madeline. – Ludzie widzą swoje życie i bliskich, którzy odeszli, a byli dla nich ważni.

– Mówi pani, jakby to wszystko dobrze znała...

– Wróćmy do Lorenza, nie jestem tutaj w charakterze pacjentki.

Diane nie naciskała.

– Ale jednej osoby Sean w tunelu nie zobaczył... – dodała.

Madeline wreszcie zrozumiała i zamarła.

– Swojego syna...

Lekarka skinęła głową.

– Rzeczywiście wszystko zaczęło się od tego. Sean rozwinął całkowicie szaloną teorię, że Julian żyje, skoro on nie widział go w tunelu.

– A pani w to nie wierzy?

– Dla mnie jest to zjawisko wytłumaczalne racjonalnie. Niedotlenienie mózgu, które zakłóca normalną pracę kory wzrokowej, do tego wpływ lekarstw wywołujących zaburzenia świadomości. W przypadku Seana to było oczywiste: żeby opanować sepsę, wstrzyknięto mu końską dawką dopaminy, substancji halucynogennej.

– Nie próbowała pani mu tego wytłumaczyć?

Diane bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie ma gorszego głuchego niż ten, który nie chce słuchać... Sean bardzo potrzebował wierzyć, że jego syn wciąż żyje. Jeśli ktoś

postanawia nie słuchać, nic się na to nie poradzi.

– A do jakiego w końcu doszedł wniosku?

– Myślę, że chciał doprowadzić do wznowienia śledztwa w sprawie Juliana, ale śmierć mu w tym przeszkodziła.

– Według pani, nie ma żadnej szansy, że chłopiec żyje?

– Nie, Julian nie żyje, niestety. Nie za bardzo lubię Pénélope, dlatego jednak miałyby skłamać? Nie miała powodów. Cała reszta to fantazja człowieka, który był moim przyjacielem, ale który nieludzko cierpiał, a poza tym był otumaniony lekami.

4

„Pasażerowie udający się do Madrytu, lot numer AF118, proszeni są do wyjścia numer 14. W pierwszej kolejności zapraszamy rodziny z małymi dziećmi oraz pasażerów, którzy mają miejsca w rzędach od 20 do 34”.

Madeline sprawdziła swój numer miejsca na karcie pokładowej, którą przed chwilą wydrukowała w stanowisku check-in. Za dwa dni było Boże Narodzenie. Na lotnisku panowało zamieszanie, wiele samolotów miało opóźnienia, w terminalu E zrobiło się tłoczno.

– Bardzo panu dziękuję, że mnie pan odprowadził. Wiem, że nie lubi pan lotnisk...

Gaspard nie zareagował na tę zaczepkę.

– Tak po prostu sobie pani wyjeżdża i już?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– A co mam zrobić?

– Uważa pani, że robota skończona, bo obrazy zostały znalezione?

– Tak.

– A dalszy ciąg śledztwa?

- Jakiego znowu śledztwa?
- Śledztwa w sprawie śmierci Juliana.

Pokręciła głową.

– Nie jesteśmy z policji, Coutances, ani pan, ani ja. A śledztwo zostało dawno zamknięte.

Ruszyła w kierunku bramek, ale Gaspard dogonił ją i zagroził jej drogę.

– Proszę do mnie nie mówić tak, jakbym był niedorozwinięty!

– Och, naprawdę?!

– Bardzo dużo aspektów tej sprawy pozostaje niewyjaśnionych.

– Co ma pan na myśli?

– Taki na przykład szczegół, że nigdy nie odnaleziono ciała Juliana!

– odezwał się ironicznie.

– To normalne, dziecko utonęło w Newtown Creek. Bądźmy szczerzy, czy ma pan jakieś wątpliwości co do jego śmierci?

Gaspard milczał.

– Czy uważa pan, że Pénélope Lorenz pana okłamała?

– Absolutnie nie! – przyznał.

– W takim razie niech pan przestanie kombinować. Chłopiec zginął dwa lata temu, kropka. To jest nieszczęście, zgoda, ale nie nasze. Proszę się zająć swoją sztuką, tak będzie najlepiej.

Gaspard, wciąż milcząc, odprowadził ją do kontroli bezpieczeństwa. Madeline zdjęła pasek, włożyła go do plastikowego pojemnika, obok rzuciła kurtkę i telefon.

– No to do widzenia! Ma pan teraz dla siebie cały dom. Już nie będę grać panu na nerwach!

Nagle przyszło mu do głowy pewne greckie określenie, *kairos*. Moment zwrotny i umiejętność jego uchwycenia. Żeby nie przegapić możliwości podjęcia rozstrzygającej decyzji, która radykalnie odwraca bieg rzeczy. Gaspardowi nigdy do tej pory nie udało się szczęśliwie

wyjsc z takiego zakretu. Teraz tez za wszelka cene chcial znalezc argument, ktory zmusilby Madeline do zostania, zrezygnowal jednak. Jakim prawem mialby to robic, a poza tym po co? Ona miala swoje zycie, wlasny plan, zalezalo jej na nim, o niego walczyła. Nawet zrobilo mu sie glupio, ze chcial ja od tego odwiec. Postanowil wiec zyczyć jej szczesliwej podrózy.

– Niech się pani trzyma i proszę mnie zawiadomić, gdy będzie po wszystkim!

– W jaki sposób? Przecież pan nie ma telefonu.

Pomyślal, ze przez cale wieki ludzie porozumiewali się jakoś bez tego wynalazku, ale powstrzymal się od uwag.

– Proszę dać mi swój numer, ja do pani zadzwonię!

Widząc jej minę, zrozumiał, że Madeline nie za bardzo ma na to ochotę, w końcu jednak, kiedy wyciągnął zabandażowaną dłoń, ustąpiła i pospiesznie zapisała na opatrunku kilka cyfr, jakby miał czternaście lat.

Potem przeszła przez bramkę, zamachała ostatni raz ręką i odeszła, nie oglądając się. Patrzył za nią, aż zniknęła. To rozstanie było takie dziwne... Jak to koniec? Nigdy już jej nie zobaczy? Spędzili razem tylko dwa dni, ale on miał wrażenie, jakby znali się od lat.

Gdy jej sylwetka na dobre zniknęła, stał przez parę minut oszołomiony. Co miał teraz robić? Mógł wykorzystać to, że znalazł się na lotnisku, i pójść do biura Air France, żeby kupić bilet do Aten. Przez chwilę bawił się myślą porzucenia paryskiego piekła, którego nie cierpiał. Jeśli zaraz wsiądzie do samolotu, to wieczorem będzie już na swojej wyspie, wróci do samotnego życia, z dala od wszystkiego, co go raniło: od kobiet, mężczyzn, nowych technologii, od zanieczyszczenia powietrza, uczuć i nadziei... Zawahał się... ale jednak – nie! Nie wiedział co, ale coś trzymało go w Paryżu.

Wyszedł z terminalu i ustawił się w kolejce do taksówek. Czekał krócej, niż się spodziewał. Podał kierowcy adres w szóstej dzielnicy. Potem zaskoczony usłyszał siebie wypowiadającego dziwne zdanie:

– Czy mógłby się pan zatrzymać przed jakimś sklepem Orange? Muszę kupić sobie komórkę.

Przez całą długą podróż siedział zamyślony i z ciężkim sercem przypominał sobie historię, którą opowiedziała mu Pénélope Lorenz.

Była to historia pełna trupów, łez i krwi.

Pénélope

1

– Julian, pospiesz się, proszę cię!

Manhattan. Upper West Side. Dwunasty grudnia 2014 roku.
Godzina dziesiąta rano.

Nazywam się Pénélope Kurkowski-Lorenz. Jeśli jesteś kobietą, z pewnością kilka lat temu zauważyłaś moje zdjęcie na okładkach „Vogue”, „Elle” czy „Harper’s Bazaar”. I znienawidziłaś mnie za to, że byłam wyższa, szczuplejsza i młodsza od ciebie. Miałam klasę, więcej pieniędzy i lepiej wyglądałam niż ty. Jeśli jesteś mężczyzną, być może zwróciłeś kiedyś na mnie uwagę na ulicy i trudno ci było oderwać ode mnie wzrok. Niezależnie od wykształcenia, od szacunku, jaki w teorii miałeś dla kobiet, w głęboko ukrytej części swojego mózgu, mózgu kanalii, pomyślałeś w najlepszym razie: „Niezła dupa!”, a w najgorszym: „Kurwa, chętnie bym ją przeleciał!”.

– Julian, no chodź wreszcie!

Taksówka podwiozła nas na róg Central Park West i Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy. Do hotelu, gdzie czeka na mnie Philippe, jest mniej niż dwieście metrów, ale mój synek się wlecze.

Odwracam się. Julian opatulony w kurtkę siedzi na kamiennych schodkach prowadzących do jednego z pięknych domów z czerwonego piaskowca, które stoją przy tej ulicy. Jak zwykle z głową w chmurach, przygląda się zachwycony parze wydobywającej się z jego ust za każdym razem, gdy je otworzy w tym lodowatym

powietrzu. Uśmiecha się błogo i widać szparkę między dwoma przednimi zębami. W rączce trzyma swojego starego pluszowego pieska, który śmierdzi i wygląda, jakby za chwilę miał się rozpaść.

– Dość tego!

Podchodzę do niego i ciągnę go za rękę, zmuszając do wstania. Kiedy tylko go dotykam, wybucha płaczem. Zawsze te same wygłupy i jęki.

– Przestań!

Ten dzieciak doprowadzi mnie do rozpacz! Wszyscy rozpływają się na jego widok, nikt jednak nie pomyśli o tym, że to ja spędzam z nim całe długie dni! Raz jest powolny, rozmarzony, innym znów razem agresywny, co chwila ryczy. To straszny egoista i niewdzięcznik, a przecież tyle się dla niego robi...

Chcę mu zagrozić, że zaraz zabiorę mu tego cholernego pieska, ale nagle z impetem wjeżdża na krawężnik biała furgonetka i zatrzymuje się tuż za nami. Wypada z niej jakiś facet i wszystko zaczyna dziać się tak szybko, że nie mam ani sekundy, żeby zareagować. Czarny cień zwała się na mnie, wymierza mi cios pięścią w twarz, drugi cios w brzuch, trzeci w bok i czuję, jak ktoś mnie wrzuca na tył samochodu. Ledwo mogę oddychać. Leżę zgięta wpół, tak strasznie mnie boli każda część ciała, że nie mogę nawet krzyknąć. Kiedy unoszę głowę, prosto na moją twarz upada Julian, którego również ktoś cisnął na tył furgonetki. Dzieciak tyłem swojej czaszki łamie mi nos. Zalewam się krwią. Oczy mnie pieką, opadają mi powieki.

2

Gdy odzyskuję przytomność, wokół mnie panuje półmrok, a ja jestem zamknięta w jakimś więzieniu z zardzewiałymi kratami.

Prawdziwa klatka dla zwierząt, ciasna, brudna, okropna. Julian opiera się o mnie. Płacze, jest cały we krwi. Przytulam go. Krew na jego twarzy to moja krew. Rozgrzewam go, pocieszam, że wszystko będzie dobrze, że tata przyjdzie i nas uwolni. Całuję go, całuję, całuję... W ciągu sekundy zaczynam żałować każdej chwili, kiedy na niego krzyczałam. I czuję, że to, co nas spotyka, może być konsekwencją mojego głupiego zachowania.

Mrużę oczy i rozglądam się w ciemnościach. Dwa reflektory przyłączone do metalowych sztab dają trochę światła i widzę, że siedzimy w hangarze, gdzie przechowywane jest wyposażenie zoo, cyrku czy jakiejś innej menażerii. Dostrzegam więcej klatek, zwoje drucianej siatki, metalowe krzesła stojące jedne na drugich, tekturowe skały, palety ze zbutwiałego drewna i plastikowe krzaki.

– Mamo, zrobiłem siusiu! – mówi Julian, płacząc.

– To nic, skarbie!

Klękam koło niego na twardym, lodowatym betonie. Wokół śmierdzi stęchlizną, a w powietrzu unosi się gorzko-kwaśny zapach strachu. Podnoszę pluszowego psiaka, który wala się na ziemi, i poruszam nim jak marionetką.

– Popatrz na pieska, piesek chce, żebyś go przytulił...

Przez kilka minut usiłuję bawić się z Julianem, czułością oddzielić go od tego szaleństwa. Rzucam okiem na zegarek, jest dopiero wpół do dwunastej. Nie jechaliśmy długo, musimy więc być gdzieś niedaleko Manhattanu, może w New Jersey, na Bronxie albo w Queensie... Jestem pewna, że osoba, która nas porwała, zaplanowała to. Zorganizowanie czegoś podobnego w samym sercu miasta musiało być dla niej bardzo ryzykowne. Zatem chodziło jej o nas, o członków rodziny Lorenza. Ale dlaczego? Dla okupu?

Czepiam się tej myśli, bo mnie uspokaja. Sean zrobi wszystko, żeby nas uratować. No, może nie mnie, ale syna na pewno. Zdobędzie

każde pieniądze. Poza tym Sean ma własną maszynę do drukowania banknotów: trzy ruchy pędzlem i już stoi przed nim stado baranów, gotowych wyciągać swoje miliony. Maklerzy giełdowi, multimilionerzy, spekulanci z funduszy hedgingowych, rosyjscy oligarchowie, chińscy nuworysze, wszyscy chcą mieć w swojej kolekcji przynajmniej jednego Lorenza! Lorenz! Lorenz! Lorenz jest lepszy od złota! Lepszy od tysięcy działek kokainy. Lepszy od prywatnego odrzutowca czy willi na Bahamach.

– Ty kurwo jedna!

Ze strachu z moich ust wydobywa się krzyk. Julian znów wybuch płaczem.

Nie zauważyłam tego, ale do naszej klatki podeszła jakaś kobieta.

Gruba, garbata, kulawa. Wygląda, jakby przedwcześnie się zestarzała: długie, proste i popielate włosy, haczykowaty nos oraz wściekłe spojrzenie. Ma mnóstwo zmarszczek, a do tego jej okropna twarz pokryta jest tatuażami: zygzaki, krzyże, trójkąty, koła, błyskawice – jak wojenny makijaż u Indian.

– Kim pani jest?

– Zamknij się, ty kurwo! Ani słowa!

– Dlaczego pani to robi?

– ZAMKNIJ SIĘ! – wrzeszczy, chwytając mnie za gardło.

Z siłą byka ciągnie mnie i kilkakrotnie uderza moją głowę o metalowe pręty. Julian wyje ze strachu. Z nosa znów leci mi krew. Przyjmuję ciosy w milczeniu, ale zaczynam rozumieć, że ona nie zdaje sobie sprawy z własnej siły.

W końcu mnie puszcza. Z zakrwawioną twarzą zwalam się na ziemię. Julian obejmuje mnie kurczowo za szyję, a ja widzę, jak Indianka grzebie w starym zardzewiałym pudle na narzędzia.

– Chodź tu! – ryczy w moim kierunku.

Obcieram oczy z krwi i daję Julianowi znak, żeby schował się w kącie klatki.

Nie wolno mi się jej sprzeciwiać.

Ona tymczasem wyciąga jedno narzędzie po drugim: wielki sekator do gałęzi, hebel, zaciskacz, obcęgi do cięcia drutu...

– Masz! – krzyczy, podsuwając mi pod nos obcęgi.

Ponieważ się nie ruszam, co ją denerwuje, wysuwa z futerału, który nosi przyczepiony do paska, ząbkowany nóż myśliwski o długości co najmniej trzydziestu centymetrów.

Łapie mnie za ramię i zdecydowanym ruchem rozcina pasek mojego zegarka. Potem macha zegarkiem przed moim nosem, wskazując na sekundnik.

– Słuchaj mnie dobrze, kurwo jedna! Masz dokładnie minutę, żeby mi przynieść jeden z palców twojego synalka. Jeśli odmówisz, wejdę do klatki i poderżnę mu gardło, a następnie zabiję ciebie.

Skamieniałam. Mój mózg nie jest w stanie zrozumieć, czego ona ode mnie żąda.

– To niemożliwie, przecież...

– Do roboty! – ryczy, rzucając mi obcęgi w twarz.

Chyba zemdleję...

– Zostało ci czterdzieści sekund! Nie wierzysz mi?! Patrz!

Wchodzi do klatki i chwyta Juliana, który dostaje ze strachu czkawkę. Wyciąga mojego syna, trzymając go przed sobą z nożem na gardle.

– Dwadzieścia sekund!

Trzewia skręca mi ból.

– Nie, nie... – jęczę.

– Do roboty!

Zdaję sobie sprawę, że nie cofnie się przed wykonaniem swojej groźby. Nie mam wyboru.

Podnoszę obcęgi i zbliżam się do niej i Juliana, który śmiertelnie przerażony zaczyna wyc.

– Mamo, nie, nie, nie!!!

Podchodzę do Juliana z obcęgami w dłoni. Rozumiem już dwie rzeczy.

Tak wygląda piekło.

Piekło trwa długo.

3

Piekło jest gorsze niż wszystko, co można sobie wyobrazić.

Kiedy wykonałam jej straszne polecenie, zabrała Juliana. Krzyczałam jak oszalała, ale ona zaczęła mnie kopać w brzuch, w gardło, w piersi i kopała tak długo, aż straciłam przytomność. Gdy doszłam do siebie, posadziła mnie na metalowym krześle i ciasno okręciła drutem kolczastym.

Mijały godziny, nie potrafię powiedzieć, ile czasu tak siedziałam. Nadśluchiwałam, nie słyszałam jednak Juliana. Ledwo mogłam oddychać, tak mnie bolało, kiedy kolce z drutu rozdzierały mi skórę.

Mdleję, budzę się, mdleję, budzę się, tracę poczucie czasu. Ociekam krwią. Siedzę na własnych ekskrementach, płaczę ze strachu.

– Patrz, kurwo jedna!

Wyrywa mnie z letargu wrzask Indianki, która pojawia się w smudze światła. W jednej ręce niesie Juliana. W drugiej trzyma nóż myśliwski. Nie mam nawet czasu krzyknąć. Ostrze unosi się, błyszczy diabelsko i spada na mojego syna. Raz, dwa, trzy, dziesięć razy. Tryska krew. Coś utyka mi w gardle, wrzeszczę. Kolce drutu wbijają mi się w ciało. Dławię się. Duszę. Chcę umrzeć.

– Kurwo jedna!

11

Cursum Perficio

„Ja” nie jest panem nawet we własnym domu.

Sigmund Freud

1

Po powrocie na rue du Cherche-Midi Gaspard wpadł prosto na Seana Lorenza.

Na wielkim portrecie – czarno-białym zdjęciu zrobionym przez angielską fotografkę Jane Bown – surowa postać malarza wyglądała tak, jakby to przez nią salon pogrążony był w ciężkiej, kamiennej ciszy. Gaspard odnosił wrażenie, że Lorenz nie spuszcza z niego wzroku.

Postanowił jednak nie zwracać na to uwagi i przemknął do kuchni nastawić kawiarkę, którą kupił, wychodząc ze sklepu Orange. Żeby dodać sobie energii, przygotował ristretto na modłę włoską i wypił je prawie jednym haustem, a potem zaparzył lungo, które przedłużyło tę przyjemność.

Z filiżanką w dłoni wrócił do salonu i znów spotkał się twarzą w twarz z malarzem. Kiedy po raz pierwszy widział to zdjęcie, miał wrażenie, że Sean mówi do niego: „Idź do diabła!”. Teraz wydawało

mu się raczej, że pełne blasku, głębokie spojrzenie z fotografii woła: „Pomóż mi!”.

Przez chwilę walczył, wreszcie się poddał.

– Jak mam ci pomóc? Wiesz dobrze, że twój syn nie żyje! – wykrzyknął.

Gaspard zdawał sobie sprawę, że głupio gadać do zdjęcia, czuł jednak potrzebę usprawiedliwienia się. Musiał też zebrać myśli.

– Okay, nie znaleziono jego ciała... ale to nie znaczy, że on żyje – podjął. – Przyznaj, że ta historia z życiem po życiu to głupota.

Poważna twarz patrzyła na niego w milczeniu. Gaspard wyobraził sobie, że Sean mu odpowiada, i włożył w jego usta własne słowa: *Gdyby to twój syn stracił życie, myślisz, że...*

– Nie mam syna! – odpowiedział w pustkę.

– *Pomóż mi!* – usłyszał w wyobraźni.

– Przestań mi zawracać głowę!

W tym momencie przypomniał sobie wywiad Jacques’a Chancela z Lorenzem. Pod koniec rozmowy dziennikarz zapytał, jaki jest, według Lorenza, ostateczny cel pracy malarza. Sean bez wahania odparł: „Nieśmiertelność!”. Odpowiedź, którą można byłoby uznać za przejaw megalomanii, zyskała głębszy sens, gdy artysta wyjaśnił, że dla niego nieśmiertelność oznacza możliwość czuwania nad najbliższymi, jak najdłużej się da.

Gaspardowi zaczęło się lekko kręcić w głowie i nagle wydało mu się, że zamiast twarzy Lorenza widzi twarz własnego ojca. To ojciec go prosił: „Pomóż mi!”. Gaspard zamrugał, czuł się dziwnie. Po chwili złudzenie zniknęło.

Uwolniony od Lorenza i od ojca, poszedł do swojego pokoju, rozebrał się, zdjął bandażę i ruszył pod prysznic. Rzadko wchodził pod prysznic w środku dnia, ale napięcie związane z wydarzeniami zeszłej nocy nie pozwoliło mu zasnąć i teraz poczuł znużenie. Zimna

woda orzeźwiła go i przepędziła uczucie wyczerpania. Kiedy ostrożnie wycierał temblak, ujrzał swoje odbicie w lustrze poplamionym czarnymi kropkami i zrobiło mu się niewyraźnie: zarośnięta twarz, zarośnięte piersi, od dawna niestrzyżone włosy... Facet w lustrze wyglądał niechlujnie i grubo.

Z łazienkowych szuflad wygrzebał pędzel, maszynkę do golenia i piankę. Choć dłonie miał obandażowane, zaczął nożyczkami obcinać gęstą brodę, ogolił się i trochę skrócił włosy. Wreszcie lepiej mu się oddychało. Poczuł, że nie chce znowu wkładać flanelowej koszuli w kratkę, takiej, jaką noszą drwale, i sztruksowych spodni leśniczego.

W bokserkach i T-shircie wszedł do garderoby, która przylegała do największej sypialni. Tak jak Steve Jobs czy Mark Zuckerberg, Sean Lorenz był najwyraźniej zwolennikiem *capsule wardrobe* – garderoby uniwersalnej. Gaspard znalazł w szafie tuzin marynarek Smalto w kolorach od czerni do jasnej szarości oraz białe, popelinowe koszule z angielskim kołnierzykiem i perłowymi guzikami. Mimo lekkiej nadwagi sylwetka Gasparda była podobna do sylwetki Lorenza. Włożył więc jedną z koszul wiszących w szafie i wybrał garnitur. Czuł się w tym zadziwiająco dobrze, tak jakby nagle stracił parę kilogramów.

W jednej z szuflad, obok porządnie zwiniętych skórzanych pasków, zauważył sporo flakonów wody toaletowej. Pięć trochę już poźółkłych, kartonowych opakowań Pour Un Homme od Carona, z których parę było jeszcze zafoliowanych. Przypomniał sobie, co o obsesyjnym charakterze Lorenza powiedziała mu Pauline. Ta woda to był pierwszy prezent od Pénélope, na początku ich związku. Sean od tej pory zawsze jej używał, ale przekonany, że z czasem producenci zmienili skład, obsesyjnie szukał na eBayu rocznika 1992 i systematycznie wykupywał wszystkie flakony, jakie znalazł.

Gaspard otworzył jedno z pudełek i skropił się wodą. Nuty lawendy i wanilii miały w sobie coś bezpośredniego i wciąż aktualnego, co mu się nawet spodobało. Gdy już wychodził z garderoby, jeszcze raz spojrzął na siebie w wielkim lustrze i odniósł wrażenie, że widzi zupełnie innego mężczyznę, właściwie Lorenza, tyle że bardziej okrągłego i spokojniejszego. Aby dopełnić stylizacji, odłożył okulary do szuflady z wodami toaletowymi. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o jednym ze swoich ulubionych filmów – *Zawrocie głowy* Hitchcocka – i o szalonym planie Scottiego, granego przez Jamesa Stewarta. To mężczyzna, który stara się tak zmienić swoją nową dziewczynę, żeby była podobna do jego utraconej wielkiej miłości. Hitchcock w zakończeniu filmu ostrzega, że chęć zajęcia miejsca zmarłych może być bardzo niebezpieczną grą. W tej jednak chwili Gaspard w ogóle się tym nie przejmował. Wygładził marynarkę i wyszedł z garderoby, wzruszając ramionami.

2

Od samego początku zastanawiało Gasparda, dlaczego Bernard Benedick, spadkobierca i wykonawca testamentu Seana, zdecydował się na wynajęcie jego domu, zostawiając w nim tyle osobistych rzeczy malarza. Dziś, kiedy przechadzał się po dawnej sypialni Lorenza i Pénélope, to pytanie powróciło. Sytuacja była dwuznaczna. Przebywanie w ciepłym, rodzinnym domu okazało się bardzo przyjemne, ale jednocześnie Gaspard czuł się trochę jak podglądacz, co nie było zbyt miłe. Grzebiąc w osobistych rzeczach zmarłego właściciela, postanowił jednak o tym nie myśleć, przynajmniej na razie, dla dobra sprawy. Pootwierał wszystkie szafy, zajrzał do szuflad, opukał ściany, sprawdził nawet deski parkietu, choć nie było

mu łatwo z obandażowanymi dłońmi. Mimo to niewiele znalazł. Spod palisandrowego biurka wyciągnął wypełnioną papierami skrzynkę na kółkach, z której wysypywały się jakieś dokumenty i koperty.

Uważnie przejrzał jej zawartość. Trafił na artykuły z najpopularniejszych gazet, ściągnięte z internetu – wszystkie w jakiś sposób dotyczyły śmierci Juliana. Były to wycinki z „New York Timesa”, „Daily News”, „Post” czy „Village Voice”, które Gaspard przeczytał już poprzedniego dnia na komputerze Madeline. Nie wnosi do sprawy niczego nowego, ale utwierdziły go w przekonaniu, że tuż przed śmiercią Lorenz faktycznie zaczął ponownie interesować się sprawą śmierci syna. Zaskoczyło go, że były tam również listy, które przychodziły do Lorenza już po jego śmierci. Rachunki za elektryczność, za telefon, góry reklam, zawiadomienia z urzędu skarbowego, wciąż domagającego się jakichś zaległych płatności, nawet w życiu wiecznym...

Z sypialni Lorenzów wchodziło się prosto do pokoju Juliana. Stanąwszy na progu, Gaspard zawahał się chwilę. Ciężkie zadanie... Usłyszał jednak:

Pomóż mi!

Spróbował zapanować nad sobą. Przekroczył próg. Był to ładny, kwadratowy pokój wychodzący na ogród. Jasne pomieszczenie miało cyklinowany parkiet i pastelowe meble. W uroczystym spokoju promienie słońca wpadały przez okno, oświetlając dziecięce łóżko przykryte beżową narzutą. W ich blasku, między drobinami kurzu unoszącymi się w powietrzu, widać było woskowane drewno biblioteczek, gdzie stały ilustrowane książki i kolekcja samochodzików. Zupełnie jak na rysunku Normana Rockwella.

Nie spodziewając się, że znajdzie tutaj coś ciekawego, Gaspard przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, jakby przed ołtarzem tajemniczego bóstwa. Miejsce nie miało w sobie nic ponurego,

przeciwnie, sprawiało wrażenie, że pokój czeka na powrót malca. Wkrótce chłopiec wróci ze szkoły, otworzy szafę i wyjmie z niej klocki Lego, swoją magiczną tabliczkę, figurki dinozaurów... Tak sobie myślał Gaspard, dopóki nie zauważył na poduszce pluszowego pieska ochlapanego krwią.

Zastygł. Czy to ta sama zabawka, którą Julian miał ze sobą, gdy go porwano? Jeśli tak, w jaki sposób znalazła się tutaj?!

Wziął do obolałych rąk zwierzątko. Piesek miał pyszczek zabawny i poczciwy, niepasujący zupełnie do krwawej plamy na czole. Gaspard podsunął sobie zabawkę pod nos i nagle spostrzegł, że to nie krew, ale czekolada. Zrozumiał w lot, że to klasyczny trik rodziców z przytulanką na wymianę. Nie poczuł gorzkiej woni strachu ani paniki; zabawka pachniała słodko i ciepło szczęśliwym dzieciństwem. Dlatego zapewne Lorenz zachował ją jako relikwię, tak jak relikwią może być woń ciasteczek prosto z pieca, przywodząca na myśl spokojne momenty lektury, kłos dojrzałego zboża, brązowa kolczasta łupina kasztana, liście platana unoszone powiewem ciepłego wiatru... Obrazy te upewniły Gasparda w jednym: oto otworzyła się przed nim droga, którą pójdzie aż do końca, niezależnie od konsekwencji.

3

„Dziewięć miesięcy zimy, trzy miesiące piekła” – stare powiedzenie kastylijskie nie było sprawiedliwe, ponieważ tak naprawdę w Madrycie padało najwyżej dziesięć dni w roku. Pechowo dwudziesty drugi grudnia 2016 roku okazał się dniem deszczowym – w Madrycie Madeline trafiła na pogodę jeszcze gorszą niż w Paryżu.

Po męczącym locie – już na początku samolot wypadł z kolejki do startu, bo w ostatniej chwili jeden z pasażerów zasnął i trzeba było go

ewakuować – Madeline wylądowała na lotnisku Madryt-Barajas z prawie dwugodzinnym opóźnieniem. I wtedy zaczęły się te wszystkie „przyjemności”, jakie zwykle towarzyszą takiej podróży, czyli komplikacje, które doprowadzały do rozpaczki Gasparda: zatłoczony terminal, zmęczeni pasażerowie, niekończące się oczekiwanie i przygnębiające uczucie, że się jest traktowanym jak bydło. Najpierw ciasny mikrobusik dowiózł ją do terminalu, a następnie wsiadła do zdezelowanej taksówki śmierdzącej potem i dymem papierosowym. Grat od nieświeżego powietrza miał zaparowane szyby, ona zaś musiała to znosić przez niemal całą godzinę, gdy utknęli w korku – był to ostatni tydzień przedświątecznych zakupów. A wszystko to przy akompaniamencie miejscowego radia nadającego listę przebojów hiszpańskich w stylu ruchu *movida madrileña* z końca lat siedemdziesiątych: Mecano, Los Elegantes, Alaska y Dinarama...

Ach, zaraziłam się od Coutances’a – pomyślała Madeline z irytacją, kiedy dojechali do calle de Fuencarral w centrum Chueca, dzielnicy madryckich homoseksualistów. Przestraszyła się. Nie może ulec tej pesymistycznej wizji. Gdyby zaczęła patrzeć na świat przez pryzmat ponurej wizji Gasparda Coutances’a, pozostawałoby strzelić sobie w łeb.

Zmusiła się więc do przyjęcia postawy pozytywnej. Kierowca taksówki był beznadziejny, mimo to zostawiła mu napiwek. W hotelu nikt jej nie pomógł z bagażem, ale powiedziała sobie, że to nic, że nie potrzebuje niczyjej pomocy. Pokój, zarezerwowany w ostatniej chwili, okazał się zupełnie przygnębiający – okno wychodziło na jakąś budowę i rdzewiejący dźwig, ale być może miało to pewien industrialny wdzięk. Zresztą po zabiegu poszuka czegoś bardziej malowniczego.

Stawić czoło rzeczywistości. Nie załamywać się. Zapomnieć, jak chaotyczne było jej życie do tej pory, zapomnieć o szaleństwie

związanym z Lorenzem, o tragedii jego syna, o Gaspardzie i jego życiowej strategii „wszystko albo nic”. Skoncentrować się na budowaniu przyszłości, którą sobie wybrała.

4

O czwartej po południu Gaspard zjadł obiad w kuchni, na stojąco i w pośpiechu: sardynki z puszki zagryzł kilkoma kromkami pieczywa tostowego i popił wodą Perrier Citron.

Później, tak jak to ostatnio robił, wybrał jedną z płyt jazzowych ze zbiorów Lorenza i włączył gramofon. Następnie przeniósł do salonu wyciągnięte spod łóżka pudło z korespondencją malarza i zaczął przeglądać to dziwne archiwum.

Siedział po turecku i czytał jeden papier po drugim już od dobrej godziny, gdy nagle natrafił na numer magazynu „Art in America”, wciąż zafoliowany. Rozerwał szczelnie przylegający plastik. Był to numer ze stycznia 2015 roku. Z przypiętej zszywaczem wizytówki wynikało, że to sam redaktor naczelny przysłał Seanowi pismo z krótkimi podziękowaniami i kondolencjami.

W magazynie znajdowało się kilkanaście stron relacji z wieczoru inauguracyjnego wystawę *Sean Lorenz. A life in painting*, otwartą w Muzeum Sztuki Współczesnej trzeciego grudnia 2014 roku, zaledwie parę dni przed porwaniem małego Juliana. Przerzucając kolejne strony, Gaspard zorientował się, że ten wieczór był bardziej wydarzeniem towarzyskim, niż służył promocji sztuki. Sponsor, którym była jakaś luksusowa marka, ściągnął tłumy osobistości. Na zdjęciach Gaspard rozpoznał Michaela Bloomberg, byłego burmistrza Nowego Jorku, jak również Andrew Cuomo, gubernatora stanu Nowy Jork. Na innych fotografiach można było dojrzeć

marszandów – Charlesa Saatchiego i Larry’ego Gagosiana. Pénélope Lorenz, w sukni z głębokim dekoltem, wciąż jeszcze olśniewająco piękna, rozmawiała z Sarah Jessicą Parker i Julianem Schnabelem. W podpisach pojawiały się nazwiska modelek i młodych bywalców salonów, o których jednak Gaspard nigdy nie słyszał.

Na zdjęciach Sean wyglądał na nieobecnego duchem, można też było wyczuć, że jest lekko zmieszany. Gaspardowi wydało się, że artysta był zażenowany arogancką wystawnością tego przyjęcia. Ascetyzm i czystość jego ostatnich obrazów stanowiły zupełne przeciwieństwo tego rodzaju spędów, gdzie ludzie przychodzili wyłącznie po to, żeby się pokazać. Na twarzy Seana widać było zaniepokojenie, jakby był świadom, że ze szczytu, na który się wspiął, została mu już tylko droga w dół. Tak jakby widział już za Kapitołem cień Skąły Tarpejskiej... Tak jakby śmierć Juliana była wpisana w program tego wieczoru.

Na jednym jednak zdjęciu się uśmiechał. Sfotografowano go obok nowojorskiego policjanta w granatowym mundurze i ośmiokątnej czapce. Podpis mówił, że policjant Adriano Sotomayor był przyjacielem Lorenza z dzieciństwa i że było to ich pierwsze spotkanie po dwudziestu dwóch latach. Uważnie przyglądając się fotografii, Gaspard rozpoznał popisującego się mięśniami Latynosa ze zdjęć z młodości Lorenza, które widział w monografii. Podniósł się z podłogi i podszedł do półek z książkami. Nie ulegało wątpliwości: Sotomayor na pewno był trzecim członkiem grupy Pirotechników, tym podpisującym swoje tagi jako NightShift. Z wiekiem twarz mu się zaokrągliła, dawną arogancję zastąpiła pewnego rodzaju przystępność, ale wciąż miał ostre rysy, które upodabniały go do aktora Benicia del Toro.

Gaspard zachował w pamięci tę informację i zamknął czasopismo. Wstał, by zrobić sobie kolejną kawę, i po raz pierwszy od ponad

dwudziestu czterech godzin poczuł gwałtowną potrzebę napicia się alkoholu. Z doświadczenia wiedział, że aby ukręcić łeb szatanowi, należy działać szybko. Wobec tego wylał do zlewu cały alkohol, który mu jeszcze został, a więc trzy butelki grand cru i resztkę whisky. Przez chwilę czuł się fatalnie, dostał silnych dreszczy i zlał się potem, ale fala złego powoli odpłynęła i uświadomił sobie, że udało mu się zdusić pożar w zarodku. W ramach nagrody podniósł do ust już skręconego papierosa, którego znalazł w paczce jasnego tytoniu zostawionej na blacie kuchennym przez Madeline. Jedna trucizna zamiast drugiej, słynny współczynnik przeciwności Sartre'a, napotykanym na drodze życia, odgrywający tak ważną rolę, że trzeba „lat cierpliwego działania, aby osiągnąć nieznaczny rezultat”. No cóż, zwyciężamy tam, gdzie możemy.

Z papierosem w ustach Gaspard włączył drugą stronę płyty – starego, najlepszego Joego Mooneya – i znów zagłębił się w pracy. Najpierw przejrzał powtórnie artykuły wyszukane na nowiutkim smartfonie, a następnie zajął się jeszcze nieotwartą korespondencją Lorenza.

Gdy doszedł do rachunków, dokładnie przeanalizował wyciągi telefoniczne. Lorenz telefonował mało, ale te dokumenty mogły służyć za billingi pozwalające się zorientować, co robił w dniach poprzedzających śmierć. Niektóre numery były francuskie, inne amerykańskie. Gaspard zaczął wykręcać je wszystkie w porządku chronologicznym. Dodzwonił się między innymi do sekretariatu oddziału kardiologii w szpitalu Bichat, do gabinetu doktora Fitoussiego, kardiologa z siódmej dzielnicy, a potem do apteki przy boulevard Raspail. Spośród numerów amerykańskich jeden zwłaszcza zwrócił jego uwagę, ponieważ Lorenz wybierał go dwa razy bez powodzenia. Udało mu się dodzwonić dopiero za trzecim razem. Gdy Gaspard spróbował się połączyć, odezwała się automatyczna

sekretarka niejakiego Cliffa Eastmana, którego bezosobowy anons został wypowiedziany chrapliwym, ale wesołym głosem nałogowego palacza albo wielkiego amatora whisky (a najprawdopodobniej obu tych rzeczy, przywary bowiem lubią występować parami).

Na wszelki wypadek Gaspard nagrał się z prośbą o oddzwonienie i wrócił do przeglądania archiwów Seana. Dokładnie przeszukał bibliotekę, zajrzał do każdej książki, otwierał je wszystkie po kolei, wyciął nawet kilka fragmentów i zdjęć z monografii i wkleił je do dużego kołnotatnika, w którym planował pisać swoją sztukę. Między pięknym albumem z fotografiami Salgada i kultowym komiksem Spiegelmana *Maus* znalazł stary plan Nowego Jorku i od razu wykorzystał go, żeby lepiej ocenić odległości pomiędzy miejscami związanymi ze śledztwem, które prowadził. Kolorowymi krzyżykami oznaczył punkty, gdzie Julian został porwany, gdzie był więziony razem z matką, do tego most, z którego Beatriz Muñoz miała zrzucić ciało do rzeki, oraz stację metra, gdzie popełniła samobójstwo...

W całym tym zapale nie zdawał sobie sprawy z mijającego czasu. Kiedy uniósł głowę znad papierów, było już ciemno, a Joe Mooney dawno przestał śpiewać. Gaspard spojrział na zegarek i przypomniał sobie, że przecież umówił się na spotkanie.

12

Black hole

Całkiem sobą każdy może być tylko dopóty, dopóki jest sam⁵.

Arthur Schopenhauer

1

Agencja Karen Lieberman mieściła się przy rue de la Coutellerie, w pierwszej dzielnicy, niedaleko ratusza i Centrum Pompidou.

Gaspard był tutaj tylko jeden raz, dwanaście lat temu, kiedy zaczynał współpracę z Karen. Potem już ona przyjeżdżała do niego. Żałował, że nie umówili się teraz tak samo. Podczas jazdy z rue du Cherche-Midi znów musiał się zanurzyć w nieprzyjemnej, agresywnej atmosferze szarego Paryża. Był zirytowany, czuł, że porusza się po wrogim terenie, i męczyło go uporczywe pragnienie napicia się alkoholu.

Miejsce wyglądało tak, jak je zapamiętał: przez zniszczone wejście, obwieszone dużą liczbą tabliczek z nazwiskami różnych przedstawicieli wolnych zawodów, wchodziło się na brzydkie podwórko, w głębi którego stała oficyna, znacznie skromniejsza niż główny budynek. Winda wielkości trumny jechała potwornie wolno, przede wszystkim jednak sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała

stanąć między piętrami. Po chwili wahania Gaspard zdecydował się pokonać sześć pięter pieszo.

Z trudem łapiąc oddech, dotarł na miejsce. Zadzwoił i po sekundzie wpuszczono go do biur na poddaszu. Z zadowoleniem stwierdził, że przedpokój, gdzie ustawiono kilka krzeseł, urządzając tu poczekalnię, był pusty. Ponieważ Karen zajmowała się mniej więcej dwudziestką pisarzy, dramaturgów i scenarzystów, Gaspard bał się, że trafi na jednego z tych „kolegów” i będzie musiał wygadywać grzecznościowe głupstwa. „Samotność ma dwie dobre strony: po pierwsze, człowiek jest sam ze sobą, a po drugie, nie ma go z innymi” – coś takiego powiedział kiedyś Schopenhauer. Gaspard przypomniał sobie to zdanie, idąc w kierunku pokoju, gdzie urzędował asystent Karen.

Był to młody facet, któremu się wydawało, że ma styl – tymczasem z brodą hipstera, pozornie buntowniczymi tatuażami, podstrzyżony w stylu undercut, w butach chukka i wciętą koszulą dżinsową był jedynie nieudolnym naśladowcą wszystkich swoich kumpli, którzy starali się odtworzyć dzielnice Williamsburg i Kreuzberg nad kanałem Saint-Martin. Na dodatek popatrzył na gościa podejrzliwie i spytał go o nazwisko, choć zapewne Gaspard sam jeden zapewniał tej agencji trzy czwarte dochodów!

– To dzięki mnie dostajesz swoją pensję, frajerze! – Gaspard zdenerwował się i na oczach osłupiałego asystenta przeszedł zdecydowanym krokiem ku drzwiom gabinetu Karen.

– Gaspard? – odezwał się zza nich kobiecy głos.

Zaalarmowana podniesionym tonem, agentka wyszła zza biurka, by przywitać Gasparda. Giętka jak liana, z krótko ostrzyżonymi blond włosami, Karen Lieberman miała już prawie czterdzieści pięć lat, ubierała się jednak tak, jakby wciąż była uczennicą liceum Janson-de-Sailly: lewisy 501, biała koszula, sweter w serek i mokasy w kolorze

bordo. Karen była agentką Gasparda, ale również jego adwokatką, księgową, asystentką, jego PR-owcem, doradczynią podatkową i agentką nieruchomości. W zamian za dwadzieścia procent jego dochodów była łącznikiem Coutances'a ze światem zewnętrznym. Interfejsem, dzięki któremu mógł żyć tak, jak mu się podobało, i wszystkich mieć w nosie, co zresztą często mu się zdarzało.

– Jak się ma największy odludek wśród moich autorów?

Gaspard przerwał jej gestem dłoni.

– Nie jestem żadnym twoim autorem. To ty jesteś moim pracownikiem, a to zupełnie coś innego.

– Oto Gaspard Coutances w pełnej formie! – rzuciła. – Gbur, zrzęda, ponurak...

Zaprosiła go, żeby usiadł.

– Czy nie mieliśmy się spotkać w restauracji? – spytała.

– Najpierw musisz mi wydrukować kilka ważnych dokumentów – wyjaśnił, wyciągając z kieszeni smartfona. – Artykuły, które znalazłem w internecie...

– Wyślij je do Florenta, on...

– Powiedziałem, że to jest bardzo ważne! Chcę, żebyś to zrobiła ty, a nie ten twój fagas.

– Jak chcesz. Aha, dzwonił Bernard Benedick. Zapewnił mnie, że z domem wszystko w porządku. Najwyraźniej ta dziewczyna sama zrezygnowała. Będziesz miał cały dom dla siebie.

Pokręcił głową.

– Tak jakbym tego nie wiedział! Poza tym nie zamierzam tam zbyt długo siedzieć.

– No tak, to byłoby zbyt piękne. – Karen westchnęła. – Chcesz whisky?

– Nie, dziękuję. Postanowiłem przyhamować z alkoholem.

Popatrzyła na niego, wytrzeszczając oczy.

– Czy dobrze się czujesz, Gaspardzie?

– W tym roku sztuki nie napiszę! – oświadczył prosto z mostu.

Prawie widział, jak w mózgu Karen schodzi lawina składająca się z konsekwencji tej decyzji: anulowanie kontraktów, rezygnowanie z lokali, odwoływanie podróży, a więc zwrot biletów... Mimo to po niecałych dwóch sekundach usłyszał:

– Naprawdę? Dlaczego?

Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Jedna mniej czy jedna więcej sztuka Coutances’a... nie wydaje mi się, żeby w historii teatru miało to jakiegokolwiek znaczenie...

Ponieważ Karen nie odpowiadała, wbił gwóźdź głębiej.

– Przemyślałem to. Bądźmy szczerzy, w ostatnich latach trochę się powtarzałem, czyż nie?

Tym razem Karen zareagowała.

– Jeśli chodzi o „świat jest brzydki, ludzie są głupi”, to być może tak. Ale możesz spróbować napisać coś innego.

Gaspard się skrzywił.

– Nie za bardzo wiem co.

Wstał, wyjął papierosa z paczki leżącej na biurku i wyszedł na balkon.

– Zakochałeś się, tak?! – wykrzyknęła Karen, idąc za nim na balkon.

– Skąd, co ty wygadujesz?!

– Wiedziałam, że kiedyś to nastąpi – jęknęła.

– Ponieważ nie chcę napisać kolejnej sztuki, od razu wyciągasz z tego wniosek, że się zakochałem? Niezbyt mądre to rozumowanie.

– Kupiłeś komórkę. Ty! Przestałeś pić, jesteś ogolony, nie masz okularów, ubrałeś się w garnitur i pachniesz lawendą! A więc tak, naprawdę myślę, że się zakochałeś!

Patrząc w dal, Gaspard zaciągnął się papierosem. Poprzez ciepłą, wilgotną noc dochodził do nich szum wielkiego miasta. Gaspard oparł się o balustradę i spojrział na wieżę Saint-Jacques, samotną, niedokończoną konstrukcję błyszczącą o dwa kroki od Sekwany.

– Dlaczego zostawiłaś mnie w tej dziurze? – spytał nagle.

– W jakiej dziurze?!

– W tej, w której wegetuję już od tylu lat.

Teraz ona zapaliła papierosa.

– Wydaje mi się, że sam się w niej uwięziłeś, Gaspardzie... Tak skrupulatnie zorganizowałeś swoje życie, żeby tylko mieć pewność, że nie będziesz z niej wychodził.

– Wiem, ale mimo wszystko jesteśmy przyjaciółmi i...

– Gaspardzie, jesteś dramaturgiem i twoimi jedynymi przyjaciółmi są bohaterowie twoich sztuk.

– Mogłaś jednak spróbować jakoś mnie rozruszać...

Karen się zamyśliła.

– Chcesz znać prawdę? – zapytała po chwili. – Zostawiłam cię w tej dziurze, bo to było miejsce, w którym pisałeś najlepsze sztuki. W samotności, bez satysfakcji, w smutku...

– Nie widzę związku.

– Ależ widzisz! I uwierz mojemu doświadczeniu: szczęście jest super w życiu, ale nie nadaje się do tworzenia. Czy znasz jakichś szczęśliwych artystów?

Dała się porwać emocjom i teraz już z pasją, oparta o ramę okienną, ciągnęła swój wywód:

– Gdy tylko któryś z moich autorów mówi, że jest szczęśliwy, zaczynam się martwić. Przypomnij sobie, co cały czas powtarzał Truffaut: „Sztuka jest ważniejsza od życia”. I do tej pory dobrze się składało, bo niewiele rzeczy lubiłeś w życiu, Gaspardzie. Przecież

wciąż nie lubisz ludzi, nie lubisz ludzkości, nie lubisz dzieci, nie lubisz...

W chwili, gdy podniósł rękę, żeby jej przerwać, zadzwoniła jego komórka. Popatrzył na ekran. Stany.

– Przepraszam cię na moment.

2

Madryt. Piąta po południu i już prawie ciemno...

Przed wyjściem z hotelu Madeline poprosiła o pożyczenie parasola, ale recepcjonista grzecznie jej odmówił. Nieważne. Wyszła na deszcz i postanowiła nie przejmować się szarugą ani innymi przeciwnościami. Dwa kroki od hotelu była apteka, gdzie pokazała farmaceutce receptę: antybiotyk, żeby zapobiec infekcjom podczas zabiegu, i kolejna dawka hormonów stymulujących uwalnianie komórek jajowych. Była to nowa metoda, która umożliwiała ograniczenie do dwudziestu czterech godzin zwykłego okresu między wstrzyknięciem hormonów a pobraniem jajeczek. Niestety, w tej aptece nie mieli tych lekarstw i Madeline musiała szukać następnej, potem jeszcze jednej i dopiero w czwartej zrealizowała receptę. O szóstej po południu wreszcie mogła zabawić się w turystkę i zaczęła spacerować między dzielnicami Chueca i Malasaña. Teoretycznie była to okolica, gdzie wciąż się coś działo. Będąc w Madrycie pod koniec zeszłego lata, Madeline z przyjemnością przechadzała się po kolorowych uliczkach, wstępując do sklepików z ciuchami i przysiadając w kafejkach, w których panowała wesola atmosfera. Dzisiaj sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Lało jak z cebra i wydawało się, że Madryt przeżywa ostatnie chwile przed potopem. Od wczesnego popołudnia ulewa wraz z

silnym wiatrem przetaczała się przez każdy zakątek miasta, wprowadzając bałagan, podtapiając ulice i powodując korki.

Madeline była głodna, postanowiła więc wrócić do małej restauracji, gdzie jadła obiad podczas swojego poprzedniego pobytu, ale, niestety, nie odnalazła drogi. Chmury wisiały tak nisko, jakby za chwilę miały się rozbić o kopuły dominujące nad królewskim miastem. W zapadającej nocy i deszczu wszystkie ulice były do siebie podobne, a plan, który Madeline wzięła z recepcji hotelu, rozmókł jej w dłoniach. Calle de Hortaleza, calle de Mejía Lequerica, calle Argensola – nazwy i dźwięki mieszały jej się, a w strugach deszczu wszystko było rozmazane. Kompletnie zagubiona, wylądowała w końcu w jakimś podupadającym lokalu. Tatar z dorady, który zamówiła, topił się w majonezie, a tarta jabłkowa była nie całkiem rozmrożona.

Poprzedzając potężny grzmot, ogromna błyskawica przecięła atramentowe niebo i w szybie zlanej deszczem mignął Madeline negatyw jej własnego odbicia. Poczowała kolosalną chandrę. Uświadomiła sobie w pełni, jak bardzo jest samotna. Myślami wróciła do Coutances'a, jego energii, humoru, bystrości umysłu. Ten rozczulający mizantrop był człowiekiem trudnym do zaszufładowania, pełnym sprzeczności. Choć był więźniem schematów obsesyjnego myślenia i pesymistą jakich mało, uwalniał siłę, która ją mobilizowała. W tym momencie bardzo potrzebowała jego energii, ciepła, a nawet jego hipokryzji. We dwoje przynajmniej mogliby sobie razem pozzzędzić.

Popiła antybiotyki podłą kawą bezkofeinową i wróciła do hotelu. Zastrzyk z hormonem, gorąca kąpiel i pół butelki wina Rioja znalezione w minibarku. Po wypiciu go prawie natychmiast dostała migreny.

Nie było jeszcze dziesiątej, kiedy położyła się do łóżka i szczelnie opatuliła kołdrą.

Jutrzejszy dzień miał być najważniejszym w jej życiu, może początkiem nowego etapu. Chciała zasnąć z pozytywnymi myślami, dlatego próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać to jej wymarzone dziecko. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy, tak jakby ten plan był nierealny i miał takim pozostać. Starła się odgonić wszelkie negatywne myśli i zasnąć, ale nagle wszystko zniknęło i jak żywą ujrzała buzię Juliana Lorenza: śmiejące się oczka, zadarty noseć, blond loki i zniewalający uśmiech małego chłopczyka.

Na zewnątrz wciąż lało.

3

Gaspard od razu rozpoznał w słuchawce chrapliwy głos Cliffa Eastmana, człowieka, do którego Sean dzwonił trzy razy kilka dni przed śmiercią.

– Dzień dobry, panie Eastman, bardzo dziękuję, że pan do mnie oddzwania!

W paru zdaniach Eastman przekazał mu całą masę informacji: jako bibliotekarz na emeryturze normalnie mieszkał w Miami, ale teraz, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, był uwięziony u swojej synowej w stanie Waszyngton.

– Osiemdziesiąt centymetrów śniegu! – wykrzyknął. – Ruch uliczny sparaliżowany, drogi zablokowane, nawet wi-fi wysiadło! Nudzę się tu jak mops.

– Niech pan sięgnie po jakąś dobrą książkę! – zaproponował niepewnie Gaspard, żeby podtrzymać rozmowę.

– Nie mam nic pod ręką, a moja synowa czyta same głupoty, seks, seks i jeszcze raz seks! Ale, ale, nie za bardzo zrozumiałem, kim pan właściwie jest? Dzwoni pan z kasy emerytalnej w Key Biscayne, czy tak?

– Niezupełnie... – odparł Gaspard. – Czy zna pan Seana Lorenza?

– Nigdy o nim nie słyszałem, kto to taki?

Starszy pan każde zdanie kończył głośnym cmoknięciem.

– To słynny malarz. Jakiś rok temu próbował się do pana dodzwonić.

– Może, ale ja teraz dużo rzeczy zapominam. Czego ode mnie chciał ten pański Picasso?

– Właśnie tego pragnę się dowiedzieć.

Kolejne cmoknięcie.

– Może to nie do mnie dzwonił.

– Nie rozumiem.

– Kiedy odziedziczyłem ten numer telefonu, przez kilka miesięcy wydzwaniali do mnie ludzie, którzy szukali poprzedniego właściciela.

Gaspard zadrżał. Może wreszcie jakiś ważny ślad?

– Coś takiego! A jak się nazywał poprzedni właściciel?

Wydawało mu się, że słyszy, jak Eastman drapie się po głowie.

– Nie pamiętam, to było już dość dawno... Facet nazywał się tak samo jak ten sportowiec...

– Sportowiec to bardzo ogólna wskazówka.

Pamięć starszego pana wisiała na cienkiej nitce. Trzeba było uważać, żeby jej nie zerwać ani nie rozciągnąć.

– Bardzo pana proszę, niech pan spróbuje sobie przypomnieć!

– Mam to nazwisko na końcu języka. Sportowiec, zawodnik... Tak, wydaje mi się, że skoczek, który brał udział w olimpiadzie.

Gaspard zaczął przetrząsać własną pamięć. Sport to nie była jego specjalność. Kiedy ostatni raz oglądał olimpiadę w telewizji,

Mitterrand i Reagan musieli jeszcze być u władzy, Platini strzelał wolne dla Juventusu, a na pierwszym miejscu listy przebojów utrzymywała się piosenka zespołu Frankie Goes to Hollywood. Dla przyzwoitości wymienił kilka nazwisk.

– Siergiej Bubka, Thierry Vigneron...

– Nie, nie, to nie była tyczka. On skakał wzwyż.

– Dick Fosbury?

Starszy pan wyraźnie dał się wciągnąć w te poszukiwania.

– Nie, nie, Latynos, Kubańczyk!

Gaspard doznał olśnienia.

– Javier Sotomayor!

– O, właśnie! Sotomayor!

Adriano Sotomayor. Kilka dni przed śmiercią, kiedy był przekonany, że jego syn wciąż żyje, Sean szukał pomocy u swojego starego kumpla z Pirotechników, który wylądował w policji.

A więc był w Nowym Jorku ktoś, kto mógłby mu pomóc! Ktoś, kto może interesował się umorzonym śledztwem w sprawie śmierci Juliana! Ktoś, kto może dysponował nieupublicznianymi do tej pory informacjami!

Podczas gdy Gaspard rozmawiał przez telefon, Karen Lieberman przypatrywała mu się przez szybę swojego gabinetu. Kiedy zauważyła, że z kieszeni wystaje mu śmieszny pluszowy piesek, zrozumiała, że Gaspard Coutances, jakiego znała, przestał istnieć.

Piątek, 23 grudnia

13

Madryt

Diabeł chodzi za mną dzień i noc, bo boi się samotności.

Francis Picabia

1

Madryt. Godzina ósma rano.

Madeline obudziła się, gdy zadzwonił budzik nastawiony wieczorem w komórce. Z wielkim trudem zwlekła się z łóżka. Kolejna beznadziejna noc! Nie zmrużyła oka do piątej nad ranem, a potem zapadła w głęboki, ciężki sen, z którego trudno było się wybudzić.

Odsłoniła okno i z ulgą zobaczyła, że przestało lać. Wyszła na balkon odetchnąć świeżym powietrzem. Niebo wciąż było szare, ale w świetle dnia Chueca znów zaczynała wyglądać niefrasobliwie. Madeline przetarła oczy i zdusiła ziewnięcie. Dałaby wiele za podwójne espresso, pobranie komórek jajowych wymagało jednak pozostania na czczo. Weszła pod prysznic i umyła się porządnie mydłem antyseptycznym, próbując myśleć o wszystkim, tylko nie o narkozie. Ubrała się prosto: ciemne rajstopy, dzinsowa koszula, wełniana sukienka wyglądająca jak za duży sweter i botki z lakierowanej skóry. Zalecenia były jasne: żadnych perfum ani makijażu i punktualność.

Iąc po schodach do holu, założyła słuchawki i zaprogramowała odpowiednią playlistę: *Melodia węgierska* Schuberta, Koncert na flet i harfę Mozarta oraz *Sonata fortepianowa nr 28* Beethovena. Uspokajająca, wciągająca muzyka, która sprawiała, że każdy krok wydawał się lekki. Klinika mieściła się niedaleko hotelu i Madeline trasę miała już opanowaną: najpierw musiała dojść do placu Alonsa Martineza, potem dobry kilometr maszerować wzdłuż calle Fernando el Santo i wreszcie przeciąć ogrody przy La Castellanie. Klinika leczenia niepłodności – mały, nowoczesny budynek schowany za płytami z matowego szkła – stała przy ulicy prostopadłej do ogrodów.

Z drogi Madeline wysłała SMS-a do Louisy, żeby uprzedzić ją, że zaraz będzie. Młoda pielęgniarka wyszła jej na spotkanie do holu. Serdeczne uściski, wymiana nowin i słowa otuchy. Louisa przedstawiła Madeline anestezjologowi, a następnie lekarzowi prowadzącemu, który bez pośpiechu wyjaśnił jej po raz kolejny całą procedurę medyczną – najpierw bardzo długą strzykawką trzeba sięgnąć do jajników, po czym nakłuwa się pęcherzyki w obu jajnikach w celu pobrania płynu pęcherzykowego zawierającego komórki jajowe.

– To jest całkowicie bezbolesne – zapewnił ją lekarz. – Będzie pani pod narkozą.

Niezupełnie uspokojona Madeline pozwoliła się zaprowadzić do pokoju z łóżkiem na kółkach, skąd pacjenci zabierani byli na salę operacyjną. Pielęgniarka wyszła, a Madeline włożyła torebkę i telefon do sejfu z szyfrem. Potem zdjęła ubranie i wciągnęła na siebie przepisowy strój szpitalny: fartuch, czepek, specjalne kapcie. Naga pod tym kaftanem, poczuła się nagle bezbronna, przez co zdenerwowała się jeszcze bardziej.

Ach, żeby było już po...

W końcu otworzyły się drzwi, ale nie pojawili się w nich ani Louisa, ani lekarz, tylko ten diabeł Gaspard Coutances!

– Co pan tu robi?! I jak pan się tu w ogóle dostał?!

Gaspard odpowiedział jej po hiszpańsku:

– *Porque tengo buena cara. Y he dicho que yo era su marido*⁶.

– Myślałam, że pan nie umie kłamać...

– Od pani się nauczyłem!

– Proszę stąd wyjść! – powiedziała, siadając na łóżku. – Bo zaraz pana własnoręcznie wyrzucę!

– Niech się pani uspokoi. Mam sporo nowych wiadomości i wsiadłem w pierwszy poranny samolot, żeby pani o tym opowiedzieć.

– Jakich nowych wiadomości?

– Przecież pani wie.

– Niech się pan stąd natychmiast wynosi!

Gaspard zachowywał się tak, jakby tego nie usłyszał. Usiadł na fotelu obok, z tacy na kółkach zdjął butelki z wodą i położył tam swoje rzeczy jak na biurku.

– Czy pamięta pani Stockhausena? – zapytał.

– Nie! Proszę się wreszcie ode mnie odczepić! Nie chcę z panem rozmawiać! A poza tym śmierdzi pan lawendą. I gdzie są pańskie okulary?

– Mam gdzieś okulary! Stockhausen to nazwisko tego niby-kardiologa Seana ze Stanów. Tego, o którym jest wzmianka w notesie Benedicka.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby oprzytomnieć.

– Czyli tego, z którym Sean miał wyznaczone spotkanie w dniu swojej śmierci?

– Tak! – potwierdził Gaspard. – No więc ten facet nie istnieje. Czy też nie ma w Nowym Jorku kardiologa o nazwisku Stockhausen.

Na poparcie swoich słów Gaspard wyjął z plecaka plik zadrukowanych kartek z wynikami wyszukiwania ze stron zawierających amerykańskie dane teleadresowe.

– Przeszukałem całe państwo i nic. Zresztą nie wyglądało to prawdopodobnie już choćby z medycznego punktu widzenia. Lorenz leczony był w szpitalu Bichat przez jedną z lepszych ekip kardiologicznych w Europie. Jaki sens miałoby więc umawianie się z lekarzami w Nowym Jorku?

– A jaki sens ma nagabywanie mnie tutaj?

Gaspard podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Posłuchaj mnie, Madeline...

– Co, teraz jesteśmy na „ty”?

– Dokładnie przeszukałem cały dom. W biurze Seana znalazłem dziesiątki różnych artykułów. Większość to były wycinki prasowe dotyczące śledztwa w sprawie śmierci jego syna, ale trafiłem również na to.

Wręczył jej plik spiętych zszywaczem kartek. Była to bogata dokumentacja zebrana przez „New York Times Magazine”, poświęcona słynnym nierozwiązanym sprawom: śmierci Natalie Wood, Piątce z Nowego Jorku, Chandrze Levy, kobietom z Cleveland porwanym i więzionym przez dziesięć lat i tak dalej. Madeline zajrzała na stronę oznaczoną karteczką samoprzylepną i odkryła tam... swoje zdjęcie! Przetarła oczy. Prawie już zapomniała o tym artykule poświęconym Alice Dixon, dziewczynce, którą odnalazła w niewiarygodnych okolicznościach trzy lata po zaginięciu. Jej najtrudniejsza, najbardziej bolesna sprawa; o mało nie straciła przez nią życia, ale jednak wszystko skończyło się dobrze! Był to jeden z najszcześniejszych momentów, teraz tak bardzo odległy.

– Lorenz miał ten artykuł w swoim archiwum?

– Jak sama widzisz. Nawet popodkreślał niektóre zdania.

Madeline przeczytała w milczeniu fragmenty zakreślone flamastrem.

[...] ale nie wzięto pod uwagę Madeline Greene, upartej inspektor policji z wydziału kryminalnego w Manchesterze [...] nigdy nie rezygnuje [...] wysiłki, które wreszcie przynoszą rezultaty [...] młoda Angielka, która dziś jest odpowiedzialna za okręg między Upper East Side a Harlemem i pracuje w biurach wydziału spraw niewyjaśnionych policji Nowego Jorku, mieszczących się niedaleko szpitala Mount Sinai.

Fakt, że Lorenz miał u siebie ten artykuł, zdziwił Madeline, ale nie dała tego po sobie poznać i zwróciła Gaspardowi kartki bez słowa komentarza.

– To wszystko? Żadnego zaskoczenia, zero ciekawości?

– A czego pan oczekiwał?

– No, przecież to chyba jasne, że Lorenz nie pojechał do Nowego Jorku do jakiegoś tam lekarza. Był na Manhattanie, bo szukał ciebie!

Zirytowała się.

– Dlatego że miał u siebie jakiś stary artykuł na mój temat? To naciągana historia, Coutances! Dość tego, teraz chcę się skupić na moim życiu osobistym.

Gaspard nie zamierzał ustąpić. Rozłożył na stoliku plan Manhattanu, gdzie poprzedniego dnia zaznaczył ważne punkty, i długopisem wskazał krzyżyk.

– Sean Lorenz umarł tutaj, na ulicy, na skrzyżowaniu Sto Trzeciej Ulicy i Madison.

– No to co?

– Gdzie mieścił się wówczas twój wydział?

Spojrzała na mapę w milczeniu.

– Tu! – wykrzyknął. – O jedną ulicę dalej! To nie może być przypadek!

Wpatrzona w mapę, Madeline zmrużyła oczy. Milczała. Coutances zagrał swoją ostatnią atutową kartę, gdy do pokoju wchodził pielęgniarz.

– Panna Greene?

– A to ostatni rachunek telefoniczny Seana! – powiedział, udając, że nie widzi pielęgniarza, i machając dwoma spiętymi kartkami. – Dokładna lista numerów, pod które dzwonił. Chcesz wiedzieć, do kogo telefonował tuż przed wyjazdem z Francji?

– Panno Greene, możemy już iść – poinformował pielęgniarz, odczepiając podniesione boki szpitalnego łóżka.

Madeline skinęła głową, niby nie zwracając uwagi na Gasparda.

– Dwieście dwanaście-czterysta pięćdziesiąt dwa-zero sześć-sześćdziesiąt! Nic ci to nie mówi, Madeline? Przypomnę ci zatem! – krzyknął, gdy pielęgniarz wypychał łóżko przez drzwi. – To numer wydziału spraw niewyjaśnionych nowojorskiej policji! Wydziału, w którym wtedy pracowałaś!

Pielęgniarz z Madeline byli już na korytarzu, ale Gaspard cały czas mówił:

– Chcesz czy nie, godzinę przed śmiercią Sean był w Nowym Jorku, bo chciał się tobie z czegoś zwierzyć! Chciał się zwierzyć tobie! Tobie!

2

Igła zagłębiła się w żyłę, uwalniając środek usypiający. Madeline poczuła, że tonie w lodowatej fali, po chwili jednak to nieprzyjemne uczucie osłabło. Jej powieki stały się ciężkie, a głos lekarza dobiegał z coraz większej odległości. Westchnęła i poddała się. Przez moment tylko, zanim całkiem odpłynęła, wydawało jej się, że widzi twarz jakiegoś mężczyzny, poważną, ze ściągniętymi rysami i zmęczonym

spojrzeniem. Była to twarz Seana Lorenza. Jego gorączkowy wzrok zdawał się błagać: „Pomóż mi!”.

3

Jedenasta. Dopiero co otwarto bar z tapasami. Gaspard usiadł przy barze, położył plecak na stołku obok i zamówił cappuccino. Po pierwsze, musi wziąć dwie tabletki paracetamolu, żeby przestały go boleć palce i dłonie. Po drugie – wysłać SMS-a do Madeline. Poprosi ją, by po skończonym zabiegu zaraz tu przyszła.

– Pańska kawa.

– Dziękuję!

Właściciel baru nie miał w sobie nic z cherlaka. Był to prawdziwy niedźwiedź z wygoloną czaszką, a do tego z bujną brodą. Na T-shircie opinającym brzuch piwosza widniała reprodukcja plakatu starego filmu Almodovara pod tytułem *Zwiąż mnie*, z Antoniem Banderasem i Victorią Abril. Hm... Kusząca propozycja.

– Czy mógłby mi pan pomóc? – spytał Gaspard.

– Oczywiście – odparł Niedźwiedź.

Trochę skrepowany Gaspard wyjął swojego nowego smartfona i wyjaśnił, że nie za bardzo sobie z nim radzi.

– Od kiedy jestem w Hiszpanii, nie mogę się połączyć z internetem!
– wytłumaczył.

Niedźwiedź podrapał się w sierść pod T-shirtem i odpowiedział zdaniem, w którym pojawiły się takie słowa, jak „ryczał, operator sieci, abonament, roaming”.

Gaspard kiwnął głową, nic nie rozumiejąc, Niedźwiedź jednak okazał się na tyle sympatyczny, że wyczuł jego konsternację i zaproponował pomoc w połączeniu telefonu z restauracyjną siecią wi-

fi. Gaspard z ulgą wręczył mu komórkę i po chwili miał już działające połączenie.

Rozłożył na blacie baru kołonotatnik i dokumenty, po czym przeczytał jeszcze raz wszystkie notatki, które zrobił rano w samolocie. Według tekstu z ramki w artykule zamieszczonym w „Art in America”, Adriano Sotomayor pracował w komisariacie dwudziestego piątego dystryktu w północnym Harlemlie. Gaspard wygoogłował numer telefonu tego posterunku i zerknął na zegarek – w Nowym Jorku była teraz piąta rano. Trochę za wcześnie... Z drugiej strony, komisariat powinien działać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wystukał numer i wysłuchał niekończących się monologów, charakterystycznych dla większości urzędów, zanim trafił wreszcie na telefonistkę, która jednak chciała go spławić, prosząc o telefon w godzinach otwarcia dla interesantów. Ale Gaspard tak naciskał, że w końcu połączyła go z kimś innym.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy pan Sotomayor wciąż u was pracuje? – zapytał.

Tym razem karcący głos pouczył go, jakby był dzieckiem:

– Tego rodzaju informacji nie podajemy przez telefon!

Gaspard wymyślił historię, że mieszkając w Europie, wyjątkowo wpadł do Nowego Jorku, tylko na kilka dni, i chciałby się spotkać na chwilę z panem Sotomayorem, który jest jego kolegą ze szkoły...

– Proszę pana, to jest komisariat, a nie stowarzyszenie absolwentów szkoły Bradley!

– Wiem, ale...

W tym momencie zaklął, bo jego rozmówca po prostu się rozłączył, ale Gaspard od razu zadzwonił ponownie. Ten sam automat. Ta sama telefonistka, ta sama jałowa gadka, żeby połączyła go z szefem. Tym razem facet o mało go nie sklął, Gaspard jednak nie dał się spławić. Ponieważ zostawił numer telefonu i adres, mężczyzna zagroził mu

podaniem do sądu za blokowanie linii, ale w końcu dał za wygraną i żeby pozbyć się Gasparda, rzucił, że faktycznie pan Sotomayor pracuje w komisariacie dwudziestego piątego dystryktu i że ma dyżur w tym tygodniu.

Gaspard zakończył połączenie i uśmiechnął się. Aby uczcić to małe zwycięstwo, zamówił kolejne cappuccino.

4

Madeline otworzyła oczy po półgodzinie, miała jednak wrażenie, że spała całe wieki.

– Skończyliśmy! – usłyszała czyjś głos.

Powoli się wybudzała i zaczynały do niej docierać kolory, kształty, nawet twarze stawały się wyraźniejsze.

– Wszystko poszło doskonale! – zapewniła ją Louisa.

Lekarz już odszedł, ale Madeline widziała nad sobą serdecznie uśmiechniętą twarz pielęgniarki.

– Udało nam się pobrać osiemnaście komórek jajowych! – oświadczyła Louisa, wycierając czoło pacjentce.

– I co teraz? – spytała Madeline, próbując się podnieść.

– Proszę nie wstawać! – rozkazała pielęgniarka, wraz z kolegą wypychając łóżko na kółkach poza blok operacyjny, do pokoju wypoczynkowego.

– Teraz tak, jak mówiliśmy: wybierzemy najlepsze komórki i zapłodnimy je. Za trzy dni wszczepimy pani dwie z nich. Na razie proszę wypoczywać tu z nami aż do południa.

– A potem?

– Potem, czekając na zabieg, ma pani wypoczywać w hotelu z dobrą książką albo ostatnim sezonem *Gry o tron*. Odpadają chipsy z

minibarku, jasne?

– To znaczy?

– Ostrożnie z jedzeniem, bez soli, bez tłuszczu... Proszę zapamiętać o wszystkim, co pobudza apetyt. Ale najważniejsze, żeby pani wypoczęła!

Madeline westchnęła jak ukarana nastolatka. Louisa zaprowadziła ją do pokoju, gdzie po przyjsciu do szpitala Madeline zostawiła swoje rzeczy.

– Bardzo mnie tu boli... – poskarżyła się Madeline, wskazując na brzuch.

Louisa zrobiła współczującą minę.

– Wiem, kochana, to normalne, tramadol za chwilę powinien zadziałać.

– Czy mogę się już ubrać?

– Oczywiście. Pamięta pani szyfr do sejfu?

Pielęgniarka przyniosła jej ubranie, torbę i komórkę i położyła wszystko na krześle obok łóżka. Madeline zdjęła czepek i kaftan szpitalny, a Louisa jeszcze raz przypomniała jej o konieczności wypoczynku.

– Za moment przyniosę pani coś do zjedzenia, ale na razie proszę spróbować zasnąć!

Kiedy pół godziny później młoda Hiszpanka wróciła do pokoju, dźwigając tacę z jedzeniem, Madeline już tam nie było.

5

– Ach, Coutances! Pan nigdy nie przestanie! Jest pan jak ten króliczek z reklamy baterii Duracell, który bez ustanku uderza w bębenek! Nie rozumie pan, że zatruwa pan innym życie!

Blada jak ściana Madeline stała w drzwiach baru przy calle de Ayala.

– Wszystko poszło dobrze? Jak się pani czuje? – spytał Gaspard, przezornie wracając do formy „pani”.

– A jak mogło dobrze pójść? Przywłókł się pan za mną aż do Madrytu, dręczy mnie pan i nęka...

Ledwo zaczęła swoje gorzkie, zaplanowane wcześniej przemówienie, kiedy nagle zlał ją zimny pot i zachwiała się na nogach. Musi coś zjeść, inaczej zemdleje!

Nie miała nawet siły wdrapać się na stółek barowy. Zamówiła herbatę, poszła w głąb sali i usiadła na jednym z foteli stojących pod oknem od strony ulicy.

Gaspard ruszył za nią, niosąc pudełko z lakowanego drewna. Bento po hiszpańsku: *tortilla española*, marynowane ośmiorniczki, *pata negra*, *croquetas*, *calamares*, *anchois w occie*...

– Nie wygląda pani najlepiej, jeśli mogę tak powiedzieć. Proszę coś zjeść.

– Nie chcę pańskiego jedzenia!

Nic na to nie odpowiedział, tylko usiadł naprzeciwko.

– W każdym razie jestem zadowolony, że zmieniła pani zdanie co do Lorenza...

– Nie zmieniłam zdania! – odparła sucho. – W tym wszystkim, co mi pan powiedział, nie ma żadnego nowego elementu.

– Żartuje pani?!

Madeline zaczęła zbijać jeden po drugim argumenty Gasparda.

– Lorenz zainteresował się moją osobą... I co z tego? Pewnie chciał, żebym pomogła mu w odnalezieniu syna... I co z tego? Może nawet przyleciał do Nowego Jorku, żeby się ze mną spotkać... I co z tego?

– Co z tego?! – powtórzył Gaspard zdumiony.

– To znaczy: co to właściwie zmienia? Lorenz był chory, pogrążony w smutku, przyjmował dopaminę. Tonący brzytwy się chwytą, uczepił się więc tej bezsensownej historii o doświadczeniach z pogranicza śmierci... Do cholery, Coutances, wie pan przecież, co chcę powiedzieć!

– Wystarczy, dość! Nie można wciąż przedstawiać Lorenza jako osobę, którą w ogóle nie był! Nie był narkomanem ani jakimś nawiedzonym facetem. To był inteligentny mężczyzna, kochający syna i...

Madeline popatrzyła na Gasparda z litością.

– Mój biedaku, nie widzi pan, że zamienia się pan w Lorenza? Ubiera się pan tak jak on, używa pan tej samej wody toaletowej, wreszcie mówi w ten sam sposób.

– Nikt nigdy nie powiedział do mnie: „Mój biedaku”!

– Zawsze musi być pierwszy raz. Proszę przyznać, że dał się pan wciągnąć w jego szaleństwo.

Coutances zaprzeczył.

– Po prostu chcę wrócić do tego śledztwa i odnaleźć jego syna.

Madeline prawie rzuciła się na niego.

– Ale jego syn nie żyje, do cholery! Został zamordowany na oczach matki! Pénélope przysięgła panu, że mówi prawdę!

– Tak... – Gaspard kiwnął głową. – Ona powiedziała mi swoją prawdę.

– Swoją prawdę czy prawdę, co to za różnica?

Znow otworzył plecak i wyjął z niego notatnik, swoje zapiski i „archiwa”.

– „Vanity Fair” w numerze z kwietnia dwa tysiące piętnastego roku opublikowało dość szczegółowy artykuł o śledztwie, które wszczęto po porwaniu Juliana.

Wręczył Madeline ksero tekstu, gdzie podkreślano podobieństwa między porwaniem syna Lorenza a porwaniem syna Charlesa Lindbergha w 1934 roku.

– Och, Coutances, mam już dosyć tych pańskich przeglądów prasy!

– Jeśli przeczyta pani ten artykuł, na końcu trafi pani na sporządzoną przez dziennikarkę listę przedmiotów, które śledczy znaleźli w miejscu, gdzie ukrywała się Beatriz Muñoz.

Madeline niechętnie rzuciła okiem na podkreślony fragment: „pudło z narzędziami, dwa noże myśliwskie, taśma samoprzylepna, drut kolczasty, głowa lalki firmy Harzell...”.

– O co panu chodzi? O zabawkę chłopca?

– Właśnie, to nie była zabawka Juliana. Pénélope mówiła wyłącznie o pluszowym piesku takim jak ten.

Gaspard gestem sztukmistrza wyjął z plecaka pluszaka z czekoladową raną.

Madeline aż cofnęła się w fotelu.

– Dzieciak mógł mieć ze sobą dwie zabawki.

– Rodzice przeważnie nie pozwalają dzieciom brać na spacer więcej niż jednej maskotki.

– Być może, ale co to ma do rzeczy?

– Zainteresowałem się bliżej tą listą... – Gaspard wyciągnął spomiędzy papierów fragment jakiegoś katalogu zabawek wydrukowanego w kolorze.

– Jak na osobę, która nic nie wiedziała o działaniu internetu, zrobił pan szalone postępy...

– Lalki marki Harzell mają pewną szczególną cechę: niektóre są bardzo duże i do złudzenia przypominają prawdziwe dzieci!

Madeline przyjrzała się zdjęciom w katalogu i zrobiło jej się nieprzyjemnie. Gumowe lalki rzeczywiście były dziwnie duże i miały

rysy twarzy uderzająco podobne do ludzkich. Gdzie się podziały stare, pocziwe zabawki z jej dzieciństwa?

– Dlaczego pan mi to pokazuje? Co chce pan znów udowodnić?

– Beatriz Muñoz nie zasztyletowała Juliana, tylko lalkę ubraną tak jak on.

6

Madeline patrzyła na Gasparda skonsternowana.

– Co pan opowiada, Coutances!

Ale on był pewien tego, co mówił.

– Muñoz nigdy nie miała zamiaru zabić Juliana – odparł spokojnie.

– Chciała, żeby cierpieli jego rodzice. Nienawiść zdradzonej kochanki była skierowana przeciwko Seanowi i Pénélope, na której Beatriz pragnęła się zemścić za jej olśniewającą urodę! Porwała Juliana, żeby nastraszyć Seana, kazała go okaleczyć, żeby wyrwać Pénélope serce z piersi, ale jestem niemal w stu procentach pewien, że nie zabiła chłopca.

– Więc, według pana, zadowolili się tym straszliwym spektaklem i zasztyletowała lalkę na oczach matki?

– Tak, to było okrucieństwo psychiczne.

– Absurd... Pénélope odróżniłaby synka od lalki.

– Niekoniecznie. Proszę sobie przypomnieć, jak Muñoz ją torturowała. Pobiła ją, a była silną, zwalistą babą. Pénélope miała zmasakrowaną twarz, połamane żebra, złamany nos, piersi podziurawione drutem kolczastym... Gdyby była pani zalana krwią, zapłakana, jak wyraźnie widziałyby pani to, co się dzieje? W jakim stopniu zachowywałaby pani świadomość po wielu godzinach spędzonych w jednej pozycji, spętana drutem kolczastym, którego

ostre końce wbijałyby się pani w ciało? Czy byłaby pani w stanie rozpoznać szczegóły, siedząc w kale i moczu, cała we krwi? Nie mówiąc już o tym, że została pani zmuszona do obcięcia palca własnemu synkowi!

Madeline przytaknęła bez przekonania.

– Zgoda, załóżmy, że Pénélope była oszołomiona i tak przerażona, że przyjęła jako rzeczywistość to, co było w istocie makabrycznym przedstawieniem. Dlaczego jednak po wkroczeniu policji nie znaleziono w kryjówce Chilijki dziecka? A przede wszystkim, dlaczego na nabrzeżu Newtown Creek leżał poplamiony krwią pluszowy piesek?

– Jeśli chodzi o krew, łatwo to wyjaśnić. Przypominam pani, że dziecku obcięto palec. Co do reszty...

Gaspard wrócił do argumentów z artykułu, w którym zamieszczono raporty policyjne.

– Zgodnie z tym, co tu napisano, kamery monitoringu miejskiego nagrały Muñoz o piętnastej dwadzieścia sześć na dworcu przy stacji Harlem–125th Street, tuż przed tym, jak rzuciła się pod nadjeżdżający pociąg. Między dwunastą trzydzieści, kiedy Pénélope po raz ostatni widziała syna żywego, a piętnastą dwadzieścia sześć Muñoz mogła zrobić z dzieckiem, co jej się żywnie podobało. Uwięzić go w innym miejscu, powierzyć komuś... I to właśnie musimy zbadać!

Madeline spojrzała na Gasparda w milczeniu. Była znużona jego nieprawdopodobnymi teoriami. Przetarła oczy i widelcem wyciągnęła z bento krokiet z szynką.

Gaspard nie dał się zbić z tropu.

– Nie była pani jedynym pracownikiem policji, z którym Sean szukał kontaktu. Odnalazł również swojego starego przyjaciela, Adriana Sotomayora! – oznajmił, przewracając strony notatnika w poszukiwaniu zdjęcia Latynosa w mundurze policjanta nowojorskiej

policji, które wyciął z „Art in America” i wkleił obok fotografii młodego trzeciego Pirotechnika.

Zirytowana Madeline zadrwiła z niego:

– I co, myśli pan, że w taki sposób prowadzi się profesjonalne śledztwo? Przeglądając gazety, wycinając z nich interesujące fragmenty i wklejając je do notatnika wyglądającego jak pamiętnik licealistki?

Gaspard nie przejął się tą uszczypliwą uwagą.

– Nie jestem policjantem, to prawda – powiedział spokojnie. – I z pewnością nie mam pojęcia o prowadzeniu śledztwa. Dlatego chcę, żeby mi pani pomogła!

– Ale to, co mi pan pokazuje, to kompletna fantazja!

– Nie jest tak i wie pani o tym. Koniec z tymi oszustwami! Lorenz może był załamany, ale nie był wariatem. Jeśli postanowił polecieć do Nowego Jorku i zobaczyć się z panią, to znaczy, że odkrył coś nowego, coś konkretnego.

Zapadła cisza. Madeline westchnęła.

– Dlaczego mi się pan trafił, Coutances?! Dlaczego ściga mnie pan aż tutaj? To naprawdę nie jest najlepszy moment, jasna cholera...

– Proszę jechać ze mną do Nowego Jorku. Tam znajdziemy wszystkie odpowiedzi! Poprosimy Sotomayora o pomoc i pociągniemy sprawę tam, na miejscu! Chcę się dowiedzieć, co odkrył Sean Lorenz. Chcę się dowiedzieć, dlaczego tak uparcie dążył do spotkania z panią!

– Niech pan jedzie sam, nie jestem tam potrzebna... – Madeline zaczęła się wykręcać.

– Jeszcze dwie minuty temu mówiła pani coś zupełnie innego! Jest pani doświadczoną policjantką, zna pani miasto, z pewnością nie straciła pani wszystkich kontaktów w nowojorskiej policji albo w FBI!

Wypiła łyk herbaty i spostrzegła, że na nadgarstku wciąż ma plastikową opaskę ze szpitala. Odpięła ją i zamachała nią przed nosem

Gasparda.

– Widzi pan, że moje życie potoczyło się w całkowicie innym kierunku! Jestem po poważnym zabiegu, za moment czeka mnie następny, zamierzam założyć rodzinę...

Gaspard położył na stole swoją komórkę. Widoczny na ekranie mail od Karen Lieberman potwierdzał rezerwację dwóch miejsc w samolocie Iberii jeszcze na ten sam dzień. Odlot z Madrytu o 12.45, przylot na lotnisko Kennedy'ego o 15.15.

– Jeśli zaraz ruszymy, mamy szansę zdążyć. Wróci pani przed dwudziestym szóstym grudnia, akurat na kolejny zabieg.

Madeline pokręciła głową.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pani ze mną poleciała! – Gaspard nie ustępował. – Ma pani dwa dni wolne. Nawet w Madrycie nie operują w Boże Narodzenie.

– Muszę odpoczywać!

– Do diabła, pani myśli tylko o sobie!

Ta kropla przepełniła czarę goryczy i Madeline rzuciła tacą z bento w twarz Gasparda. Ten ledwo zdążył się uchylić i taca rozbiła się na fajansowych kafelkach.

– Dla pana to czysta zabawa! – wybuchła. – Śledztwa, dochodzenia, to pana ekscytuje! Takie ziarnko pieprzu w pańskiej nudnej codzienności. Zamienia się pan w Jamesa Bonda! Ja natomiast przez dziesięć lat miałam do czynienia z podobnymi sprawami, one były całym moim życiem. I powiem panu, że to droga do piekła! Każda sprawa pochłania trochę zdrowia, radości życia i beztroski... Aż nie pozostaje już nic. Rozumie pan?! Nic! Pewnego ranka budzi się pan zniszczony fizycznie i moralnie. Znam to i nie chcę do tego wracać!

Gaspard pozwolił jej skończyć i w milczeniu zebrał swoje rzeczy.

– W porządku, zrozumiałem pani punkt widzenia. Już więcej nie będę pani przeszkadzał.

Niedźwiedziowaty barman wyłonił się ze swojej nory pełen pretensji. Gaspard wręczył mu dwa banknoty, żeby schował pazury. Potem ruszył do drzwi. Madeline popatrzyła za nim. Wiedziała, że jeszcze dziesięć sekund i jej męka się skończy. Mimo to nie mogła się powstrzymać i krzyknęła:

– Dlaczego pan to robi, do cholery?! Pan, który ma wszystkich w nosie, który nie lubi ludzi, nie lubi życia... Dlaczego się pan nagle przyczepił do tej historii?!

Coutances zawrócił spod drzwi i położył na stoliku zdjęcie. Było to zdjęcie Juliana na zjeździe, zrobione któregoś zimowego ranka na square des Missions Étrangères. Zwykle, opatulone w szalik, roześmiane dziecko, chłopczyk o bystrym, rozmarzonym spojrzeniu. Śliczny jak słońce, wolny jak wiatr.

Madeline odsunęła fotografię.

– Jeśli pan myśli, że wywoła pan we mnie poczucie winy tym prymitywnym zagranem...

Ale po twarzy zaczęły jej płynąć łzy. Brak snu, wyczerpanie, uczucie, że jest u kresu sił...

Gaspard wziął ją delikatnie za ramię.

– Wiem, jakie jest pani zdanie... – błagał i namawiał jednocześnie. – Wiem, że jest pani pewna, że to dziecko nie żyje, ale niech mi pani pomoże, żebym również mógł w to uwierzyć. Proszę mi po prostu podarować te dwa dni. Ani chwili dłużej, obiecuję! Przysięgam, że zdąży pani z powrotem na drugi zabieg!

Madeline przesunęła dłonią po twarzy i spojrzała w okno. Znów się zachmurzyło i wrócił deszcz. Znów smutek opanował wszystko: niebo, jej serce i myśli. W gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty siedzieć sama w Madrycie podczas Wigilii i tych pieprzonych świąt, kiedy trzeba być wesołym, zakochanym i otoczonym rodziną. Coutances przynajmniej był zarówno chorobą, jak i lekarstwem.

– Zgoda, lecę z panem do Nowego Jorku! – ustąpiła. – Ale niezależnie od wyniku naszego śledztwa po tych dwóch dniach wyniesie się pan na zawsze z mojego życia!

– Obiecuję! – odparł Gaspard z uśmiechem.

14

Nowy Jork

Wysiadam z taksówki w jedynym mieście na świecie, które w rzeczywistości wygląda lepiej niż na pocztówkach!

Miloš Forman

1

Gaspard znów odetchnął.

Nowy Jork skuty arktycznym mrozem błyszczał w świetle jaskrawobłękitnego nieba. Smutek Paryża i szarość Madrytu nagle stały się bardzo odległe. Gdy tylko taksówka przejechała przez Triborough Bridge – gigantyczną stalową konstrukcję, która łączyła Queens, Bronx i Manhattan – Gaspard poczuł się jak u siebie w domu. On, człowiek lasów i gór, absolutny wróg wszelkich większych skupisk, tutaj zawsze czuł się swobodnie. Miejska dżungla, las wieżowców, kaniony ze szkła i stali – metafory banalne, ale oddające rzeczywistość. Nowy Jork stanowił samodzielny ekosystem. Były tu wzgórza, jeziora, łąki, setki tysięcy drzew. Tu uważny obserwator mógł dostrzec bieliki amerykańskie, wędrownie sokoły, gęsi śnieżne i wielkie jelenie. Pagórki, stada zwierząt, łąki, ule, szopy pracze... Tutaj rzeki zamarzały w zimie, a jesienią liście drzew czerwieniały ogniem

w lśniąącym świetle. Tu naprawdę się czuło, że pod warstwą cywilizacji drzemie dziki świat. Nowy Jork...

Zadowolenie Gasparda kontrastowało ze złym humorem Madeline. Przez cały lot spała niespokojnym, męczącym snem, a odkąd wylądowali, odpowiadała jedynie monosylabami. Z zaciśniętymi ustami i twarzą pełną niechęci uciekała przed jego wzrokiem, zastanawiając się poważnie, jak mogła dać się namówić na tę podróż.

Dzięki magii stref czasowych jeszcze nie było nawet wpół do piątej po południu. Taksówka wyrwała się jakoś z węzła autostrad przy Triboro Plaza i skręciła w Lexington. Jechała aleją przez pół kilometra, żeby znaleźć się w końcu przed komisariatem Harlemu Wschodniego – starą, przysadzistą budowlą, będącą niewielkim bunkrem z żółtej cegły, zbudowanym przy Sto Dziewiętnastej Ulicy tuż obok naziemnego metra i parkingu na świeżym powietrzu. Ponieważ Gaspard z Madeline jechali prosto z lotniska, wysiedli z żółtej taksówki, każde targając swój bagaż podróżny.

Wnętrze komisariatu dwudziestego piątego dystryktu nie różniło się specjalnie od fasady bunkra: bezduszne, ponure, przygnębiające. Przez brak okien budynek był jeszcze bardziej mroczny. Gaspard, mając w pamięci wczorajszą ciężką rozmowę telefoniczną, przygotował się na najgorsze: myślał, że będą czekali w długiej kolejce i będą musieli pokonać wiele przeszkód administracyjnych, zanim wreszcie dotrą do Adriana Sotomayora. Tymczasem na niecałe dwa dni przed Bożym Narodzeniem miejsce to było wyludnione, jakby mróz, który spadł na miasto, zmusił przestępców do pozostania w domach. Policjantka siedząca za metalowym kontuarem gotowa była na przyjęcie interesantów. Góra tłuszczu wbita w uniform przypominała wielkiego ślimaka z krótkimi rękami i twarzą ropuchy – wielką, trójkątną, dziobatą, o grubych wargach. Może przydzielono ją tu, żeby straszyla dzieci i zniechęcała je do zejścia na złą drogę.

Gaspard zaatakował:

– Dzień dobry, chcielibyśmy rozmawiać z panem Sotomayorem.

Powolnym ruchem grubaska wręczyła mu jakiś formularz i wydała z siebie rodzaj skrzeku, po którym zrozumieli, że zażądała od nich dokumentów.

Madeline, znająca dobrze pracę komisariatów, nie zamierzała dłużej tracić czasu, odepchnęła więc Gasparda i wzięła sprawę w swoje ręce.

– Dzień dobry, jestem kapitan Greene! – rzuciła zdecydowanym tonem, podając swój paszport policjantce. – Pracowałam w wydziale spraw niewyjaśnionych przy Sto Trzeciej Ulicy. Przyszłam zobaczyć się z kolegą. Nie potrzeba do tego żadnych papierów.

Grubaska patrzyła na nią przez moment bez żadnej reakcji. Wciąż nie otwierała ust i miało się wrażenie, że oddycha przez wilgotną i drżącą skórę.

– Chwileczkę! – sapnęła wreszcie i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Gestem głowy wskazała im rząd drewnianych ławek koło wejścia. Madeline i Gaspard usiedli, ale ławki stały w przeciągu i śmierdziało tam chlorem. Zniecierpliwiona Madeline wstała i podeszła do automatu z napojami. Wcisnęła guzik z napisem „Kawa”, zaraz jednak sobie uprzytomniła, że nie wymienili na lotnisku pieniędzy.

Cholera!

Zirytowana, gotowa wybuchnąć w każdej chwili, zacisnęła pięść z zamiarem wymierzenia ciosu maszynie, ale Gaspard w ostatniej chwili chwycił ją za rękę.

– Traci pani głowę, proszę się uspokoić, bo...

– Dzień dobry, w czym mogę państwu pomóc?

Odwrócili się oboje w stronę, z której dochodził głos. W bladym świetle komisariatu młoda Latynoska w mundurze patrzyła na nich wesoło. Czarne jak smoła włosy miała spięte w błyszczący koczek. Młodość, delikatne rysy, dyskretny makijaż i serdeczny uśmiech czyniły z niej uosobienie wdzięku i całkowite przeciwieństwo policjantki dyżurnej. Tak jakby, aby zadośćuczynić niesprawiedliwemu porządkowi rzeczy, idealny wygląd niektórych musiał być okupiony brzydotą innych.

Madeline przedstawiła się, wymieniając swoje poprzednie funkcje.

– Chcielibyśmy porozmawiać z funkcjonariuszem Sotomayorem – powtórzyła prośbę.

Policjantka skinęła głową.

– To ja: nazywam się Lucia Sotomayor.

Gaspard uniósł brwi. Na widok jego zmieszania młoda Latynoska zrozumiała istotę nieporozumienia.

– A! Pewnie mają państwo na myśli Adriana?

– Tak.

– Nosimy to samo nazwisko. To częste nieporozumienie. Kiedy tu pracował, ludzie myśleli, że to mój starszy brat albo kuzyn.

Madeline popatrzyła gniewnie na Gasparda. Nawet pan tego nie sprawdził! – mówiło jej wściekłe spojrzenie. Rozłożył bezradnie ręce. Oczywiście przez telefon rozmawiał po angielsku, neutralnie określając Sotomayora jako „funkcjonariusz Sotomayor”, nie było więc możliwości, żeby ktoś wyprowadził go z błędu.

– Gdzie teraz pracuje Adriano? – spytał, żeby odwrócić uwagę od swojej pomyłki.

Młoda policjantka przeżegnała się szybkim gestem.

– Niestety, nie żyje.

Kolejna wymiana spojrzeń. Westchnienia. Niedowierzenie. Popłoch.

– Kiedy zmarł?

– Niecałe dwa lata temu. Pamiętam, bo to zdarzyło się w walentynki.

Lucia zerknęła na zegarek i wsunęła dwie dwudziestopięciocentówki do automatu, zamawiając herbatę.

– Czy chcą państwo się czegoś napić? – zapytała.

Zachowywała się tak, jak wyglądała: elegancko i uprzejmie. Madeline poprosiła o kawę.

– Śmierć Adriana była dla nas prawdziwym szokiem! – odezwała się Lucia, wręczając jej papierowy kubek. – Wszyscy go tutaj bardzo cenili. Był wzorowym policjantem, takim, jakiego szefostwo stawia za wzór do naśladowania.

– To znaczy? – spytał Gaspard.

Lucia podmuchała na parujący kubek z herbatą.

– Powiedzmy, że przebieg jego kariery był godny naśladowania. Adriano jako dziecko przeszedł gehennę, był w kilku rodzinach zastępczych. W pewnym momencie znalazł się nawet na granicy bezprawia, ale pozbiierał się i wstąpił do policji.

– Czy zginął podczas służby? – chciała wiedzieć Madeline.

– Niezupełnie... został dźgnięty nożem niedaleko swojego mieszkania, kiedy próbował rozdzielić dwóch smarkaczy, którzy bili się przed sklepem monopolowym.

– Gdzie mieszkał?

Lucia machnęła ręką w kierunku drzwi.

– Niedaleko stąd, przy Bilberry Street.

– Czy zabójcę złapano?

– Nie, i to wywołało duże napięcie w całym wydziale. Świadomość, że morderca, który poderżnął gardło policjantowi, wciąż jest na wolności, doprowadza nas do szału!

– A czy przynajmniej przestępca został zidentyfikowany?

– Ja nic o tym nie wiem. To naprawdę był dramat, pozostawiający na naszej służbie ciemną plamę. Zwłaszcza w tej dzielnicy! Sam Bill Bratton, nasz ówczesny szef, był wściekły! Taka przemoc w tej okolicy to już przeszłość, ponieważ ta część Harlemu jest dzisiaj bardzo bezpieczna.

Lucia wychyliła resztkę herbaty jak kieliszek wódki.

– Muszę wracać do pracy! Przykro mi, że przekazałam wam złe wiadomości – powiedziała, wyrzucając tekturowy kubek do śmieci. – A nawet nie zapytałam, dlaczego chcieliście się spotkać z Adrianem...

– Mieliśmy się z nim zobaczyć w sprawie pewnego dawnego śledztwa – odpowiedziała Madeline. – Chodzi nam o porwanie i zamordowanie syna Seana Lorenza, malarza. Słyszała pani może o tym?

– Obiło mi się coś o uszy, ale to chyba nie było w naszym okręgu...

– Adriano Sotomayor był przyjacielem Lorenza. Czy nigdy nie mówił pani o tej sprawie?

– Nie, ale to nic dziwnego, bo nie pracowaliśmy razem. A poza tym – tu Lucia zwróciła się do Madeline – jak pani zapewne wie, przypadki porwania dzieci przejmuje FBI.

3

Ziąb i lodowaty wiatr powodowały, że ręce i nogi sztywniały, twarz szczypała, a każdy centymetr kwadratowy odkrytej skóry palił. Stojąc na chodniku naprzeciwko komisariatu, Madeline podsunęła suwak kurtki, którą kupiła w ostatniej chwili na lotnisku w Madrycie. Ręce wysmarowała kremem, usta specjalnym balsamem na mróz, szyję zaś owinęła podwójnie złożoną chustą. Była w fatalnym humorze, zaatakowała więc bez uprzedzenia:

– Prawdziwy z pana baran, Coutances! – wrzasnęła.

Gaspard, z rękami w kieszeniach, westchnął.

– A pani jak zwykle przemiała! – odparł.

Madeline naciągnęła na głowę obszyty futrem kaptur.

– Pokonaliśmy sześć tysięcy kilometrów, i co? I nic!

– Niech pani nie przesadza... – Starał się złagodzić wspólne rozczarowanie.

– Najwyraźniej nie oglądaliśmy tego samego filmu!

– A jeśli Sotomayor został zabity, bo za bardzo interesował się porwaniem Juliana? – powiedział Gaspard.

Madeline popatrzyła na niego przygnębiona.

– To niedorzeczne! Wracam do hotelu.

– Już?

– Wykończył mnie pan. – Westchnęła. – Dość mam tych kretyńskich teorii! Idę spać. Może mi pan dać trzydzieści dolarów?

Podeszła do krawężnika, starając się złapać taksówkę. Gaspard otworzył portfel i wyciągnął z niego dwa banknoty.

– Nie może pani spróbować się temu przyjrzeć? – spytał z naciskiem, wręczając jej pieniądze.

– A niby w jaki sposób?

– No, przecież na pewno ma pani tutaj jakieś kontakty!

Madeline spojrzała na niego ze złością. Oczy jej błyszczały, wyglądała na chorą.

– Już panu mówiłam, Coutances, w terenie pracowałam jako policjantka w Anglii. W Nowym Jorku siedziałam za biurkiem!

Szczękała zębami i miała okropne dreszcze. Przeszępowwała z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Zimno, które Gaspardowi dodawało energii, dla niej było torturą.

Ford escape o ostrych liniach zahamował dokładnie przed nimi. Madeline wsiadła do taksówki, nie patrząc na swojego towarzysza, i

szybko podała kierowcy adres hotelu. Skrzyżowała ręce na piersiach i skuliła się w kącie, ale po kilku metrach jazdy musiała obsztorcować kierowcę, Hindusa, który mimo mrozu chciał jechać z otwartym oknem. Taksówkarz ze stoickim spokojem upierał się przy swoim i dopiero po dobrych pięciu minutach zdecydował się podnieść szybę. Madeline zamknęła oczy. Była skonana, zmordowana, pozbawiona jakiegokolwiek energii. A poza tym znów zaczął ją męczyć ostry ból brzucha. Miała wrażenie, że puchnie, dostała skurczów żołądka, mdłości i mimo zimna co jakiś czas robiło jej się strasznie gorąco.

Kiedy otworzyła oczy, byli na West Side Highway, szerokiej drodze biegnącej wzdłuż rzeki Hudson, prowadzącej na południe Manhattanu. Zaczęła grzebać w kieszeniach kurtki w poszukiwaniu komórki. W spisie telefonów znalazła numer, pod który od bardzo dawna nie dzwoniła.

Gdy pracowała w Nowym Jorku, Dominic Wu był jej kontaktem w FBI. Facet miał za zadanie utrzymywać łączność między jej wydziałem a FBI. W praktyce był to „Pan Nie”, bo przeważnie odrzucał wszystkie jej prośby. W większości – z powodu ograniczeń budżetowych, ale chodziło również o to, aby policja miejska nie miała okazji podważać wyników pracy Biura.

Dominic Wu nie był niemiły. Trudno było go rozgryźć. Z natury karierowicz, czasem zdumiewał niespodziewanymi decyzjami. Jego życie prywatne miało nietypowy przebieg: najpierw dwójka dzieci z adwokatką z City Hall, a potem oficjalne przyznanie się do tego, że jest homoseksualistą. Kiedy Madeline spotkała go ostatnio, żył z dziennikarzem z redakcji działu kulturalnego pisma „Village Voice”.

- Witaj, Dominic, mówi Madeline Greene!
- Cześć, Madeline! Ale niespodzianka! Wracasz na łono rodziny?
- Jestem tylko przejazdem. Co u ciebie słychać?

– Wziąłem urlop... Ale na święta wracam do Nowego Jorku, do moich dziewczynek.

Madeline pomasaowała sobie skronie. Cierpiała przy każdym słowie.

– Znasz mnie, Dominic, i wiesz, że te wszystkie grzecznościowe gadki...

Usłyszała, jak były kolega wybucha śmiechem.

– No przecież... Powiedz, w czym ci mogę pomóc?

– Chciałabym cię poprosić o przysługę.

Zapadła ostrożna cisza.

– Wiesz, że nie jestem w biurze – odezwał się po chwili.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć coś o okolicznościach zabójstwa policjanta z komisariatu z dwudziestego piątego dystryktu, Adriana Sotomayora? – spytała, jakby nie słysząc słów kolegi. – Został zamordowany przed swoim domem w Harlemie, niecałe dwa lata temu.

– Czego dokładnie potrzebujesz?

– Przyda się wszystko, co znajdziesz!

– Madeline, ale ty już z nami nie pracujesz... – zastrzegł Dominic.

– Nie proszę cię o tajne informacje.

– Jeśli zacznę się dowiadywać, zwrócę na siebie uwagę i...

Madeline się zirytowała.

– Poważnie? Aż tak się boisz?

– Dziś, kiedy wszystko jest skomputeryzowane...

– Dobra, zapomnij! Zamów sobie u Świętego Mikołaja parę porządnych jaj! Widziałam promocje w Bloomingdale's.

Rozłączyła się i zapadła w letarg. Dziesięć minut później dojechali do hotelu, wielkiego budynku z brązowej cegły, typowego w TriBeCe. Gaspard posunął się do tego, że pokoje zarezerwował w Bridge Club, hotelu, gdzie Lorenz spędził swoje ostatnie dni. W recepcji

poinformowano ją, że nie ma wolnych miejsc, ale są dwa pokoje wynajęte na nazwisko Coutances: narożny apartament i mały pokój na ostatnim piętrze. Bez najmniejszego wahania Madeline wzięła apartament. Wyjęcie paszportu i wypełnienie formularza zajęło jej trzy minuty.

Już w sypialni, nawet nie wyglądając przez okno, żeby zobaczyć, jaki ma widok, zaciągnęła zasłony, wywiesiła na drzwiach wywieszkę „Nie przeszkadzać” i wypila koktajl zawierający relanium, antybiotyki i paracetamol.

Skurczona z bólu, zgasiła wszystkie lampy i położyła się. Ostatnio prawie wcale nie spała. Doszła do momentu, kiedy wyczerpanie fizyczne uniemożliwia jakiegokolwiek rozumowanie. Nie była w stanie zastanawiać się, myśleć ani wnioskować.

Tego wieczoru ciało było gorą.

Powrót na Bilberry Street

*Inni ludzie będą mieli może moje wady, ale nikt nie będzie miał
moich zalet.*

Pablo Picasso

1

Gaspard odżył, tak jak długo niepodlewana roślina, na którą nagle spadnie deszcz.

Puls Manhattanu, ruch, kłujące i suche zimno, stalowy błękit nieba, ostatnie promienie grudniowego słońca... Czuł w sobie mnóstwo pozytywnej energii. Nie pierwszy raz doświadczał gwałtownych zmian nastroju w zależności od otoczenia, w którym się znalazł. Poza tym pogoda potrafiła kompletnie odmienić jego stan psychiczny. Deszcz, wilgoć i mokra mgła mogły go niebezpiecznie przygnębić, a fala upału – fizycznie wykończyć. Ta nadwrażliwość komplikowała mu życie, ale z czasem przyzwyczał się do niej. Dziś miał doskonały dzień! Jeden z tych, które liczą się podwójnie, a nawet potrójnie. Musiał to wykorzystać i posunąć sprawę do przodu.

Poruszał się swobodnie dzięki staremu planowi miasta znalezionemu w bibliotece u Lorenza. Skręcił w prawo w Madison, minął duży zielony skwer – park Marcusa Garveya – i znalazł się na

Lenox Avenue, która w tej części Harlemu nazywała się Malcolm X Boulevard. Na rogu kupił sobie u ulicznego sprzedawcy hot doga i kawę, po czym ruszył na północ miasta.

Bilberry Street, gdzie zamordowano Adriana Sotomayora, była małą uliczką obrośniętą kasztanowcami, z domami z czerwonej cegły, wciśniętą między Sto Trzydziestą Pierwszą a Sto Trzydziestą Drugą Ulicę. Miejsce przypominało trochę dawne Południe Stanów – z wysokimi gankami, balustradami i werandami z kolorowego drewna.

Gaspard spacerował jakieś dziesięć minut po pustej ulicy, zastanawiając się, jak tu znaleźć było domostwo Sotomayora. Odczytywał nazwiska na skrzynkach na listy – Faraday, Tompkins, Langlois, Fabianski, Moore... – ale nic mu one nie mówiły.

– Uważaj, Théo!

– Tak, tato, uważam!

Odwrócił się w kierunku ludzi, którzy pojawili się na przeciwległym chodniku. Ujrzał scenę jak z filmu Capry: mężczyzna z małym chłopcem ciągnęli po ulicy wielką choinkę. Za nimi szła ładna, trochę wyniosła Metyska i starsza Murzynka ubrana w przezroczysty trencz i czerwono-brązowe wysokie botki. Na głowie miała toczek w lamparci deseń.

– Dzień dobry – odezwał się Gaspard, przechodząc na drugą stronę ulicy. – Szukam domu, w którym mieszkał kiedyś pan Sotomayor. Czy może państwo słyszeli to nazwisko?

Ojciec rodziny był miły, serdeczny, gotów do pomocy, ale sprawiał wrażenie, jakby nie mieszkał tu od bardzo dawna. Odwrócił się do kobiety, która wyglądała na jego żonę.

– Sotomayor, czy to nazwisko coś ci mówi, kochanie?

Metyska zmrużyła oczy i wydawało się, że sięga pamięcią daleko wstecz.

– Zdaje się, że to tamten dom... – powiedziała wreszcie, wskazując na domek ze stromym dachem. Jednocześnie zwróciła się do starszej kobiety: – Ciociu Angelo?

Afroamerykanka popatrzyła na Gasparda podejrzliwie.

– A czemu niby mam się spowiadać temu smarkaczowi?

Metyska objęła ją ramieniem.

– No już dobrze, ciociu, przecież wszyscy wiemy, że tak naprawdę jesteś bardzo miła!

– Okay! – skapitulowała starsza pani, poprawiając na nosie ogromne okulary przeciwsłoneczne. – To pod dwunastką, u Langlois.

– Langlois? To brzmi z francuska – stwierdził Gaspard.

Ciocia Angela rozgadała się już teraz na całego:

– Po śmierci tego policjanta, skądinąd bardzo porządnego faceta, nie ma wielu takich jak on, proszę mi wierzyć, dom odziedziczyła jego kuzynka Isabella. Isabella wyszła za mąż za Andrégo Langlois, paryskiego inżyniera, który pracuje w Chelsea, w budynku Google'a. Dość dobrze wychowany facet, oczywiście jak na Francuza. Kilka razy pomógł mi przyciąć żywopłot, a kiedy gotuje, przynosi mi czasem porcję królika w śmietanie.

Gaspard podziękował i przeszedł pięćdziesiąt metrów dzielących go od wskazanego domu. Była to mała willa z brązowej cegły, której drzwi wejściowe udekorowano ogromnym wieńcem z gałęzi sosny i ostrokrzewu.

Kobieta, która zjawiała się na progu – Latynoska o gęstych włosach i gorącym spojrzeniu – miała na sobie fartuch kuchenny w różowo-białą kratkę i trzymała na rękach dziecko. Prawdziwa Eva Mendes w Gotowych na wszystko.

– Dzień dobry pani, przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam domu, gdzie mieszkał Adriano Sotomayor, i powiedziano mi, że to tu.

– Możliwe... – odparła kobieta, patrząc nieufnie. – Czego pan chce?

Gaspard zastosował „metodę Coutances’a”: trzymać się pośrodku między prawdą a kłamstwem.

– Nazywam się Gaspard Coutances i piszę biografię malarza Seana Lorenza. Z pewnością go pani nie zna, ale...

– Ja nie znam Seana? – przerwała mu kobieta. – Gdyby pan wiedział, ile razy próbował klepnąć mnie w tyłek...

2

Eva Mendes nazywała się tak naprawdę Isabella Rodrigues. Była gościnnie, wkrótce więc zaprosiła Gasparda do środka i wprowadziła do kuchni, żeby się ogrzał. Namówiła go nawet na szklanek bezalkoholowego egg noga. Tym samym napojem łakomie popijała późny podwieczorek trójka dzieci.

– Adriano był moim cioteczynym bratem – wyjaśniła, przynosząc z salonu stary, oprawiony w płótno album ze zdjęciami.

Przewracała strony albumu pełne fotografii z dzieciństwa, tłumacząc Gaspardowi powiązania rodzinne.

– Moja mama, Maricella, była siostrą Ernesta Sotomayora, ojca Adriana. Całe dzieciństwo spędziliśmy w Tibberton, małej wiosce w Massachusetts, niedaleko Gloucester.

Krajobrazy ze zdjęć przypominały Gaspardowi niektóre zakątki Bretanii: nadmorskie łąki, małe porty, gdzie prymitywne barki sąsiadowały z kutrami i prywatnymi jachtami, w głębi lądu chaty rybaków i porządne domy armatorów wzniesione z muru pruskiego.

– Adriano był porządnym facetem – stwierdziła Isabella. – Bardzo porządnym! A jednak nie można powiedzieć, żeby los był dla niego łaskawy.

Pokazała Gaspardowi inne stare zdjęcia. Sceny z dzieciństwa: dwoje kuzynów robiących miny do aparatu, oblewających się wodą obok dmuchanego basenu, bujających jedno drugie na metalowej huśtawce czy wycinających dynie na Halloween. Isabella szybko rozwiała iluzję tej idylli.

– Choć te fotografie są takie radosne, dzieciństwo Adriana nie było szczęśliwe. Jego ojciec, a mój wuj, Ernesto, był człowiekiem gwałtownym, ponurym i miał w zwyczaju wyżywać się na żonie i synu. Krótko mówiąc, bardzo często ich bił.

Głos Isabelli załamał się. Aby przepędzić smutne wspomnienia, popatrzyła na dzieci wzrokiem pełnym miłości. Dwóch małych chłopców siedziało przy stole w słuchawkach na uszach i chichocząc, wpatrywało się w tablet, trzeci zaś, najmłodszy, układał ogromne puzzle z *Pannami dworskimi*, najsłynniejszym obrazem Velazqueza.

Ta scena skierowała myśli Gasparda ku jego własnemu ojcu, tak miłemu, uważnemu, kochającemu... Dlaczego niektórzy krzywdzą swoje potomstwo, a inni znów są w stanie umrzeć z miłości do dzieci?

Odsunął te myśli. Przypomniał sobie słowa policjantki z komisariatu dwudziestego piątego dystryktu, gdzie był pół godziny wcześniej.

– Powiedziano mi, że Adriano został umieszczony w rodzinie zastępczej... – odezwał się.

– Tak, dzięki naszej nauczycielce, panie Boninsegnie. To ona zawiadomiła pracowników socjalnych hrabstwa, że ojciec bił Ernesta.

– Matka na to pozwalała?

– Ciocia Bianca? Bianca porzuciła dom rodzinny kilka lat wcześniej.

– Ile lat miał pani kuzyn, kiedy wylądował w Nowym Jorku?

– Wydaje mi się, że około ośmiu. Zmieniał dwa, a może trzy razy rodzinę zastępczą, aż wreszcie wylądował tu, w Harlemie, u państwa

Wallisów, naprawdę wspaniałych ludzi, którzy traktowali go jak własnego syna.

Isabella zamknęła album i powiedziała zamyślona:

– Z czasem jednak Adriano i jego ojciec odnaleźli się...

– Tak?

– Pod koniec życia wuj Ernesto chorował na raka krtani. Syn wziął go do siebie i zajmował się nim do samego końca. Mój kuzyn był takim dobrym człowiekiem!

W tym momencie Gaspard zdecydował się wrócić do tematu, który naprawdę go interesował

– A Sean Lorenz w tym wszystkim? – zapytał.

3

W oczach Isabelli zabłyśły ogniki.

– Miałam osiemnaście lat, kiedy poznałam Seana! Gdy tylko osiągnęłam pełnoletność, każde lato spędzałam w Nowym Jorku. Czasem spałam u koleżanki, ale najczęściej mieszkałam u Wallisów.

Zamilkła, najwyraźniej porwana wspomnieniami ze „starych, dobrych czasów”.

– Sean mieszkał wyżej, w Polo Grounds Towers... – odezwała się. – On i Adriano cały czas spędzali razem, mimo że były między nimi cztery lata różnicy. Ja oczywiście chciałam wszędzie z nimi chodzić. Sean podkochiwał się we mnie, a ja nie miałam nic przeciwko temu! Można nawet powiedzieć, że byliśmy w potajemnym związku.

Łyknęła trochę egg noga i przez chwilę milczała.

– To były inne czasy... – Westchnęła. – Nowy Jork był innym miastem. Mieliśmy więcej wolności, swobody, ale było też dość

niebezpiecznie. W tamtych latach naszej dzielnicy należało raczej unikać. Rządziła tu przemoc, gangi narkotykowe.

Isabella uświadomiła sobie nagle, że obok siedzą jej dzieci, i zniżyła ton.

– Oczywiście robiliśmy różne głupoty – powiedziała ciszej. – Paliliśmy trawkę, kradliśmy samochody, mazaliśmy po wszystkich możliwych murach. Ale też chodziliśmy do muzeów! Pamiętam, że Sean ciągnął nas do Muzeum Sztuki Współczesnej na każdą nową wystawę. To dzięki niemu poznałam Matisse’a, Pollocka, Cézanne’a, Toulouse-Lautreca, Kiefera... W Seanie już wtedy była jakaś gorączka, chciał rysować i malować na czym tylko się dało.

Znów zamilkła, nie mogła jednak oprzeć się pokusie i rzuciła tajemniczo:

– Zaraz coś panu pokażę!

Zniknęła, po czym wróciła z wielką kartonową teczką, którą położyła na niskim stoliku. Bardzo ostrożnie otworzyła ją i wyciągnęła rysunek węgłem wykonany na opakowaniu po płatkach kukurydzianych. Był to jej portret podpisany „Sean, 1988”. Wystylizowana twarz młodej kobiety: figlarne spojrzenie, potargane włosy, nagie ramiona. Gaspard pomyślał o niektórych rysunkach Françoise Gilot autorstwa Picassa. Taki sam talent, taki sam geniusz... Sean zawarł wszystko w kilku kreskach: porywczość młodego wieku, wdzięk Isabelli, ale również pewną powagę, która zapowiadała, jaką kobietą Isabella miała się stać w przyszłości.

– Strzegę tego jak źrenicy oka! – zwierzyła się Gaspardowi, wkładając rysunek z powrotem do teczki. – Oczywiście, kiedy dwa lata temu zobaczyłam, że Muzeum Sztuki Współczesnej organizuje wystawę retrospektywną twórczości Seana, to wszystko wydało mi się nieprawdopodobne i wiele rzeczy sobie przypomniałam...

O to właśnie chodziło Gaspardowi.

– Czy znała pani Beatriz Muñoz?

Niespokojny cień zgasił rozpromienioną twarz Isabelli. Z trudem znajdując właściwe słowa, zaczęła mówić:

– Tak, poznałam ją... Niezależnie od tego, co zrobiła, Beatriz nie była złym człowiekiem. Przynajmniej w okresie, kiedy ją widywałam. Tak jak Adriano i wielu młodych z tej dzielnicy, Beatriz była ofiarą, dziewczynką skrzywdzoną przez życie, smutną, udręczoną, żyjącą w niezgodzie z samą sobą.

Isabella dawała upust swojej wściekłości.

– Czasem mówi się, że obraz istnieje tylko w oczach tego, kto go ogląda. I tak trochę było z Beatriz. Odżywała tylko wtedy, gdy Sean na nią spojrzał. Łatwo teraz mówić, ale patrząc na to wszystko z perspektywy czasu, żałuję, że jej nie pomogłam, kiedy wyszła z więzienia. Może dałoby się uniknąć tej zbrodni, o którą się później sama oskarżyła. Oczywiście nie powiedziałam tego Seanowi, ale...

Gaspard nie wierzył własnym uszom.

– Widziała pani Seana już po śmierci jego syna?

Isabella zrzuciła bombę:

– Przyszedł tu w grudniu. Dokładnie rok temu. Pamiętam tę datę, bo dowiedziałam się potem, że to było w przeddzień jego śmierci.

– Jak wyglądał? – spytał Gaspard.

Westchnęła.

– Jedno, co mogę powiedzieć, to tyle, że nawet nie próbował klepnąć mnie w tyłek.

– Miał wyostrome rysy, brudne włosy, zaniedbaną i zarosniętą twarz. Wyglądał co najmniej o dziesięć lat starzej. Nie widziałam go,

powiedzmy, od dwudziestu lat, ale natrafiałam na jego zdjęcia w internecie. To już nie był ten sam człowiek. Miał przede wszystkim straszny wzrok. Jakby nie spał od tygodnia albo wziął heroinę.

Rozmawiając, Gaspard i Isabella wyszli na werandę oświetloną trzema mosiężnymi latarniami. Dwie minuty wcześniej Isabella wyjęła ze schowka za miedzianymi garnkami i emaliowanym durszlakiem starą paczkę papierosów. Zdecydowała się zapalić mimo arktycznego zimna, mając wyraźnie nadzieję, że opary dymu papierosowego pokryją wspomnienia warstwą, która uczyni je mniej bolesnymi.

– Oczywiście Sean wyglądał tak nie przez narkotyki, tylko ze smutku. Z największego smutku, jaki można sobie wyobrazić. Tego, który zjada od środka i zabija, bo zabrano ciało z pańskiego ciała.

Gorączkowo zaciągnęła się papierosem.

– Kiedy spotkałam wówczas Seana, jeszcze nie zaczęliśmy remontu domu. Z Andrém, moim mężem, dopiero co się sprowadziliśmy i postanowiliśmy ostatnie dni roku wykorzystać na opróżnienie pomieszczeń.

– Byliście jedynymi spadkobiercami Adriana?

Isabella kiwnęła głową.

– Rodzice mojego kuzyna oboje już nie żyli, a on nie miał ani siostry, ani brata. Ponieważ jednak postępowanie spadkowe trwało bardzo długo, w domu wciąż były wszystkie jego rzeczy. I to właśnie zainteresowało Seana.

Gaspard czuł coraz większe zdenerwowanie. Był pewien, że zaraz dowie się czegoś zasadniczego.

– Sean nie rozgadywał się specjalnie – przypomniała sobie Isabella.

– Od razu pokazał mi zdjęcie małego Juliana, mówiąc, że nie wierzy w oficjalną wersję, według której jego syn nie żyje.

– Powiedział pani czemu?

– Nie, tylko zdradził mi, że Adriano w tajemnicy wznowił śledztwo w sprawie zamordowania dziecka.

Na dworze nagle zapadł zmrok. W kilku ogródkach zaświeciły się girlandy, którymi ozdobiono choinki, krzewy i płoty.

– Ale czego konkretnie chciał od pani Sean?

– Chciał przejrzeć rzeczy Adriana, sprawdzić, czy przed śmiercią mój kuzyn nie zostawił jakichś wskazówek dotyczących tej sprawy.

– Uwierzyła mu pani?

– Właściwie nie... – odparła ze smutkiem. – Tak jak wspomniałam, zachowywał się jak nawiedzony, jak wariat. Wydawało mi się, że ma halucynacje, że rozmawia sam ze sobą. Szczerze mówiąc, trochę się nawet zaczęłam go bać.

– Ale wpuściła go pani do domu?

– Tak, z tym że od razu zabrałam dzieci do pobliskiego centrum handlowego, East River Plaza. Zostawiłam tu męża, żeby go pilnował.

– Czy Sean coś znalazł?

Uśmiechnęła się z niesmakiem.

– Na pewno zrobił tu niezły burdel! Powysuwał wszystkie szuflady, pootwierał szafy, zajrzał wszędzie! André powiedział, że wychodząc, oznajmił, że znalazł to, czego szukał.

Gaspard poczuł dreszcz emocji.

– I co to było?

– Wydaje mi się, że jakieś dokumenty.

– Jakie?

– Nie mam pojęcia. André mówił, że to była tekturowa teczka i że Sean wsunął ją do skórzanej torby na ramię.

– Naprawdę nie wie pani, co to mogło być? – nie ustępował Gaspard.

– Nie, i mam to gdzieś! Cokolwiek się zrobi, to i tak nie wróci życia zmarłym, prawda?

Gaspard jakby tego nie usłyszał.

– Ma pani jeszcze jakieś rzeczy po kuzynie?

Pokręciła głową.

– Dawno wszystko wyrzuciliśmy. Właściwie oprócz samochodu i ładnej, dużej lodówki Adriano nie posiadał wiele.

Zawiedziony Gaspard zrozumiał, że rozochocił się zbyt szybko i że raczej niczego więcej się nie dowie.

– Czy może pani w moim imieniu zapytać męża o szczegóły tej wizyty, które ewentualnie zapamiętał?

Isabella owinęła się szczelniej kurtką i pokiwała głową na zgodę. Gaspard zapisał jej numer swojej komórki na paczce papierosów.

– Proszę pamiętać, że to naprawdę bardzo ważne! – zaznaczył.

– Ale po co wracać do tego wszystkiego? Dzieciak przecież nie żyje, czyż nie?

– *Sans doute...* – odparł Gaspard po francusku, dziękując jej za pomoc.

Zgniatając niedopałek w glinianej doniczce, Isabella patrzyła za tym dziwnym gościem, gdy odchodził. Powiedział *sans doute*. Niezle znała francuski, ale nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego, mimo znaczenia poszczególnych słów w tym zwrocie, oznaczał on „być może” a nie „bez wątpliwości”.

Będzie musiała spytać o to męża.

Pénélope

„Po Picassie zostaje tylko Bóg”.

Często drwiłam sobie z tego zdania Dory Maar, ale dziś dogłębnie rozumiem te tragiczne słowa muzy katalońskiego mistrza. Ja również tak się czuję jak ona wówczas. Po Seanie Lorenzu zostaje tylko Bóg. A ponieważ nie wierzę w Boga, po Seanie Lorenzu nie zostaje nic.

Uciekając przed twoim duchem, prawie zapomniałam, jak bardzo przemawiało do mnie twoje malarstwo, Sean. Od chwili, gdy ten Gaspard Coutances pokazał mi twoje ostatnie płótno, nie mogę przestać o nim myśleć. Czy śmierć naprawdę tak wygląda? Biała, łagodna, uspokajająca i świetlista? Czy ty tam jesteś, Sean? Tam gdzie strach zdaje się nie istnieć? Czy nasz syn jest z tobą?

Od wczoraj myślę tylko o tym.

Dzisiejszej nocy spałam bardzo dobrze, bo ulżyło mi, gdy podjęłam wreszcie tę decyzję. Cały ranek z uśmiechem cerowałam tę sukienkę w kwiaty. Tę, którą miałam na sobie, kiedy pierwszy raz mnie zobaczyłeś. To było w Nowym Jorku, trzeciego czerwca 1992 roku! I wiesz co? Ona wciąż świetnie wygląda! Odnalazłam również moją starą kurtkę motocyklową, ale gdzieś zginęły martensy, które wtedy nosiłam. Zastąpiłam je botkami z patynowanej skóry, które tak bardzo lubiłeś, i wyszłam z domu. Wsiadłam do metra, dojechałam do Porte de Montreuil, a potem bardzo długo szłam, „lekko i krótko ubrana”, jak w filmie, mimo grudniowego zimna.

Na tyłach rue Adolphe-Sax odszukałam nieużywaną stację dawnej linii Petite Ceinture. Wszystko wyglądało prawie tak samo, jak kiedy

przyprowadziłeś mnie tu na piknik o północy.

Budynek obrosnięty chwastami popadł w ruinę. Drzwi i okna zamurowano, ale pamiętałam, że można było dostać się na perony przez schody z pomieszczenia technicznego. Włączyłam latarkę w komórce i zeszłam na tory. Najpierw pomyliłam kierunki, więc wróciłam, żeby znaleźć tunel prowadzący do starego składu.

Nie uwierzysz, ale przedpotopowy wagon wciąż tu stoi! Metro jest w posiadaniu skarbu wartego wiele milionów euro, stojącego na zrujnowanym dworcu, i do tej pory nikt jeszcze sobie tego nie uświadomił!

Ani rdza, ani kurz nie zatarły twoich szalonych kolorów! Mój portret jak dawniej błyszczy na szorstkiej i brudnej blasze starego wagonu. Moja triumfująca młodość zwyciężyła, wygrała z czasem i nocą! Nieokiełznane loki pieścą moje ciało księżniczki, owijając się wokół nóg dwudziestolatki, zasłaniając piersi i podbrzusze. To ten obraz chcę zabrać ze sobą w zaświaty.

Wchodzę do wagonu. Wszystko jest tu brudne, czarne, pokryte grubą warstwą kurzu, ale ja się nie boję! Siadam na jednym z siedzeń i otwieram torbę, tę wspaniałą torbę od Bułgariego z plecionej białoniebieskiej skóry. Dostałam ją od ciebie wiosną przed narodzinami Juliana. W środku leży naładowany manurhin MR 73. To prezent od mojego ojca, jego stara broń służbowa. Dał mi go, żebym zawsze mogła się obronić. Dziś właśnie tak zrobię.

Wkładam lufę do ust.

Tęsknię za tobą, Sean!

Gdybyś wiedział, jaką ulgę czuję na myśl, że zaraz cię spotkam! Ciebie i naszego synka!

W tej chwili, na sekundę przed naciśnięciem spustu, zastanawiam się, dlaczego tak długo czekałam na spotkanie z wami!

KRÓL OLCH

Sobota, 24 grudnia

Noc amerykańska

*Coś wisi w powietrzu nowojorskim, przez co sen wydaje się
bezużyteczny.*

Simone de Beauvoir

1

Była czwarta rano, a Madeline czuła się znakomicie!

Spała dziesięć godzin bez przerwy najlepszym snem: ciężkim, głębokim, pozbawionym koszmarów i duchów. Ból brzucha nie zniknął, ale zelżał i stał się nawet znośny. Madeline podniosła się z łóżka, rozsunęła zasłony i popatrzyła na Greenwich Street, już pełną życia. Nieco dalej, między dwoma budynkami, widać było ciemny, lodowaty nurt rzeki Hudson.

Rzuciła okiem na ekran smartfona: trzy telefony od Bernarda Benedicka. Czego właściciel galerii mógł od niej chcieć? W każdym razie jeszcze chwilę poczeka, najpierw śniadanie.

Dżinsy, T-shirt, bluza z kapturem, kurtka. Wychodząc z pokoju, znalazła pod drzwiami zaklejoną kopertę. Otworzyła ją w windzie: było to trzystronicowe, napisane ręcznie sprawozdanie Coutances'a z wizyty u Isabelli, kuzynki Adriana Sotomayora. Gaspard prosił o jak najszybszy kontakt, żeby ustalili miejsce, gdzie mają się spotkać.

Zdecydowana niczego nie robić przed śniadaniem, odłożyła dokładną lekturę listu na później i wsunęła go do kieszeni.

Hotel żył już w pełni – rankiem dwudziestego czwartego grudnia goście będący w Nowym Jorku przejazdem szykowali się do opuszczenia miasta. W recepcji dwóch młodych bagażowych pośpiesznie ładowało walizki do samochodów. Jedni jechali na lotnisko, drudzy do ośrodka narciarskiego w Appalachach.

Madeline wyszła z holu, kierując się do sali na parterze, gdzie w rozpalonym kominku trzaskał ogień. Salon Bridge Clubu w rozproszonym świetle przypominał stary angielski klub: kanapy chesterfield i tapicerowane fotele, mahoniowa biblioteka, afrykańskie maski i trofea myśliwskie na ścianach. Usiadła w *globe chair*: był to fotel w kształcie balonu, w stylu lat sześćdziesiątych, który nie pasował zupełnie do reszty wystroju. Zza monumentalnej choinki stojącej na środku sali wyskoczył nagle boy hotelowy w białej liberii. Madeline zerknęła na kartę i zamówiła czarną herbatę, porcję ricotty z koziego mleka i crostini. W końcu w Paryżu i Madrycie było już po dziesiątej. Mimo ognia w kominku, zaledwie metr od niej, było jej zimno. Wzięła pled z bladobeżowej wełny i zarzuciła go sobie na ramiona jak szal.

Babcia grzejąca się przy kominku, oto, kim się stałam... Westchnęła. Dlaczego nie czuje już żadnej *grinta*⁷, żadnej iskry bożej. Przypomniała sobie artykuł z „New York Times Magazine”, który pokazał jej Coutances w Madrycie. Gdzie podziela się ta młoda, energiczna kobieta, ta wytrwała wojowniczką nigdy nierezygnująca w połowie drogi? Na zdjęciu w artykule miała bardzo ostre rysy, zdecydowany wyraz twarzy i czujne spojrzenie... No cóż, ta Madeline gdzieś zniknęła!

Zaczęła wspominać swoje najważniejsze śledztwa. To szalone, upajające uczucie, które ją ogarniało, gdy ratowała komuś życie!

Chwila euforii, kiedy wydawało jej się, że odkupuje wszystkie grzechy ludzkości! Nigdy w życiu nie przeżyła już nic podobnego. Pomyślała o małej Alice Dixon, którą odnalazła żywą po latach żmudnych dochodzeń. Straciła ją z oczu... Przed Alice było jeszcze inne dziecko, Matthew Pears, którego wyrwała z łap psychopaty. Z nim również nie miała obecnie żadnego kontaktu. Nawet gdy śledztwo kończyło się dobrze, euforia szybko ustępowała rozczarowaniu. Brutalne uświadomienie sobie, że choć wszystkie te maluchy zawdzięczały jej życie, nie były jej dziećmi. Podobny spadek nastroju wymagał natychmiastowego zaangażowania się w następne śledztwo, kolejnego zastrzyku adrenaliny, jedyne go znanego jej leku przeciw depresji. Takie błędne koło.

2

Boy wrócił po chwili, niosąc tacę ze śniadaniem, którą postawił na stoliku. Madeline jadła kanapki i piła herbatę pod pustym spojrzeniem prekolumbijskiej statuetki stojącej na półce naprzeciwko. Była to niemal replika amuletu z komiksu o przygodach Tintina pod tytułem *Pęknięte ucho...*

Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co powiedział jej Coutances. Czy też raczej nie chciała zaakceptować ewentualnych konsekwencji tych faktów. Jednocześnie fakty te były nie do podważenia: Lorenz, przekonany, że jego syn żyje, trafił w gazecie na artykuł opisujący niektóre ze zbrodni badanych przez Madeline i doszedł do wniosku, że ona może mu pomóc. Bez rezultatu wydzwaniał do wydziału spraw niewyjaśnionych nowojorskiej policji i podczas swego ostatniego wyjazdu do Stanów postanowił zjawić się na komisariacie osobiście.

Wtedy dopadł go zawał serca, który powalił go na chodnik pośrodku Sto Trzeciej Ulicy. Kilkadziesiąt metrów od biura, gdzie pracowała.

Tyle że Madeline nic wówczas o tym nie wiedziała! Rok temu o tej porze roku nie była już funkcjonariuszką nowojorskiej policji i nie mieszkała w tym mieście. Objawy depresji pojawiły się jesienią i pod koniec listopada złożyła dymisję, żeby wrócić do Anglii. Po co drugi raz puszczać ten sam film? Nawet gdyby spotkała się wtedy z Lorenzem, nie zmieniłoby to absolutnie niczego. Tak jak i dziś nie uwierzyłaby w ani jedno jego słowo. Tak jak i dziś nie byłaby w stanie mu pomóc. Nie powierzono jej tej sprawy i nie miałyby żadnych możliwości, żeby poprowadzić oficjalne śledztwo.

Kończyła porcję twarożku, kiedy nagle w dole brzucha znów poczuła kłujący ból. Dotknęła bolącego miejsca. Cholera, wróciło! Brzuch miała napuchnięty, jakby przybyło jej pięć kilogramów w ciągu dwóch minut! Dyskretnie rozluźniła pasek o jedną dziurkę i wyjęła z kurtki tabletkę paracetamolu.

Ponownie pomyślała o Gaspardzie. Zachowywała się wobec niego lekceważąco, ale zaimponował jej. Choć nie zgadzała się z nim, musiała przyznać, że jest konsekwentny i okazał się naprawdę inteligentny. Mimo ograniczonych możliwości działania dostrzegł niejasności i odnalazł ślady, które najwyraźniej umknęły doświadczonym policjantom.

Wyciągnęła z kieszeni sprawozdanie Gasparda, wyczerpujące i kompletne, które przygotował specjalnie dla niej. Trzy kartki zapisane z obu stron starannym pismem ucznia, pięknym, niemal kobiecym – litery były zaokrąglone, z dużymi, zapraszającymi do czytania pętlami. W ogóle nie pasowało do tego zarozumialca! Czytając ten tekst po raz pierwszy, Madeline zastanawiała się, czy to, że Sean wyniósł z domu Isabelli jakieś dokumenty należące do Sotomayora, może być prawdą. Jeśli tak, to dlaczego ich nie odnaleziono ani przy

zwłokach Lorenza, ani w jego pokoju hotelowym? Po chwili wahania wystukała numer Bernarda Benedicka.

Odebrał od razu, wściekły jak diabli.

– Panno Greene, jest pani dramatycznie niesłowna!

– O czym pan mówi?

– Wie pani dobrze, o czym mówię! O trzecim obrazie! Tym, który zatrzymała pani dla siebie! Nieźle mnie pani wyrolowała...

– Nie rozumiem w ogóle, o co panu chodzi! – przerwała mu Madeline. – Poprosiłam pana Coutances'a, żeby przekazał panu trzy obrazy!

– Dostałem tylko dwa!

Madeline wzięła głęboki oddech. Coutances nic jej nawet nie powiedział!

– Porozmawiam z nim – obiecała. – Na razie niech mi pan coś wyjaśni. Mówił mi pan, że po śmierci Lorenza zabrał pan z hotelu wszystkie jego rzeczy?

– Tak, ubrania i notes.

– Z hotelu Bridge Club w TriBeCe?

– Tak! Uparłem się i pozwolono mi osobiście przeszukać cały pokój!

– Pamięta pan, który to był numer?

– Chyba pani żartuje! To było rok temu!

Przyszło jej do głowy coś innego.

– A kiedy pogotowie reanimowało Lorenza na środku Sto Trzeciej Ulicy, czy znaleziono coś przy nim?

– Miał przy sobie tylko portfel! – stwierdził Benedick autorytatywnie.

– Nie słyszał pan nigdy o jakiejś teczce czy skórzanej torbie?

Zapadła cisza.

– To prawda, Sean miał torbę na ramię, z którą praktycznie nigdy się nie rozstawał. Stary model od Berlutiego, prezent od żony. Nie mam pojęcia, gdzie mogła zniknąć. Dlaczego pani pyta? Czy kontynuuje pani dochodzenie? To z powodu tego artykułu w „Le Parisien”?

– Jakiego artykułu?

– Sama pani zobaczy. Na razie żądam zwrotu trzeciej części tryptyku!

– Odnoszę wrażenie, że nie ma pan pozycji, która umożliwiłaby żądanie czegokolwiek! – Madeline zirytowała się i zakończyła rozmowę.

Przetarła oczy, próbując znów ułożyć logicznie wszystkie elementy. Jeśli historia opowiedziana przez Isabelle Coutances’owi była prawdziwa, to między chwilą, w której Sean zdobył dokumenty Sotomayora, a jego śmiercią minęły co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Miał więc wystarczająco dużo czasu, żeby przekazać komuś te papiery. Albo po prostu gdzieś ukrył tę torbę. Nie jest to pozbawione sensu, jeśli weźmie się pod uwagę, jak wyglądały ostatnie dni życia Lorenza: człowiek nawiedzony, umęczony, paranoik... Ale gdzie mógłby schować tę torbę? Nie miał już nikogo w Nowym Jorku, ani rodziny, ani przyjaciół, ani domu. Zostawało najprostsze rozwiązanie: ukrył ją w pokoju hotelowym.

Muszę to sprawdzić, i to od razu! – pomyślała Madeline.

Wstała i skierowała się do holu. Za wielkim drewnianym kontuarem królowała – jak wynikało z plakietki przypiętej do sukienki – Lauren Ashford, młoda, wyjątkowo wysoka i wyjątkowo piękna kobieta, która już samą swoją osobą świadczyła o renomie hotelu Bridge Club.

– Dzień dobry pani!

– Dzień dobry, Madeline Greene, pokój numer trzydzieści jeden.

– W czym mogę pomóc?

Lauren była miła, ale wyniosła. Miała na sobie ciemnoniebieską, oszłamiającą suknię, bardziej nadającą się na wybieg podczas Fashion Week niż do pracy w hotelu. Madeline przypomniał się kostium Królowej Nocy z *Czarodziejskiego fletu*, którego inscenizację widziała w Covent Garden.

– Mniej więcej rok temu, w tygodniu zaczynającym się dziewiętnastego grudnia, zatrzymał się tutaj malarz Sean Lorenz...

– Możliwe – bąknęła Lauren, nie odrywając oczu od ekranu komputera.

– Chciałabym się dowiedzieć, który pokój zajmował.

– Droga pani, nie udzielamy takich informacji.

Lauren mówiła bardzo wyraźnie. Z bliska jej fryzura wyglądała na niezwykle skomplikowaną: koronę uplecioną z warkoczy i warkoczyków przytrzymywało mnóstwo wsuwek i spinek z brylancikami.

– Rozumiem... – odparła Madeline.

W rzeczywistości nic nie rozumiała. Nagle tak się zirytowała, że jeszcze chwila, a chwyciłaby Królową Nocy za te piękne warkocze i wepchnęłaby jej wyfiokowany łeb w ekran komputera!

Wycofała się i wyszła na zewnątrz zapalić papierosa. Gdy któryś z bagażowych otworzył wielkie drzwi wyjściowe, zmroził ją przeciąg. Wszystko ma swoją cenę – pomyślała i zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. W panujących jeszcze ciemnościach poczuła nagle wibracje telefonu: dwa sygnały, dwa SMS-y przysłane jeden po drugim.

Pierwszy był długą wiadomością od Louisy. Pielęgniarka z hiszpańskiej kliniki informowała ją, że z pobranych komórek jajowych szesnaście nadaje się do użycia. Szpitalny biolog proponował

połowę zapłodnić spermą anonimowego dawcy, a drugą część chciał zamrozić.

Madeline wyraziła zgodę i przy okazji spytała o męczące ją napady bólu. Pielęgniarka od razu odpowiedziała:

Może to infekcja albo zespół hiperstymulacji jajników, proszę wpaść do nas do kliniki.

Nie mogę. Nie jestem w Madrycie – odpisała Madeline.

Gdzie pani jest? – zapytała Louisa.

Madeline wołała nie wyjaśniać. Drugi SMS wyglądał bardziej zachęcająco. Wysłał go Dominic Wu.

Cześć, Madeline. Jeśli jesteś w okolicy, wpadnij do mnie koło ósmej, Hoboken Park.

Odpowiedziała natychmiast:

Witaj Dominicu! Już na nogach?

W drodze na siłownię – odpisał agent FBI.

Wzniosła oczy do nieba. Czytała gdzieś, że w Nowym Jorku o piątej rano jest odnotowywane bardzo wysokie zużycie prądu, częściowo z powodu otwartych siłowni, na które ludzie chodzą coraz wcześniej.

Masz dla mnie informacje?

Nie przez telefon, Madeline.

Ponieważ uznała, że niczego więcej się teraz nie dowie, zakończyła rozmowę krótkim:

OK, do zobaczenia.

Wciąż trzymała papierosa w ustach, bo nie mogła znaleźć zapalniczki, którą najwyraźniej gdzieś zgubiła. Już miała wrócić do holu, kiedy nagle długi płomień zabłysł jej przed oczami, na krótką chwilę odganiając lodowate zimno wczesnego poranka.

– Znalazłem ją w salonie. Spadła na fotel! – odezwał się chłopak w uniformie bagażowego, przybliżając płomień do jej twarzy.

Madeline zapaliła papierosa i podziękowała kiwnięciem głowy.

Chłopak nie miał nawet dwudziestu lat. Zauważyła go już wcześniej: jasne spojrzenie, nieposłuszne włosy i uwodzicielski, łobuzerski uśmiezek, którym musiał skutecznie zawracać w głowie dziewczynom.

– Sean Lorenz zatrzymał się w pokoju numer czterdzieści jeden – usłyszała, gdy wręczał jej zapalniczkę Zippo.

3

Pomyślała, że źle usłyszała, więc poprosiła go, żeby powtórzył.

– Ten malarz zajmował apartament numer czterdzieści jeden – jeszcze raz powiedział chłopak. – To pokój narożny, podobny do tego, który ma pani, ale piętro wyżej.

– Skąd ty to wiesz?

– Po prostu nadstawiam ucha. Wczoraj wieczorem w recepcji pan Coutances zadał Lauren to samo pytanie i taka była jej odpowiedź.

Madeline nie mogła w to uwierzyć! Coutances'owi udało się zmusić do rozmowy tę nadętą pindę w recepcji! Co to, do diabła, znaczy! Od razu zobaczyła tę scenę: Coutances w tej swojej marynareczce Smalto, ze wzrokiem zbitego spaniela, rozsiewający silny zapach lawendowej wody kolońskiej... To musiał być niezły numer! Coś między podstarzałym lowelasem a bufonem wykorzystującym swoje dawne wdzięki. I zadziało!

– O co jeszcze wypytywał?

– Chciał obejrzeć ten pokój, ale Lauren się nie zgodziła.

Madeline nie mogła powstrzymać złośliwej satysfakcji: widocznie „siła przyciągania” Coutances'a nie była aż tak duża.

– Jak się nazywasz?

– Kyle – odpowiedział bagażowy.

- Od dawna tu pracujesz?
- Od półtora roku, ale tylko w weekendy i podczas wakacji.
- To znaczy, że studiujesz?
- Tak, na Uniwersytecie Nowojorskim.

Chłopak miał jasnozielone oczy, przenikliwe spojrzenie i buńczuczny uśmiech, bardziej diabelski niż życzliwy.

– Zeszłego lata czwarte piętro zostało w części zalane – oznajmił niepytany. – Prawdziwa powódź!

Mimo młodzieńczego wyglądu Kyle'a Madeline czuła się przy nim nieswojo. Jego oczy koloru oliwiny błyszczały żywą inteligencją, ale spojrzenie było złowrogie.

– W końcu okazało się, że nawaliła klima – ciągnął. – Odpływ się zatkał. Trzeba było odnowić sufity w kilku pokojach, w tym również w pokoju numer czterdzieści jeden.

- Dlaczego mi to opowiadasz?
- Dlaczego mi to opowiadasz?

– Remont trwał trzy tygodnie. Miałem szczęście: byłem obok, kiedy murarze znaleźli coś w jednym z sufitów. Skórzaną torbę na ramię. Zaproponowałem, że zaniosę ją do recepcji.

- Ale wcale jej nie zaniosłeś, tylko zatrzymałeś.
- Tak właśnie.

Nie dać się omamić – nakazała sobie. Zaczyna się druga część spotkania.

Pod niby niewinnym wyglądem chłopca skrywały się wyrachowanie i perwersja.

– To była naprawdę bardzo ładna torba, choć znoszona do szczytu i poplamiona farbą... Pewnie zauważyła jednak pani, że to teraz modne. Nikt już nie lubi nowego. Jakby przyszłość była przeszłością...

Zamilkł, czekając, jaki efekt przyniosą jego ostatnie słowa.

– Sprzedałem ją na eBayu za dziewięć stów! Poszła od razu. Wiedziałem, do kogo należała, bo w środku wyhaftowane było nazwisko właściciela, tak jakby torbę otrzymał w prezencie.

– Zajrzałeś do środka?

– Słyszałem już przedtem o Seanie Lorenzu, ale szczerze mówiąc, nie znałem jego malarstwa. Poszedłem więc do Whitney Museum. Wow! Jego obrazy zupełnie wytrącają z równowagi, ponieważ...

– Nie musisz mi recytować tego, co wyczytałeś w Wikipedii – przerwała mu Madeline. – Powiedz tylko, czy w torbie coś było.

Jeśli Kyle się zirytował, nie dał po sobie nic poznać. Odparł naiwnym tonem:

– Jakieś dziwne rzeczy... tak dziwne, że podejrzewałem, że któregoś dnia ktoś się tym zainteresuje. Kiedy więc wczoraj usłyszałem pytanie pana Coutances'a, pomyślałem: bingo! Od razu pobiegłem do domu i wziąłem to ze sobą.

Niczym ekshibicjonista czy uliczny sprzedawca kradzionych zegarków, Kyle rozchylił poły pikowanej kurtki marki Barbour. Oczom Madeline ukazała się gruba teczka z zalaminowanego kartonu.

– Daj mi to, Kyle! Prowadzę śledztwo razem z Coutances'em. Czy on, czy ja, wszystko jedno.

– Tak, wszystko jedno. Tysiąc dolców! O tyle chciałem go poprosić.

– Jestem policjantką – oznajmiła Madeline.

Nie zrobiło to żadnego wrażenia na Kyle'u.

– Mój ojciec też pracuje w policji – oznajmił.

Madeline zawahała się. Jedną z opcji było złapać go za gardło i wyrwać mu teczkę. Fizycznie czuła się na siłach, ale w Kyle'u było coś, czego naprawdę się bała. Jej babcia miała w zwyczaju mówić, że „w niektórych diabeł siedzi”. Jeśli tak było, to na pewno Kyle zaliczał się do tej kategorii i każdy atak na niego prędzej czy później zwróciłby się przeciwko niej.

– Nie mam przy sobie aż tylu pieniędzy.

– Tam jest bankomat! – Kyle uśmiechnął się, wskazując na światła Duane Reade, sklepu otwartego całą dobę, po drugiej stronie ulicy.

Odpaliła od gasnącego papierosa następnego i postanowiła się poddać. To nie był zwykły chłopak. To było narzędzie zła.

– Okay, zaczekaj tu na mnie.

Przeszła na drugą stronę Greenwich Street i skierowała się do bankomatu znajdującego się obok Duane Reade. Zaczęła się zastanawiać, czy na swoją kartę będzie mogła wyciągnąć tyle gotówki. Na szczęście, kiedy wystukała kod, z maszyny wysunęły się bez problemu banknoty pięćdziesięciodolarowe. Wróciła pod hotel. Wszystko szło jakoś zbyt gładko. Nie wierzyła w prezenty spadające z nieba. Gdy przechodziła przez ulicę, poczuła wibracje w kieszeni. Benedick. SMS z linkiem do artykułu zamieszczonego w „Le Parisien”. Nawet go nie otwierała, bo na ekranie pokazał się sam tytuł:

Tragiczna śmierć Pénélope Kurkowski, słynnej modelki z lat dziewięćdziesiątych i muzy malarza Seana Lorenza.

Cholera! Zdenerwowała się i wystraszyła.

– Ma pani forszę?! – odezwał się Kyle, który skończył pracę i siedział już na swoim rowerze z ostrym kołem.

Wziął banknoty i wsunął je do kieszeni, zanim podał jej sztywną teczkę. I zaraz zniknął.

Przez chwilę Madeline miała wrażenie, że dała się oszukać i podejść jak frajerka.

Ale nie.

Otworzyła teczkę i w świetle ulicznych latarni zaczęła czytać.

W ten sposób poznała Króla Olch.

17

Król Olch

*– Ach tato, tato! Porywa mnie król!
Ciemnieje mi w oczach, przeszywa ból!*⁸

Johann Wolfgang Goethe

1

Madeline siedziała w fotelu w salonie Bridge Clubu i prawie słyszała własny puls.

Na niskim stoliku rozłożyła makabryczne dokumenty, które przeglądała już od ponad godziny. Ponure archiwa, niewątpliwie skompletowane przez Adriana Sotomayora, zawierały dziesiątki artykułów prasowych – niektóre wycięte z gazet, inne ściągnięte z internetu – ale też protokoły przesłuchań, raporty z sekcji zwłok oraz kserokopie fragmentów z różnych opracowań o seryjnych zabójcach.

Materiały dotyczyły serii porwań i zabójstw dzieci między rokiem 2012 a 2014 w stanach Nowy Jork, Connecticut i Massachusetts. Cztery morderstwa straszne i dziwne, które łączył ten sam wstrząsający *modus operandi*.

Pierwszą ofiarą był dwuletni Mason Melvil, porwany w lutym 2012 roku w parku w Shelton w hrabstwie Fairfield. Jego ciało znaleziono

dwanaście tygodni później niedaleko stawu w Waterbury, innym mieście stanu Connecticut.

W listopadzie 2012 roku czteroletni Caleb Coffin zniknął podczas zabawy w ogrodzie przy willi rodziców, w mieście Waltham w stanie Massachusetts. Jego zwłoki trzy miesiące później odnaleźli turyści, którzy zapuścili się w wilgotną część Gór Białych.

Z kolei w lipcu 2013 roku na Long Island doszło do porwania znacznie bardziej zwracającego uwagę środków masowego przekazu: z domu Matthiasa Sturma, niemieckiego architekta i męża znanej dziennikarki telewizji ZDF, zniknął w nocy jego syn Thomas Sturm. W Niemczech sprawa została nagłośniona przez wszystkie media. Przez jakiś czas podejrzewano ojca, będącego wówczas z żoną w trakcie pełnego napięć rozwodu. Niemieckie brukowce z „Bildem” na czele rzuciły się na Sturma, zarzucając czytelników ponurymi rewelacjami dotyczącymi jego życia prywatnego. Architekt trafił nawet do aresztu. Tymczasem w pierwszych dniach jesieni ciało Thomasa zostało odnalezione nad jeziorem Seneca w stanie Nowy Jork. W związku z tym po raz pierwszy prasa, a konkretnie „Der Spiegel”, nawiązała do ballady Goethego, nazywając tajemniczego mordercę Królem Olch.

W 2014 roku w parku w Chicopee w stanie Massachusetts przestępca, korzystając z nieuwagi opiekunki, porwał małego Daniela Russella. Ciało dziecka znaleziono kilka tygodni później na słonych bagnach w Old Saybrook, nadmorskim ośrodku wypoczynkowym w stanie Connecticut.

A potem... nic. Minęło lato 2014 roku i Król Olch znikł.

Madeline wypięła łyk herbaty pu-erh o smaku lotosu, dzięki której w ogóle funkcjonowała od chwili przebudzenia. Była szósta rano. W salonie Bridge Clubu zaczynał się ruch. Największą atrakcją był wielki kominek – jego tańczące płomienie przyciągały najwcześniej wstających gości na poranną kawę.

Siedząca obok Madeline przyłożyła palce do skroni. Musi się skupić! Mieszkając w Nowym Jorku, kilka razy słyszała o Królu Olch za sprawą mediów, ale niewiele z tego pamiętała: zabójca działał, zdaje się, przez jakieś dwa lata; nie od razu powiązано ze sobą wszystkie te morderstwa, ona zaś nie pracowała w wydziale, który się tym zajmował, i tak dalej.

Ale już wówczas zwrócił jej uwagę pewien fakt odróżniający te zbrodnie od innych: żadne z czwórki dzieci nie stało się przed śmiercią ofiarą przemocy. Nie były gwałcone ani torturowane, nie brały udziału w jakichś makabrycznych grach. Przeglądane przez nią raporty z sekcji zwłok potwierdzały, że przez cały czas niewoli były dobrze odżywiane. Ich ciała były czyste, wypielęgnowane. Wszystkie dzieci włosy miały ostrzyżone, a ubranka uprane. Można nawet założyć, że ich śmierć, spowodowana przedawkowaniem leków, nie była zbyt bolesna. To założenie oczywiście nie sprawiało, że zbrodnie stawały się mniej straszne, ale komplikowało psychologiczny profil mordercy.

Czytając te akta, Madeline nie miała wątpliwości, że pracujący dla FBI kryminolodzy, psychiatrzy i profilerzy stawali na głowie, żeby zidentyfikować i zatrzymać psychopatę. Niestety, bezskutecznie. Jeśli Król Olch w ciągu ostatnich dwóch lat nikogo nie porwał i nie zamordował, to na pewno nie dzięki działaniom policji.

Kolejny łyk herbaty. Madeline poruszyła się w fotelu, starając się zmniejszyć ból brzucha. Nie ma wielu rozwiązań, które wyjaśniłyby, dlaczego seryjny morderca przestaje zabijać. Najczęściej albo umiera,

albo trafia do więzienia z jakiegoś innego niż zabójstwo powodu. Czy tak było właśnie w tym przypadku?

Męczyło ją jeszcze inne pytanie: Jaki był związek między sprawą Króla Olch a porwaniem Juliana Lorenza? Skoro Sean odnalazł te dokumenty, musiał pomyśleć, że Adriano Sotomayor doszedł do wniosku, że syn przyjaciela został porwany przez Króla Olch. Tylko że nic w tych papierach nie potwierdzało tej teorii. Nigdzie nie było najmniejszej wzmianki o małym Julianie.

Zgadzały się daty, co jednak doprowadziło Sotomayora do wniosku, że Julian mógł być piątą ofiarą psychopaty? I dlaczego nigdy nie znaleziono ciała dziecka?

Coraz więcej pytań pozostawało bez odpowiedzi, tworząc gęsty labirynt, w którym Madeline na próżno szukała nici Ariadny. Ale pewnie nie było tu nic specjalnego do zrozumienia. Lorenz nie myślał już logicznie, Sotomayor zaś był raczej przeciętnym policjantem, skoro nie awansował powyżej stopnia porucznika. Zajął się tą historią, ponieważ dostarczyła mu wielu emocji, gdy siedząc za biurkiem, tropił seryjnego mordercę, bezskutecznie starając się powiązać tamte sprawy z porwaniem Lorenza juniora.

Madeline zamyśliła się. A jeśli Królem Olch była Beatriz Muñoz? To nie było wcale takie nieprawdopodobne. Daty zabójstw się zgadzały, Madeline jednak nie dałaby rady nigdy zweryfikować tej hipotezy. Potem przypomniała sobie jedno z przypuszczeń Coutances'a i dodała do niego ostatnie informacje: może Król Olch zabił również Sotomayora? Nie, to niemożliwe... W tym równaniu jest za dużo niewiadomych! Mimo to uznała, że na tym etapie nie wolno jej rezygnować, i postanowiła zbadać sprawę głębiej.

Wzięła do ręki komórkę i znalazła w internecie artykuł z „Der Spiegel”, gdzie po raz pierwszy nazwano zabójcę Królem Olch. Wykorzystując translator Google’a i podstawy niemieckiego jeszcze ze szkoły, zaczęła tłumaczyć tekst. Artykuł zawierał głównie bardzo krótki wywiad z Karlem Doeplerem, byłym oficerem policji w Monachium. Człowiek ten najwyraźniej chętnie udzielał wywiadów, ponieważ często pojawiał się w mediach.

Przeglądając inne strony, Madeline trafiła na ciekawszy i podający więcej szczegółów artykuł w dzienniku „Die Welt”: był to wywiad z Doeplerem i jakimś profesorem germanistyki. Ambitna wymiana zdań, podczas której rozmówcy wyjaśniali wspólne punkty między *modus operandi* amerykańskiego zabójcy i znaczeniem postaci króla olch w folklorze niemieckim.

Król olch nie był wymysłem Goethego, ale jego ballada, napisana pod koniec XVIII wieku, przyczyniła się do zwiększenia popularności tej postaci. „Die Welt” zamieścił kilka wersów tego wymownego i wstrząsającego dzieła, ukazującego ojca z synkiem pędzących konno przez gęsty, ciemny las, którego władcą jest groźny duch – tytułowy król.

W balladzie przeplatają się dwa dialogi. W pierwszym ojciec stara się na próżno pocieszyć synka, który boi się leśnego ducha, a w drugim, znacznie bardziej niepokojącym, król olch przywołuje chłopca, chcąc zwabić go w pułapkę. Słowa strasznego króla są niby zachęcające, szybko jednak stają się drapieżne, groźne i bezlitosne:

*Kochany mój, urzekłeś mnie,
Więc chodź po dobroci, bo porwę cię!*

Widząc, że syna ogarnia panika, ojciec próbuje go ochronić i popędza konia, żeby jak najszybciej opuścić złowrogi las.

Ballada kończy się nieszczęśliwie:

*Rumak przyspiesza, co sił, co tchu,
Biegnie na przelaj, po trawie, mchu.
I oto światło: dom tuż-tuż.
Niestety! Dziecko nie żyje już!*

Tekst ballady był inspiracją dla różnych artystów – Schubert skomponował na przykład słynną pieśń – ale przede wszystkim, ze względu na wątki dotyczące agresji i porwania, stał się uniwersalnym punktem wyjścia analiz psychologicznych i psychiatrycznych w XX wieku. Zdaniem niektórych, ballada wyraźnie jest metaforą gwałtu, inni z kolei widzą w niej dwuznaczne odwzorowanie postaci ojca, raz jako obrońcy, a raz jako oprawcy.

Madeline czytała dalej. Rozmówcy podkreślali, że wszystkie ofiary Króla Olch znajdowano nad wodą, w pobliżu olch. Potem zaś zagłębiali się w wyjaśnienia bardziej związane z botaniką niż z policyjnym śledztwem.

Olcha – przypominał artykuł – jest drzewem rosnącym na wilgotnym podłożu, najczęściej na bagnach, terenach podmokłych, na brzegach rzek czy w zagajnikach, gdzie nigdy nie docierają promienie słońca. Z powodu wielkiej odporności na wilgoć olszyna nadaje się do produkcji pali do stawiania w wodzie oraz mebli, a także budowy pomostów i instrumentów muzycznych. Olcha jest również bardzo popularna w mitologiach. W Grecji była symbolem życia po śmierci. W kulturze celtyckiej druidzi uczynili z niej symbol zmartwychwstania. W Skandynawii strugano z olszyny magiczne pałeczki, a dym ze spalonego drewna ułatwiał wróżenie i czary. Jeszcze gdzie indziej olcha, której żywica ma kolor czerwony, podobny do krwi, była drzewem świętym i nie wolno było jej ścinać.

Co z tego wszystkiego wynikało? Jak połączyć tę bogatą symbolikę z motywacjami psychopaty? Autorzy artykułu bardzo uważali, żeby nie przedstawić żadnych jednoznacznych wniosków. Madeline zamknęła zakładki, mając wrażenie, że weszła o krok głębiej na wrogi, mroczny teren. Kraina Króla Olch nie była specjalnie gościnna.

Oszronione miasto

Wiem, że moje życie będzie cały czas podróżą po wzburzonym morzu.

Nicolas de Staël

1

Od siódmej rano Madeline stała przed wypożyczalnią FastCar, na skrzyżowaniu Gansevoort i Greenwich Street.

Myślała, że wynajęcie samochodu będzie w Stanach bardzo proste. Ponieważ jednak nie zrobiła rezerwacji online, musiała przebrnąć przez różne formalności, między innymi wypełniając mnóstwo druków na stojąco, w lodowatym pomieszczeniu, pod okiem niesympatycznego pracownika, niejakiego Mike'a, który zamiast jej pomóc, wolał gadać przez komórkę z kolegami. Nawet w Nowym Jorku czasy, gdy królowała zasada „klient nasz pan”, zdawały się już mijać.

Do wyboru miała jedynie małego ekologicznego sparka, SUV-a Subaru albo chevroleta silverado.

– Wezmę sparka – powiedziała Madeline.

Nie będę tłuc się po okolicy jakąś wielką landarą – pomyślała.

– Niestety, został już tylko pick-up – odparł Mike, sprawdzając coś w komputerze.

– Przecież przed chwilą mówił pan coś innego!

– Taa, niedokładnie spojrzałem – rzucił, gryząc końcówkę długopisu. – Te inne są zarezerwowane.

Madeline wręczyła mu z rezygnacją kartę kredytową. Teraz wzięłaby nawet ciężarówkę.

Z kluczykami w ręce wsiadła do chevroleta i przejechawszy dla wprawy kilka bocznych ulic, ruszyła tym mastodontem w kierunku drogi szybkiego ruchu przecinającej TriBeCę i łączącej Manhattan z New Jersey.

Jak na sobotę dwudziestego czwartego grudnia ruch był niewielki. W niecały kwadrans znalazła się po drugiej stronie rzeki i zaparkowała samochód w terminalu promów.

Nigdy do tej pory nie była w Hoboken. Kiedy wyszła z parkingu, zaskoczyło ją piękno pejzażu. Z nabrzeży Hudson rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Manhattan. Promienie słońca, odbijając się w drapaczach chmur, nadawały im wygląd jak z bajki. Światło podkreślało najdrobniejsze szczegóły, tak jak robił to w swoich hiperrealistycznych obrazach Richard Estes, gdy uwieczniał chwilę za pomocą gry bursztynowych refleksów.

Madeline przeszła około stu metrów pośród zieleni długą drewnianą promenadą, biegnącą naprzeciwko High Line i Greenwich Village. Widok był upajający. Wystarczyło popatrzeć na południe, żeby przed oczami przewinął się fragment historii Ameryki: szarozielona sylwetka – symbol spływającej na świat wolności, a następnie maleńka wyspa, przez którą przeszli przodkowie stu milionów mieszkańców tego kraju... Zwykle opanowane przez rowerzystów i biegaczy miejsce było tego ranka wyludnione z powodu arktycznego zimna.

Madeline przysiadła na ławeczce. Założyła kaptur, bo od rzeki wiała lodowata bryza, i wsunęła dłonie do kieszeni. Mróz był tak ostry, że aż kłuł w oczy. Na policzek spłynęła jej gorąca łza, ale nie ze smutku ani przygnębienia, wprost przeciwnie!

Choć było to okropne, perspektywa śledztwa w sprawie Króla Olch dodała jej wigoru. Oto iskra, na którą czekała od samego początku! Ta, która obudzi w niej instynkt łowczyni! Skonsternowana, musiała przyznać, że to była jej prawdziwa pasja. Co więcej, wiedziała o tym od zawsze.

Trudno uciec przed własną naturą. Na przykład, mimo pozorów, Gaspard Coutances był bardzo uczuciowy. Mizantrop głoszący, że nienawidzi ludzkości, tak naprawdę lubił ludzi i niewiele było mu trzeba, aby wzruszyć się historią ojca złamanego przez śmierć syna. Ona, Madeline, to co innego! Ona jest twarda, zaprawiona w polowaniach na grubego zwierza! W żyłach jej płynie czarna krew, pod czaszką kotłuje się strumień gorącej lawy! Tego nie da się opanować.

To co powiedziała Coutances'owi, nie było jednak kłamstwem. Ściganie zabójców zniszczyło jej życie, ale nie z powodów, które zazwyczaj się wskazuje. Ściganie zabójców niszczy, bo człowiek uświadamia sobie, że sam jest zabójcą i że to lubi. To właśnie naprawdę niepokoi. „Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem”⁹. Stara maksyma Nietzschego okazała się przerażająco prawdziwa! Tropicielel upodabnia się do tropionego. Ten wniosek zaprawia goryczą każde zwycięstwo. Nawet jeśli pokonało się zło, jego załączek wciąż w nas tkwi.

Madeline głęboko odetchnęła zimnym powietrzem, żeby się uspokoić. Musi zwolnić. Bądź realistką, moja droga, nie rozwiążesz sama zagadki, na której wyłożyli się najlepsi profilerzy w całym kraju – pomyślała. Chociaż... Trudno było nie zauważyć, że dostaje od losu

wyjatkowy prezent. Każdy inspektor policji marzy o rozwikłaniu takiej sprawy. Przy tym wszystko inne gaśnie: nie liczy się już sztuczne zapłodnienie ani spokojne życie z niemowlakiem w domu.

Zapach krwi, polowanie... tylko to jest ważne!

– Cześć, Madeline!

Podskoczyła, gdy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń.

Zamyślona, nie usłyszała kroków nadchodzącego Dominica Wu.

2

Gasparda wyrwał ze snu dźwięk komórki. Irytujący rytm samby. Miał wrażenie, że otwiera oczy w samym środku karnawału w Rio. Zanim zdążył sięgnąć po smartfona, już włączyła się automatyczna sekretarka. Wstał, odsłonił okna i wybrał numer bez odsłuchiwania nagranej wiadomości. Okazało się, że telefonowała do niego Isabella Rodrigues, sympatyczna kuzynka Adriana Sotomayora.

– Przepraszam, ale już jestem spóźniona do pracy! – oznajmiła od razu.

Gaspard słyszał w tle miejskie odgłosy *made in New York*: szum przejeżdżających samochodów, nerwowy ruch uliczny, syreny policyjne...

– Czy dziś dzieci nie mają przypadkiem wolnego? – spytał.

– Boże Narodzenie jest jutro! – odparła piękna Latynoska.

– Gdzie pani pracuje?

– Jestem kierowniczką sklepu Adele's Cupcakes przy Bleecker Street. Dzisiaj mamy największy ruch w roku.

Isabella dzwoniła zgodnie z obietnicą, ponieważ wypytała męża o wizytę Seana Lorenza.

– Być może André będzie miał coś panu do powiedzenia, dwie lub trzy rzeczy – powiedziała. – Proszę do niego wpaść, ale przed dziesiątą, bo potem odprowadza dzieci do mojej mamy. Niech się przez pana nie spóźnią!

Gaspard chciał jeszcze o coś zapytać, ona jednak już się rozłączyła. Kiedy odkładał komórkę, zobaczył na ekranie SMS-a od Madeline:

Muszę sprawdzić kilka rzeczy. Spotkajmy się w hotelu w południe.
M.

Najpierw wiadomość ta go zirytowała, ale potem pomyślał, że przecież sam liczył na taką inicjatywę Madeline. Poza tym nie miał czasu na głupstwa, jeśli chciał złapać męża Isabelli przed jego wyjściem z domu. Rzucił okiem na zegarek. Szybki prysznic, machnięcie grzebieniem i kilka kropel Pour Un Homme z 1992 roku.

Wyszedł na ulicę i ruszył w kierunku Franklin Street, gdzie kupił bilet i wsiadł do pociągu linii numer jeden. Na stacji Columbus Circle, na południowo-zachodnim krańcu Central Parku, przesiadł się i przejechał kolejne dziesięć stacji do największego przystanku metra w Harlemie, tego przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Tam właśnie w latach dziewięćdziesiątych Pirotechnicy pokryli graffiti dziesiątki wagonów metra. Tam też Beatriz Muñoz zdecydowała się odebrać sobie życie.

Po niecałym kwadransie szybkiego marszu dotarł na Bilberry Street. Bardzo podobała mu się ta ulica. Mimo mrozu zalana słońcem, zachowywała tradycyjną atmosferą wyidealizowanego Nowego Jorku – tego, za którym się tęskni. Przed numerem dwunastym, gdzie mieszkała Isabella, ogrodnik podcinał gałęzie jednego z kasztanowców. Drzewo rzucało na chodnik drżący cień.

– Proszę wejść i czuć się jak u siebie w domu! – przywitał go André Langlois, stając w otwartych drzwiach.

Trójka dzieci siedziała przy stole tak samo jak podczas poprzedniej wizyty Gasparda. Ale tym razem przed nimi stało suto śniadanie: granola, twarożek, ananas i żółte kiwi. Radosne śmiechy unoszące się nad stołem wprowadzały ciepłą, rodzinną atmosferę. W głębi, z iPada ustawionego na stację radiową WQXR, rozbrzmiewały dźwięki *Walca kwiatów z Dziadka do orzechów*. W tej rodzinie najwidoczniej wszystko mogło być pretekstem do zaznajamiania dzieci z kulturą.

– A więc moja żona częstuje pana egg nogiem, gdy ja haruję w biurze! – zażartował André, podając Gaspardowi filiżankę z kawą.

André Langlois, o atletycznej budowie ciała i ciemnej skórze, z przerwą między jedynekami, budził sympatię. Był młodszy od żony i miał na sobie spodnie od dresu i T-shirt z napisem popierającym kandydaturę Tada Copelanda na prezydenta.

Gaspard opowiedział to co poprzedniego dnia Isabelli, przedstawiając się jako pisarz, który podczas pracy nad biografią Seana Lorenza natrafił na przeszkodę w postaci niewyjaśnionej śmierci jego syna.

Gospodarz słuchał go, obierając pomarańczę dla najmłodszego dziecka, siedzącego na wysokim krześle.

– Widziałem Lorenza jeden jedyny raz, ale o tym chyba pan już wie... – powiedział.

Gaspard kiwnął głową.

– Szczerze mówiąc, żona mi o nim wcześniej opowiadała – dodał André. – Wiedziałem, że kiedyś, na długo przed naszym ślubem, mieli romans, więc nastawiony byłem do niego trochę nieufnie.

– Gdy jednak zobaczył go pan, zmienił pan zdanie...

André przytaknął.

– Gdy zaczął mówić o swoim synu, zrobiło mi się go naprawdę żal. Był w kompletnej rozsypce, u kresu sił, wzrok miał szalony. Wyglądał bardziej na bezdomnego nędzarza niż na uwodzicielskiego donzuana.

Wręczył kilka cząstek pomarańczy najmłodszemu synkowi, a starszym chłopcom kazał umyć zęby i przygotować lunch, który mieli zabrać ze sobą do babci.

– Na początku nie za bardzo rozumiałem, o co mu chodzi, kiedy mówił o swoim związku z Adrianem, ale okazało się, że Isabella pozwoiliła mu przeszukać dom.

André zaczął sprzątać ze stołu i Gaspard machinalnie do niego dołączył, wkładając brudne naczynia do zlewu.

– Nie miałem nic przeciwko temu, w końcu to był spadek mojej żony – zapewnił André. – Postępowanie spadkowe ciągnęło się dłużej, niż przewidywaliśmy... Poradziłem Isabelli, żeby wzięła dzieci i wyszła z domu, a ja przyjąłem Lorenza, w ten sposób mogłem go obserwować.

– Isabella mówiła mi, że zabrał jakieś dokumenty.

Tak jak poprzedniego dnia, Gaspardowi wydawało się przez chwilę, że dowie się czegoś więcej, ale André szybko rozwiał tę nadzieję.

– To prawda – potwierdził, wyjmując z chromowanego kosza na śmieci plastikową torbę wypełnioną odpadkami. – Ale nie umiem panu opisać, co to było. Pokój Adriana był zavalony różnymi papierami i dokumentami.

Zawiązał torbę ze śmieciami i otworzył drzwi wyjściowe do ogrodu, żeby wrzucić ją do pojemnika stojącego na zewnątrz.

– Sean Lorenz zabrał jednak nie tylko dokumenty... – powiedział, idąc w dół po schodkach.

Gaspard szedł za nim.

– Lorenz spytał, czy może rzucić okiem na samochód Adriana, dodge’a chargera, który stał zaparkowany w alejce już ponad rok.

André wskazał brodą na ślepy zaułek prostopadły do ulicy.

– Sprzedałem ten samochód w zeszłym roku – wyjaśnił. – To była fajna bryka, ale od śmierci Adriana nikt nią nie jeździł. Kiedy Sean nas odwiedził, akumulator był rozładowany. Obejrzał dodge’a bardzo dokładnie. Myślę, że sam nie wiedział, czego szuka. Potem, jakby nagle coś wpadło mu do głowy, poszedł do sklepu przy Sto Trzydziestej Pierwszej Ulicy. Pięć minut później wrócił z rolką wielkich plastikowych toreb na śmieci. Otworzył bagażnik dodge’a, zerwał dywanik, wsadził go do jednej z plastikowych toreb i odszedł bez słowa!

– Tata! Tata! Sydney mnie bije! – krzyknął jeden z chłopców, wybiegając z domu i rzucając się ojcu na szyję.

– Pozwolił mu pan zrobić to wszystko i o nic pan nie zapytał? – zdziwił się Gaspard.

– Trudno mi było zaprotestować – odparł André, pocieszając jednocześnie synka. – Lorenz był jak nawiedzony! Wyglądał jak kosmita z odległej galaktyki! Tragedia, jaką przeżył, odbijała się na jego twarzy.

Chłopczyk przestał płakać i najwyraźniej bardzo chciał wrócić, żeby dalej bawić się z bratem.

André pieszczotliwym gestem potargał mu włosy.

– Nie powinno się nigdy przeżyć śmierci własnego dziecka – wyszeptał.

Dandys, zawsze w doskonale skrojonych garniturach, nosił krawaty z dzianiny, a w kieszonce na piersi jedwabne poszetki. Tego ranka miał na nosie ciemne okulary. Jego pełna elegancji sylwetka prezentowała się znakomicie na tle drapaczy chmur, których metaliczny błękit miał ten sam odcień co jego kaszmirowy płaszcz.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Dominicu.

– Nie mam zbyt wiele czasu, Madeline. Hans czeka na mnie w samochodzie z dziewczynkami. Dziś nawet piasek w piaskownicy jest twardy jak kamień.

Usiadł obok niej na ławce, blisko, ale nie za blisko. Miał na rękach czarne rękawiczki z delikatnej skóry. Ostrożnie wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza kartkę złożoną na czworo.

– Poszukałem tego, o co mnie prosiłaś. Jeśli chodzi o zabicie Adriana Sotomayora, wszystko wygląda normalnie.

– To znaczy?

– Jak kompletny idiota, nie mając przy sobie broni, wtrącił się w kłótnię między dwoma dealerami. Wynikła z tego poważna awantura i w rezultacie wylądował z podejrzeniem gardłem. Koniec kropka.

– Jak nazywał się ten dealer?

– Nestor Mendoza, dwadzieścia dwa lata. Taki łobuz z El Barrio. Porywczy, impulsywny, dopiero co wyszedł z pudła. Siedział trzy lata w Rikers.

– Dlaczego go nie zatrzymano?

Dominic wzruszył ramionami.

– Bo uciekł, a co sobie myślałaś?! Ma jakąś rodzinę w San Antonio, ale nie daliśmy rady, po prostu zniknął.

– Wydaje mi się, że jeśli w grę wchodzi zamordowanie policjanta...

– I tak w końcu go złapiemy podczas kontroli drogowej... Albo znajdziemy jego zwłoki w Małej Hawanie po jakiejś rozróbie...

Powiedz mi lepiej, dlaczego tak bardzo cię interesuje śmierć Sotomayora.

Dominic Wu był agentem doświadczonym, rozważnym. Madeline wiedziała, że jeśli udzieli jej jakichkolwiek informacji, będzie liczył na coś w zamian. Była uznanym fachowcem, więc podejrzewał, że wypatrzyła coś interesującego, i on jako pierwszy z tego skorzysta.

– Mam przeczucie, że śmierć Sotomayora wiąże się z inną sprawą – oznajmiła.

– Z jaką?

– Czekam, aż ty mi to powiesz!

Dominic Wu nie fatygowałby się tutaj, gdyby miał tylko jednego asa w rękawie.

– Myślisz o jego bracie?

O jego bracie?! O jakim bracie?! – Madeline poczuła, że poci się z wrażenia.

– Gadaj wreszcie, co wiesz! – zirytowała się.

Dominic Wu poprawił na nosie okulary w srebrnych oprawkach. Każdy jego gest, każda zmiana miejsca wydawały się podlegać jakiejś tajemniczej, przygotowanej wcześniej choreografii.

– Kiedy zająłem się sprawą Sotomayora, odkryłem coś dziwnego – oświadczył. – Sotomayor miał młodszego brata, Reubena, który był wykładowcą historii na Uniwersytecie Florydy.

– W takim razie to chyba brat przyrodni?

– Nie mam pojęcia. Tak czy siak, w dwa tysiące jedenastym Reubena Sotomayora zamordowano w parku w Gainesville, gdzie zazwyczaj biegał.

– W jaki sposób zginął?

– W najokropniejszy: pobito go na śmierć, zmasakrowano kijem baseballowym.

Wu rozłożył kartkę, którą trzymał w dłoniach.

– Zatrzymany został bezdomny włóczęga, który spał czasem w tym parku, niejaki Yiannis Perahia. Nie za bardzo się bronił. To był chory psychicznie facet, od lat przenoszony ze szpitala do przytułku i z powrotem. Można powiedzieć, że Perahia się przyznał, i z rozpędu skazano go na trzydzieści lat więzienia. Krótko mówiąc, sprawa ponura, ale błyskawicznie zamknięta... Tyle że w zeszłym roku kij w mrowisko włożyła organizacja Transparency Project.

– To ci, którzy walczą z błędami sądów?

– Taaa... Kolejny raz podważyli zasadność naszych procedur, bo znaleźli sędziego, który zgodził się wydać nakaz ponownego wykonania testu DNA.

– Jakie było uzasadnienie?

– Takie samo jak zawsze: osoba słaba psychicznie, wymuszone zeznania i postęp nauki pozwalający zbadać nawet małe fragmenty DNA, wcześniej lekceważone.

Madeline pokręciła głową.

– Jaki znowu postęp? W ciągu czterech lat?

– Tak, to bzdura. Chociaż niezupełnie. Te nowe techniki amplifikacji DNA umożliwiają...

– Wiem! – przerwała mu.

– W skrócie: wykonano nowe testy i bezdomny został uniewinniony.

Madeline zrozumiała, że Wu specjalnie stopniuje napięcie.

– Uniewinniony? Na jakiej podstawie?

– Ponieważ na dresie Reubena znaleziono ślady DNA, których wcześniej nie wykryto.

– I to DNA było w bazie danych, czy tak?

– Właśnie. Okazało się, że było to DNA policjanta: Adriana Sotomayora.

Minęła dłuższa chwila, zanim Madeline przetrawiła tę informację.

– Jaki wyciągnięto z tego wniosek? Że to Sotomayor wykończył swojego brata?

– Być może, choć niekoniecznie. Te ślady mogły pozostać po kontakcie braci w zupełnie innym momencie. Trudno określić datę.

– Wiesz, czy utrzymywali kontakty?

– Nie. A ponieważ Adriano wkrótce zginął, śledztwa nie kontynuowano.

– Więc to koniec?

– Niestety, tak. Ale ty też musisz mi coś powiedzieć, Maddie! Co to za sprawa, którą się zajmujesz?

Madeline nie dała się podejść. Pokręciła głową. Nie ma mowy, żeby w tej chwili mówić mu o Lorenzie. O Królu Olch nie wspominając.

Elegancki Wu nie starał się nawet ukryć, że sprawiła mu zawód. Podniósł się z westchnieniem.

– Badaj dalej sprawę Sotomayora! – poradziła mu.

Wu poprawił trencz i próbował się uśmiechnąć. Każdy jego gest wyglądał jak na filmie w zwolnionym tempie. Agent pożegnał się szybkim ruchem ręki i odszedł, mając przed sobą słońce, a za sobą cień melodii *Yumeji's Theme*.

Na skraju piekła

Każdemu człowiekowi wydaje się, że tkwi w piekle sam, i właśnie ta myśl jest piekłem¹⁰.

René Girard

1

W restauracji cudownie pachniało chlebem kukurydzianym.

Gaspard chciał uciec przed zimnem i wszedł do Blue Peacock, jednej ze świątyń *soul food* w Harlemie. W ciągu tygodnia lokal otwierał się dopiero w porze lunchu, ale w weekend już od dziesiątej można było tu zjeść obfity brunch ze smażonym kurczakiem, słodkimi kartoflami z cynamonem i francuskimi tostami z karmelem.

Usiadł blisko wejścia na jednym ze stołków przy barze w kształcie podkowy. W knajpie było wesoło, panowała prawie rodzinna atmosfera. Klienci byli rozmaici: turyści, miejscowi hipsterzy, ładne dziewczyny, które sączyły koktajle o poetyckich nazwach, i starzy Murzyni ubrani jak Robert Johnson czy Thelonious Monk.

Gaspard przywołał barmana. Miał wielką ochotę na whisky, ale zamówił czerwoną herbatę organiczną, która okazała się obrzydliwa. Pociężył się pączkiem nadziewanym bananem. Gdy poczuł się syty, mózg jakby mu się odetkał. Najpierw przypomniał sobie o tym, co powiedział mu André Langlois. Dlaczego Sean Lorenz zerwał

wykładzinę w starym samochodzie Adriana Sotomayora? I do czego mu ona była potrzebna?

Właściwie nie było wielu odpowiedzi, a jedna nawet się narzucała: może Lorenz chciał zrobić analizę włókien tej wykładziny? Czego jednak szukał? Niewątpliwie krwi albo jakiegoś innego materiału genetycznego.

Zmrużył oczy. Nagle ujrzał zupełnie inną wersję tej historii niż tę, którą sobie wyobraził i w którą bardzo chciał uwierzyć. Oto Sean Lorenz stara się skontaktować z Sotomayorem nie po to, żeby prosić go o pomoc, ale ponieważ podejrzewa dawnego przyjaciela o współudział w porwaniu Juliana... Szalona hipoteza! A jeśli Sotomayor był współnikiem Beatriz Muñoz? Czy taki scenariusz w ogóle jest możliwy?

Przed oczami przewinęły mu się – tak jak zdjęcia oglądane przez reżysera pod koniec dnia pracy – następujące sceny: Beatriz prowadzi furgonetkę, z tyłu siedzi Julian; ręka chłopca cała zakrwawiona po obcięciu palca; furgonetka wjeżdża na nabrzeże Newtown Creek i staje obok dodge'a chargera; Sotomayor wysiada z auta i pomaga Muñoz włożyć dziecko do swojego bagażnika; zabawka małego, poplamiona krwią, leży zapomniana na chodniku...

Zamrugał. Wizja zniknęła. Zanim będzie wymyślał filmy, musi dysponować dowodami. Rozważył wszystko pod jeszcze innym kątem. Sean był cywilem, nie miał nic wspólnego z policją. Aby poddać ekspertyzie kryminalistycznej tę wykładzinę, musiał znaleźć jakieś prywatne laboratorium. Gaspard zakrył twarz dłońmi. Skup się, skup! – nakazał sobie w duchu. Sean odwiedził Langlois dwudziestego drugiego grudnia, w przeddzień swojej śmierci. Jeśli poszedł do jakiegoś laboratorium, z pewnością było to następnego ranka. W tym momencie Gasparda olśniło: przypomniał sobie, że pod datą

dwudziestego trzeciego grudnia w notesie Seana było zapisane spotkanie z jakimś tajemniczym doktorem Stockhausenem!

Wyciągnął komórkę, włączył Google'a, swojego nowego najlepszego przyjaciela, i wpisał do wyszukiwarki kombinację haseł: „Manhattan”, „laboratorium”, „DNA”, „Stockhausen”... W kilka sekund znalazł to, czego szukał: adres w Upper East Side, laboratorium hematologii kryminalistycznej Pelletier & Stockhausen.

Obejrzał ich stronę internetową. Było to laboratorium specjalizujące się w „analizach genetycznych wykorzystywanych do identyfikacji ludzi”. Zespół oficjalnie współpracował z FBI, sądami i Departamentem Sprawiedliwości oraz regularnie wykonywał ekspertyzy dla oficerów śledczych podczas dochodzeń lub dla biegłych w czasie postępowań karnych. Laboratorium badało ślady biologiczne na miejscu przestępstwa i pomagało w identyfikacji. Prywatnie ludzie zwracali się tu o pomoc przede wszystkim w sprawach o ustalenie ojcostwa. W internecie można było przeczytać biografie założycieli tej instytucji: Éliane Pelletier – zajmującej w przeszłości stanowisko głównego farmaceuty w szpitalu Saint-Luc w Montrealu – i Dwighta Stockhausena, biologa, który doktoryzował się na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa.

Gaspard zadzwonił do laboratorium i udało mu się dotrzeć aż do sekretariatu Stockhausena. Po raz kolejny przedstawił się jako pisarz pracujący nad biografią malarza Seana Lorenza i wyjaśnił, że pragnie spotkać się z doktorem Stockhausenem. Sekretarka poradziła mu napisać maila i wyłożyć sprawę na piśmie. Gaspard nalegał, żeby zanotowała jego numer telefonu i osobiście przekazała go doktorowi. Kobieta obiecała to zrobić i rozłączyła się niemal natychmiast.

– Mogę sobie gadać... – Gaspard westchnął.

W tej samej chwili dostał SMS-a od Madeline, która pytała o dane Isabelli, kuzynki Sotomayora. I tym razem oparł się chęci

zadzwonienia do niej i dowiedzenia się czegoś więcej. Wysłał tylko numer, tak jak prosiła.

Ponieważ herbata zdążyła wystygnać, już podnosił rękę, żeby zamówić następną, ale w połowie gestu zamarł. Przez ponad minutę patrzył na setki butelek, które ozdabiały ścianę za plecami barmana. Rum, koniak, dzin, benedyktyńska, chartreuse. Intensywne kolory odbijające światło jak diamenty hipnotyzowały go. Ogniste likiery i alkohole o różnych smakach błyszczące w szklanych butelkach. Armaniak, calvados, absynt, curaçao, wermut, cointreau.

Przez chwilę miał wrażenie, że kieliszek alkoholu pomoże mu myśleć. Na krótką metę z pewnością tak, ale jeśli teraz znów zacząłby pić i zszedł z ascetycznej i uczciwej drogi działania, śledztwo bardzo by na tym straciło. Niemniej bursztynowe refleksy w butelce whisky miały niezwykłą siłę przyciągania. Poczuł, że słabnie. Niebezpieczeństwo, że głód dopadnie człowieka w najmniej spodziewanym momencie, jest normalnym elementem odwyku. W żołądku otworzyła mu się przepaść. Na piersi czuł ciężar, skronie mu pulsowały, cały był zlany potem.

Znał smak płynu z każdej butelki, znał każdą markę i etykietkę. Tu blend japoński, łagodny, oleisty, tam szkocka single malt o lekkim aromacie kory drzewnej, ostry smak irlandzkiej whisky, miodowy starego Burbona i do tego subtelna nuta pomarańczy i brzoskwini w chivasio.

Tak jak poprzedniego dnia, Gaspard przełknął ślinę i roztarł ramiona i szyję, żeby zniknęły dreszcze. Tym razem jednak burza nie odeszła tak szybko, jak przyszła. Nie panował już nad sobą. Mimo ogromnego wysiłku był o krok od kapitulacji.

Wtedy zadzwonił telefon. Na ekranie pojawił się nieznany numer.
– Tak? – spytał, mając wrażenie, że głos staje mu w gardle.

– Pan Coutances? Tu Dwight Stockhausen. Ma pan chwilę tuż przed lunchem?

2

Madeline tak raziło światło, że musiała opuścić osłonę przeciwsłoneczną nad kierownicą.

Blask ją oślepił, tak że nie widziała już prawie nic. Od dwóch godzin pędziła pick-upem po autostradzie w kierunku Long Island. Krajobraz za oknem się zmieniał – raz był smutny, innym razem zniewalająco piękny. Krzykliwa estetyka wystawnych rezydencji milionerów ustępowała nadmorskim kurortom jakby wyjętym z prospektów z lat pięćdziesiątych. Czasem też zdarzały się pejzaże apokaliptyczne: bezkresne białe plaże pod jasnym niebem. Minąwszy Westhampton, przejeżdżała wyłącznie przez długie miasteczka: Southampton, Bridgehampton – ciągnące się jedno za drugim nad Atlantykiem.

Po jakichś dwudziestu kilometrach na zakręcie piaszczystej drogi GPS zaczął się jękać. Madeline myślała, że się zgubiła, dlatego rozejrzała się wokoło, szukając miejsca do zawrócenia. Wtedy zauważyła dom spokojnej starości. Pięćdziesiąt metrów od plaży, pośród sosen i brzoź, stała wielka drewniana budowla.

Zatrzymała się pod drzewami i zatrzasnęła za sobą drzwi pick-upa. Miała wrażenie, że wkracza na teren dziewiczy, bezludny, co natychmiast ją oczarowało. Pod mlecznym niebem szalał wiatr, przesypując piasek z jednej wydmy na drugą i nasycając powietrze zapachem jodu i soli. Caspar David Friedrich w uwspółcześnionej wersji Edwarda Hoppera.

Weszła po schodach. Nie było dzwonka ani żadnego automatycznego zamka. Tylko odrapane z farby drzwi chronione podartą moskitierą, które pchnięte jęknęły. Madeline znalazła się w pustym, wilgotnym holu.

– Jest tam kto?!

Najpierw odpowiedział jej wiatr, który groźnie szarpał oknami, jakby miał je zaraz wyrwać.

Potem u szczytu schodów pojawił się jakiś rudy facet z długimi włosami. Miał na sobie brudny fartuch pielęgniarza, a w ręce trzymał puszkę napoju Dr Pepper.

– Dzień dobry – odezwała się Madeline. – Pewnie pomyliłam adres...

– Nie, nie! – zapewnił ją pielęgniarz, idąc w dół po schodach. – Jest pani w domu spokojnej starości Eilenroc.

– Wygląda mi na opuszczony.

Facet miał przerażającą twarz z bliznami i śladami po krostach, ale spojrzenie jego błękitnych oczu było zadziwiająco łagodne.

– Nazywam się Horace – przedstawił się, zbierając gumką włosy w kucyk.

– Madeline Greene.

Odstawił puszkę z napojem na deskę, która udawała ladę recepcyjną.

– Większość pensjonariuszy wyjechała – oznajmił. – Dom definitywnie kończy działalność pod koniec lutego.

– Tak?

– Budynek zostanie zburzony, a na jego miejscu powstanie luksusowy hotel.

– Szkoda!

Horace się skrzywił.

– Mafia z Wall Street splądrowała całą okolicę... co ja mówię... cały kraj! Jeśli wybiorą teraz tego mięczaka Tada Copelanda, będzie jeszcze gorzej.

Madeline postanowiła nie rozmawiać o polityce.

– Przyjechałam tu, żeby zobaczyć się z jedną z pensjonariuszek, Antonellą Boninsegną. Czy ona tu jest?

– Nella? Tak, z pewnością wyjedzie jako jedna z ostatnich.

Spojrzał na zegarek.

– Och, zapomniałem o jej śniadaniu! O tej godzinie znajdzie ją pani na werandzie.

Wskazał drugi koniec holu.

– Weranda jest tuż za jadalnią. Czy przynieść coś pani do picia?

– Chętnie, może coca-colę?

– Zero?

– Nie, prawdziwą! Jeszcze mam zapas. – Mówiąc to, pokazała na pasek w džinsach.

– Nie to miałem na myśli. – Pielęgniarz uśmiechnął się i zniknął w kuchni.

Wielka świetlica na parterze przypominała salon w prywatnym domu. Panował tam nastrój jak w pensjonatach „z widokiem na morze”, tak popularnych w Bénodet czy w Whitstable. Belki na suficie, pojedyncze stoliki zrobione z drewna wyrzuconego na brzeg i przykryte ceratowymi obrusami we wzory z muszelek. Do tego oczywiście dekoracja w stylu morskim, tak modnym w latach dziewięćdziesiątych, zwłaszcza w piśmie „Art & Décoration”: lampy z okrągłymi kloszami, zakurzone żaglowce wetknięte w butelki, mosiężne busole i sekstanty, wypchana ryba miecznik i akwaforty przedstawiające sceny połowów z czasów Moby Dicka...

Wchodząc na werandę, o której szyby uderzał wiatr, Madeline miała wrażenie, że znalazła się na pokładzie trójmasztowca podczas

burzy na morzu. Zawilgocone ściany, przeciekający dach – statek najpewniej za chwilę zatonie.

Nella Boninsegna siedziała przy stoliku w kącie. Była to wątpa staruszka z pomarszczoną twarzą myszy i wielkimi oczami, które błyszczały zza szkieł okularów grubych jak denka. Miała na sobie znoszoną ciemną sukienkę z okrągłym kołnierzykiem. Kolana przykryła pledem w szkocką kratę i czytała grubą powieść pod tytułem *Miasto, które nigdy nie śpi* Arthura Costello.

– Dzień dobry pani!

– Dzień dobry! – odpowiedziała starsza kobieta, podnosząc oczy znad książki.

– Dobra ta powieść?

– Jedna z moich ulubionych... Czytam ją już drugi raz. Szkoda, że jej autor przestał pisać.

– Umarł?

– Nie, ale ma depresję. Stracił dzieci w wypadku samochodowym. Czy przysłała pani zrobić mi zastrzyk?

– Nie, proszę pani. Nazywam się Madeline Greene i prowadzę śledztwo...

– A przede wszystkim jest pani Angielką!

– Tak, to prawda. Skąd pani wie?

– Akcent, moja droga! Manchester, czyż nie?

Madeline skinęła głową. Zwykle irytowały ją takie komentarze, ale w głosie starszej pani nie było złości.

– Mój mąż był Anglikiem – powiedziała Nella. – Pochodził z Prestwich.

– To pewnie lubił piłkę nożną.

– Żył tylko dla Manchester United z lat ich świetności.

– Czy grali wtedy Ryan Giggs i Éric Cantona?

Staruszka uśmiechnęła się figlarnie.

– Raczej Bobby Charlton i George Best!

Madeline spoważniała.

– Chciałam się z panią zobaczyć, bo prowadzę śledztwo w pewnej sprawie... Chodzi o porwanie i morderstwo syna Seana Lorenza. Czy to pani coś mówi?

– Seana Lorenza, tego malarza? Oczywiście! Czy pani wie, że bardzo niedaleko stąd mieszkał Jackson Pollock? Zginął w Springs, dziesięć kilometrów stąd, w wypadku samochodowym. Jechał z kochanką kabrioletem Oldsmobile. Prowadził kompletnie pijany i...

– Znam tę historię – przerwała jej Madeline. – Ale to było w latach pięćdziesiątych. Sean Lorenz zmarł niedawno, był malarzem współczesnym.

– Myśli pani, że już zgłupiałam?

– Absolutnie nie! Lorenz przyjaźnił się z jednym z pani dawnych uczniów, Adrianem Sotomayorem. Pamięta go pani?

– Ach, mały Adriano... – wyszeptała Nella Boninsegna i jej twarz nagle zakrzepła, jakby to wspomnienie wymiotło z niej wesołość i dobry humor.

– Czy to pani zawiadomiła opiekę społeczną hrabstwa, że jego ojciec Ernesto Sotomayor stosuje przemoc domową?

– Tak, to było w połowie lat siedemdziesiątych.

– Ernesto często bił syna?

– Bił? To zbyt łagodne określenie. Ernesto był potworem, katem...

Nella zamilkła.

– Znęcał się nad synem na wszelkie możliwe sposoby – odezwała się po chwili głucho. – Wpychał mu głowę do klozetu, bił pasem, pięściami, przypalał papierosami. Chłopak musiał przez wiele godzin stać nieruchomo z podniesionymi rękami... Kiedy indziej kazał mu chodzić po potłuczonym szkle... to tylko kilka przykładów.

– Dlaczego to robił?

– Wśród ludzi jest bardzo dużo potworów i sadystów, zawsze tak było.

– A jakim chłopcem był Adriano?

– Miłe, smutne dziecko, miał trudności ze skupieniem się. Często wzrok uciekał mu gdzieś w dal i wtedy było wiadomo, że jest zupełnie gdzie indziej, bardzo daleko od nas... To zwróciło moją uwagę. Domyśliłam się, że ma problemy w domu, zanim jeszcze odkryłam ślady przemocy na jego ciele.

– Czy w końcu coś pani powiedział?

– Tak, trochę... Ojciec bił go bez powodu. Kary mogły trwać wiele godzin, a najczęściej zamykał go pod pokładem swojego kutra.

– Matka udawała, że tego nie widzi?

Stara nauczycielka zmrużyła oczy.

– Matka... Tak, można tak ją nazwać. Jak ona miała na imię? Bo zapomniałam. Ach, Bianca...

– Ona w końcu odeszła od nich, prawda?

Nella wyciągnęła z kieszeni płócienną chustkę do nosa i wytarła szkła. Ponieważ była siwa, a okulary były w stylu browline, wyglądała w nich jak pułkownik Sanders, założyciel KFC.

– Pewnie ona również obrywała? – zasugerowała Madeline.

– Uwaga! – zakrzyknął Horace, stawiając na stoliku tacę z puszką coca-coli, czajniczkiem herbaty i dwoma bajglami z łososiem, cebulą, kaparami i twarogiem.

Nella zaproponowała Madeline, żeby podzieliły się posiłkiem.

– Bajgle nie są tak dobre jak Russ and Daughters, ale są niezłe – powiedziała i ugryzła łakomie kawałek swojej kanapki.

Madeline zrobiła to samo i popiła colą.

– Podobno Adriano miał brata! – odezwała się po chwili.

Staruszka zmarszczyła brwi.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Jestem tego pewna. Nazywał się Reuben. Był młodszy od niego o siedem lat.

Nella zamyśliła się.

– Kiedy Bianca odeszła z domu, krążyły plotki, że była w ciąży z kimś innym, nie z Ernestem. Ale w małych miasteczkach ludzie zawsze plotkują.

– Nie wierzyła pani w to?

– Może Bianca była w ciąży, ale jeśli tak, to na pewno z Ernestem. Była ładna, żaden jednak mężczyzna z Tibberton nie chciałby się narazić takiemu furiatowi, jakim był jej mąż.

Madeline czuła, że stara nauczycielka próbuje coś przed nią zataić.

– Dlaczego porzuciła syna? – spytała.

Nella wzruszyła ramionami na znak, że nie wie. Znow podniosła do ust bajgla i ugryzła kawałek. Po chwili przypomniała sobie to, o co chciała od początku zapytać Madeline.

– Jak pani się o tym wszystkim dowiedziała? I jak mnie pani tu znalazła?

– Dzięki Isabelli Rodrigues – odparła Madeline.

Starsza pani potrzebowała dłuższej chwili, żeby przypomnieć sobie kuzynkę Adriana.

– Ach, mała Isabella, no tak... Czasem mnie odwiedzała. Dobra dziewczyna, tak jak pani.

– Proszę nie ufać pozorom. Ja wcale nie jestem dobra... – zażartowała Madeline.

Nella odpowiedziała jej uśmiechem.

– Oczywiście, że jest pani dobra! – powtórzyła.

– A Adriano... Czy widziała go pani potem?

– Nie, ale dużo o nim myślałam. Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku. Ma pani jakieś wiadomości?

Madeline się zawahała. Nie ma sensu przygnębiać starszej pani ponurymi nowinami.

– O ile wiem, wszystko w porządku, proszę się nie martwić.

– Może jest pani dobrą dziewczyną, ale kłamczuchą! – stara nauczycielka nie dała się zwieść.

– Ma pani rację, Nello! Adriano Sotomayor nie żyje od prawie dwóch lat.

– Na pewno łączy się to w jakiś sposób z tym malarzem, inaczej nie składałaby mi pani wizyty...

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem, jaki jest tu związek... – powiedziała Madeline i żeby zmienić smutny temat, zapytała o coś innego: – Pod koniec życia jego ojciec chorował na raka krtani. Podobno Adriano wziął go wówczas do siebie. Czy wydaje się to pani możliwe?

Nella wytrzeszczyła oczy.

– Jeśli to prawda, jestem zaskoczona. Zdziwiłoby mnie, gdyby Adriano nagle wykazał się chrześcijańskim miłosierdziem.

– Co pani przez to rozumie? – spytała Madeline, pomagając staruszce nalać herbatę do filiżanki.

– Wydaje mi się, że nie można wyobrazić sobie, czym jest tortura, jeśli się jej samemu nie przeżyło. To, co wycierpiał Adriano, z pewnością zostawiło nieusuwalne ślady, straszny uraz. Był człowiekiem niewyobrażalnie skrzywdzonym psychicznie.

– Do czego pani zmierza? – zniecierpliwiła się Madeline.

– Myślę, że w pewnym momencie ten ból, ta nienawiść, które narastają przez lata, wymykają się spod kontroli. W ten czy inny sposób ofiara atakuje siebie... albo innych.

Dawna nauczycielka nie chciała jej powiedzieć nic konkretnego, więc Madeline uznała, że zada jej jeszcze jedno, ostatnie pytanie:

– Czy kojarzy się pani z czymś postacią Króla Olch?

– Nie. To jakaś firma produkująca meble ogrodowe?

Madeline wstała.

– Bardzo pani dziękuję za pomoc, Nelli.

Podobała jej się ta kobieta; taką babcię chciałyby mieć. Żegnając się z nią, spytała o ostatnią rzecz, która dręczyła ją od samego początku.

– Ten pielęgniarz...

– Horace?

– Tak, Horace. Czy on dobrze panią traktuje? Wydaje mi się jakiś dziwny...

– Pozory myślą, w każdym razie w jego przypadku. To dobry chłopiec, może być pani spokojna. On również nie miał łatwego życia.

Weranda zatrzeszczała niepokojąco po silniejszym niż poprzednie uderzeniem wiatru, jakby podkreślała słowa Nelli. Madeline nie mogła się powstrzymać i spojrzała na szklany sufit, spodziewając się, że ten zaraz pęknie.

– Słyszałam, że dom będzie zamykany?

– Tak, za trzy miesiące.

– Ma pani jakiś plan B?

– Proszę się o mnie nie martwić, wracam do męża.

– A on nie umarł?!

– Umarł, w dziewięćdziesiątym szóstym roku.

Madeline nie podobał się kierunek, w jakim nagle potoczyła się ich rozmowa.

– Moim zdaniem, jest pani w bardzo dobrej formie. Nie wydaje mi się, żeby miała pani umierać!

Staruszka machnęła ręką, a kiedy Madeline odwróciła się do wyjścia, zawołała za nią:

– Nie wiem, czego pani szuka, ale wiem, że pani tego nie znajdzie!

– Czyżby była pani medium?

Nella uśmiechnęła się, wygładzając włosy kokieteryjnym gestem.

– Ale znajdzie pani coś innego! – zapewniła odchodzącą Madeline.

Ta skinęła głową na pożegnanie i poszła do pick-upa zaparkowanego pod sosnami.

Zanim ruszyła w drogę, zrobiła sobie spacer po dzikiej plaży. Za kilka miesięcy dźwigi i betoniarki zniszczą to cudowne miejsce, budując hotel, saunę, lądowisko dla helikopterów. Co za idiotyzm, jaka nieludzka, fatalna decyzja...

Do cholery, co się dzieje?! Ona sama zaczyna już zrzedzić jak Coutances!

Wróciła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce i skierowała się energicznie na drogę międzystanową. Przez kilka kilometrów starała się uporządkować myśli. Jechała już ponad godzinę, kiedy nagle usłyszała sygnał komórki. Na ekranie pojawiło się nazwisko Dominica Wu.

3

Wszyscy w okolicy muszą nazywać ten budynek kostką Rubika – pomyślał Coutances, gdy taksówka zatrzymała się na Upper East Side, na rogu Sto Drugiej Ulicy i Madison.

Laboratorium Pelletier & Stockhausen było wielkim sześcianem z kolorowego szkła, który dzięki jaskrawemu patchworkowi odróżniał się od bezdusznych szarobrazowych budynków wokół.

Kto powiedział, że Amerykanie nigdy nie biorą urlopów? Tego ranka w laboratorium nie było prawie nikogo. Gaspard przedstawił się eleganckiej, smukłej kobiecie, która swoją chudością, bladą, kwadratową twarzą i smutnym spojrzeniem przypominała postacie z obrazów Bernarda Buffeta.

Panna Sztywna zaprowadziła go do biura na szóstym piętrze. Okna pomieszczenia wychodziły na ogromny kompleks szpitalny Mount-Sinai.

– Zapraszam, panie Coutances! – Gaspard usłyszał głos dobiegający z gabinetu.

Właściciel laboratorium Dwight Stockhausen najwyraźniej gdzieś się wybierał. Obok kanapy Florence Knoll stały dwie walizki firmy Alzer z płótna w monogramy, torba podróżna do kompletu i para podbijanych futrem śniegowców Moon Boot.

– Spędzamy Wigilię w Aspen! W hotelu Jerome. Był pan tam może kiedyś?

Zabrzmiało to pyszałkowato. Stockhausen podszedł do Gasparda i po europejsku wyciągnął dłoń na przywitanie.

– Nie w ostatnich latach – odpowiedział Gaspard.

Stockhausen wskazał mu kanapę, sam zaś wciąż stał, wpatrzony w ekran smartfona, stukając w klawisze malutkiego w porównaniu z jego grubymi palcami telefonu.

– Jeszcze moment i będę do pana dyspozycji! Muszę tylko wypełnić ten cholerny formularz wymagany na lotnisku.

Gaspard skorzystał z krótkiej przerwy i zaczął dyskretnie obserwować gospodarza. Kiedy był dzieckiem, jego matka czasem odwiedzała ludzi tego typu – w Paryżu zawsze mieszkali w szesnastej dzielnicy, w Londynie w Belgravii, a w Bostonie w Beacon Hill. Podwójny podbródek i profil Ludwika XVI cudownie harmonizowały ze spodniami w kratę Prince de Galles, z marynarką w jodełkę i skarpetkami marki Gammarelli, wciągniętymi na stopy wetknięte w mokasyny z frędzlami.

W końcu jaśnie pan zdecydował się odłożyć telefon i z majestatem opadł na kanapę obok Gasparda.

– Chciał mnie pan zapytać o Lorenza, o ile pamiętam?

– Lorenz odwiedził pana rok temu, dwudziestego trzeciego grudnia dwa tysiące piętnastego roku, w dniu swojej śmierci – przypomniał Gaspard.

– Tak, pamiętam! Przyjąłem go osobiście. Swoją drogą, wspomniał artysta, czyż nie?

Stockhausen wskazał ręką ściany swojego gigantycznego gabinetu.

– Jak pan widzi, jestem kolekcjonerem... – oznajmił tonem pedanta.

Faktycznie, Gaspard zauważył już litografię *Dziewczynki z balonikiem* Banksy’ego – tę samą, która zdobyła miliony innych mieszkań czy służyła za fototapetę w milionach komputerów. Rozpoznał również sitodruk Damiena Hirsta – była to nieśmiertelna czaszka z brylantów, którą autor wykorzystywał na wszystkie możliwe sposoby – a także wielką rzeźbę Armana, przedstawiającą rozbite skrzypce (czy jednak Arman zrobił kiedykolwiek coś innego niż rozzłoszczone instrumenty?). Krótko mówiąc, zgromadzono tam tylko dzieła, których on, Gaspard, nie cierpiał.

– Wróćmy do Lorenza, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

Stockhausen, wijąc się jak piskorz, nie zamierzał dopuścić Coutances’a do kierowania rozmową.

– Przede wszystkim proszę mi powiedzieć, skąd pan wie o tej historii? – spytał.

Gaspard nie odpowiedział. Jeśli doktor zgodził się przyjąć go w ostatniej chwili, to znaczy, że musi się bać o reputację swoją i swojego laboratorium.

– Panie Stockhausen, zaoszczędzimy trochę czasu, jeśli powie mi pan od razu, i to dokładnie, czego Lorenz od pana chciał – zażądał.

– Nie mogę! To są poufne informacje, chyba pan sobie zdaje z tego sprawę!

– Poufne do chwili, kiedy oddział policji zjawi się w Aspen i funkcjonariusze założą panu kajdanki. To będzie wielkie wydarzenie

w hotelu Jerome, ręczę za to.

Stockhausen się obruszył.

– A dlaczego miałbym zostać zatrzymany?

– Pod zarzutem współudziału w zabójstwie dziecka.

Właściciel laboratorium odkaszlnął.

– Proszę natychmiast stąd wyjść! Dzwonię po mojego adwokata!

Gaspard ostentacyjnie rozsiadł się na niewygodnej, twardej kanapie.

– Nie musimy uciekać się do takich ostateczności...

– Czego konkretnie chciałby się pan dowiedzieć?

– Już to panu powiedziałem.

Obywatel Louis Capet poczuł się osaczony. Wyciągnął z kieszeni marynarki jedwabną chusteczkę i wytarł spocone czoło. Minęła chwila i poddał się.

– Tamtego dnia Sean Lorenz wpadł do mojego biura bardzo zdenerwowany. Wyglądał tak, jakby oszalał! Szczerze mówiąc, gdyby nie był tak sławny, nigdy bym go nie wpuścił!

– Miał ze sobą plastikową torbę, prawda?

Zniesmaczony Stockhausen wydął usta.

– Tak, to była torba na śmieci, w środku był jakiś stary dywanik, wykładzina samochodowa.

Gaspard skinął głową.

– I to był dywanik z dodge'a.

– W każdym razie – ciągnął Stockhausen – Lorenz chciał się dowiedzieć, czy na tym dywaniku są jakieś ślady genetyczne jego synka.

– Czy to jest technicznie możliwe?

Stockhausen w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

– Oczywiście, przecież Lorenz był na miejscu. Wystarczyło pobrać trochę jego śliny na patyczek z wacikiem. Badanie DNA, o które mnie

prosił, nie bardzo się różni od banalnego ustalenia ojcostwa, jedynie trwa dłużej.

– A Seanowi zależało na czasie!

Stockhausen przytaknął.

– To był koniec roku, Boże Narodzenie, zawsze mamy w tym okresie problemy z personelem z powodu świąt. Ale wszystko da się rozwiązać za pomocą książeczki czekowej!

– O jaką sumę chodziło?

– Było to coś lepszego niż czek.

Stockhausen wstał i podszedł do obrazu Banksy'ego, za którym znajdował się sejf z zamkiem elektronicznym. Otworzył stalową szafkę i wyjął z niej małą ramkę z ciemnego drewna. Pod szkłem umieszczono rysunek podpisany przez Seana Lorenza, przedstawiający rząd nowojorskich drapaczy chmur. Gaspard wyobraził sobie tę scenę i zrobiło mu się niedobrze: gruby Stockhausen wyciągający od Lorenza, złamanego bólem, ostatni rysunek jako zapłatę za nieskomplikowaną analizę.

Ludwik XVI najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy z własnej podłości.

– Myślę, że można to uznać za ostatnie dzieło artysty! – Zachichotał zadowolony.

Gaspard powstrzymał z trudem chęć połamania ramki, podarcia rysunku i wyrzucenia wszystkiego przez okno, tak żeby kawałki papieru poniesione zostały przez wiatr jak spopielone szczątki ludzkie. Pięknie by to wyglądało, ale nie pomogłoby mu w śledztwie. Zachował więc spokój i zadał kolejne pytanie:

– Zatem Lorenz zrobił dla pana ten rysunek, a pan zgodził się skrócić okres potrzebny do przeprowadzenia analizy...

– Tak, obiecałem mu wynik na rano dwudziestego szóstego grudnia. Było to całkiem skomplikowane, ale się udało.

– Lorenz miał do pana wrócić trzy dni później?
– Nigdy jednak nie przyszedł, ponieważ umarł! – powiedział triumfująco Stockhausen.

Zapadła cisza.

– Rezultaty dostarczono o czasie i od tej pory czekały w pamięci komputera. Nie było żadnego nakazu sądowego, nikt też nie zgłosił się po nie. Mamy program, który automatycznie wysyła trzy przypomnienia... A potem o tym zapomniałem.

– O śmierci Lorenza pisały wszystkie gazety. Czy to pana nie zastanowiło?

– Nie widzę żadnego związku. On zmarł na zawał na ulicy.

Jeśli o to chodzi, Stockhausen rzeczywiście się nie mylił.

– Co roku jesienią moja ekipa archiwizuje pliki – powiedział. –
Dopiero wtedy poznałem te wyniki.

Gaspard zaczynał się niecierpliwić.

– I co w nich było?

– Test ojcostwa okazał się pozytywny.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że dywanik może został z wierzchu wyczyszczony, ale nie musieliśmy długo szukać, żeby znaleźć ślady krwi należące do syna Seana Lorenza.

– I nie zawiadomił pan policji?!

– Mówię przecież, że zobaczyłem te wyniki dopiero we wrześniu! Sprawdziłem w internecie: dziecko nie żyło, zamordowane przez jakąś wariatkę. Co by to zmieniło, gdybym poszedł na policję?

– No, tu się z panem zgadzam... – przyznał Gaspard i wstał z kanapy.

Stockhausen uparł się, żeby odprowadzić go do windy.

– Ten dywanik samochodowy... Do kogo należał? – dopytywał się po drodze.

- Nie myśli pan, że jest trochę późno na pańskie zainteresowanie?
- To był samochód Beatriz Muñoz? Ona zabiła jeszcze inne dzieci,

prawda? – nie ustępował Stockhausen.

Gaspard zrozumiał, że szef laboratorium coś przed nim ukrywa.

- Do cholery, Stockhausen, czego mi pan nie powiedział?!

Nadjechała winda i otworzyły się drzwi, ale Gaspard nie spuszczał oczu z doktora, który był tak zadyszany, jakby przebiegł przed chwilą przez cały Manhattan.

– Na tym dywaniku znaleźliśmy ślady krwi syna Lorenza, ale nie tylko... Była jeszcze krew i ślina innych osób.

- Dzieci?

– Tego nie można stwierdzić.

– A według pana?

– Nie wiem! Nie jestem ani policjantem, ani lekarzem sądowym! To mogło być wszystko: ślady kontaktowe, ślady...

– A co pan osobiście o tym sądzi?

– Osobiście uważam, że w bagażniku tego samochodu przewożono też inne ofiary.

4

Madeline odebrała telefon, nie zatrzymując samochodu.

– Tak, Dominicu?

– Maddie, zrobiłem to, o co prosiłaś: przejrzałem dokumenty dotyczące sprawy Sotomayora i znalazłem coś bardzo dziwnego.

Mimo że Dominic Wu był na urlopie, nie mógł pozbyć się tonu triumfującego zawodowca.

– Czy jest coś o jego bracie?

– Tak, o Reubenie. Kilka tygodni przed śmiercią Reuben przyszedł na komisariat w Gainesville, żeby zgłosić zaginięcie matki.

– Bianki Sotomayor?

– Zgadza się. Urodziła się w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, więc miała wówczas sześćdziesiąt pięć lat. Właśnie przeszła na emeryturę. Przedtem pracowała w różnych szpitalach, najpierw w Massachusetts, potem w Toronto, Michigan i Orlando.

– Miała męża? Albo faceta?

– Wyszła za mąż tylko raz, za Ernesta Sotomayora, ojca Adriana i Reubena. Później żyła z jakimś lekarzem z Kanady, a następnie z handlarzem samochodów z Orlando, który zmarł w dwa tysiące dziesiątym roku. W chwili zniknięcia spotykała się z czterdziestoczteroletnim młodziekiem, właścicielem SPA. Podobno seks ze starszkami jest w modzie!

– Czy było jakieś śledztwo w sprawie jej zaginięcia?

– Tak, ale bez rezultatu. Teczka jest pusta. Żadnych prób identyfikacji, żadnych śladów, żadnych wskazówek. Bianca Sotomayor po prostu się ulotniła!

– A oficjalnie orzeczono śmierć?

– W listopadzie dwa tysiące piętnastego roku została oficjalnie uznana za zmarłą.

To dlatego postępowanie spadkowe po Adrianie ciągnęło się tak długo... – pomyślała Madeline.

– Wykonałem swoją część pracy tak, jak obiecałem. Odkryj karty, Maddie!

Madeline rozłączyła się, nie dając mu czasu na dalsze pytania.

Z rozpędu zadzwoniła do Isabelli, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Wtedy postanowiła skontaktować się z Gaspardem.

– Gdzie pan jest, Coutances? Na Manhattanie?

– A gdzie mam być? Opalać się w Papeete czy na Bora-Bora? Wychodzę właśnie od Stockhausena. Odnalazłem go i niech sobie pani wyobrazi, że...

– Potem! – rzuciła do telefonu. – Jadę po pana. Wynajęłam samochód, jestem na Southern State na wysokości Hempstead. Wracam z Hamptons. To bardzo długa historia. Opowiem panu.

– Ja też mam pani dużo do opowiedzenia!

– Opowie mi pan później, będę na Manhattanie za godzinę. Na razie chciałabym, żeby coś pan dla mnie zrobił.

Po samym tonie głosu, śmielszym, bardziej zdecydowanym, Gaspard poznał, że Madeline jest w zupełnie innym nastroju niż poprzedniego dnia.

– Do usług.

– Dwie ulice od hotelu, przy Thomas Street, jest sklep z profesjonalnymi narzędziami, Hogarth Hardware. Czy może pan...

– A po co mam łązić do jakiegoś sklepu z narzędziami?

– Niech mi pan pozwoli skończyć! Ma pan kartkę i ołówek? Dyktuję listę zakupów: dwie latarki, dwie lampy jarzeniowe, stalowy łom, obcęgi...

– Czy pani zwariowała?!

– Sam pan to oceni. Proszę zrobić dokładnie to, co powiedziałam. Coutances, słyszy mnie pan?!

Najwyraźniej Madeline odkryła coś, co spowodowało, że pozbyła się wszelkich wątpliwości dotyczących tej sprawy. Coś, czego on, Gaspard, nie był w stanie znaleźć.

Jak dobrze, że ją męczyłem! – pomyślał.

Ulubiony syn

*Czerń jest kolorem samym w sobie, będącym sumą wszystkich
innych kolorów i je pochłaniającym.*

Henri Matisse

1

Wyjechali z Nowego Jorku wczesnym popołudniem, kierując się na wschód, i od razu utknęli w korku. Pierwsze sto kilometrów, aż do New Haven, było prawdziwym koszmarem. Zatłoczona autostrada, mnóstwo zjazdów i wjazdów. Niekończące się miejskie piekło. Umierająca, zniszczona przez betonowe konstrukcje przestrzeń zatruta dwutlenkiem azotu i wiszącą w powietrzu sadzą.

Wykorzystali tę dłużącą się podróż, aby przynajmniej częściowo uporządkować tę makabryczną układankę, jaką okazała się sprawa Sotomayora. Najpierw tragiczne dzieciństwo. Rosnąca przemoc, okrucieństwa, barbarzyństwo codzienności, które wiele lat później wywołają morderczy atak szału. Historia bomby z opóźnionym zapłonem. Historia chłopca, którego rodzice, każde na swój sposób, przekształcili w potwora.

Madeline podkręciła ogrzewanie. Powoli zapadały ciemności. Nie zauważyła, kiedy minął dzień, tak dużo pojawiało się wciąż nowych

informacji, odkrywających fakty dotychczas ukryte. Madeline знаła to wrażenie z niektórych swoich wcześniejszych dochodzeń. To był najbardziej ekscytujący moment śledztwa. Rewanż prawdy, gdy zbyt długo skrywane dowody wypływały na powierzchnię z niszczącą siłą. Niewyraźne obrazy w głowie Madeline zaczęły nabierać kształtów, rozwiewała się mgła, ukazując mrozącą krew w żyłach rzeczywistość.

Niełatwo odnaleźć korzenie tragedii, wskazać moment, kiedy zaczęło się źle dziać, kiedy życie nagle zmieniło bieg. Od kilku godzin Madeline miała jednak pewność, że wszystko rozpoczęło się od dramatu, który rozegrał się latem 1976 roku w Tibberton, małym porcie w Massachusetts, gdzie właśnie jechali.

Tamtego lata pielęgniarka z miejscowej przychodni, Bianca Sotomayor, dowiaduje się, że jest w ciąży z drugim dzieckiem. W chwili, gdy jej wzrok pada na pozytywny wynik testu ciążowego, podejmuje radykalną decyzję. Udręczona codziennymi awanturami, jakie urządza jej mąż Ernesto, kończącymi się zazwyczaj biciem, zbiera wszystkie swoje oszczędności i z dnia na dzień porzuca dom, żeby ułożyć sobie życie od nowa. Ucieka do Kanady.

Adriano, jej starszy syn, nie ma jeszcze sześciu lat. Zostawiony sam z ojcem, staje się ofiarą jego przemocy. Ojciec bije go bez przerwy i upokarza z niewyobrażalnym czasem okrucieństwem. Chłopak cierpi dwa długie lata, zanim jego nauczycielka, Nella Boninsegna, złoży doniesienie na policji i zawiadomi pomoc społeczną, że dziecko jest maltretowane przez ojca. W ten sposób uwolni Adriana od codziennych tortur.

Wydaje się więc, że życie chłopca powoli zaczyna się układać. Z dala od ojca Adriano znajduje szczęście – trafia do serdecznej rodziny zastępczej i nowi opiekunowie pozwalają mu nawet utrzymywać kontakt z kuzynką Isabellą. Dorasta w Harlemie, zaprzyjaźniając się z młodym Seanem Lorenzem, grafficiarzem, i ekscentryczną Beatriz

Muñoz, córką imigrantów z Chile, która z powodu swojej brzydoty przeżyła, tak jak on, trudne, pełne upokorzeń dzieciństwo.

We trójkę tworzą grupę artystyczną Pirotechnicy. Jaskrawymi kolorami pokrywają wagony metra i mury Manhattanu. Adriano nie jest pilnym uczniem. Szybko rzuca szkołę i po niespokojnym okresie wczesnej młodości wstępuje do policji, gdzie stopniowo awansuje. Wygląda na to, że jego życie się stabilizuje. Kto jednak wie, co się działo w jego głowie?

Od tego momentu kształty puzzli w tej historii są już tylko hipotetyczne. Madeline zdawała sobie sprawę, że do dyspozycji ma przede wszystkim własną intuicję, podbudowaną zaledwie kilkoma potwierdzonymi faktami. Mimo to z elementów tej układanki powstawał powoli spójny obraz.

Nie ulegało wątpliwości, że chmury traumatycznego dzieciństwa Sotomayora wciąż nad nim wisiały. Przeszłość gwałtownie dała o sobie znać na początku 2010 roku, kiedy Adriano natrafił na ślad swojego młodszego brata, Reubena, wykładającego na uniwersytecie w Gainesville. Czy bracia wiedzieli o sobie? Czy już wcześniej się ze sobą kontaktowali? Madeline doszła do wniosku, że właśnie w tym okresie nienawiść podsycana chęcią zemsty popchnęła Adriana na drogę morderczego szaleństwa. Odnalazł matkę na Florydzie. Chciał ją zabić, ale powstrzymał się – śmierć była zbyt łagodną karą za to, na co go skazała.

Madeline nie była psychiatrą, wydawało jej się jednak, że znalazła klucz do zachowań Adriana: to nie do ojca żywił największą urazę, ale do matki. Do matki, która go porzuciła, którą kiedyś kochał, która uciekła z ich wspólnego pola walki. Matki, którą wielbił, a która zostawiła go i zniknęła, będąc w ciąży z nowym dzieckiem.

Tak więc skierował swoją nienawiść na matkę. Madeline wyobrażała sobie wstrząs, jaki jej dezercja musiała wywołać w

porzuconym synu. Nawet okrucieństwo ojca przestało się liczyć. Mężczyźni są gwałtowni z natury, ale matki?! Matki powinny chronić swoje dzieci. Jego matka jednak uciekła. Uciekła, żeby chronić inne dziecko. Musiała za to zapłacić.

Scenariusz wydawał się szalony, ale w logiczny sposób pozwalał wytłumaczyć, jak to się stało, że Adriano, sam będąc ofiarą, zamienił się w zbrodniczego Króla Olch. Porwał Biancę, uwięził ją i prawdopodobnie przez długie tygodnie opowiadał jej o tym, jak zabije Reubena: że zakatuje go na śmierć. Przez jakiś czas delectował się tą psychiczną torturą, a potem przeszedł do czynu i Reuben rzeczywiście zginął.

To jednak nie wystarczyło. Adriano postanowił zadawać matce cierpienie, jakie odczuła, gdy zabił jej młodszego syna, jeszcze wiele razy. Powoli w jego umyśle kiełkował pomysł drogi krzyżowej dla matki. W lutym 2012 roku w parku w Shelton porwał małego Masona Melvila i powierzył go jej. Uwięziona Bianca nie miała innego wyjścia, musiała zaopiekować się chłopcem. Pewnie zajmowała się nim bardzo troskliwie, żeby tylko zmniejszyć cierpienia dwuletniego dziecka brutalnie odebranego rodzicom i wtrąconego do ciemnej piwnicy z jakąś nieznaną kobietą. Siłą rzeczy przywiązała się do chłopczyka. Ale nagle w środku wiosny Król Olch zabrał dziecko matce i je zabił, najprawdopodobniej na jej oczach, zanim porzucił zwłoki na brzegu stawu. Tę zbrodniczą procedurę w ciągu dwóch następnych lat Adriano miał powtórzyć trzy razy: z Calebem Coffinem, Thomasem Sturmem i Danielem Russellem.

Madeline nie miała już żadnych wątpliwości co do tego, kim był Król Olch. To Adriano był zabójcą dzieci, ale inaczej niż wszyscy myśleli, nie one były jego prawdziwymi ofiarami. Morderstwa dzieci stanowiły jedynie środek do osiągnięcia właściwego celu – unicestwienia własnej matki.

Na szosie zrobiło się luźniej, gdy mijali Mystic. Pick-up jechał wybrzeżem na wschód przez Rhode Island, w kierunku Providence. Włączone radio nie pozwalało im zapomnieć, że za kilka godzin zacznie się Wigilia. Od Deana Martina po Nat King Cole'a – wszyscy piosenkarze jakby się zmówili, żeby zabawiać słuchaczy świątecznymi przebojami. Ledwie Louis Armstrong skończył *White Christmas*, już Sinatra zaczynał *Jingle Bells*.

Myśli Gasparda nie odbiegały daleko od rozważań Madeline. Przypominał sobie mitologię grecką: karę, jaką Zeus wymierzył Prometeuszowi za wykradzenie bogom świętego ognia – Prometeusz został przywiązany do skały w górach i każdego dnia rano przylatywał orzeł, który wyjadał więźniowi wątrobę. Ponieważ wątroba regenerowała się w nocy, już następnego ranka męka mogła rozpocząć się na nowo. Wieczne cierpienie, nie tak bardzo różniące się od tego, na jakie skazał matkę Adriano. Zabójstwo ukochanego syna powtarzane wiele razy.

Gaspard myślał też o wrzącej nienawiści, która musiała do tego stopnia dręczyć Sotomayora, że był w stanie zrobić coś tak potwornego, i o pechu tych wszystkich, którzy przypadkowo znaleźli się na jego drodze.

W grudniu 2014 roku przypadek sprawił, że w trakcie swojej morderczej działalności ponownie zetknął się z dwoma osobami, z którymi założył grupę Pirotechników. Ale żywe kolory lat dziewięćdziesiątych szybko przemieniły się w barwy krwi i ciemności.

Z Beatriz Muñoz, która miała własne problemy, Adriano utrzymywał nieregularny kontakt. Cóż za ponury paradoks: cierpienie Beatriz było jakby młodszym rodzeństwem cierpienia Adriana. Cierpienie, które rodzi cierpienie, nienawiść, która każe krzywdzić

ukochane osoby. Lecz te potępione dusze różniły się pod jednym względem: Beatriz nie podążyła drogą zemsty do samego końca. Torturowała Pénélope Lorenz, ale nie odebrała życia małemu Julianowi.

Kiedy podjęła decyzję, że zwróci dziecko rodzicom, porozumiała się z Adrianem, myśląc, że przyjaciel stanie się jej pośrednikiem. Umówiła się z nim przy Newtown Creek, przekazała mu chłopca, prosząc, żeby oddał go ojcu, a sama rzuciła się pod pociąg.

I tak w tych nieprawdopodobnych okolicznościach syn Seana Lorenza trafił do bagażnika samochodu Króla Olch. Oszczędziło to Adrianowi trudu polowania na kolejne dziecko. Zabrał Juliana do kryjówki i według ustalonego już rytuału powierzył chłopca Biance.

Mijały tygodnie. Sotomayor robił wszystko tak samo jak do tej pory. Zamierzał zabić Juliana pod koniec lutego lub na początku marca. Ale czternastego lutego 2015 roku Król Olch zginął w głupiej bójce przed własnym domem, zabity przez drobnego dealera.

Gaspard zamrugał. Powrót do rzeczywistości! Razem z Madeline ułożyli scenariusz możliwych zdarzeń, puste przestrzenie wypełniając hipotezami. Oczywiście mogli się mylić, ale nawet jeśli nie, to i tak dwa pytania pozostawały bez odpowiedzi. Po pierwsze, gdzie Król Olch więził swoją matkę i ofiary? A po drugie – i to była kwestia ważniejsza – czy istniała jakaś szansa, żeby prawie dwa lata po śmierci swojego oprawcy Julian i Bianca jeszcze żyli?

Odpowiedź na drugie pytanie brzmiała: najprawdopodobniej nie. Jeśli zaś chodzi o miejsce uwięzienia, Gaspardowi i Madeline wydawało się, że je znaleźli. Kilka godzin wcześniej, w Nowym Jorku, Gaspard zadzwonił za radą Madeline do Andrégo, męża Isabelli. Ten potwierdził, że sprawa spadkowa po Adrianie była długa i skomplikowana z powodu dodatkowych problemów związanych z

zaginięciem Bianki. Postępowanie ruszyło z miejsca, dopiero gdy sędzia śledczy podpisał jej akt zgonu.

– André, mam takie pytanie: czy w spadku była jakaś inna nieruchomość, jakaś ziemia, mieszkanie, dom?

– Tak, był jeszcze stary rodzinny dom Sotomayorów w Tibberton.

– Był pan tam ostatnio?

– Nigdy tam nie pojechałem! Isabella nienawidzi tej dziury! Nie mówiąc już o domu... Widziałem zdjęcia, przypomina to raczej Amityville niż Martha's Vineyard.

– Kto w nim teraz mieszka?

– Nikt. Od roku staramy się ten dom sprzedać, ale nie ma chętnych, a nasz agent nie wykazuje zbytnej inicjatywy.

Gaspard zanotował adres. Kiedy streścił rozmowę Madeline, ta zdziwiła się, że stary Ernesto nie pozbył się domu, gdy stwierdzono u niego raka i zamieszkał w Nowym Jorku u syna. Hipoteza, że Adriano urządził sobie tam kryjówkę, stawała się prawdopodobna. Co prawda wymagało to doskonałej organizacji, przede wszystkim, żeby zaopatrywać więźniów w żywność – Adriano pracował w Nowym Jorku – ale nie było to przecież niemożliwe.

Serce Gasparda zaczęło bić szybciej i poczuł pulsowanie w skroniach.

– Niech pan się tak nie przejmuj, Coutances! – rzuciła Madeline, kiedy ruszali w drogę. – Najprawdopodobniej znajdziemy tam zwłoki dwojga ludzi.

3

Po ponad czterech godzinach jazdy znaleźli się na obwodnicy Bostonu. Za Burlington zatrzymali się na stacji benzynowej. Gaspard

chciał zatankować, ale z poranionymi dłońmi trudno mu było wywiązać się z tego zadania.

– Lepiej niech pan przyniesie mi kawę! – powiedziała Madeline, odbierając mu gumowy wąż.

Po chwili skapitulował i wszedł do pomieszczenia, żeby uchronić się przed zimnem. Kilka monet wrzuconych do automatu. Dwie lungo bez cukru. Dochodziła ósma wieczorem. W niektórych domach zaczęła się już Wigilia. Z głośników leciały piosenki z *Great American Songbook* w wydaniu bożonarodzeniowym. Gaspard rozpoznał *Old Toy Trains*, klasyk Rogera Millera. Ojciec grał mu na gitarze francuską wersję tego utworu pod tytułem *Petit garçon*, która stała się popularna dzięki Graeme'owi Allwrightowi. Gaspard wciąż pamiętał święta z lat dzieciennych. Najwspanialsze były momenty spędzane z ojcem w jego dwupokojowym mieszkanku – trzydzieści siedem metrów kwadratowych przy square Paul-Lafargue w Évry. Widział siebie, jak dwudziestego czwartego grudnia wieczorem szykował gorącą herbatę i herbatniki, które stawiał przy choince tuż przed wizytą Świętego Mikołaja. Pamiętał wszystkie prezenty i to, jak bawił się nimi z ojcem: figurki Big Jima, samochodziki elektryczne, magiczne drzewko, grę *Głodne hipcie...*

Przeważnie, wspominając te chwile, bardzo się wzruszał i w oczach stawały mu łzy, zawsze więc odpychał od siebie te obrazy. Tego wieczoru jednak nic takiego się nie stało – po prostu był to miły moment, o którym myślał z wdzięcznością. To zmieniało wszystko.

– Ależ zimno! – jęknęła Madeline, dołączając do niego i siadając na jednym z rozchwianych stołków przy kontuarze z tworzywa sztucznego.

Chciała wypić kawę jednym haustem, ale płyn był za gorący i musiała go szybko wypluć.

– Cholera, Coutances, chce mnie pan zabić czy co?! Nawet kawy nie umie pan kupić normalnej?

Cała Madeline Greene! Gaspard niewzruszony wstał i poszedł po następną kawę. Nie miał zamiaru się kłócić, skoro wreszcie udało im się nawiązać bezkonfliktową współpracę.

Madeline spojrzała na komórkę. Zwrócił jej uwagę mail od Dominica Wu:

Prezent, jeśli spędzasz Wigilię sama, wesołych świąt.

Lakoniczna wiadomość zawierała sporych rozmiarów załącznik. Madeline kliknęła na niego, żeby go otworzyć. Wu wydobył skądś wyciąg z konta bankowego Adriana. To była prawdziwa żyła złota!

– Co pani nagle taka wesoła? – spytał Gaspard, wręczając jej kawę.

– Niech pan sam zobaczy! – odparła, przesyłając mu plik PDF. – Wydatki Sotomayora! Trzeba je przejrzeć i pogadamy. Proszę szukać pozycji, które się powtarzają.

Odstawiła tekturowy kubeczek i przez pół godziny nie odrywała wzroku od ekranu smartfona. Z pochyloną głową, skupiona, przesuwała dziesiątki stron, notując niektóre pozycje na papierowym obrusie. Gaspard siedział obok niej, robiąc dokładnie to samo. Wyglądali jak dwoje nałogowych graczy przy automatach do gry w Las Vegas.

Wyciąg obejmował trzy ostatnie lata życia Sotomayora. Był to rodzaj filmu z jego codzienności, przedstawiający wszystkie jego zwyczaje i pokazujący, w jakiej restauracji lubił w południe jeść sushi, gdzie parkował samochód, na których drogach uiszczał opłaty przejazdowe. Figurowały tam nazwiska jego lekarzy, a nawet można było się dowiedzieć, na jakie luksusy sobie pozwalał: para butów od

Edwarda Greena za tysiąc czterysta dolarów czy kaszmirowy szalik Burberry za sześćset...

Gaspard podniósł głowę znad listy, wyraźnie zawiedziony.

– Nie widzę nic, co łączyłoby Adriana z Tibberton, ani opłat za regularne przejazdy, ani rachunków za wodę czy elektryczność, ani żadnych zakupów w tamtejszych sklepach.

– To nic nie znaczy. Policjant taki jak Adriano umiał ukryć wydatki, prowadząc podwójną rachunkowość albo płacąc gotówką. Mimo to niektóre pozycje niepokojąco się powtarzają.

Faktycznie, w wyciągach pojawiały się często rachunki z czterech sklepów. Najpierw były to Home Depot i Lowe's Home Improvement – dwa największe sklepy budowlano-dekoracyjne w kraju. Wydane tam sumy były wysokie i zapowiadały poważny remont. Izolacja akustyczna, klimatyzacja – udogodnienia niezbędne, jeśli przez dłuższy czas chciałoby się trzymać kogoś w zamknięciu.

Trzeci sklep był mniej znany, musieli sprawdzić jego nazwę w internecie. LyoφFoods był sklepem specjalizującym się w internetowej sprzedaży żywności liofilizowanej. Na jego stronie można było znaleźć różnego typu porcje żywnościowe dla wojska lub zestawy survivalowe. Paczki zawierały puszki sardynek, batony energetyczne, suszoną wołowinę i dania liofilizowane o długich terminach ważności. Sklep zaopatrywał turystów i marynarzy, ale coraz częściej również zwykłych obywateli, przekonanych, że wkrótce nastąpi koniec świata i trzeba robić zapasy spożywcze.

Sotomayor pozostawał wiernym klientem także sklepu internetowego największej sieci amerykańskich aptek: walgreens.com. To prawda, że w Walgreens można kupić mydło i powidło, ale w tych konkretnie rachunkach wymieniane były przede wszystkim produkty toaletowe dla niemowlaków i małych dzieci.

Madeline wypila do końca zimną już kawę i popatrzyła na Gasparda. Od razu poznała, że myślą o tym samym. Nagle oboje opanowała szalona nadzieja, że odnajdą Biancę Sotomayor żywą – starszą, zmęczoną kobietę, zamkniętą od lat w wygłuszonej piwnicy. Ofiarę więzioną przez własnego syna, co do którego miała podejrzenia, że umarł. Kobietę, która od ponad dwóch lat opiekowała się powierzonym jej dzieckiem, odmawiając sobie wszystkiego, oszczędzając żywność, wodę, światło... czekając, że może wreszcie pewnego dnia ktoś ich uwolni.

– Zbieraj się, Coutances! Jedziemy!

4

Ostatnie kilometry ciągnęły się najdłużej. Droga do Tibberton była pełna zakrętów. Trochę przed Salem wjechali na starą autostradę US1, z której skręcili na biegnącą pod górę szosę okrążającą jakiś las, zidentyfikowany przez GPS jako Blackseedy Woods. Potem droga poprowadziła ich w dół ku wybrzeżu.

Gaspard popatrywał dyskretnie na Madeline. Zupełnie się zmieniła! Wodząc błyszczącymi oczami, uważnie przyglądała się wszystkiemu dokoła. Skupiona, wyglądała jak na zdjęciu, które Gaspard widział kiedyś w „New York Timesie”. Cała była wychylona do przodu, jakby wychodziła na spotkanie rozwiązaniu.

Po pięciu godzinach jazdy wreszcie dotarli do Tibberton. Najwyraźniej w hrabstwie przegłosowano na święta oszczędzanie światła: ulice były mroczne, budynki administracyjne nieozdobione, nawet port stał w ciemnościach. Miejsce wydało im się jeszcze bardziej ponure niż na stronach internetowych poświęconych turystyce tego regionu. W Tibberton mieszkało kilka tysięcy ludzi,

dawniej był to ważny port rybacki, który z biegiem lat podupadł, nie wytrzymując konkurencji słynnego sąsiada, Gloucester, mekki czerwonego tuńczyka. Miasteczko miało obecnie duże trudności ze znalezieniem sobie miejsca na lokalnym rynku biznesowym: Czy inwestować w rybołówstwo, czy też zająć się turystyką!

Według wskazówek GPS-u, zjechali z drogi nadbrzeżnej na asfaltową szosę, jedną z wielu wijących się w głąb lądu. Potem nawigacja poprowadziła ich po wąskiej drodze pośród zarośli. Toczyli się po niej przez jakiś kilometr, aż wreszcie w świetle reflektorów ujrzeli tablicę z napisem: „NA SPRZEDAŻ. Kontakt: Harbor South Real Estate”. Niżej podawano numer telefonu.

Wyskoczyli z samochodu, zostawiając zapalone światła. Nie mieli żadnej broni, ale z bagażnika wyjęli wszystko, co przywieźli: od latarek po ogromne obcęgi i łom – cały sprzęt, który Gaspard kupił na Manhattanie.

Wciąż było lodowato. Prosto w twarz wiał im silny wiatr znad Atlantyku. W Tibberton nawet pełne jodu powietrze zalatywało gównem.

Podeszli do budynku. Dom rodzinny Sotomayora okazał się małą willą w stylu kolonialnym, rustykalną, jednopiętrową, z centralnie umieszczonym kominem. Jeśli kiedykolwiek był ładny, należało to do historii – obecnie wyglądał ponuro. Ciemna budowla okolona kolczastymi krzakami, wokół chwasty. Między dwiema walącymi się kolumnami widać było drzwi. Z trudnością przedarli się przez kłujące zarośla. Było kompletnie ciemno i fasada z desek sosnowych wydawała się pociągnięta smołą.

Nie musieli używać łomu. Drzwi wejściowe były uchylone. Najwyraźniej dawno temu ktoś się tu włamał, wilgoć zniekształciła drewno. W świetle latarek weszli do środka. Dom od lat był opuszczony. Z pewnością wielokrotnie nawiedzali go miejscowi

włóczędzy. Półotwarta na salon kuchnia została wybebeszona. Zniknął drewniany blat, drzwiczki do szafek powyrywano. W salonie stała już tylko rozpruta kanapa i obok potłuczony szklany stół. Na podłodze wały się dziesiątki pustych butelek po piwie, prezerwatywy i strzykawki. Były nawet ułożone w okrąg kamienie i popiół, co świadczyło o tym, że ktoś tu rozpałał ognisko. Bezdomni przychodzili tu najwidoczniej, żeby uprawiać seks, pić i ćpać przy blasku płomieni. Ale nic nie wskazywało na to, żeby kogoś tu więziono.

W pozostałych pomieszczeniach parteru znaleźli tylko kurz, wilgoć i pofałdowany, zalany parkiet. Weranda z tyłu domu wychodziła na mały taras, gdzie stały dwa zapleśniałe fotele Adirondack. Madeline zakłęła na widok wielkiego garażu czy też hangaru na łodzie z krótkim, stromym daszkiem z tyłu. Ruszyła w głąb ogrodu, Gaspard za nią. Hangar również okazał się pusty.

Wrócili do domu. Pod schodami dostrzegli częściowo ukryte drzwi, za którymi znajdował się kolejny ciąg schodów prowadzący w dół, jednak nie do piwnicy, ale raczej do wielkiej sutereny, gdzie stał pokryty pajęczyną stół do ping-ponga. W głębi widać było następne drzwi – te ustąpiły po dwóch pchnięciach ramieniem; otwierały się na niski korytarz dający dostęp do węzła sanitarnego. Najwyraźniej od lat nikt tu nie zaglądał.

Aby nie mieć żadnych wątpliwości, weszli na piętro, gdzie kiedyś były sypialnie i łazienki. Te pomieszczenia też zostały ogołoczone. Oprócz jednego pokoju dziecięcego, w którym Adriano mieszkał do ósmego roku życia.

Gaspard omiół światłem latarki pokój pełen wspomnień ze świata duchów. Materac, przewrócone półki, afisze filmowe pokryte niegdyś folią, teraz gnijące na podłodze. Takie same plakaty sam przypinał kiedyś pineskami w swoim pokoju, a ich bohaterowie z filmów

Szczęki, Rocky czy z *Gwiezdných wojen* zaludniali jego dziecięcą wyobraźnię. Tyle że w panteonie Gasparda, zamiast argentyńskiego boksera Carlosa Monzona, występował Michel Platini z klubu AS Nancy-Lorraine.

Oświetlając framugę drzwi, Gaspard zauważył zaznaczone ołówkiem linie po pomiarach wzrostu, tak ważnych dla małych chłopców. Przeszedł go dreszcz. Coś tu się nie zgadzało. Dlaczego, mimo że sąd odebrał mu dziecko, Ernesto zostawił pokój syna bez żadnych zmian?

Gaspard ukucnął. Na podłodze leżały pokryte grubą warstwą kurzu zdjęcia w ramkach. Przetarł szybki, żeby oczyścić je z brudu. Były to fotografie kolorowe, ale wyblakłe, z lat osiemdziesiątych – taki efekt dzisiejsze dzieciaki starają się uzyskać za pomocą filtrów na Instagramie. Sfotografowana została typowa amerykańska rodzina: sucha, dumna twarz Ernesta i do tego południowe kształty pięknej Bianki, Moniki Bellucci z Tibberton. Obok twarz Adriana przy pięciu świeczkach urodzinowego tortu. Uśmiecha się, żeby zrobić przyjemność fotografowi, ale spojrzenie ma już nieobecne, tak jak wspominała jego dawna nauczycielka. Gaspard zdrapał brud z następnego szkiełka i z jeszcze następnego... Czwarte zdjęcie go zaskoczyło: zobaczył na nim Ernesta z dorosłym synem. Z pewnością była to pamiątka z ceremonii wstąpienia Adriana do policji. Ojciec z dumą obejmował syna za szyję, dłoń położył mu na ramieniu.

A więc Adriano spotkał się z ojcem, gdy miał osiemnaście czy dwadzieścia lat, długo przed tym, zanim Ernesto zachorował. Zachowanie to było niezrozumiałe. Czy też raczej: jeśli była w tym jakaś logika, to niezdrowa. Od chwili, kiedy Ernesto nie mógł już prac chłopaka, przestał być dla niego groźny i syn znów zaakceptował jego obecność. Po raz kolejny Gaspard i Madeline zdziwili się, jak to możliwe, że Adriano skierował całą swoją nienawiść przeciwko

matce. Było to niesprawiedliwe, szokujące i bezsensowne. Ale od pewnego poziomu barbarzyństwa i okrucieństwa poczucie sensu i zdolność racjonalnego myślenia nie są odpowiednimi narzędziami, żeby zrozumieć zachowania ludzi.

Bianca

Nazywam się Bianca Sotomayor.

Mam siedemdziesiąt lat, a od pięciu żyję w piekle.

Proszę mi wierzyć: prawdziwe piekło to nie cierpienie. Cierpienie jest rzeczą banalną, nieodłącznym elementem egzystencji. Od chwili narodzin człowiek cierpi cały czas, na każdym kroku. Prawdziwe piekło jest wtedy, kiedy cierpi się straszliwie i kiedy nie można położyć kresu tej męce, bo nie ma nawet jak odebrać sobie życia.

Nie będę się rozgadywać, nie będę was przekonywać. Po pierwsze dlatego, że nie obchodzi mnie wasze zdanie. A po drugie, ponieważ nic nie możecie zrobić ani przeciwko mnie, ani dla mnie. Zresztą i tak uwierzycie częściowym, subiektywnym wspomnieniom tych, którzy z ręką na sercu przysięgną wam, że Adriano był spokojnym, kochanym dzieckiem i że to my, jego rodzice, byliśmy potworami.

Moja prawda, jedyna, na której mi zależy, jest następująca: szczerze starałam się kochać syna, ale nie było to łatwe. Nawet gdy był mały. Osobowość dziecka można określić bardzo wcześnie. Bałam się Adriana, już kiedy miał cztery czy pięć lat. Nie żeby był niegrzeczny, hałaśliwy czy wybuchowy – choć i to się zdarzało – ale przede wszystkim był zamknięty w sobie, obłudny i przebiegły. Nikt nie miał nad nim władzy. Ani ja nie umiałam zapanować nad nim miłością, ani jego ojciec karami. Adriano wymagał nie tylko uczucia – chciał nas wszystkich sobie podporządkować, nie dając nic w zamian. Chciał, żebyśmy byli jego niewolnikami, i nic nie było w stanie tego zmienić. Ani moje kazania, ani razy, które wymierzał nam ojciec: jemu, żeby go

okiełznać, a mnie za karę, że urodziłam takie podłe dziecko. Nawet kiedy Adriano cierpiał, jego wzrok mroził mi krew w żyłach, widziałam w jego oczach okrucieństwo, wściekłość diabła. Oczywiście powiecie, że wyobraziłam sobie to wszystko. Może tak, ale nie mogłam tego znieść. Gdy tylko nadarzyła się okazja, uciekłam stamtąd.

Zaczęłam od nowa, naprawdę! Życie jest jedno i dlatego chciałam przeżyć swoje jako człowiek wolny. Jaki sens ma egzystencja, kiedy dzień w dzień wykonuje się wyłącznie obowiązki budzące niechęć i irytację? Codziennie wychodzić do miasta, gdzie wisi w powietrzu obrzydliwy smród ryb, być żoną, która albo obrywa po twarzy, albo płaci za spokój pieszczotami całkowicie ją brzydzącymi i jeszcze do tego jest niewolnicą stukniętego syna...

Moje nowe życie było naprawdę nowe. Wyszłam za mąż po raz drugi, urodziłam dziecko, chłopca, któremu nigdy nie wspomniałam o starszym bracie, wyjechałam do innego kraju, zdobyłam nowych przyjaciół, obracałam się wśród innych ludzi. Wszystko, co łączyło mnie z poprzednim życiem, spaliłam, zakopałam, wyrzuciłam z pamięci bez żalu.

Mogłabym wam opowiedzieć mnóstwo rzeczy, o których czyta się w książkach, o tak zwanym instynkcie macierzyńskim i wyrzutach sumienia, jakie podobno powinnam mieć. Mogłabym wam powiedzieć, że moje serce rozdzierał ból w każde urodziny Adriana. Skłamałabym jednak.

Nie interesowały mnie jego dalsze losy. Nigdy nie wygooglowałam jego nazwiska. Konsekwentnie paliłam wszystkie mosty, które mogłyby mnie do niego doprowadzić. Uciekłam od niego i wyrzuciłam go ze swojego życia. Aż do tej styczniowej soboty, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi... Kończył się piękny dzień, ostatnie promienie słońca padały na okolicę. Pod światło, za moskitierą, dostrzegłam sylwetkę policjanta w granatowym mundurze.

– Dzień dobry, mamó! – powiedział, gdy otworzyłam drzwi.

Nie widziałam go od ponad trzydziestu lat, ale w ogóle się nie zmienił. Ten sam niezdrowy płomień palący w oczach, tyle że z biegiem czasu płomień ustąpił pożarowi.

Pomyślałam, że przyszedł mnie zabić.

Nie wyobrażałam sobie nawet, że może mnie czekać coś o wiele gorszego.

Kilometr zero

Każdy, kto pisze, maluje, rzeźbi, modeluje, buduje czy wymyśla, robi to wyłącznie po to, żeby uciec z piekła.

Antonin Artaud

1

Zbita z tropu Madeline walczyła sama z sobą, żeby się nie zniechęcić.

Gaspard patrzył w pustkę wzrokiem znokautowanego boksera.

Opuścili rudere, przeszukawszy ją od góry do dołu jeszcze ostatni raz. Na próżno. Zdezorientowani i zmęczeni, wrócili do Tibberton i zaparkowali samochód w porcie. Z powodu przejmującego zimna szybko zrezygnowali ze spaceru po molo i weszli do jedynej knajpy otwartej po jedenastej wieczorem w Wigilię. The Old Fisherman był miejscowym pubem, gdzie w tym momencie zgromadziło się około dwunastu klientów, najwyraźniej bywalców tego lokalu, którzy jedli właśnie rybę z frytkami oraz zupę z małży i popijali ten posiłek ciemnym piwem z wielkich kufla.

– Czy możemy coś jeszcze zrobić? – spytał Gaspard.

Madeline jakby go nie słyszała. Siedziała przy stoliku przed nietkniętym talerzem z clam chowderem. Znów zaczęła analizować

wyciągi bankowe Sotomayora. Ponad kwadrans tkwiła nieruchomo nad ekranem komórki, wpatrując się w zapisane maczkiem ciągi cyfr, zanim się poddała i stwierdziła, że wszystko to już wie. Nie chodziło o to, że jej umysł się męczył, po prostu nie było tam nic, co jeszcze można by przeanalizować. Skończyły się tropy, nie było w czym grzebać.

Krótko mieli nadzieję, może przez godzinę, ale jednak mieli. Madeline wracała po kolei do wszystkich swoich błędów, w tym do pierwszego: swojego braku wiary.

– Gdybym była wtedy na miejscu, kiedy Sean chciał się ze mną spotkać, wszystko wyglądałoby inaczej. Bylibyśmy cały rok do przodu! Cały rok, wyobraża pan sobie?!

Gaspard siedział przed półmiskiem z ostrygami i nagle poczuł się winny, więc zaczął ją pocieszać:

– To by niczego nie zmieniło.

– Oczywiście, że by zmieniło! – wykrzyknęła.

Wyglądała na załamana. Gaspard zamilkł.

– Nie, Madeline! – powiedział po chwili. – Niczego by to nie zmieniło, bo Sean nigdy nie przyjechał do Nowego Jorku, żeby się z panią spotkać – wyznał.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Lorenz nic nie wiedział o pani istnieniu – dodał.

Madeline uniosła brwi. O co mu nagle chodzi?

– Przecież pokazał mi pan artykuł znaleziony w jego rzeczach!

Gaspard skrzyżował ręce na piersiach.

– Sam przedwczoraj ściągnąłem ten artykuł z internetu i porobiłem na nim adnotacje.

Zapadła cisza.

– Przecież mi pan mówił, że mój numer telefonu pojawiał się kilka razy w jego billingach... – jęknęła.

– To też ja, zrobiłem to wszystko przy pomocy Karen. Zresztą niepotrzebnie, nigdy tego pani nie sprawdziła!

Pomyślała, że to kolejna prowokacja Coutances'a.

– Lorenz zmarł na Sto Trzeciej Ulicy, kilka przecznic od mojego dawnego biura. To jest fakt dowiedziony. Wszędzie o tym pisano. Był tam, bo chciał się ze mną spotkać!

– Lorenz był tam, to prawda, ale wyłącznie dlatego, że dwa kroki stamtąd znajduje się laboratorium Pelletier and Stockhausen. To nie z panią chciał się spotkać, tylko ze Stockhausenem.

Madeline poddała się, przybita bezczelnością Coutances'a. Wstała.

– Nie mówi pan poważnie, prawda?

– Wszystko wymyśliłem, żeby bardziej panią zainteresować tą historią. Pragnąłem wciągnąć panią w to śledztwo!

– Ale dlaczego?!

Gaspard też wstał z krzesła.

– Ponieważ chciałem, żebyśmy chociaż spróbowali zrozumieć, co się stało z tym dzieckiem, pani jednak miała to w nosie! – wykrzyknął.

Ludzie na sali zamilkli i w przegrzanym pomieszczeniu nagle zapadła cisza.

Gaspard wycelował w Madeline wskazujący palec.

– Nie byłem w stanie przyjąć tego, co wszyscy mówili, i miałem rację! – powiedział głośno. – Pani tylko w kółko powtarzała, że Julian nie żyje. Nigdy by się pani nie zgodziła, żeby go szukać!

Ogarnął ją szal, jakby dopiero teraz zorientowała się w manipulacji Gasparda.

– Pan jest chory... Zwariował pan! Idiota! Kretyn!

W uszach szumiało jej z wściekłości, kiedy rzuciła się na niego z pięściami. Gaspard odepchnął ją od siebie, ale nagle dostał łokciem pod żebra i deszcz ciosów spadł mu na piersi. Na zakończenie Madeline walnęła go porządnie w nos i jeszcze raz w brzuch.

Inkasował uderzenia, bo nie był w stanie się bronić. Gdy zgięty wpół myślał, że burza już przeszła, lecz zwałił go na podłogę gwałtowny cios kolanem.

Madeline wybiegła z lokalu jak tornado.

W pubie zawrzało. Gaspard ledwo się podniósł z ziemi. Wargi miał spuchnięte, a prawe oko bardzo go bolało. Szyna, która unieruchamiała mu palec, przesunęła się, z nosa zaś ciekła mu krew.

Kulejąc, wyszedł na ulicę i próbował dogonić Madeline, kiedy jednak dotarł do końca mołu, ona już ruszała pick-upem, jadąc prosto na niego. Najpierw pomyślał, że chce go nastraszyć, ale... W ostatniej chwili rzucił się w bok. O mało go nie rozjechała!

Z piskiem hamulców pick-up zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej. Drzwi się otworzyły i Gaspard zobaczył, jak Madeline wyrzuca na drewnianą promenadę wszystkie jego rzeczy: torbę, kołonotatnik i nawet zabawkę Juliana.

– Niech pana szlag trafi! – wrzasnęła.

Zatrzasnęła drzwi i gwałtownie ruszyła. Koła zabuksowały na mokrym drewnianym podeście, a potem samochód odzyskał jakoś równowagę i na pełnym gazie opuścił nabrzeże.

2

– Nieźle panu przywaliła!

Z zakrwawionym nosem Gaspard usiadł na ławce pod ogromnym kutrem z brązu, wzniesionym ku pamięci rybaków, których od trzech wieków regularnie zabierało morze.

– Rozkwasila panu nos – ciągnął rozbawiony szczerbaty szyper, wręczając mu papierową chusteczkę.

Gaspard podziękował mu skinieniem głowy. Tego pijacznę zauważył już wcześniej w barze. Stary, brodaty facet z tikami nerwowymi, w czapce kapitańskiej, który ssał batonik lukrecjowy tak jak dziecko smoczek.

– Rozwaliła panu gębę – nie dawał spokoju stary rybak, przesuając rzeczy Gasparda na bok, żeby usiąść koło niego.

– No, niech pan nie przesadza!

– Mieliśmy niezłe przedstawienie! Nieczęsto babka daje taki wycisk facetowi. Przeważnie jest na odwrót.

– Odwal się pan!

– Nazywam się Big Sam – przedstawił się rybak, niezbity z tropu.

Gaspard wyjął komórkę.

– Dobra, Big Sam, czy jak tam się pan nazywasz, gdzie mogę zadzwonić po taksówkę?

Big Sam wybuchł śmiechem.

– O tej godzinie nie znajdziesz tu żadnej taksówki, kowboju! A poza tym może najpierw zapłacisz rachuneczek, co?

Gaspard uświadomił sobie, że rzeczywiście wyszli z Madeline z knajpy, nie płacąc za kolację.

– Racja – powiedział, stawiając kołnierz marynarki.

– Idę z tobą – oznajmił pijaczek. – Jeśli chcesz postawić kielicha staremu Samowi, on ci nie odmówi!

3

Madeline płakała.

A mały chłopiec ją obserwował.

Tak płakała, że ledwo widziała drogę przez szybę samochodu. Nie minęło dziesięć minut, od kiedy rozstała się z Gaspardem, gdy na

zakręcie nagle straciła panowanie nad kierownicą, pick-upa zniosło na bok i znalazła się naprzeciwko samochodu nadjeżdżającego z drugiej strony. Reflektory oślepiły ją zupełnie. Zaczęła kręcić kierownicą ze wszystkich sił, zaraz jednak usłyszała głośny, rozpaczliwy klakson... Boczne lusterka zahaczyły o siebie, Madeline zjechała z drogi, wpadła w poślizg i w końcu zatrzymała się na krawędzi rowu.

Kurwa!

Tamten samochód zniknął w ciemnościach nocy. Madeline uderzyła pięścią w kierownicę i wybuchła płaczem. Znow zaczął ją boleć brzuch. Przez cały dzień starała się nie zwracać na to uwagi i teraz ból się odgrywał! Dostała dreszczy. Złapała się za brzuch i skuliła bez ruchu na siedzeniu. Leżała tak przez dłuższą chwilę w panującym dokoła mroku.

Chłopczyk wciąż na nią patrzył.

Ona zaś patrzyła na niego.

Było to zdjęcie Adriana Sotomayora, które Gaspard znalazł w zrujnowanym domu. Piąte urodziny dziecka, niedługo przed ucieczką matki. Przyjęcie zaplanowano na letni wieczór, chłopiec uśmiecha się do obiektywu zza rzędu świeczek. Ma na sobie żółty podkoszulek, szorty w paski i lekkie sandały.

Madeline wytarła łzy rękawem i zapaliła lampkę nad kierownicą.

To zdjęcie nie dawało jej spokoju... Trudno było na nie patrzeć, mając świadomość, w kogo przeistoczył się ten mały chłopiec, i zastanawiając się, czy w tamtym momencie ziarno zła kiełkowało już w jego mózgu i ciele. Madeline знаła zdanie części psychologów, którzy uważali, że osobowość człowieka kształtuje się w ciągu pierwszych trzech lat życia, ale to stwierdzenie zawsze ją oburzało.

A może jednak? Może wszystko było już w tym spojrzeniu, możliwości i granice... Nie, nie wolno tak myśleć! Pięcioletnie dziecko

nie nosi w sobie zła. Polowała na potwora, ale potwór od dawna nie żył i łowczyni straciła swój cel. Po chłopcu pozostał tylko duch.

Dziecko. Chłopczyk. Taki sam jak bawiący się samolocikiem w galerii handlowej synek Jonathana Lempereura. Taki sam jak ten, którego chciała urodzić. Taki sam jak Julian Lorenz. Po prostu dziecko.

Westchnęła. Dawno temu chodziła na kursy profilowania kryminalnego i czytała specjalistyczne książki, żeby „zacząć myśleć jak zbrodniarz”. Nawet jeśli część z tego nie była nic warta, przeniknięcie umysłu przestępcy było zawsze jednym z bardziej ekscytujących zadań dla policjanta. Jak jednak przeniknąć umysł pięcioletniego dziecka?

Wpatrzona w zdjęcie, próbowała sobie wyobrazić, że rozmawia z chłopcem.

Nazywasz się Adriano Sotomayor.

Masz pięć lat i... Nie wiem, o czym myślisz, mimo że odgadywanie myśli innych ludzi należy do moich obowiązków zawodowych. Nie wiem, co czujesz w momencie, gdy zdmuchujesz świeczki. Nie wiem, co czujesz każdego następnego dnia. Nie wiem, czy widzisz w swoim życiu jakiś sens. Nie wiem, jak sobie dajesz radę. Nie znam twoich marzeń. Nie wiem, o czym myślisz przed snem. Nie wiem, co robiłeś wcześniej tego dnia.

Nie znam również myśli twojego ojca. Nie znam jego życia. Nie wiem, dlaczego zaczął cię bić. Nie wiem, jak można zamykać syna za karę pod pokładem kutra. Bić go pasem, przypalać papierosami, wkładać mu głowę do kibla.

Może ojciec bił kogoś innego, bijąc ciebie? Może siebie samego? Swojego ojca? A może urzędnika bankowego, który nie chciał mu obniżyć comiesięcznych rat? Czy raczej społeczeństwo? Własną żonę? Nie wiem, dlaczego dostał się pod władzę diabła, podobnie jak ty później się dostaniesz...

Madeline przysunęła się jeszcze bliżej do zdjęcia.

Chłopiec wciąż na nią patrzył.

Patrzył jej prosto w oczy.

W wieku pięciu czy sześciu lat nie jest się potworem, ale można już wszystko stracić. Wiarę w siebie, szacunek dla własnej osoby, marzenia...

– Dokąd odchodzisz, mały Adrianie? – wyszeptała. – Dokąd idziesz, kiedy wzrok twój staje się nieobecny? Gdzie jesteś, gdy oczy patrzą w dal?

Gdzie jest ta dal?

Znów zaczęła płakać. Czuła, że jest bardzo blisko prawdy. Ale kiedy była już tuż-tuż, prawda uciekała. Prawda to czasem kwestia sekundy, zwłaszcza gdy szuka się tak daleko. Natchnienia... Cisza, która poprzedza odkrycie.

Od samego początku odrzucała założenie, że można zakończyć tę historię, odbywając po prostu kolejną wycieczkę w przeszłość. Nie oczekiwała również cudów. Żaden tajemniczy promień nie padnie nagle na deskę rozdzielczą, do której przyczepione było zdjęcie. Adriano nie zacznie się nagle ruszać ani nie nachyli się i nie wyszepcze jej swoich sekretów do ucha.

Ale pozostaje pytanie Gasparda: Co jeszcze można zrobić? Takie pytanie zadawano sobie zawsze na koniec śledztwa. Nie może się skompromitować przed tym kretyńcem Coutances'em.

Włączyła silnik i kierunkowskaz i zaczęła ostrożnie manewrować, tak żeby nie wjechać kołami głębiej do rowu. Zamiast ruszyć w kierunku Nowego Jorku, zawróciła do Tibberton. Jeszcze z tobą nie skończyłam, Gaspardzie!

Tymczasem Gaspard w towarzystwie Big Sama szedł nabrzeżem w stronę pubu The Old Fisherman.

Na miejscu musiał znieść docinki podpitych rybaków, ale nie pastwili się nad nim zbytnio. Pożartowali sobie, pośmiali się i w końcu postawili mu drinka. Zamierzał odmówić, nie chciał pić alkoholu, odpuścił jednak. Po co się wysilać, jeśli śledztwo i tak już skończone?

Pił powoli, a kiedy wychylił whisky do dna, postawił kolejną wszystkim przy barze. Po dwóch następnych szklaneczkach wypitych jednym haustem położył na barze dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe i poprosił o butelkę.

Nazywam się Gaspard Coutances i jestem alkoholikiem.

Alkohol już działał. Gaspard poczuł się znacznie lepiej. To był najlepszy moment: po dwóch czy trzech kolejkach, kiedy puszczają blokady, kiedy spada z człowieka ciężar okropnej rzeczywistości, ale jeszcze nie jest się kompletnie zalany. Zresztą w tym stanie, na lekkim rauszu, wymyślał najciekawsze dialogi. Po chwili towarzystwo podpitych facetów zaczęło mu jednak przeszkadzać. Za dużo krzyków, zbyt męska atmosfera, za dużo homofobii i głupot wypowiedzianych na sekundę. A poza tym zawsze wolał upijać się w samotności. Był to akt intymny i pełen rozpacz: coś między onanizowaniem się a braniem hery. Złapał butelkę i wyszedł do pomieszczenia obok. Znalazł się w ponurej palarni ze ścianami wyłożonymi czerwonym aksamitem, udekorowanej harpunami, wulgarnymi rycinami i biało-czarnymi zdjęciami miejscowych rybaków, pozujących z największymi zdobyczami na tle swoich kutrów. Wszystko to wprowadzało dziwną atmosferę, coś między opowiadaniem *Stary człowiek i morze* a obrazami Toulouse-Lautreca.

Usiadł przy stoliku i położył swoje rzeczy na krześle przed sobą. Nalał sobie czwartą szklaneczkę i zaczął przeglądać gruby zeszyt, w którym odnotowywał każdy etap śledztwa. Kronika jego klęski. Może

miął na sobie marynarkę Seana Lorenza i perfumował się jego wodą kolońską, ale nim nie był. Nie stanął na wysokości zadania. Madeline miała rację – nie dla amatora prawdziwe śledztwo. Kierując się różnymi względami, wyobraził sobie, że znajdzie i uratuje Juliana Lorenza. Ratując to dziecko, miał uratować siebie. Kurczowo trzymał się tej sprawy, ponieważ wydawało mu się, że w ten sposób odkupi wszystkie swoje winy. Nie da się jednak w ciągu kilku dni wymazać błędów popełnianych przez lata.

Kolejny łyk alkoholu. Gaspard przymknął oczy. Od razu zobaczył Juliana zamkniętego w jakiejś piwnicy. Czy istnieje jakakolwiek szansa, że ten dzieciak jeszcze żyje? Teraz już nie był tego tak pewny. Zresztą, nawet gdyby jakimś cudem znaleźli go żywego, w jakim stanie będzie dziecko po dwóch latach niewoli? Jaką będzie miało przyszłość? Jego ojciec umarł, nie zdążywszy go uratować, matka zaś strzeliła sobie w łeb w starym wagonie metra. Ciężki start w życiu...

Gaspard otworzył oczy i przewrócił kilka stron notatnika. Jego wzrok zatrzymał się na zdjęciu Pirotechników, które wyciął z monografii napisanej przez Benedicka. To była jego ulubiona fotografia, przede wszystkim dlatego, że dobrze oddawała tamte czasy: brutalny, subkulturowy Nowy Jork z końca lat osiemdziesiątych. Poza tym było to jedyne zdjęcie, na którym trójka Pirotechników wyglądała na prawie szczęśliwych. Mieli wówczas niewiele ponad dwadzieścia lat, po raz ostatni bez troski i kpiąco patrzyli w obiektyw, zanim los jednych obdarował sukcesem, a innych zniszczył. Pośrodku Beatriz Muñoz, znana jako LadyBird, kobieta-ptak, którą sto dwadzieścia kilogramów wagi i sylwetka ciężarowca przybiły do ziemi, nie pozwalając wzlecieć. Na zdjęciu Beatriz ukrywa tuszę pod wojskowym płaszczem i uśmiecha się do chłopca stojącego po jej prawej stronie: to Lorz74, jeszcze wówczas nieznany nikomu Sean Lorenz, którego obrazy miały z czasem podbić cały świat. Czy

przeczuwał swoją przyszłość? Z pewnością nie. Na fotografii wygłupia się z kumplem, udając, że zaraz obsika go farbą w sprayu. Chłopak ten nazywał się Adriano Sotomayor, dla przyjaciół NightShift.

Przez moment Gaspard przyglądał się uważnie Adrianowi. Tak dużo wiedząc na jego temat, musiał zmienić zdanie. Trzy dni wcześniej, gdy zobaczył to zdjęcie po raz pierwszy, pomyślał, że Adriano w rozpiętej na piersiach koszuli i z impertynenckim wyrazem twarzy po prostu zadziera nosa, ale to, co Gaspard wziął za zarozumialstwo, w rzeczywistości było całkowitym zubożeniem. Ten sam zagubiony wzrok, jaki Adriano miał od dzieciństwa.

Gaspard nie mógł oderwać oczu od przyszłego Króla Olch. Nie udało mu się rozwiązać zagadki, znaleźć finału, zrozumieć, co grało w życiu Adriana rolę różyczki obywatela Kane'a. Co było kluczem, który otworzyłby wszystkie drzwi. Nie zdołał odszukać szczegółu biografii tłumaczącego życiowe paradoksy, wyjaśniającego, kim dana osoba naprawdę jest, za czym goni, przed czym ucieka. Przez chwilę miał wrażenie, że już wie, że patrzy na rozwiązanie, ale że go nie widzi. I nagle przypomniał sobie czytaną w dzieciństwie nowelę Edgara Allana Poego *Skradziony list*, z której wynikało, że najlepszym sposobem na ukrycie czegoś jest pozostawienie tego na widoku.

Bezwiednie wyciągnął pióro i zabrał się do notowania, tak jak to robił, gdy pisał sztuki. Po czym przeczytał to, co nabazgrał: były tam dwie lub trzy daty, nazwiska Pirotechników i ich pseudonimy artystyczne. Poprawił literówkę: prawdopodobnie dlatego, że znajdował się w pomieszczeniu, którego dekoracja była związana z morzem, napisał NightShip zamiast NightShift.

Zamknął notatnik, za jednym razem wypił kolejną whisky i zebrał swoje rzeczy. Z bolącą głową powlókł się z powrotem do baru. Było tam teraz mniej ludzi i hałas również był mniejszy. Gaspard poprosił właściciela lokalu, żeby pomógł mu znaleźć pokój na nadchodzącą

noc. Barman powiedział, że zaraz zadzwoni w kilka miejsc. Gaspard podziękował mu ruchem głowy. Big Sam, z trudem utrzymując pion na stołku barowym, przyssał się do niego jak pijawka.

– Postawisz drinka, kowboju?

Gaspard nalał mu swojej whisky.

On sam tym razem nie pił, ale alkohol i tak zaczął już działać. Myśli mu się plątały, a jednocześnie czuł, że był bardzo blisko czegoś ważnego, co mu się wymknęło.

– Znał pan może rodzinę Sotomayorów? – zapytał Big Sama.

– Oczywiście! – odpowiedział rybak. – Wszyscy ich tu znali! Gdybyś widział żonę kapitana... Jak tam jej było...

– Biancę?

– Taaa, ta Bianca to dopiero była szprycha! Chętnie bym jej wsadził, tej dziw...

– To Ernesta nazywaliście kapitanem?

– Taaa...

– Dlaczego?

– Z głupim chyba gadam! Bo to był kapitan, do cholery! Jeden z niewielu, który mógł łowić na otwartym morzu.

– Miał własny statek?

– No pewnie, i to porządny trawler, nie żaden tam kuter!

– Jak się nazywał ten trawler?

– Nie wiem. Minął kawał czasu... Nalej jeszcze!

Zamiast nalać pijaczkowi kolejnego drinka, Gaspard obolałymi dłońmi złapał go za kołnierz i przysunął jego twarz do swojej.

– Jak nazywał się trawler starego Sotomayora?! – wrzasnął.

Big Sam wyrwał się z uścisku.

– Spoko, stary, spoko! Po co te nerwy?!

Chwycił butelkę Gasparda, napił się z niej duszkiem, wytarł bezzębne usta i zeskoczył ze stołka.

– Chodź! – rzucił.

Zaciągnął Gasparda do palarni i w niecałą minutę odszukał na ścianie zdjęcie w ramce, na którym Ernesto Sotomayor pozował ze swoją załogą, stojąc za wielkim tuńczykiem ważącym na pewno więcej niż sto kilo. Czarno-biała fotografia, zrobiona gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych, była jednak dość wyraźna. Gaspard podszedł bliżej. Za rybakami dostrzegł statek rybacki. Zmrużył oczy, żeby odczytać nazwę wypisaną na burcie. Statek nazywał się *Night Shift*.

Gasparda przeszedł dreszcz. Oczy zaszklily mu się ze wzruszenia.

– Co się stało z tą łajbą, kiedy Sotomayor poszedł na emeryturę? Czy wciąż stoi w porcie?

– Dobrze sobie! Wiesz, ile kosztuje miejsce w porcie?

– To gdzie jest?

– Tak jak większość statków z Tibberton, które idą na złom, stoi pewnie gdzieś w Graveyard.

– Graveyard? Co to?

– To cmentarzysko statków na Staten Island.

– Staten Island? W Nowym Jorku?

– Tak, mój stary, w Nowym Jorku.

Ale Gaspard już tego nie usłyszał. Pobiegł do baru, chwycił swoje rzeczy i wypadł z pubu na ulicę. Lodowate powietrze w porcie otrzeźwiło go w kilka sekund. Sięgnął po komórkę, w tym jednak momencie zauważył dwa zbliżającego się do niego reflektory.

Nadjeżdżała Madeline.

Niedziela, 25 grudnia

22

Night Shift

I nastał wieczór, i nastał poranek – dzień pierwszy.

Księga Rodzaju, 1,5¹¹

1

Srebrne płatki śniegu krążyły w powietrzu jak chmara błyszczących owadów.

Była siódma rano, gdy Gaspard z Madeline dotarli na cmentarzysko statków na Staten Island. Jechali całą noc i byli kompletnie wyczerpani. Aby nie zasnąć, Madeline paliła papierosa za papierosem, a Gaspard wypił cały termos kawy. Śnieg zaskoczył ich już pod sam koniec podróży, obsypując szosę kilkucentymetrową warstwą puchu, przez co musieli bardzo zwolnić. W końcu jednak, mimo zawiei, dostali się na teren Boat Graveyard.

Obszar został ogrodzony drutem kolczastym i wszędzie wisały tablice ostrzegające o niebezpieczeństwie grożącym niepożądanym gościom, ale jednocześnie był tak rozległy, że nie dało się kontrolować wszystkich, którzy tam przychodzili.

Argumentem najbardziej zniechęcającym okazał się unoszący się tam nieprzyjemny zapach. Składały się na niego obrzydliwe wonie zepsutych ryb i gnijących alg. Smród królował wszędzie, wywoływał

mdłości i zawroty głowy. Dopiero po chwili, gdy udało się przemóc obrzydzenie, zauważało się wspaniały widok, dziwnie i paradoksalnie piękny.

Pod ołowianym niebem rozciągał się krajobraz końca świata. Ziemia niczyja, dziki, opuszczony teren wypełniony tysiącami wraków. Szalupy gnijące w błocie, szkielety statków, barki tkwiące w mule od dziesiątków lat, do tego zardzewiałe frachtowce i żaglowce z podzwaniającymi na wietrze masztami, a nawet wrak parowca prosto z Missisipi.

Jak okiem sięgnąć, ani żywej duszy; jedynym odgłosem były krzyki mew krążących nad zardzewiałymi statkami. Trudno było uwierzyć, że to wszystko znajduje się tak blisko Manhattanu.

Od ponad godziny Madeline i Gaspard szukali wraku *Night Shift*, ale ogrom cmentarzyska bardzo utrudniał im zadanie. Nie dość tego, coraz gęstszy śnieg uniemożliwiał odróżnienie jednego statku od drugiego, a upiorne kontury gubiły się między niebem a ziemią.

Poza tym nie wszędzie można było dotrzeć samochodem. Nabrzeża nie były oznaczone, nie istniał też żaden wybetonowany dojazd do nich. Droga raz była bardzo nierówna, raz zupełnie podmokła, często kończyła się ślepo. Do pewnych miejsc lepiej było iść pieszo, niż ryzykować, że pick-up ugrzęźnie w błotnistej mazi.

Na jednej z takich poprzecznych dróg, gdy mijali piaszczystą łąkę, gdzie zakopał się w mule wojskowy holownik, coś przykuło uwagę Madeline. Średniej wysokości drzewa wystrzelały jakby prosto z wody, a wzdłuż wydeptanej, błotnistej dróżki rósł rząd kilkunastu krzaków. Nie wyglądało to na dzikie zarośla. Kto miałby to wszystko zasadzić i po co? Madeline nadepnęła na cienką gałąź, chcąc ją złamać. Gaspard podniósł ją i obejrzał dokładnie.

– Czy z tej gałęzi cieknie krew? – spytał, wskazując na czerwoną żywicę.

- Kurwa... – wymsknęło się Madeline. – Te drzewa...
- Co z nimi?
- To są olchy.

Drzewo, które płacze krwią. Drzewo zmartwychwstania po zniszczeniach zimy. Symbol życia po śmierci.

2

Idąc wzdłuż rzędu olch, szli około stu metrów nierówną drogą wyłożoną deskami, dopóki nie zauważyli wysokiej i masywnej sylwetki statku stojącego na kotwicy przy byle jak skleconym pomoście.

Night Shift był trawlerem służącym do połowu z rufy, długim na ponad dwadzieścia metrów. Zardzewiała masa unieruchomionego żelastwa pokryta algami i mułem.

Bez chwili wahania Madeline za pomocą znalezionej deski weszła na rampę i wskoczyła na pokład. Silny wiatr uderzył ją w twarz. Przemknęła pod bramką, przeszła nad wciągarką i dostała się na trap. Gaspard podążał za nią. Śnieg zaczynał zamarzać i robiło się coraz bardziej ślisko. Na pokładzie leżało pełno lin, bloczków, kabli, podartych sieci i dziurawych opon.

Śliskie schody prowadziły na mostek kapitański. Pomieszczenie nabrało już sporo wody. Deski odstawały od podłogi, ściany były wilgotne i czuć było pleśń. Zdewastowana kabina nawigacyjna lepiała się od brudu. Radary, nadajniki, ster – to wszystko zniknęło. Na ścianie, obok niedziałającej gaśnicy, Madeline zauważyła zafoliowany dokument w połowie spleśniały. Był to plan statku, gdzie spisano zasady postępowania w razie pożaru.

Wyszli ze sterówki na zabezpieczony pomost, przez który można było się dostać do kokpitu. Większość drewnianych przegród została obalona. Najpierw ujrzeli wąski korytarz ze starą kuchenką i zamrażalnikiem, potem dwie zniszczone kabiny przerobione na warsztat. W kącie stały torby z cementem i kilof, a pod plastikową plandeką leżało mnóstwo innych narzędzi. Na koi, pomiędzy górą potłuczonych flaszek i zdechłymi szczurami, dziesiątki pustych kartonów gniło w kałużach stęchłej wody. Madeline zdarła jedną z etykietek przyczepionych taśmą klejącą i pokazała ją Gaspardowi: LyoφFoods, firma wyspecjalizowana w handlu survivalowymi zestawami żywnościowymi.

Nigdy jeszcze nie byli tak blisko prawdy...

Korzystając z planu, zeszli do pomieszczenia, które kiedyś musiało być maszynownią, a obecnie stało się królestwem szczurów i rdzy. Na ich widok gryzonie w popłochu uciekły pod rury zamontowane przy podłodze. W głębi dostrzegli metalowe zardzewiałe drzwi. Były zamknięte. Madeline poprosiła Coutances'a, żeby jej poświecił, i zabrała się do otwierania. Lewar, łom, nic nie dało rady.

Wrócili na pokład. Wciąż posługując się planem, zaczęli szukać innego zejścia na dół. Nic jednak nie znaleźli. Jeśli drugie zejście w ogóle istniało, musiało zostać zabite.

Nie rezygnując jeszcze, postanowili zajrzeć do każdego zakątka na pokładzie. Wył wiatr, krzyczeli więc, żeby się nawzajem usłyszeć. Z powodu silnych podmuchów ledwo mogli utrzymać równowagę. Niezdarnie odgarniali śnieg stopami. Chcieli robić wszystko szybko, ale skostniałe kończyny odmawiały posłuszeństwa. Prędko też zrezygnowali z mówienia czy krzyczenia i zaczęli porozumiewać się gestami.

Po obydwu stronach wyciągarki do sieci wbudowane były w podłogę dwa szerokie pasy z matowego szkła. Dwa krótkie

przeszklenia ułożone z przydymionych szybek. Gaspard pomyślał od razu o oświetleniu piwnicy za pomocą naturalnego światła. Nieopodal Madeline zauważyła dwa zakratowane, prostokątne otwory, zamontowane w podobny sposób co przeszklenia. Wywietrzniki – stwierdziła.

Pobiegła do kokpitu i przyniosła kilof. Wydawało jej się, że łatwo rozbije szklany sufit, ale szybki były wyjątkowo grube. Chociaż Madeline uderzała z całej siły, dopiero po jakimś kwadransie udało jej się przedziurawić szkło. Robotę skończyła żelaznym lewarem, starając się porozdzielać posklejane ze sobą elementy. Otwór natychmiast zaczął się wypełniać padającym śniegiem.

Madeline odczepiła od paska u spodni jedną z fluorescencyjnych lamp i wrzuciła ją do dziury. Pod stopami mieli przepaść głęboką na trzy metry.

– Na mostku widziałam drabinę sznurową! Idę po nią! – krzyknęła i zniknęła.

Gaspard został sam nad przepastnym otworem. Był nieprzytomny, ogłuszony i otumaniony. Spod pokładu wydobywał się jednak wstrętny odór ryb, gówna i moczu, który go otrzeźwił. To pewne, że kogoś tu więziono!

Nagle wydało mu się, że mimo wiatru słyszy rozpaczliwe wołanie. Ktoś go wzywał. Nie miał cierpliwości czekać na Madeline.

Zdjął kurtkę i zeskoczył do ładowni.

3

Upadł ciężko na podłogę i poturlał się bezwładnie, wzniecając tumany kurzu. Gdy wstawał, uderzyła go charakterystyczna ohydna

woń. Zrobiło mu się niedobrze. Znał ten zapach: tak pachnie śmierć. Podniósł z ziemi lampę fluorescencyjną i ruszył przed siebie.

– Jest tam kto?! – krzyknął.

Odpowiedział mu tylko szarpiący statkiem wiatr.

Wszystkie świetliki i bulaje pozasłaniano na stałe. Nawet jeśli każdy wdech zepsutego powietrza był cierpieniem, panowała tam mniejsza wilgoć niż w pozostałych częściach statku. Atmosfera była dziwnie niepokojąca i im bardziej Gaspard schodził ku rufie, tym robiło się ciszej. Nagle wichura na zewnątrz wydała mu się bardzo odległa, poczuł się wręcz jak na obcej planecie.

W miarę jak jego wzrok przyzwyczajał się do ciemności, Gaspard spostrzegł, że nie znajduje się w ładowni, ale w pomieszczeniu, które musiało służyć rybakom do sortowania i czyszczenia złowionych ryb.

Minął taśmę podawczą, jakiś duży stalowy pojemnik oraz rząd metalowych haków i rynien zsypanych. To za tą górą żelastwa znalazł to, co było nieuniknione i zapowiedziane odorem śmierci – zwłoki Bianki Sotomayor, której ciało zwinięte w kłębek leżało na podłodze pośród betonowych pustaków.

Gaspard przysunął lampę do zwłok. Ciało Bianki nie przypominało już nic. Nabrzmiała skóra błyszcząca jak mokra gąbka odklejała się cała; paznokcie odpadły. Zwłoki były zgniło-żółto-czarne, w ostatnim stadium rozkładu. Gaspard bał się, że zemdleje. Jeśli mimo zimna odór towarzyszący gniciu ciała był tak silny, oznaczało to, że Bianca musiała umrzeć stosunkowo niedawno. Nie był lekarzem, ale na podstawie tego, co wiedział, stwierdził, że wyzionęła ducha najwyżej trzy tygodnie temu, a na pewno nie wcześniej niż przed miesiącem.

Wyprostował się i ruszył korytarzem w coraz gęstszej ciemności. Zimno i strach nagle zniknęły. Był czujny, zmobilizowany, gotowy na wszystko. Czekał na tę chwilę od dwudziestu lat. Od dwudziestu lat pragnął rozwiązać problem, z którym walczył, zanim jeszcze usłyszał

o Seanie Lorenzu. Czułście ciemności i kraina światła ścierały się w nim od dawna w wyniszczającym konflikcie.

Rewelacje ostatnich dni... Gdy pięć dni temu wylądował w Paryżu, nie przyszło mu nawet do głowy, że zamiast pisać kolejną sztukę, zamieni się w speleologa badającego mroczne, pełne wrogich widm jaskinie własnego życia. Nie spodziewał się, że odkryje w sobie cechy charakteru, o których myślał, że stracił je bezpowrotnie.

Siłą woli zbierał się w sobie kilka razy. Wielokrotnie bliski był załamania, jednak wciąż się trzymał. Może nie potrwa to już długo, ale przynajmniej dotarł aż tutaj, na sam brzeg przepaści. Do jamy potwora. Gotów na ostateczne starcie, bo potwory nigdy nie umierają.

– Jest tam kto?!

Posuwał się do przodu w ciemnościach. Lampa fluorescencyjna chyba się zepsuła, ponieważ prawie już nie świeciła. Nagle zrobiło się stromo i korytarz się zwęził. Nic nie było widać. Gaspard odgadywał, że mija góry pustych puszek po konserwach, jakieś dwa stare materace, koce... I znów kartony, skrzynki, wszystko zasnutę pajęczyną.

W końcu okazało się, że dalej nie ma przejścia. Zderzył się ze ścianą stelaży, a za nimi dostrzegł kolejne sterty żeliwnych rur.

W tym momencie lampa zupełnie zgasła. Gaspard cofnął się o parę kroków i po omacku zaczął iść tam, skąd dobiegał cichy szum wentylatora. Dźwięk prowadził do dość szerokiego wylotu. Gaspard przykucnął. Chyba był za gruby, żeby się w nim zmieścić... Mimo to wczuł się do niego i niezdarnie ruszył do przodu. Od chwili, gdy wskoczył do ładowni, wiedział, że nie wyjdzie stąd bez Juliana. Od tego zależała cała jego przyszłość. Aby dotrzeć aż tu, połączył swoje losy z losami Juliana Lorenza. Było to milczące porozumienie, szalony zakład nałogowego pokerzysty, który podczas ostatniej partii rzuca na

szalę swoje życie, obstawiając tysiąc do jednego i mając nadzieję, że promień światła zwycięży ciemność.

Czołgał się z brzuchem przyklejonym do podłoża. Ciężar przygniatał mu piersi. W uszach dzwoniło. Miał dziwne wrażenie, że opuszcza statek. Nie czuł już usypiającego kołysania, nie słyszał trzeszczenia ani zgrzytania kadłuba, zniknęły wyziewy benzyny, farby i woń mokrego drewna. Zatonął w ciemnościach czarnych jak węgiel. W powietrzu wisiał zapach spalonej ziemi. A na końcu mrocznego tunelu światelko, jak iskra, która czasem zabłyśnie, kiedy rozgrzebie się ciepły jeszcze popiół.

Wtedy go zobaczył.

4

Gaspard biegnie w sypiącym z nieba gęstym śniegu.

Lodowate powietrze pali mu płuca i gryzie w oczy. Wiatr ciska mu w twarz zimne, białe płatki. Gaspard ma na sobie tylko koszulę, zimno przejmuje go do kości, ale teraz nie ma to już znaczenia.

Otulił Juliana marynarką i przycisnął go mocno do siebie.

Madeline ruszyła przodem, żeby odpalić samochód.

Ogromne, szare mewy krążą nad nimi jak drapieżne ptaki. Tak samo przeraźliwie i groźnie skrzeczą.

Gaspard wciąż biegnie.

Ze schyloną głową, twarzą niemal przyklejoną do białej jak prześcieradło twarzy dziecka, stara się podzielić z nim wszystkim, co ma: swoim ciepłem, oddechem, swoim życiem.

Gesty są naturalne. Dokładnie wie, co robić. Wie, że nie poślizgnie się na śliskiej powierzchni nabrzeża. Wie, że chłopiec nie umrze mu na rękach. Obejrzał go uważnie, wychodząc z ładowni. Julian był w

szoku, nie mógł otworzyć oczu z powodu długiego przebywania w ciemnościach, ale Bianca musiała się nim zajmować do ostatniej chwili, bo dziecko nie było umierające.

– Wszystko będzie dobrze, Julianie!

Chłopiec ma zamknięte oczy, drży i szczęka zębami.

Wolną ręką Gaspard łapie pluszowego pieska, który wystaje mu z kieszeni marynarki, i wciska go dziecku pod brodę.

– Wszystko będzie dobrze, kochany. Zobacz, przyniosłem ci twojego kumpla, on cię rozgrzeje!

Gaspard wciąż biegnie.

Zranione dłonie zaczynają krwawić, ból nie pozwala mu nimi ruszać, mimo to Gaspard nimi rusza.

I wciąż biegnie.

Na śniegu zapiszczały opony. Za zasłoną z wirujących płatków widać samochód Madeline podjeżdżający jak najbliżej pomostu. Już są blisko auta, gdy Julian coś szepcze. Gaspard myśli, że się przesłyszał, i prosi dziecko, żeby powtórzyło swoje słowa.

– Czy to ty, tato? – pyta chłopczyk.

Gaspard rozumie, że dziecko jest wyczerpane, a on ma na sobie ubrania Lorenza i skropiony jest jego wodą toaletową, którą pachnie wszystko, nawet przyniesiona zabawka.

Nachyla się nad malcem i otwiera usta, by wyprowadzić go z błędu, ale zamiast tego słyszy:

– Tak, synku, to ja.

Pick-up z napędem na cztery koła bez trudu sunął po zaśnieżonych drogach. Przytulny komfort wnętrza rekompensował surowość

zewnątrznego świata i kontrastował z arktycznym zimnem królującym za oknem. Ogrzewanie ustawili na maksimum, silnik mrucał, a ściszone radio włączone było na lokalną stację 10-10 Wins, która co kwadrans informowała o sytuacji na drogach w okolicy.

Gaspard i Madeline od chwili, kiedy pół godziny temu opuścili cementarzysko statków, nie wypowiedzieli ani słowa. Gaspard wciąż przytulał Juliana, który wyglądał, jakby spał. Zwinięty w kulkę i opatulony marynarką swojego ojca był prawie niewidoczny, z zawiniątka wystawały tylko potargane blond pukle. Czterema palcami lewej rączki dziecko kurczowo chwyciło dłoń Gasparda i jej nie puszczało.

Mimo pięknych oczu Madeline wprowadziła do GPS-u adres szpitala Bellevue na Manhattanie. Znajdowali się na międzystanowej drodze numer dziewięćdziesiąt pięć, na wysokości Secaucus w New Jersey. Tego świątecznego dnia na trasach nie było dużo samochodów, ale warunki meteorologiczne i tak komplikowały ruch.

Sto metrów przed wjazdem do Lincoln Tunnel zwolnili, ponieważ droga zwężała się tu do jednego pasa. Między jednym a drugim ruchem wycieraczek Gaspard zauważył furgonetki służb miejskich, które konwojowały odśnieżarki posypujące asfalt solą. Na lewym pasie samochody jechały bardzo wolno, zderzak w zderzak. A potem wszystkie się zatrzymały.

I co teraz?

Gaspard pomyślał o słowach Hemingwaya: „Najważniejsze skrzyżowania naszego życia są nieoznaczone”. W ten bożonarodzeniowy poranek wydało mu się, że jest wprost przeciwnie: podświetlony, wyraźny drogowskaz migał mu przed oczami. Znow przypomniawszy sobie o *kairos*: tej decydującej chwili, kiedy należy działać bez zastanowienia, żeby nie pozwolić uciec szczęściu. Do tej pory nigdy nie udało mu się ta sztuka. Było to tym dziwniejsze, że

przez ostatnie dwadzieścia lat pisał dialogi, sam jednak nie umiał się z nikim porozumieć. Świadomy, że stoi przed wyborem „teraz lub nigdy”, odezwał się do Madeline

– Przez sto metrów możemy jeszcze wybrać, potem będzie za późno.

Ściszyła radio i rzuciła Gaspardowi pytające spojrzenie.

– Jeśli skręcisz w prawo, na Manhattan – ciągnął Gaspard – zaczniesz pisać pierwszą historię. Jeśli pojedziesz prosto na północ, wymyślisz drugą.

Madeline nie zrozumiała.

– Jaką pierwszą historię? – spytała.

Tym razem Gaspard znalazł potrzebne słowa. Pierwsza historia opowiadała o życiu trzech nieszczęśliwych osób: pisarza nadużywającego alkoholu, policjantki o skłonnościach samobójczych i małego osieroczonego chłopca.

W pierwszej opowieści pisarz i policjantka wjeżdżają do Lincoln Tunnel, żeby zawieźć chłopca do szpitala Bellevue. Będzie to prawdziwa manna z nieba dla wszystkich poślednich dziennikarzy, gapiów i plotkarzy: dramat rodzinny wystawiony na pokaz, bezlitośnie analizowany i komentowany w mediach. Lajkowany na portalach społecznościowych, żyła złota dla brukowców.

W pierwszej opowieści dramaturg wraca w swoje góry i jeszcze bardziej zamyka się w sobie. Wciąż pije i nienawidzi ludzi, tak jak nienawidzi prawie wszystkiego. Każdy kolejny ranek jest dla niego trudniejszy niż poprzedni. Pije więc codziennie więcej, mając nadzieję, że w ten sposób przyspieszy koniec tej głupiej gry.

Policjantka być może leci z powrotem do Madrytu, do kliniki leczenia niepłodności. A może tam nie leci. Pragnie zostać matką, to prawda, ale chciałaby też mieć przy sobie kogoś, kto by jej pomógł w tym nowym życiu. Bo wie, że jest słaba. Bo od czasów, gdy była

nastolatką, ciągnie się za nią ta sama melancholia. Oczywiście są okresy, kiedy udaje jej się to zamaskować, wmówić innym – również i sobie – że jest młodą, inteligentną i zrównoważoną kobietą nastawioną pozytywnie do życia, jej umysł pogrąża się jednak w chaosie, gorączce i pachnie krwią.

Sprawa dziecka to wielka niewiadoma. Osierocone przez „szalonego malarza” i królową wszelkich ekscesów, wychowywane przez dwa lata w ładowni starego statku rybackiego przez matkę seryjnego mordercy... Jakie czeka je życie? Można się założyć, że chłopiec będzie zmieniał rodziny zastępcze, chodził na psychoterapię i wzbudzał fałszywe współczucie i niezdrową ciekawość. Etykieta ofiary przyłgnie do niego na zawsze. Niepewne spojrzenie wciąż będzie uciekać i wracać do ponurych wspomnień spod pokładu.

Nagle zwolnił się drugi pas. Policjant w żółtej kamizelce dał im znak, żeby na niego wjechali, i ruch się odblokował.

Madeline nie mogła z siebie wydobyć ani słowa. Patrzyła na Gasparda zagubiona, starając się zrozumieć, co właściwie chce jej powiedzieć. Z tyłu rozbrzmiał koncert klaksonów. Madeline wrzuciła pierwszy bieg i pick-up wrócił na pas prowadzący do Lincoln Tunnel. Gaspard spoglądał na zbliżające się ostrze gilotyny. Pięćdziesiąt metrów. Trzydzieści metrów. Dziesięć. Zagrał swoją ostatnią kartę. Nie miał już żadnych atutów w ręku.

Wjeżdżali na trasę w kierunku Manhattanu. Jeśli była jakaś inna historia, to z pewnością zbyt szalona, ryzykowna... Takich rzeczy nie organizuje się w ostatniej chwili.

No i tak, to koniec... – pomyślał.

– A druga historia? – zapytała Madeline.

– Druga opowieść to dzieje pewnej rodziny – odparł.

Tym razem zrozumiała, co mówiły jego oczy: „Jestem pewien, że nikt nie zajmie się lepiej tym dzieckiem i nie ochroni go skuteczniej

niż my”.

Madeline zamrugała, przetarła oczy rękawem, wzięła głęboki wdech i nagle obróciła kierownicę, zjeżdżając gwałtownie na drugi pas. W ostatnim momencie pick-up przeciął kilka białych linii i zmiądzzył plastikową barierkę ochronną oraz biało-czerwony słupek.

Manhattan został za nimi. Madeline udało się zmienić kierunek i ruszyła na północ, przyspieszając.

6

W ten sposób rozpoczęła się ta druga historia, Julianie.
Historia naszej rodziny.

Pięć lat później

Oto prawda, Julianie.

Oto twoja historia. Oto nasza historia.

Ta, którą właśnie skończyłem spisywać w starym kołonotatniku.

Tamtego ranka nie zawieźliśmy cię na pogotowie w szpitalu Bellevue. Pojechaliśmy dalej, na północ, aż do centrum zdrowia dziecka w Larchmont, założonego przez Diane Raphaël dzięki pieniądzom pochodzącym ze sprzedaży obrazów Lorenza.

Byłeś tam przez miesiąc. Stopniowo odzyskiwałeś wzrok. To, co przeżyłeś, zacierało się w twoim umyśle. Nie miałeś poczucia czasu, nie pamiętałeś swojego poprzedniego życia ani w ogóle chwili porwania. I wciąż mówiłeś do mnie „tato”.

Cztery tygodnie twojego pobytu w centrum wykorzystaliśmy, żeby się zorganizować. Mama „uregulowała” naszą sytuację administracyjną. Ponieważ swego czasu zajmowała się federalnym programem ochrony świadków, wiedziała, do kogo się zwrócić po fałszywy akt urodzenia, który nie budziłby podejrzeń. W ten sposób oficjalnie stałeś się Julianem Coutances'em, urodzonym dwunastego października 2011 roku w Paryżu, z ojca Gasparda Coutances'a i matki Madeline Greene.

Przed opuszczeniem Stanów Zjednoczonych mama i ja wróciliśmy na pokład *Night Shift* z kanistrami pełnymi benzyny i podpaliśmy statek.

Potem wszyscy pojechaliśmy do Grecji, na wyspę Sifnos, gdzie już czekał mój jacht. Dzieciństwo spędziłeś w słońcu Cyklad, kołysany

szumem srebrzystych fal i podmuchami wiatru na wzgórzach.

Czysty błękit nieba, cień drzew oliwnych, miętowa świeżość tzatziki i do tego zapach tymianku oraz jaśminu – nie znałem nic lepszego, by pomóc ci wymazać z pamięci mroczne otchłanie. Podnoszę wzrok znad zeszytu i patrzę, jak spacerujesz po plaży pod domem. Najwyraźniej mi się udało, bo jesteś piękny jak Apollo i tryskasz zdrowiem, chociaż wciąż boisz się ciemności.

– Mamo, patrz, jestem samolotem!

Rozkładasz ręce i zaczynasz biegać wokół mamy, która śmieje się radośnie.

Od tamtego grudniowego ranka 2016 roku minęło pięć lat. Pięć cudownych lat. Dla Madeline, dla mnie i dla ciebie to był początek nowego istnienia. Prawdziwe odrodzenie. Dzięki tobie do naszego życia wróciło to, co dawno z niego zniknęło: lekkość, nadzieja, ufność, sens. Gdy dorośniesz na tyle, żeby móc przeczytać te strony, odkryjesz zapewne, że twoja mama i ja nie zawsze byliśmy tymi spokojnymi rodzicami, jakich znasz.

Nasze życie rodzinne pozwoliło mi coś zrozumieć: pojawienie się dziecka wymazuje wszelkie mroki poprzedniego życia. Absurdalność świata, jego brzydotę, straszliwą głupotę ponad połowy mieszkańców planety, a także tchórzostwo wszystkich tych, którzy polują w stadzie. Kiedy masz dziecko, w jednej chwili gwiazdy porządkują się na niebie! Twoje błędy, pomyłki i grzechy odkupione zostają jednym spojrzeniem twojego dziecka.

Nie ma dnia, żebym nie przypominał sobie tego grudniowego poranka, gdy po raz pierwszy wziąłem cię na ręce. W Nowym Jorku szalała śnieżna zawierucha, zimno przejmowało mnie do kości, nad naszymi głowami krążyły mewy, a czerwona żywica zostawiała ślady

krwi na śniegu. Tego ranka uwolniłem cię, to prawda, ale to ty mnie uratowałaś.

Sifnos, Cyklady

12 października 2021 roku

Dwudziesta druga Penelopa

Niezwykła aukcja monumentalnego dzieła Seana Lorenza w Nowym Jorku

9 października 2019 – AFP

Dziś wieczorem w Rockefeller Plaza nowojorska filia Christie's urządza aukcję monumentalnego dzieła amerykańskiego malarza Seana Lorenza, zmarłego w 2015 roku. Dzieło, zatytułowane *Dwudziesta druga Penelopa*, to stary wagon metra paryskiego pokryty w całości zmysłowym obrazem przedstawiającym Pénélope Kurkowski, żonę i muzę artysty. Malowidło powstało nielegalnie w 1992 roku, gdy nowojorski malarz przyjechał do Paryża, ale zostało odkryte dopiero niedawno, po tragicznej śmierci pani Kurkowski, która w grudniu 2016 roku odebrała sobie w tym wagonie życie.

Po tym wydarzeniu między zarządem paryskiego transportu miejskiego a Bernardem Benedickiem, wykonawcą testamentu i jedynym spadkobiercą Seana Lorenza, doszło do długiej i gorzkiej batalii sądowej o ustalenie, do kogo należy to dzieło sztuki. Ostatnio strony podpisały wreszcie porozumienie, co pozwoliło na zorganizowanie dzisiejszej aukcji.

„Nie zdziwię się, jeśli pobijemy rekord cenowy! – mówi przedstawiciel domu aukcyjnego. – Już za życia Lorenza jego obrazy były bardzo drogie, a po śmierci artysty osiągnęły ceny wręcz astronomiczne!”

Z kolei Bernard Benedick podkreśla unikatowy charakter tego nigdy niewystawianego dzieła: „Dwadzieścia jeden obrazów ukazujących Pénélope Kurkowski spłonęło w pożarze w 2015 roku.

Ten wagon, o ile wiem, pozostał jedynym malarskim świadectwem niezwyklej relacji, jaka łączyła Lorenza i jego żonę”.

Krytyce, skupiającej się na nieco makabrycznym aspekcie dzieła, Benedick zarzuca błędne podejście. Według niego, obraz ten wyraża istotę miłości i piękna.

„Co więcej – dodaje marszand filozoficznie – czy mamy jakąś inną drogę ucieczki przed brutalnością czasów, w których króluje technologia, ludzka głupota i racjonalność ekonomiczna, niż zwrócenie się ku sztuce, pięknu i miłości?”.

Źródła

Co jest prawdą, co fantazją

Nie szukajcie Seana Lorenza w muzeach i galeriach sztuki współczesnej. Jego postać jest sumą postaci wielu moich ulubionych malarzy, którzy na szczęście nie skończyli tak tragicznie jak on.

Nie doradzam wam również wycieczki na quai Voltaire wyłącznie w celu zwiedzenia sklepu Jeana-Michela Fayola, gdyż on również jest postacią wymyśloną. Skorzystałem przy jej tworzeniu z artykułów opisujących sklep Kremer Pigments, założony przez Georga Kremera, oraz zapoznałem się z publikacjami w sieci na temat kolekcji pigmentów Straus Center for Conservation and Technical Studies w Cambridge, o której mówi się, że jest jedyna na świecie.

W końcu niektórzy z was zauważą w tej powieści krótkie wzmianki czy nawiązania do miejsc występujących w moich poprzednich książkach. Mam nadzieję, że to wywoła ich uśmiech – to są wyrazy mojej wdzięczności, drodzy czytelnicy, za waszą wierność.

Przypisy

- [1](#) Confédération Générale du Travail (CGT), Force Ouvrière (FO), Fédération Syndicale Unitaire (FSU).
- [2](#) Tu kończy się moja droga (łac.).
- [3](#) W. Szekspir, *Król Ryszard II*, przeł. Roman Brandstaetter.
- [4](#) Oscar Wilde, *Wachlarz lady Windermere*, przeł. Teofil Trzeciński.
- [5](#) Arthur Schopenhauer, *Aforyzmy o mądrości życia*, przeł. Jan Garewicz.
- [6](#) Bo wyglądam pocziwie, a poza tym powiedziałem, że jestem pani mężem (hiszp.).
- [7](#) Zapał, determinacja (wł.).
- [8](#) Ten i kolejne cytaty z *Króla olch* Johanna Wolfganga Goethego w przekładzie Antoniego Libery.
- [9](#) F. Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski.
- [10](#) R. Girard, *Prawda powieściowa i kłamstwo romantyczne*, przeł. Karolina Kot.
- [11](#) *Pismo święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, Poznań 1998.

Spis treści

O książce

O autorze

Tego autora

Dedykacja

Motto

Chłopczyk

W ŚRODKU ZIMY

Wtorek, 20 grudnia

1. Syndrom Paryża
2. Teoria dwudziestu jeden gramów
3. Piękno strun
4. Dwoje nieznajomych w jednym domu

SZALONY MALARZ

Środa, 21 grudnia

5. Los chwyta za gardło
 6. Suma destrukcji
 7. Ci, których spala...
- Gaspard
8. Kłamstwo i prawda
 9. Sposób na zwyciężenie śmierci

WOŁANIE ŚWIATŁA

Czwartek, 22 grudnia

10. Poza światłem
- Pénélope
11. Cursum Perficio
 12. *Black hole*

Piątek, 23 grudnia

13. Madryt

14. Nowy Jork

15. Powrót na Bilberry Street

Pénélope

KRÓL OLCH

Sobota, 24 grudnia

16. Noc amerykańska

17. Król Olch

18. Oszronione miasto

19. Na skraju piekła

20. Ulubiony syn

Bianca

21. Kilometr zero

Niedziela, 25 grudnia

22. Night Shift

Pięć lat później

Dwudziesta druga Penelopa

Źródła Co jest prawdą, co fantazją

Przypisy